



ŹRÓDŁO

JĘDRZEJ PASIERSKI

Seria z komisarz Niną Warwiłow

Jędrzej Pasierski

Źródło



Wołowiec 2024

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

prawolubni


Projekt okładki Magdalena Palej

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś

Fotografie na okładce © Silas Manhood / Trevillion Images

Copyright © by Jędrzej Pasierski, 2024

Redakcja Martyna Tondera-Łepkowska

Korekta Justyna Żebrowska / d2d.pl, Julia Żak / d2d.pl

Skład Robert Oleś

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-863-3

Seria „Ze Strachem”:



Wojciech Chmielarz *Zombie*

Anna Kańtoch *Wiara*

Jędrzej Pasierski *Dom bez klamek*

Jędrzej Pasierski *Roztopy*

Jędrzej Pasierski *W Imię Natury*

Anna Kańtoch *Pokuta*

Jędrzej Pasierski *Czerwony świt*

Jędrzej Pasierski *Kłamczuch*

Jędrzej Pasierski *Gniazdo*

Jędrzej Pasierski *Martwy klif*

Jędrzej Pasierski *Wodnik*

Więcej informacji: czarne.com.pl

Oleńce i Maćkowi

moje królestwo
przełącz w szaleństwie ziół
kroków trzysta
do serca źródlanej wody

Barbara Paluchowa, *Moim górą*

1

Witek Rozenba ponownie przeliczył stado, tym razem zaczynając z drugiej strony. Zamknął oczy, zbierając siły na konfrontację z ponurymi wnioskami. Jedna owca się zgubiła. Ewidentnie. Młoda owieczka, której jeszcze nie zdążył nadać imienia.

Rozejrzał się, coraz bardziej świadomy tego faktu i coraz bardziej podenerwowany. Pies Aren, najmądrzejsza istota, jaką znał, przegapił sprawę albo zwyczajnie się starzał. Trudno było w tym momencie wyrokować – w każdym razie nie wykonał swojej pracy: stado było niepełne.

Wilki... Nie ułatwiały im życia. Watahy grasowały w Paśmie Jaworzyny Krynickiej i zbierały krwawe żniwo. Nikt obecnie nie wiedział, ile ich krąży, ale na pewno więcej niż oficjalnie oceniano. A Rozenba czuł się zmęczony sporami, które przetaczały się przez Polskę i czasami dosięgały nawet do Rytowa. Pisano o mordercach zwierząt. O zagrożonych gatunkach.

Większość z zabierających głos nie miała pojęcia, o czym mówi. Nigdy nie widzieli wilka, a już na pewno nie takiego na wolności.

– Aren!

Zawołał ponownie, ale wiatr zagłuszał dźwięki. Aż podskoczył, kiedy poczuł ciepły język na palcach. Pies spojrział na niego tak, jakby rozumiał. Miał w sobie jakiś wilczy pierwiastek, jak połowa psów w Rytowie, i podchodził również jak wilk. Bezszelstnie.

Pasterz i pies. Stado cakli. No i jednej owieczki brakowało: Aren o tym wiedział i był z tego powodu niespokojny. Jedna z czarnych owieczek opuściła stado. Były inne niż białe owce, mądrzejsze, jakby

razem z czernią dotknął je *diabeł* i obdarzył przy okazji mądrością. Wobec wilka oczywiście były bezbronne, pozbawione masy i rogów.

Witek rozejrzył się. Wykarczowana przez gazdów Hala Rytowska przechodziła tutaj w gęsty, stary las. Postrzępionym, szerokim jeźorem włąził w tereny pomiędzy Halą i mieszczącym się na niej schroniskiem PTTK a Rytowem.

Las dawał schronienie w letnie dni na tych nienaturalnie łysych polach. Może była to grupowa decyzja, a może jakiś mądry człowiek zauważył, że na rozległych terenach, zamienionych decyzją gazdów w pastwiska i źródło drewna, przyda się przynoszący cień pas drzew. Cień i ciemność.

Witek nie miał z kim się podzielić swoimi obawami. Wydawało się mało prawdopodobne, aby wilki przyszły za dnia, ale ich zwyczaje się zmieniały, a stada się rozrastały. Watahy stały się zuchwałe, lisy podchodziły pod gazdówki i wyczekiwały w krzakach, aż zbłąkana kura sama do nich podejdzie. Aren wciąż mógł straszyć posturą, choć nie był już tak szybki jak dawniej, a i zębów trochę pogubił w trakcie swojego bogatego życia. Wilki zwyczajnie wyczuwały zapach starego psa. Rozzuchwaliły się.

Witek podrapał ukochanego zwierzaka za uchem i szepnął mu parę słów.

„Zostań”.

Wydawało mu się, że pies zrozumiał.

A potem okazało się, że Witek zupełnie się myli, bo kiedy wszedł w las, usłyszał za plecami charakterystyczne sapanie.

Zawahał się.

– Zróbmy to szybko – powiedział.

Zaczął schodzić stromym zboczem, wspierając się na kij.

Ta owieczka ledwo co się urodziła. Była za mała, żeby zabłąkać się daleko. Być może ciekawość pociągnęła ją do Zawoi, strumienia przecinającego las, i nie potrafiła wdrapać się z powrotem. Strome zbocza wąwozu porastały buki – ich zachowało się tutaj najwięcej,

dawniej wycinano przeważnie jodłę i świerk, aby spławić je następnie Popradem.

Poniżej Żmijowego Jaru, jak nazywano we wsi ten fragment lasu, potok spływał do Rytowa, stając się osią całej wsi. Niegdyś największą wartość miały domy pod lasem. Najczystszy strumień był u góry, gdzie nie wylewano jeszcze tyłu pomyj, nie prano i – jeszcze całkiem do niedawna – nie wyrzucano śmieci. Obecnie bardziej dochodowe były ziemie bliżej Piwnicznej, gdzie stok stawał się łagodniejszy i bardziej przychylny dla rolnictwa.

Witek widział już przebłyśki słońca między koronami drzew, odbijające się punktowo w tafla Zawoi. Może wszystko skończy się dobrze – owieczka zwyczajnie odłączyła się od stada, a Zawoja w tym miejscu była zbyt płytka, aby owca się utopiła. Dopiero we wsi osiągała szerokość pięciu–sześciu metrów, by pod mostem, w dolnej części Rytowa, złączyć się z drugim strumieniem. Tam właśnie znajdował się miejscowy bunior.

Witek schodził ostrożnie, opierając się o kij. Ciało miał trzydziestoletnie i względnie wysportowane, ale z pewnością nie mógł sobie pozwolić na żadną kontuzję. Nikt poza nim stadem zająć się nie mógł.

Aren, mimo swojego wieku, radził sobie lepiej od pana. Szczeknął i pognał przodem, aż wzbil nosem ziemię zbocza i piach pofrunął do góry. A potem nagle, już bliżej strumienia, pies zaczął zajądło szczekać.

Witek stracił go z oczu, ale słyszał ten dźwięk. To nie było radosne poszczekiwanie, sygnalizowało niebezpieczeństwo. Zamknął oczy i już widział tę scenę. Rozwleczone wnętrzości owcy ze śladami po zębach wilków. Szkoda, że obrońcy środowiska z Sącza i Krakowa nie będą musieli dobijać i zakopywać rozczłonkowanego zwierzęcia ani odnotowywać w zeszycie straty finansowej, a potem ukrywać tego zeszytu przed ojcem, żeby się niepotrzebnie nie zdenerwował.

Oby ta owieczka już nie żyła i nie musiał kończyć jej cierpienia. Najchętniej w tym celu pożyczylby strzelbę od Marka Czargonja,

mieszkającego w Rytowie, dwa domy niżej. Nie, żeby Czargoń posiadał broń legalnie, ale to nie miało znaczenia. Policja z Piwnicznej do Rytowa dojeżdżać nie lubiła. Jeśli ktoś siedział cicho, to mógł więcej niż w dolinie.

Czarne myśli pochłonęły mu głowę, a musiał iść tak cholernie ostrożnie, bo w tym miejscu Żmijowy Jar wydawał się niesamowicie stromy. Dzisiaj było niedzielne popołudnie i dawni znajomi z Sącza strzelali pewnie drugiego breezerka nad Zalewem Rożnowskim, a on myślał, że zaraz przyjdzie mu dobić owcę. Nie tak wyobrażał sobie lato.

Z lewej strony w prześwitach widział ścieżkę wiodącą skarpą nad wąwozem. O tej porze roku, na początku czerwca, wzrastał się ruch turystyczny. Pojawiało się więcej chętnych, żeby przemierzyć te tereny, przejść się szlakiem opuszczonych hal pasterskich. Ludzi kręciło się więcej niż w pustawym Beskidzie Niskim, ale mniej niż w Pieninach. I tak to ruch rósł aż do Tatr, gdzie na Giewont ustawiały się kolejki. U nich było w sam raz, uważał Witek, żeby petetek na Hali Rytowskiej jeszcze jakoś ciągnął, ale w Rytowie turyści nie zawracali im przesadnie głów.

Aren, kilkanaście metrów niżej, wciąż czekał. Ale potem przestał. Następnie zaś wydał z siebie jeszcze jeden przeciągły dźwięk.

Witek poczuł ból brzucha, a następnie błysk intuicji. Tutaj stało się coś złego, pomyślał. Ostatnie metry po prostu przebiegł, odrzucając kij i ślizgając się w błocie, które wiecznie zalegało na zboczach wąwozu.

Dotarł na miejsce. Nad strumieniem nie było jego owcy, ale w zasadzie zapomniał o biednym zwierzęciu, kiedy tylko dotarł do wypłaszczonego terenu na dole.

Parę sekund zajęło mu zrozumienie tego, co właściwie miał przed oczami.

Ciała, leżący ludzie. Między nimi rozrzucono jakieś rzeczy, koszulkę termiczną, mapę, skarpetki, przezroczysty bidon... Jeden plecak został ciśnięty niedbale na ziemię, jakby podróżny chciał odpocząć, ale absolutny bezruch ciał wskazywał na coś innego. Mężczyzna leżał na

brzuchu, kobieta na plecach. Wokół obojga utworzyły się plamy krwi. Witek podszedł bliżej, już na miękkich nogach.

Mężczyzna i kobieta. On miał dredy związane w kucyk, miejscami czerwone, jakby obryzgał się farbą; ona z kolei blond włosy średniej długości. Twarz miała blada, spokojna, ale koszulkę we krwi. Byli młodzi, ale jakie to wszystko miało w tym momencie znaczenie... Krew sączyła im się z głów i okolic brzucha, równomiernie plamiąc okolice nad strumieniem. Chłód wąwozu podkreślał idealną ciszę, jaka panowała na dnie jaru.

Nagle drgnął. Ciszę przerwał Aren, który znowu zaczął wyc nad ciałami; zaniepokojone, smutne wycie.

- Cicho, kurwa! - krzyknął Witek.

Pies posłuchał, pewnie dlatego, że „pan” nigdy się do niego tak ostro nie zwracał - a tego, że Aren rozpoznaje przekleństwa, Witek był pewien.

Myślał gorączkowo. Może powinien podejść, sprawdzić tętno, ale nie potrafił się ruszyć, czuł się przyspawany do podłoża. I być może właśnie dlatego usłyszał jeszcze jeden dźwięk, coś jak kwilenie. Ten głos dochodził zza ciała kobiety, coś potwornego w tych okolicznościach.

Wyrwał się z letargu i rzucił w tamtym kierunku.

Oparty o ciało matki siedział malutki, może dwuletni chłopczyk.

I płakał.

2

W Gorlicach unosił się zapach kurzu oraz jeszcze jeden, charakterystyczny dla miast w lecie niezależnie od części świata, przywodzący na myśl połączenie woni dworca autobusowego, kiełbasy i benzyny. Spalin unoszących się z rur wydechowych aut kupionych „u Niemca” – w połowie z nich wycięto drogie katalizatory. Nina Warwiłow już się tego nauczyła: im głębiej w wieś beskidzką, tym mniej katalizatorów i więcej samowolek... Był piąty dzień czerwca. Czuli ciepło, widziała zieleń i przede wszystkim młodość. Młodzież gorlicka wychodziła z osiedli i regularnie przesiadywała na Rynku w tych nowo otwartych budkach, gdzie można było kupować lody, piwo i frytki.

Lody. Chrząnić kryzys ekonomiczny, konflikty na świecie i spory polityczne. Już przywykła, że co roku o tej porze, jak w zegarku, rozpoczyna się angażująca wszystkich dysputa: gdzie są najlepsze lody? Większość gorliczan odpowiadała, że u Czernika, tuż obok deptaku 3 Maja. Jej samej te lody nie smakowały, ale być może zamięłowania kulinarne dziedziczyło się w Gorlicach w genach. Sezonowe pytanie brzmiało więc, czy pojawił się nowy konkurent gotowy zepchnąć Czernika z lodowego tronu.

Komisarz Warwiłow zakończyła rozmowę telefoniczną i położyła telefon na biurku. Jej myśli zrejterowały w stronę zakupów. Parkowała na zakurczonym parkingu mieszczącym się między Biedronką, Jarmarkiem Pogórzańskim a stacją benzynową. Przynajmniej w drodze powrotnej do doliny Brzennej Nina mogła się już kierować znakomitą obwodnicą, ciągnącą się wzdłuż dzikiego parku miejskiego i oplatającą miasto od południa, gdzie tak niedawno znalazła zwłoki kobiety z tatuażem...

Sześć miesięcy temu, a wydawało się to zamierzchną epoką. Mimo kilku absurdów, jak korek w mieście, które nie miało nawet trzydziestu tysięcy mieszkańców, Nina pokochała to miejsce. W Gorlicach należało trochę pobyć, aby to wszystko polubić. Pustkę górskiego miasteczka, gdzie z Dark Pubu można było dostrzec panoramę Beskidu z kopułą cerkwi w Szymbarku. Spokój pochyłego wybetonowanego rynku, deptak 3 Maja i specjały Rynku Maślanego na Placu Dworzysko. Tylko tych kilka zakrętów, aby znaleźć się w Beskidzie Niskim.

Blżej tu było czasem do miasteczka na Dzikim Zachodzie z jednym saloonem, gdzie w rogu przesiadywali pokerzyści, niż regularnego miasta powiatowego, ale był w tym pewien powab.

Prowincjonalność okazywała się zresztą mocno pozorna, przynajmniej na poziomie umysłowym. Kiedy Nina się otworzyła i zaczęła rozmawiać, okazało się, że mają tu bardziej otwarte głowy niż pełni samozadowolenia ludzie z metropolii. Wymieniają się poglądami, ale co ważniejsze – książkami. I stojąc w oknie swojego całkiem niezłego pokoju na komendzie, przyglądała się nie tylko górom wyłaniającym się zza rogatek, ale i samemu miastu. Przybyła tu, by żyć bliżej natury, ale z czasem polubiła też Gorlice.

Usłyszała, jak za jej plecami otwierają się drzwi. Poczula ten ciężki krok, zdolny wgnieść wykładzinę na niższy poziom. Słowem: do gabinetu wkroczył nadkomisarz Karpiuk. Po prostu wlaził i z sapnięciem – zarówno ciała, jak i fotela – siadał.

Milczał chwilę i leniwie zaczął rozmawiać o sprawach. Z miesiąca na miesiąc zdawało jej się, że wszystko dzieje się nieco wolniej. Jakby niechybnie już staczał się w stronę emerytury, do której tak konsekwentnie zmierzał.

– I co w firmie, Nina?

– Może ty mi powiesz?

Michał Karpiuk. Postarzały, choć wciąż przystojny facet, zdawał się samą aurą wypełniać połowę pokoju. Drugą – gabarytami. Prywatna wędzarnia rybek złowionych w Klimkówce prężnie działała. Im bliżej

emerytury, tym szczerzej zdawał się wypełniać mundur. Ale jako że wędzarnia zajęła w życiu Karpiuka miejsce planów politycznych, Nina gorąco mu kibicowała i chwaliła ryby, których nie jadła.

Otrzymał je sąsiedzi w Brzennej i miała nadzieję, że nie dotrze to do Karpiuka. Choć pewnie roznosiło się, jak większość informacji tutaj, pocztą pantoflową. W końcu odnosiła wrażenie, że nawet pzyzaty listonosz poruszający się lanosem wiedział o niej wszystko.

Z rybami, rzecz jasna, miała jeszcze inny problem.

W obecnym stanie nie mogła na nie patrzeć, nie mogła nawet być blisko. Dla niej wszystkie ryby powinny płynąć Wisłokiem aż do Atlantyku – przynajmniej dopóki była w ciąży.

– Nie zgadniesz, z kim właśnie rozmawiałam – powiedziała.

Karpiuk skrzywił się.

– Czy to zagadka?

– Tak.

– Czy odpowiedź mi się spodoba? – zapytał inteligentnie.

– Zależy, czy emocjonalnie do tego podejdziesz.

– Nie lubię zagadek.

Nawet nie skomentowała.

– Emocjonalnie, powiadasz? – podjął.

– Tak. Właśnie rozmawiałam z Pawłem Całkiewiczem.

Zapadła krótka cisza, w jej trakcie słyszała tylko przyśpieszony oddech Karpiuka. Martwiła się o ten oddech – w jakiś sposób w ciągu tych paru lat Karpiuk stał się jej przyjacielem. Chyba taki był jej los: potrafiła się przyjaźnić tylko z mężczyznami. Choć był zupełnie inną osobą, jednak w kwestii szczerości Karpiuk stał się w pewnym sensie wcieleniem Chodkowskiego, jej przyjaciela i podwładnego na Pradze-Północ. Temperamenty mieli odmienne, ale za onieśmielającą aparycją i aurą Karpiuka krył się, jej zdaniem, dobry człowiek.

– Masz na myśli – podkreślił nieco chmurnie – komendanta wojewódzkiego Pawła Całkiewicza.

- Nazywaj go, jak chcesz. Chociaż jestem zdziwiona.

- Czym?

- Że go tak tytułujesz. Ostatnio nie mieliście się ku sobie.

- To są stare problemy, Nina. Mam jednak szacunek do urzędu.

- Rozumiem.

- No to czego on chciał od ciebie?

- W zasadzie to od ciebie. Zgody – dodała szybko, w obawie, aby Karpiukowi nie podskoczyło ciśnienie.

- Wyjaśnij.

- Otóż chce mnie gdzieś wysłać... – powiedziała i urwała.

- Gdzie to niby... – Karpiuk poczerwieniał, ale po chwili w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Stary lis, z postury może raczej niedźwiedź beskidzki, wciąż potrafił szybko kojarzyć. – Czyżby... czy może chodzi o Pasma Jaworzyny?

- Tak. A dokładnie to o Halę Rytowską – powiedziała to powoli, aby się nie pomylić.

W końcu nazwa poznana ledwie parę dni temu już wbiła się w pamięć, i to pewnie nie tylko jej własną. Wskoczyła do zbiorowej świadomości policyjnej, ale i opinii publicznej w całej Polsce.

Karpiuk poczerwieniał, a po chwili, niby patriotycznie, poblądł.

Polska dudniła, a co dopiero ich mała ojczyzna położona tak blisko miejsca zbrodni.

Dudniły media, wydania internetowe i papierowe gazet. Wielkie krajowe dzienniki. „Wyborcza”, „Rzeczpospolita”, „Krakowska”. Jej lokalny odłam – „Gorlicka” – pisała o tym codziennie.

Śmierć Arkadiusza i Ewy Drużyńskich w lesie nieopodal Hali Rytowskiej była makabryczna. A to wierzchołek góry lodowej, ponieważ martwi turyści na szlaku – podróżnicy – to nie był najbardziej wstrząsający aspekt tej sprawy.

Najnowszy numer „Gazety Gorlickiej” Nina miała jeszcze na biurku. Widziała fragment artykułu z serii. Dziennikarze ciągnęli temat choć

niewiele wiedziano, bo Piwniczna i Sącz nabrały wody w usta. Tak więc, niestety, analizowano najbardziej niepokojące szczegóły.

Pisano o morderstwie na szlaku (choć z tego, co wywnioskowała, doszło do niego poniżej). O dwóch turystów i dziecku. O ich trojgu...

– Dziecko, które przeżyło – powiedział Karpiuk, który podążył za jej wzrokiem, a głos mu lekko drżał.

Może objaw starości – bo nadkomisarz postarzał się mocno, od kiedy go poznała – a może zaskakujących emocji.

– Czytałam bardziej pojechane nagłówki.

– Całkiewicz... Co on dokładnie powiedział?

Nie zapytał jeszcze, dlaczego komendant nie zwrócił się do niego bezpośrednio. Ale po pierwsze, Nina nie była niewolnicą, tylko komisarzem policji i drugą osobą w wydziale kryminalnym Gorlic.

Po drugie – do Karpiuka Całkiewicz, jego były podwładny, nie zadzwoniłby nieprzyciśnięty. Poza procedurami i hierarchią byli też ludzie i ich prywatne zaszłości.

– Nic o tobie, więc nie rób takiej miny – odparła. – Powiedział mi tak: jest sprawa, którą możesz rozwiązać.

– Bo?

– Bo to jest specyficzny teren.

– Czyli twój – rzekł Karpiuk z lekkim uśmiechem.

Wzruszyła ramionami.

– Pasma Jaworzyny – powiedział. – Dawno tam nie byłem. Teraz pewnie bym nawet nie wszedł.

Nie skomentowała.

– Kilka ofiar, rodzina – ciągnął Karpiuk. – Smutna sprawa. On był jakimś podróżnikiem, prawda?

– Zdaje się, że tak.

– A więc lokalna sława... Da się to rozwiązać?

Nie lubiła tych jego podchwytliwych pytań. Można by je zinterpretować jednak jako oznakę doświadczenia. Nie każdą sprawę

dało się rzeczywiście rozwikłać: zbrodnie w górach miały tutaj niechlubną tradycję.

- Może tak, może nie - powiedziała. - Przypuszczam, że Całkiewicz nie wzywałby mnie, gdyby rzecz była prosta. Po artykułach prasowych widzę, że gazety niewiele mają, pewnie i śledczy również. Przy tym to, wiesz, wygląda mi na jakąś egzekucję. Pośrodku lasu, z dala od ludzi, dwie ofiary...

Tu urwała, uświadamiając sobie, z czym się może kojarzyć ta rozmowa. Ze śledztwem w Bukowcach. Karpiuk pewnie nie chciał do tego wracać. Tam właśnie się poznała z obecnym komendantem wojewódzkim. Pewnego poranka Całkiewicz wjechał po prostu na przełęcz Warnicy ze swoją doborową ekipą. Był krępy, średniego wzrostu, w zasadzie niski, ale nabity jak czołg Abrams, do tego energiczny i bystry. Dawny podwładny Karpiuka, rodowity gorliczanin, wspiął się już bardzo wysoko w hierarchii policyjnej, a przecież daleko mu było do końca kariery.

- Powiedziałbym, że jesteś tutaj potrzebna - rzekł Karpiuk.

- Teraz?

W gruncie rzeczy moment nie był najgorszy. Świekra, z którą udało się ułożyć relacje nad morzem, a dokładnie na wyspie Wolin, zainwestowała w Milę. Dosłownie, bo zabrali ją na Costa Brava, gdzie zgodnie z nową ekstrawagancką modą (kiedy Polacy stali się tacy bogaci?) zamożni warszawiacy kupowali domy. Wolałaby skromniej, ale czy mogła odmawiać swojej córce słońca, morza i kultury śródziemnomorskiej?

- A poza tym tylko z szacunku dla waszej historii nie powiem, że to nasz szef. To rodzaj polecenia służbowego. I chyba jestem tam bardziej potrzebna, nie sądzisz? Z tego, co pamiętam, ostatni Bruńka jeszcze siedzi.

Karpiuk kiwnął ponuro głową. To, o czym mówiła, to tak naprawdę nie była robota dla prawdziwego śledczego. Klan Bruńków z Glinika stanowił kryminogenną i zgoła patologiczną gałąź przestępczego

światka Gorlic. Niestety dla wszystkich zainteresowanych – w tym kręgu pozostawała ona i Karpiuk – Bruńkowie w żaden sposób nie chcieli się socjalizować.

Mimo że raporty temu przeczyły, policjanci odnosili wrażenie, że rodzinka była odpowiedzialna za większość przestępstw w mieście. Ale ostatnio młody Bruńka, raz na jakiś czas cieszący się wolnością, uraczył swoją młodą żonę kosą... Kobieta przeżyła dzięki zabiegom gorlickiego szpitala, a Bruńka poszedł siedzieć.

Co rzeczywiście oznaczało, że dopóki nie wyjdzie kolejny z rodu, lato przebiegnie spokojnie.

Również dlatego, że wszystkich poważnych przestępców, czy może bardziej przestępców, których wyobraźnia sięgała dalej niż własne sprząty kuchenne, Nina już wyłapała.

Karpiuk pokiwał głową.

– A twoje sprawy?

Cisza.

– Powiedziałaś mu? – rzekł, wpatrując się w nią uważnie.

– Nie, nie powiedziałam.

– Mam na myśli...

Zawahał się, więc weszła mu w słowo.

– Wiem, kogo masz na myśli.

– Nie mówimy o Całkiewiczu.

– Zrozumiałam za pierwszym razem.

– Może powinnaś.

Milczała.

– Nie sądzisz, że się domyśli, że jesteś...?

– W ciąży – uzupełniła, bo Karpiuk zamilkł, jakby miał nie dokończyć. – Niedługo całe Gorlice będą widziały.

Karpiuk wiedział. Musiał wiedzieć, bo był jej przełożonym. Ale też jej sojusznikiem, mimo kilku, w zasadzie kilkunastu starć, które mieli na koncie. Nie chciała ukrywać swojego stanu, choć całkiem niezłe

ukrywało go jej ciało – wciąż nie było widać. Zwłaszcza teraz, na początku czerwca, gdy w związku z falą upałów mogła nosić luźniejsze lniane albo bawełniane koszulki.

Ot, wyroki losu: była naprawdę w niezłej formie. USG I trymestru poszło gładko i czekała na USG połówkowe.

Mogłaby już pójść na zwolnienie lekarskie. Ale nie chciała.

– Musiałby zjechać z gór – oznajmiła. – To nie jest takie pewne.

– Kiedyś zjedzie.

– Wojtek pewnie teraz pracuje, przygotowuje materiał do rzeźb, rozwozi zamówienia do klientów przed zimą – ucięła, sama rozumiejąc, że brzmi to absurdalnie.

– Więc zamierzasz to – zrobił okrężny ruch dłonią – ukrywać?

Ponownie nie odpowiedziała.

– Dobra. Powiedz mu, bo sam się nie domyśli. Jedź na te hale, pij wodę z Piwnicznej, podobno bogatsza niż Wysowianka, mówią, że po niej kobiety zachodzą w ciążę... – urwał.

– Mnie to już nie grozi, Michał – uspokoila go, żeby się nie zdenerwował na to *faux pas*. – Zresztą, jestem wierna Wysowiance. Biorę ze sobą zgrzewkę.

– Uważaj na siebie w tej Piwnicznej.

– Dobrze, Michał. Tylko nie jadę do Piwnicznej, przynajmniej nie w pierwszej kolejności.

– A gdzie?

– Do Nowego Sącza.

3

Roma Ignerska potrząsnęła mokrą głową, podnosząc ją znad strumienia. W lecie łatwiej było w ten sposób, aniżeli walczyć z porzewiałą i nieprzewidywalną słuchawką prysznicową w schronisku. W wąskim strumyczku płynącym nieopodal chatki PTTK i spływającym w kierunku większej Zawoi paradoksalnie łatwiej to było zorganizować.

Wykręciła włosy i potrząsnęła miedzianorudą czupryną. Były tak gęste, że mogła z nich wycisnąć kubek wody. Jak z ubrań pranych nad strumieniem w lesie. Bo czasem, w lecie, też łatwiej jej tak było prac, niż czekać, aż tata znowu podłubie w starym polarze, aby zaczął chodzić.

Tato to w ogóle lubił udawać, że nie widzi wielu rzeczy. Przyziemności, jak to nazywał. Starej pralki, kuchenki, słuchawki prysznicowej. Ostatnio zaś – że nie widzi braku pieniędzy. Coś, co było niewidoczne, nie mogło stanowić problemu, tak to rozumiała.

Turyści już wyszli na szlak posileni jajecznicą na boczku, którą im usmażyła na śniadanie. Tata pogawędził z nimi rano i doradził w temacie trasy. Uśmiechnęli się. Lubili go. Kto by go zresztą nie lubił? Wyglądał w końcu jak Włóczykij z Doliny Muminków. W lecie chodził w luźnej koszuli rozpiętej na całej długości oraz lnianych spodniach. Żuł źdźbło trawy, a jeśli było chłodniej, zakładał kurtkę w kratę, z kieszeni której wystawała proza Stachury czy poezja Poświatowskiej. Siadywał pod dębem, wyjmował tomik. Zwykle musiała go budzić, kiedy zaczynał pochrapywać.

Tatuś.

Zebrała swoje sprężyste ciało znad wody, zerkając, czy jakiś spragniony i głodny turysta nie zawita do schroniska. „Nisko”, tak je nazywała, jak była zupełnie mała, a „nora” – już bardziej świadomie, kiedy urosła.

Może tym właśnie było. Norką. Zazwyczaj nawet nie widziała turystów, przyjmując zamówienie, a potem przyrządzając pierogi sąceckie, łomnicańskie albo smażąc frytki w przedpotopowej frytkownicy, no i oczywiście zapiekankę z ziemniakami na ostro. To wszystko wędrowało potem drewnianą windą w górę. I z powrotem, wraz z należnością. A więc nora, bo sama pozostawała mieszkanką podziemia.

Wyglądało na to, że jest pusto. Schronisko należało do najstarszych w Beskidzie Sądeckim, a tato co roku przebąkiwał coś o remoncie. Z tego, co rozumiała, ludzie z PTTK specjalizowali się jednak w rozkładaniu rąk. Mamrotanie o braku środków stanowiło następny etap.

Dla niej – nie tak źle. Choć rozumiała, że im mniej będą mieli z tatą ruchu turystycznego, tym mniej będzie potem opuszczania Hali Rytowskiej.

– Benzyna też kosztuje, Ronju. – Tato głąskał ją po głowie, po czym szedł na wieczorne „rozmowy” ze zwierzętami do obórki.

Kiedy była mniejsza, łąziła tam z nim, karmiąc co pomniejsze baranki (których już nie było, tajemniczo poznikały z kolejnymi turnusami, kiedy tato zorientował się w temacie popularności baraniny nad ogniem). Teraz nie miała na to za bardzo czasu.

Dzień wyglądał na spokojny, ale trenowana od urodzenia intuicja nauczyła ją wyczuwać, kiedy turyści znowu się zejną. Będą głodni, to po pierwsze. Rozgadani, to po drugie. Zapytają, kiedy będzie jedzenie, po trzecie. Nie będą narzekać przy niej, że drogo, ale mogą między sobą. Echa tych rozmów słyszała przez otwór windy. Zostawią umiarkowany porządek, pogłaszczą kota, który się łąsił (i który miał pchły), no i pójdą. Mils, mniej mili, starzy, młodszy, bogatsi, biedniejsi –

wszyscy w gruncie rzeczy zachowywali się podobnie, bo ludzie byli *powtarzalni*.

Piesek nie hałasował, a dzień wyglądał na pogodny. Takie właśnie lubiła najbardziej, żeby wymykać się z książkami i iść do lasu. Książki, w przeciwieństwie do turystów, nie były powtarzalne. Może dla matolew w szkole, ale ona widziała każdą historię zupełnie inaczej, jakby wędrowała pomiędzy światami, bo każdy autor widział świat odmiennie.

Tutaj była przestrzeń taty i pracy. Już parę lat temu zaczęła się wymykać, a ostatnio po prostu znikać na parę godzin. Tatko, jak to on, nie kapnął się albo może i łatwiej mu było, kiedy zajmował się swoim drugim poza Stachurą, znacznie poważniejszym hobby, do którego bardzo się przykładał – przyrządzaniem nalewek. Mawiał, że zostawi jej swoją kolekcję trunków w spadku, ale wiedziała, że ta kolekcja nie przyrasta, a sama sprzedała kilka w Rytowie, kiedy finansowo było już bardzo źle. Tato i tak nie orientował się w swoim „majątku”.

Nie traktowała schroniska jak domu – przedtem mieszkali przecież w innych. Podobno, bo Roma ledwo to pamiętała. Byli chociażby na Maciejowej, potem przez parę lat w Bieszczadach i w pewnej dolinie w Beskidzie Niskim... No i w końcu tutaj, na Hali Rytowskiej.

– Żaden szef nie będzie mi stał nad głową – mówił tata i wyprowadzali się w ciągu paru dni. Tato potrafił w takich sytuacjach działać niesamowicie szybko. Zaczynał dzwonić, słyszała jakieś ryki śmiechu (miał znajomych wszędzie), a potem przychodził i mówił z uśmiechem, jakby zaczynała się Gwiazdka: „Jest wolne miejsce na Hali Rytowskiej”.

Hala Rytowska. Mielila sobie tę nazwę w uszach, usiłując ją trochę oswoić, „umoić”. Hala, fajne słowo, kojarzyło jej się z mitami skandynawskimi. Odyn siedział i przyjmował u siebie krwiożerczego Thora i przebiegłego Lokiego. Wokół siedzieli inni bogowie oraz wywyższeni śmiertelnicy... Hala Rytowska. A że przyjechali tu zimą, to ich stara furgonetka ześlizgiwała się na oblodzonej drodze, tak że cały

dobytek latał po aucie. Mijali wieś, gdzie miała kiedyś pójść do szkoły. W końcu ukazał im się potężny dom z grubych czarnych bali, równo przykryty śniegiem.

Wydawał jej się groźny i niepokojący. No i zimny, grzali się wtedy z tatą przed kominkiem, pod jakimiś starymi kocami, i było nawet fajnie. Bała się jednak tego domu. Bała się pokoiów na poddaszu, bała się nawet wchodzić sama do jadalni na górze. No a teraz to była po prostu nora, nie wierzyła, że mogła się bać tego domu. I chyba w sumie wolała tamto schronisko, jeszcze tajemnicze, niż rozsypującą się zapyziałą norę. Wolała nieznane.

Zresztą, dla niej ten dom sprowadzał się tak naprawdę do pomieszczenia na parterze po niższej stronie zbocza i szarej kotary, za którą spała. Nora nawet jak na schronisko wydawała się skonstruowana wyjątkowo. Żadna nowość, że dom stał na zboczu i wejście dla turystów, gdzie warowały zapchłone koty, było wyżej. Ale niezwykle mało miejsca zostawiono na pomieszczenia prywatne, jakby architekt był człowiekiem o niskim poczuciu własnej wartości – albo mściwym. Bo pokoje pachnące drewnem, klimatyczne wnętrza przeznaczono dla turystów. Dla niej był pokój za kotarą i drugie pomieszczenie, gdzie ledwo się można było obrócić.

Najwięcej miejsca zajmowała kuchnia, która zdawała się wskazywać na charakter miejsca: mieli służyć, mieli kuchcić. Smażyć słynne placki ziemniaczane, bo przecież tradycję trzeba było podtrzymywać, co oznaczało, że dłonie przez okrągły rok miała czerwone od tarcia ziemniaków. Najważniejsze, że turyści wciąż wystawiali dobre oceny, pytając na forach, w jaki sposób tak długo może być zachowany wysoki standard. Właśnie w taki, odpowiadały jej starte od środka dłonie.

Na podstawie liczby samochodów, które przyjechały do Żmijowego Jaru, przewidywała, że intruzi rozjeżdżą trawę. I tak nie było jej zbyt wiele dla owiec w tym roku. Zostawia po sobie papierki i puszki po energetykach z Biedronki w Piwnicznej. Tak również było, kiedy

zjeżdżali ci, których nie cierpiała najbardziej, czyli rajdowcy aut z napędem na cztery koła oraz quadowcy.

Tylko że ostatni przybysze na Hali Rytowskiej nie byli rajdowcami. Większości twarzy nie znała, ale do identyfikacji profesji wystarczyło, że mieli mundury.

Czuła, że w końcu zawitają do niej, ale jakoś nie miała ochoty na to czekać. Zgarnęła do płóciennego worka z logo anioła, który wygrała na odpuscie, kilka książek, jabłko i scyzoryk. Weszła w las, ściągając przy okazji jedną z czerwonych szarf, teraz przybrudzonych, wyblakłych i wyglądających zupełnie nie na miejscu wśród gałęzi ze świeżą czerwcową zielenią.

Poznała już Żmijowy Jar na pamięć, prawie tak samo dobrze, jak pokoik za kotarą.

Jej las, chociaż nie dzisiaj.

Wyczuwała obecność tych ludzi. Włazili tu i ślizgając się po błocie, schodzili do Zawoi. Wchodzili na jej teren. Roma wyjrzała zza drzew, pozostając jeszcze niewidoczną, przynajmniej we własnym mniemaniu. Wiedziała z książek, że obserwowanie ludzi nie jest aż tak proste – zwłaszcza jeśli obserwowani są z policji.

Bo to była policja. Bez dwóch zdań i bez trzech. Choć nie wszyscy mieli mundury i przez to wyglądali lepiej, nawet poważniej.

Łączyło ich jedno, czyli niepewne schodzenie do Zawoi. Gdyby ją zapytano, mogłaby im wskazać szybszą drogę od strony schroniska. Oczywiście miała nadzieję, że nikt jej o nic nie zapyta i pozwoli jej być widzem tego spektaklu – ześlizgiwania się dorosłych ludzi po błotnistych, kamienistych brzegach wąwozu.

Gazety dochodziły do Rytowa, od jakiegoś czasu mieli też internet, korzystając z wysokiego położenia budynku na hali. Z początku, kiedy to wszystko się wydarzyło, trudno było jej uwierzyć, że ciała na zdjęciach leżały dokładnie tam. W jej własnym lesie.

Zaś to zgromadzenie, które się utworzyło – policjanci dokumentujący ślady krwi, technicy robiący zdjęcia, usiłujący utrwalić

ślady, czy cokolwiek w tym błocie będzie do znalezienia – wszystko to znajdowało się dosłownie kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym Roma zbudowała sobie na wiosnę szałas.

Nowy Sącz. Beskidzki wielki brat regionu. Z jakichś powodów, może historycznych, Warwiłow miała wrażenie, że te dwa miasta powiatowe są ze sobą połączone. Gorlice i Nowy Sącz, Nowy Sącz i Gorlice – i to bardziej niż z pobliskim Krosnem i Jasłem. W końcu Małopolska. Oczywiście ostateczną instancją był Kraków: kierunek, w którym wyjeżdżały gorlickie dzieci i często nie wracały. Tam teatry, muzea, uniwersytety... A tak serio, to knajpy na Kazimierzu.

Dla wielu gorliczan, może z uwagi na przeszłość wojewódzką, drugą, znacznie bliższą odskocznię stanowił właśnie Sącz. Nina знаła co najmniej osiem osób, które codziennie jeździły tą drogą do pracy, do jednego z licznych przedsiębiorstw: Dako, Newag i oczywiście do Korali, a lokalny skansen nowosądecki był prawdziwą gwiazdą w świecie filmu. Kręcono tam *Janosika*, *Papuszę*, bywało również i BBC. W Beskidzie Niskim taką funkcję pełniły Jaśliśka, zagubiona wioska w Krośnieńskim, która przyciągała filmowców jak magnes...

W Gorlicach Nina grała twardzielkę przed Karpiukiem, stare przyzwyczajenie. Ale tak naprawdę w ogóle nie spodziewała się telefonu od nadkomisarza (teraz pewnie już wyżej) Pawła Całkiewicza.

Spięła się, jak tylko zadzwonił. Znali się. Pamiętała tego krępego mężczyznę, który co prawda nie rozwiązał sprawy zaginięcia Joanny Pascho, ale zrobił na niej wrażenie kompetentnego i rzutkiego śledczego.

- Wysłałam cię tam - rzekł po kilku słowach wstępu - bo udowodniłaś, że potrafisz rozwiązywać sprawy na obcym terenie.

- No nie wiem.

– Wielokrotnie – dodał. – Nie wiem, jak to robisz, Nina. W gruncie rzeczy nikt nie wie.

Wyczuła w jego głosie lekkie rozbawienie, więc nie zamierzała się nad tym rozwodzić.

– Rozmawiam i słucham – rzuciła.

– W tym rzecz! Właśnie ciebie mi trzeba. Miejsce jest bardzo specyficzne. Wysoko w górach wytworzyła się społeczność rządząca się własnymi prawami. Wiesz, jedna z tych, gdzie masz parę tysięcy ludzi, ale nie masz nikogo, kto by ich przypilnował. Nie wiem, co mają w głowach ludzie, którzy pchają się w takie miejsca.

– Ja chyba wiem.

– No i znowu, Nina. Jeszcze mnie pytasz, dlaczego ty.

Miała go przed oczami: silnego jak byk, ale niskiego, dyndającego krótkimi nogami gdzieś na stołku w gorlickim komisariacie. Ostatecznie to był jednak szef jej szefa – i człowiek, który w polskiej policji miał nad sobą tylko jedną osobę.

– Policji jednak brak w Rytowie... Wprowadzi cię jednostka z Piwnicznej.

– Czyli to postanowione?

– Tak – rzekł krótko.

Pomyślała o czekającej ją rozmowie z Karpiukiem.

– Rozważaliście, że to sprawca z zewnątrz, ktoś zupełnie niepowiązany... – podjęła.

– Celnie. Sącz przesłał mi mapy tego miejsca. Niebieski szlak biegnie nad wąwozem, który usytuowany jest pomiędzy schroniskiem PTTK na Hali Rytowskiej a Rytowem. Ktoś musi znać ten wąwóz... Po drugie – przypomniała sobie, jaki Całkiewicz jest metodyczny – niełatwo jest zejść tą ścianką. Przypuszczamy, że sprawca zmusił swoje ofiary do tego, ale musiał znać okolicę. Wiedzieć, gdzie wąwóz nie zmienia się w rozpadlisko. Ślady wskazują na to, że orientował się w terenie, ale potem rozplynął się w powietrzu... No, tyle, nie chcę ci mówić za dużo,

żebyś się nie zasugerowała. Chcę tylko uprzedzić, z czym będziesz się mierzyć. Sama zobaczysz to miejsce, ja je tylko sobie wyobraziłem na podstawie materiałów. Z pewnością dwa razy więcej dostrzeżesz, kiedy tam dotrzesz.

– Nie wiem, czy mnie nie idealizujesz, Paweł?

– Wystarczy mi, co widziałem w górach. Jesteś odpowiednią osobą. – Przerwał. – Bardzo mi na tym zależy, Nina. Nie traktuj tego jako czysto służbowego polecenia, dobra?

– Które powinien zatwierdzić Karpiuk.

– Nie przejmuj się tym.

Zabrzmiało arogancko. Może nie powinna mieć wyrzutów, że go sobie – fizycznie – zapamiętała jako karła z przerostem ego.

– Słuchaj – dodał. – Region Piwnicznej stara się odbudować, wzmocnić turystycznie. Ludzie tam są porządni, pracowici, bardzo rodzinni... no i jest przed wakacjami. Po co komu takie poczucie zagrożenia? Znajdźmy sprawcę i dajmy im spokojnie opijać się wodą szczeniową i żeby nikt się nie stresował i nie oglądał za siebie. To co, załatwione?

Wciąż była skołowana. Rzecz jasna Całkiewicz z Gorlic pił tylko Wysowiankę: miłość do tej wody pozostawała na zawsze.

– Na razie mam bardzo mało informacji – odparła.

– Szerzej wprowadzi cię komisariat w Piwnicznej, jak powiedziałem.

– Chwila... Czy to już?

– Już. Tyle. Jedziesz, Nina. Nie udawaj, że się nie cieszysz. Znam cię. Wiem, że chcesz tej sprawy.

Tak naprawdę otrzymała polecenie służbowe. A przecież mogła je obalić jednym zdaniem. Nie powiedziała go, bo czuła się dobrze i może nie chciała zajmować się sprawami Bruńków przez resztę lata. Chciała sprawy. I nie tylko dlatego, że głównie do tego się w życiu nadawała: do śledztw, dochodzeń, rozwiązywania tajemnic.

Również dlatego, że na kłopoty życiowe miała od zawsze tylko jedną odpowiedź: drogę, która potrafiła ją ze wszystkiego cudownie wybawić – pracę. Takie było jej życie, a do nielicznych plusów sytuacji, w jakiej się znalazła, należało to, że nie musiała się nikomu z niczego tłumaczyć.

Jechała niespełna czterdzieści minut przepiękną drogą, która zdawała się prowadzić zбочem gór, a czasem ich grzbietem przez Grybów z jego słynnym browarem. Słyszała, że niedługo wyjdzie edycja Piwa Gorlickiego.

Góry wydawały się wyższe, z gradacją prowadzącą aż do Tatr.

Było gorąco, a klimatyzacja w maździe pozostawiała wiele do życzenia. Nina odnosiła wrażenie, że tak samo jest z amortyzatorami. Ta druga wiadomość była gorsza. Tej zimy mazda mocno się posunęła. W zwałach śniegu, w których utknęła na górze Kosoń, jakby się postarzała, a po wyprawie na wyspę Wolin wydawało się, że silnikowi brakuje już sił.

Dojechała na miejsce; po drodze dostrzegła McDonalda i Castoramę, innymi słowy wielki świat. Jako prażanka z pochodzenia również zaczęła tak postrzegać wielkomiejskość. Jak szybko skraca się perspektywa. Minęła most nad kamieniczną rzeczką (jedną z dwóch przepływających przez Sącz) i zajechała pod gmach szpitala.

Zaparkowała i rozejrzała się. Pamiętała, że parę kilometrów dalej jest uroczy i zaskakująco spokojny rynek położony nad Dunajcem, z wystawną salą zbudowaną za panowania Franciszka Józefa (zgodnie z regionalnym sentymentem). Wokół szpitala królowały jednak czteropiętrowe bloczki.

Niska zabudowa, trochę jak w Gorlicach. Wiedziała jednak, że potężna góraska rzeka pompuje miasto od środka, napełniając je energią biznesową. Sącz był zamierzchnią potęgą galicyjską, jednym z najstarszych i największych miast Małopolski, a dynamiczny Dunajec dał mu w XXI wieku nowy wymiar. Nowy Sącz zyskał, czy może

zachował, status tygrysa biznesowego, czego zwieńczeniem było polskie Davos w Krynicy.

Zaparkowała i wyszła z auta. Przetarła dłonią czoło. Nawet przy klimatyzacji włączonej na najwyższe obroty miała mokrą bluzkę. Poczula zapach benzyny i lata w mieście; znienacka przypomniała sobie Warszawę. Szpital położony był przy ruchliwej, stromej arterii, którą w korku wspinały się samochody, w tym nawet autobusy.

Z murku nieopodal podniósł się jakiś zaniedbany facet. Jego nieodpowiedni na tę pogodę płaszcz od razu zdradzał ofertę startową: pięć złotych za przypilnowanie samochodu, pani kierowniczo. Przed szpitalem, w środku dnia. Był niczym prawnik wyszukujący klientów poszkodowanych w wypadkach – ale z propozycją ograniczoną do auta. W przypadku jej czternastoletniej mazdy nie miało to wielkiego sensu.

Zaczęła szukać w kieszeni złotych, kiedy mężczyzna zbliżył się, znacznie szybciej niżby chciała. Odchrząknął i odezwał się głosem wyraźnym i głębokim.

– Rumsztyński.

– No bardzo ładnie, proszę pana, ale jestem zajęta.

– Komisarz Nina Warwiłow?

Przyjrzała mu się ponownie. Był wysoki, przygarbiony i opalony. Może raczej spalony, z pogardą dla ostrzeżeń o raku skóry, w zasadzie wysuszony jak cegła.

– Pracuję na komisariacie w Piwnicznej, nie uprzedzono pani?

Nie rozpoznała policjanta. Czy to upał, wyższe stężenie progesteronu i estrogenu utrudniały przetwarzanie informacji? Sama do tej pory nie odczuwała wpływu hormonów, z drugiej strony, stale była w *śledztwie*. Kiedy niby jej umysł miał mieć wolne? Człowiek stojący przed nią mógł sobie nosić sprane ciuchy, ale spojrzenie miał bystre, przytomne oraz – przede wszystkim – badawcze.

Jego twarz była niezwykle szczupła. Oczy miał piwne, a spojrzenie charakterystycznie skanujące. Wiedziała, że sama tak spogląda. Wysoko sklepione czoło, na czubku głowy łysina, ale włosy po bokach ciemne.

Pomięta oliwkowa koszula była mocno sprana, choć odpowiednia na taki upał. Dżinsy zdradzały w pasie, że mężczyzna nie ma żadnej tkanki tłuszczowej. Pewnie był w dobrej formie, ale zbrązowiła od słońca twarz dodawała mu lat. A może i liczył sobie tyle lat, na ile wyglądał, czyli szósty krzyżyk? Obrazu zaniedbania dopełniał niestaranie przycięty zarost i nos z szerokimi nozdrzami, jakby przystosowanymi do niuchania.

Śledczy.

– Nina Warwiłow – powiedziała, jakby to do tej pory nie było w pełni oczywiste. – Nina.

– Komisarz Andrzej Rumsztyński, komisariat w Piwnicznej – uzupełnił sucho, niby z pewnym wysiłkiem.

Kurwa, jeszcze komisarz. Zawahała się przed przejściem na ty, ale facet przed nią był jej równy stopniem, a już na pewno stażem, i z dużym prawdopodobieństwem zaszeregowaniem. Jakiej wielkości miastem była Piwniczna? Przejeżdżała kiedyś pociągiem na Węgry, przypomniała sobie, że doliną Popradu wiodła też linia kolejowa...

– Niech pani pójdzie za mną – rzekł.

Weszli do szpitala i przeszli przez izbę przyjęć. Z jakichś powodów szpitali bała się bardziej niż innych instytucji i z pozoru bardziej niebezpiecznych miejsc – może dlatego, że w trakcie swojej kariery tak dobrze je poznała. Weszli schodkami w górę, wchłaniając zapachy medykamentów. Wkroczyli na podłużny korytarz; szpital wydawał się jeszcze przed remontem.

– Tutaj – rzekł Rumsztyński i wskazał jej drogę do pokoju. – Dogadałem się z lekarzem, da ci piętnaście minut.

– Jasne. Starczy.

Weszła. Z początku nic nie widziała.

Chłopiec był malutki. Niewielki cień na łóżku szpitalnym.

Z jej informacji wynikało, że miał ledwie półtora roku..

Podeszła. Chłopiec spał, trzymając w objęciach szpitalnego misia, ale na odgłos wejścia ocknął się i spojrzał na nią. Uśmiechnęła się. Proste, ciemne, bardzo już gęste włosy opadały mu na czoło. Być może był jeszcze przed pierwszymi postrzyżynami. Takie szczegóły bolały. Orzechowe oczy miał okolone długimi rzęsami. Ładny chłopiec, wszystkie dzieci w tym wieku są ładne.

Przymknęła oczy.

Dziecko przed nią miało wiele innych ról. Było poszkodowanym w sprawie, trzecią ofiarą zbrodni i, może przede wszystkim, jej świadkiem.

Podeszła bliżej i położyła mu dłoń na piąstce.

– Cześć, jestem Nina.

Spojrzał na nią, zdawało się, że bystro i badawczo. Z bliska dostrzegła ślady dżemu na koszulce w dinozaury. Po chwili cofnęła jednak dłoń, palce jej drżały.

Weź się w garść – pomyślała – przecież jesteś tutaj policjantką.

Półtora roku, Chryste...

– Pić – powiedział cicho chłopiec.

Rozejrzała się za bidonem. Nie było go. Kubek z wodą stał na szafce. Przepłukała go w umywalce i wlała świeżej wody mineralnej z butelki, która tam stała. Podała mu naczynie, przytykając do buzi.

– Pić! – krzyknął nagle chłopiec i odsunął od siebie kubek. Woda się rozlała. Tyranozaur na bluzce się nalykał, a i diplodokowi się dostało.

Zapomniała, jakie dzieci w tym wieku potrafią być już silne.

Wpatrywał się w nią intensywnie. Jakby miał coś powiedzieć.

– Czy pamiętasz, kiedy mama i tata... – urwała.

Nagle straciła pomysł i napęd do pytań: tak emocjonalnie odebrała widok tego chłopca. Mijały sekundy. Ona i chłopiec w małym pokoju. Nie miała pojęcia, kiedy lekarka, młoda, z warkoczami, pojawiła się za jej plecami i dotknęła jej ramienia.

– Wiem, że potrzebujecie zadawać pytania – oznajmiła, nie patrząc Ninie prosto w oczy. – Ale może już dosyć, co?

– Fizycznie...

– Nie, fizycznie nic mu już nie jest, miał jakieś leciutkie zadrapania, być może sam to sobie zrobił.

Nina zerknęła na chłopca. Miał plaster na czole.

– Dlaczego sam? Są płytkie?

– Tak. On przypuszczalnie był przy rodzicach przez jakiś czas.

– Jezu...

– Fizycznie, jak mówię, jest okej – dodała lekarka. – Ale ze względów psychicznych, emocjonalnych jeszcze chwilę tu posiedzi, dobrze?

– Jasne.

– Bo ja się na to nie zgadzałam – uzupełniła dziewczyna ostrzej, jakby nabrała trochę odwagi – żebyście państwo go tu przepytawali. Wiele zresztą nie wskóracie.

Dziecko stanowiło wrota do rozwiązania zagadki. Chłopiec, który widział śmierć rodziców, przeżył, ale nie jest w stanie tego przekazać. Nina przypuszczała, że morderca o tym wiedział. Dlatego go oszczędził, przy tak sprawnej egzekucji.

Oczywiście mały nie był również w stanie sam wyjść z wąwozu. Gdyby nie ten pasterz...

– Musi już pani iść – powiedziała zdecydowanym głosem lekarka.

5

Dzień na halach był parny. Witek Rozenba zanurzył się nago w strumieniu, w „swoim” miejscu. Od dzieciaka wynajdywał takie miejsca, których nikt nie znał. I oswajał je. Były położone daleko od powszechnie uczęszczanych buniorów i głębin. Już od maja rozbierał się do naga i chodząc po zimnych jak lód kamieniach, zanurzał się, aż głowa bolała, jakby go brało w kleszcze. Dzisiaj jednak wszedł do strumienia bardziej siłą rytuału.

– Czyli morsujesz, tak? – zapytaliby znajomi w Sączu.

Morsowanie. Zimą nie wchodził, bo zimno, jaki to miało sens. Tutaj wszystko wracało do swojego porządku. Ludzie wchodziłi do wody, żeby się schłodzić w letni, a nie zimowy dzień. Zimą się nie wchodzi, ale od maja do października strumień po prostu chłodził. Z roku na rok na wykarczowanych halach było coraz bardziej gorąco.

W większości miejsc nie było internetu, żeby relacjonować swoje życie. Bo tutaj było *prawdziwie*; czuł to jak nigdy, zanurzając się nago w Zawoi, wypasając stado, pomagając rodzicom. Jednego tylko mama nie mogła zdzierżyć, że nie chodził regularnie do kościoła, bo ludzie w Nadpopradziu byli bardzo religijni. Ale nie przestał wierzyć. Po prostu czuł, że jest bliżej Boga, będąc blisko jego najdoskonalszego dzieła, czyli natury.

Trudno mu się dzisiaj wszystko robiło, myślał tylko o zmasakrowanych zwłokach na brzegu Zawoi. Przywołał w pamięci wycie i ciała znalezione przez Arena. To, co potem nastąpiło. Sznur samochodów ciągnący z Piwnicznej, a tak naprawdę wsparty jeszcze Sączem. Spoceni policjanci wysypujący się z radiowozów. Mieszkańcy Rytowa, którzy wyszli z domów, żeby na nich spojrzeć, istny orszak

powitalny. Samochody nieprzystosowane do drogi, która za ostatnim domem Rytowa nie doczekała się remontu (z czego prywatnie się zresztą cieszył), wiodła wzdłuż pastwisk i lasu, na rozległe hale, i w zasadzie nie nadawała się do jazdy.

Potem były przesłuchania, które musiał przejść, najpierw w górach, następnie w Piwnicznej.

I to, co poczuł, kiedy wyszedł z komisariatu na Nadbrzeżnej i przeszedł kilka kroków nad Poprad szumiący nieopodal. Zmęczenie i nieopisaną pustkę.

I tak śledczy mieli szczęście, że do morderstwa doszło latem. Zimą potrafili tu jeździć tylko miejscowi, a i tak nierzadko na drodze robił się ścisk. Najbardziej drażniąca sytuacja: nawet ludzie z doliny nie rozumieli, że jedziesz pod górę, tylko kiedy droga jest wolna. I Bóg jeden wie, dlaczego usiłowali dotrzeć zimą do peteteku. Jedzenie tam było ostatnio paskudne.

Tacy ryzykanci schodzili z powrotem do Rytowa z rozpaczą w spojrzeniu. Wówczas Witek wsiadał do swojej dwudziestopięcioletniej nivy z napędem na cztery koła Czasem ich wyciągał – a czasem nie. Nigdy nie zapomni faceta, który utknął w zaspie, a śnieg tak go zasypał, że dopiero odśnieżarka rano wydobyła półżywego gościa... W efekcie Witek co najmniej tysiąc złotych wydawał na benzynę, holując ludzi z powrotem. Trudu nie liczył – miał z tego frajdę. Czynił małe dobro, bo idioci mogli zamarznąć albo wypaść z drogi.

Spojrzał w kierunku, gdzie powinno być PTTK. Obecny najemca, Ignerski, i tak siedział dłużej niż pozostali. To nie było miejsce dla każdego, zwłaszcza zimą. Witek był przekonany, że konwój policyjny skierował się w tamtą stronę. Niebieski szlak wiodł brzegiem lasu, tuż nad wąwozem. Wystarczyło przejść przez łąkę, żeby pokazać się budynek z ciemnych bali.

Przynajmniej jego samego na razie nie szukali, choć przypuszczał, że będą chcieli go jeszcze maglować. Do tej pory zebrali odciski, ślady butów i tak dalej... Starał się niczego nie zdeptać nad Zawoją.

Wyszedł z wody i chwilę stał w słońcu, żeby go dobrze wysuszyło. Przywołał Arena, który uciął sobie drzemkę pod śliwą, a potem skierował się w stronę wsi. Było już późne popołudnie. Kiedy wrócił z Sącza, zamieszkał u rodziców, od czego się odzwyczaił w stolicy powiatu. Co gorsza, zamieszkał w starym gospodarstwie, bo przecież nowy dom, który zaczął stawiać razem z tatą parę lat temu, był dla letników. Ale coś go ciągnęło z powrotem na hale, nie umiał się przed tym obronić w trakcie kilku lat pracy w kotlinie.

Wrócił tam, gdzie się wychował. Nic się nie zmieniło, poza tym, że kilka lat temu namówił rodziców na łazienkę. Sławojka nie była już potrzebna. Dało się żyć. A do nowego domu przyjeżdżały zaprzyjaźnione rodziny – na dużą skalę nie wynajmowali, to było ryzykowne – i rodzice mieli z tego dodatkowy zarobek.

– Wituś, znajdziesz żonę, to dostaniesz dom – powiedział tato.

– A bez żony?

– Sam będziesz w gospodarstwie siedział? Za duże dla ciebie. Rodzina jest najważniejsza, bez rodziny to po co żyć, synek?

Rodzice żyli jeszcze w innej epoce. Wokół nich były tysiące hektarów pól i lasów, a mama spędzała większość czasu w dziesięciometrowej kuchni. A może była w tym skromność, pokora wobec gór?

Wszedł do środka i napił się wody.

Rozejrzał się. Dopiero w kuchni zobaczył, że przy stole ktoś siedzi. Za długo przebywał na słońcu, w domu było mu ciemno. Miał ochotę zapalić światło, dość już miał ciemności, od kiedy w wąwozie znalazł zwłoki.

Na ławie siedział ciemnowłosy, smagły mężczyzna po czterdziestce, z zarostem i wąsem. Popijał ze szklanki. Nagle w polu widzenia pojawił się również ojciec z czwórką piw w ręku. Był już podejrzenie czerwony.

Witek spojrział na niego pytająco. Kochał ojca. Tato był z innego świata, całą młodość spędził w kolibach na halach i w szałasach pasterskich. Jeszcze teraz, po sześćdziesiątce, miał kruczoczarne włosy (podczas gdy on sam nabrał zagadkowej siwizny w Sączu), mocną

budowę i podobno trzydzieści lat temu miał spustoszenie w sercach dziewczyn z Rytowa.

Tato był z innego świata, ale nie trzymał się go kurczowo. Rozenbowie od zawsze byli gazdami. Ponoć już przed wojną mieli stado caki. Parę lat temu razem z tatą sprowadzili kilkadziesiąt sztuk czarnych owiec, dostali nawet na to pieniądze. Tato mówił, że jego przodkowie takie właśnie trzymali; że kiedyś gazda z czarnymi znaczył więcej niż ze stadem białych.

Tato rzadko miał gości. Kiedy zaś miał, snuł opowieści. O stryju, który bacował i potrafił sto owiec bez jednego psa pasterskiego przeprowadzić przez hale. O zagubionej owieczce, która przeżyła sama zimę, wyjadając fragmenty płotu... No i o wilkach. Tych historii było od zawsze najwięcej. Jak w legendach, najważniejszym motywem była sprytna owca (taką się zawsze zapamiętywało) i bezwzględne wilki.

- Janek Kroniec przyszedł do nas w gości - poinformował tato spokojnie.

Witek podszedł bliżej.

Mężczyzna po czterdziestce wstał i wystawił dłoń na powitanie. Mógłby być synem ojca, miał tak samo kruczoczarne włosy, które wiązał w kucyk. Nos mięsisty i długi, podbródek szeroki, czoło bardzo pomarszczone. Najbardziej w tym wszystkim charakterystyczne były stalowoniebieskie oczy. Oryginalne i przykuwające uwagę. A także i wzrost - Kroniec mierzył powyżej metra dziewięćdziesięciu.

Rzeczywiście Witek znał twarz tego człowieka. Był zaskoczony, ale podał mu rękę.

- W środku się nie pali - rzekł.

- Daj człowiekowi spokój - powiedział tato.

Witek spojrzał na niego. A potem odpuścił. Nie miał ochoty na swary.

- Tatus, jedno się zgubiło, ale jedna owca się okociła wczoraj. Tylko że jagnię jest białe.

Tak bywało z kolorem, nie zawsze rodowód owiec, które sprowadzili z powrotem na halę, był jasny.

– Ale to wczoraj... straciliśmy. Nie trzymała się jeszcze stada.

Tato pokiwał głową ze smutkiem. Odpowiedzialność za straty spoczywała już jednak na Witku.

Wyjął sobie jedno piwo z lodówki, otworzył je zapalniczką.

Usiadł, spojrzał na tatę.

Teraz mogła wjechać kolejna historia: jak za młodych czasów tato nocował w szałasie na Hali Łabowskiej i wilki mu zeżarły pięć owiec za jednym zamachem.

– Tato, śmierdzi tutaj – powiedział i podszedł do okna. Otworzył je.

Janek wypuścił smużkę dymu.

– To tylko dym.

– Nie będziesz w nim spał.

– Do wieczora się wywietrzy, młody.

– Znamy się? – zapytał, nie odwracając twarzy.

– Postarzałeś się, Wituś – rzekł Janek. – Znamy się, ino mnie nie pamiętasz. Taki byłeś...

– Janek pomagał nam z owcami – wtrącił tato. – Potem...

– Potem mnie nie było – rzekł spokojnie Janek.

Ręka z piwem zaczęła Witkowi drżeć. Opanował ją.

– Tak. Byłem tu i tam przez jakiś czas – kontynuował Kroniec. – Ludzie mówią, że znalazłeś tamtych. Co widziałeś, chłopie, powiesz coś?

Witek zamknął oczy. Nie prześladował go nawet widok ciał, bo do zwłok już przywykł. Ale chłopiec... Wiedział, że w życiu nie zapomni tego widoku. Nie miał dzieci i na razie nie zamierzał, ale widok malca nad ciałem matki...

– Wituś jak będzie chciał, to ci opowie. – Ojciec położył mu rękę na ramieniu, ale to było jeszcze gorsze.

Pomyślał o chłopcu, który nigdy tego nie zazna. O chłopcu, który nawet nie będzie wiedział, jak wygląda ojcowskie spojrzenie – i to wkurwione, i to pełne dumy.

– Jasiak przyszedł pogadać o pracy – powiedział ojciec. – Możemy pomóc chłopakowi.

– Pomóc? Jak?

– Przyda się pomoc w gospodarstwie.

Przyda się. Pewnie, że się przyda. Witek był sam ze stadkiem cakli, które nie zawsze potrafił ochronić. Tato z roku na rok wychodził coraz rzadziej. O nocowaniu na polu nie było już mowy, lekarz zabronił.

Powitałby z uśmiechem kogoś do pomocy, ale innego niż człowiek przed nim.

Tatusz dopił piwo na raz, zgniótł puszkę i wyrzucił do kubła. Rytowianie już nie wyrzucali śmieci do Zawoi, ale segregacja to była inna rozmowa.

– Wrócę wieczorem – powiedział Witek i opuścił kuchnię.

W swoim pokoju przebrał koszulę, założył czysty T-shirt, szorty i wyszedł z domu, nie zachodząc już do kuchni. Słyszał śmiechy mężczyzn. Gdzie skryła się mama? Choć było piękne lato, miał wrażenie, że wychodzi coraz mniej.

Wyszedł na drogę. Wypił piwo tak szybko, że grybów szumiał mu w głowie jak nurt potoku, który płynął Rytowem. Prawdziwy strumień zaczynał się pod mostem, stamtąd flisacy mieli kiedyś prostsza robotę, kiedy potoki – Zawoja i Mielsze – się łączyły. Przodkowie szanowali drewno, ale potrzebowali go też do życia jako budulca i towaru. I tak spuścili z nurtem Popradu kawał lokalnego drzewostanu.

Po krótkim namyśle Witek zawrócił, żeby wziąć rower spod domu. Aren nawet się już nie ruszył, przyzwyczajony do ich trybu popołudniowo-wieczornego. Witek skierował się w stronę szkoły w Rytowie. Zjeżdżał w dół, prawie nie hamując, choć droga – i jedyna ulica we wsi – była niesamowicie stroma. Dla rozrywki i aby trochę zwolnić, zjeżdżał slalomem, w ostatniej chwili skręcając, żeby nie

wpaść w czyjeś gospodarstwo. Za dzieciaka robił to jeszcze bez trzymanki. Skończyło się kiedyś wjazdem w gospodarstwo Ireny Kolkuszowej i staranowaniem jej żywopłotu własną twarzą.

Siedział wtedy jak debil, cały pokrzwawiony, a Kolkuszowa darła się na niego, choć ułamał może dwa paliki...

Tak naprawdę bał się teraz, żeby policja nie podążyła za nim, bo nie chciało już mu się z nimi gadać. A jak przyjdą do ojca... No cóż, on się nie ukrywał. Miał swoje sprawy.

Dotarł w końcu do szkoły i zostawił rower przy płocie. Mieściła się dokładnie pośrodku wsi, w brązowym prostokątnym budynku. Ta szkoła była jego wyjściem na świat, przyczyną, dla której położony wysoko w górach Rytów nie pogrążał się w ciemnościach – ale zarazem powodem, dla którego mieszkańcy stopniowo wraz z gwarą gubili swoje korzenie.

Musieli mieć szkołę, bo Rytów był dużą wsią, liczącą ponad tysiąc osób, miał nawet swoje osiedla. Ale autobus zimą nie dawał rady, aż w końcu Sącz doszedł do wniosku, że nie może być wsi liczącej tysiąc nieuków w górach, i otworzyli szkołę podstawową, a potem gimnazjum.

Na tym oczywiście się zatrzymali. Uczniowie zainteresowani dalszą edukacją mieszkali na stacji, u rodzin w dolinie albo jakoś jeszcze inaczej sobie radzili, chodząc do budowlanki, ekonomika, a nawet ogólniaka w Sączu.

Na boisku szkolnym już się jednak działo. Trafiła się kasa z funduszy i zamiast betonu był położony piękny tartan. Szkoda, że sam się nie załapał, łupiąc w gałę na betonie. Zgłosił się na ochotnika, a teraz należał do grupy, która organizowała stryt. Zostało do niego już tylko parę dni. Przyjechał więc dzisiaj na przygotowania – i trochę na meldunek.

Przypuszczał, że stryt, planowany już od miesięcy, był zbyt rozpędzoną machiną, aby zatrzymało go morderstwo w lesie. Tyle osób zostało zaangażowanych, że może wystarczyło teraz zamknąć oczy – i przeczekać. Kiedy Witek patrzył na ludzi i uczniów kręcących się na

terenach szkolnych oraz pod remizą, pomyślał jednak, że ci ludzie nie widzieli tego, co on, i czuł, że oddziela go od nich niewidzialna bariera.

Usiadł na podłużnej ławeczce, wdychając zapach szkoły – coś między potem, środkiem do linoleum a bigosem – i odczekał spokojnie na korytarzu, kiedy rozlegnie się dźwięk dzwonka. Wybiegły dzieciaki, niektóre pozdrawiając go tak, jak potrafią dzieciaki w wieku szkolnym. Na koniec z sali wyszła ładna młoda kobieta w sukience w liście i nieco zarumieniła się na jego widok.

Marysia Frankowska nie była stąd. Może dlatego, poza nauką geografii, zaangażowała się również w sprawy regionalne. Starzy gazdowie czasem nie chcieli nawet o tym rozmawiać; wiedział, że niektórzy z tęsknoty. To młodszy mieszkańcy, a ostatnio przyjezdni, podtrzymywali coś, co nazywali kulturą Rytowa, dawnością i nadpoprządką.

– Wszystko gotowe? – zapytał.

– Warsztaty przygotowane, stoiska dla dzieci ustawione, próby trwają... Mógłbyś zajrzeć na jedną?

Poprawiła włosy.

– Tak. A stoiska do tkactwa? – zapytał.

– Są.

– Entuzjazm nie przygasł?

– Będzie super.

Minę miała jednak strapioną. Rozejrzała się, jakby mieli być podsłuchiwani. Była bardzo ładna, choć dla niego trochę za szczupłą. Miała ogromne oczy i brązowe włosy. Wydawała się tak wąska w talii, że połowa kobiet w Rytowie chciałaby ją karmić. Była bardzo aktywna i sprawiała wrażenie, że naprawdę podoba jej się życie w Rytowie. Wbrew eterycznej sylwetce zdawała się dysponować niespożytą energią. To właśnie ze szkoły i oczywiście od wszędobylskich Waszyńskich, lokalnych regionalistów, wyszedł pomysł strytu, który obejmował więcej niż edukację.

– Niepokoi mnie ta zbrodnia. Ludzie tu nie przyjadą – powiedziała.

- Przyjadą. - Położył jej dłoń na ramieniu, ale po chwili cofnął. - Tym bardziej przyjadą, bo będą podekscytowani.

- Serio?

- Tak.

- Kiedy tak mówisz, wierzę ci.

Podziękował jej w duchu, że nie pytała. Była pierwszą osobą, która nie chciała wiedzieć, co on widział.

Na drugim planie Witek widział Waszyńskich. Odnosiło się wrażenie, że wprowadzają się już do szkoły. Marek Waszyński był wysoki i nosił okulary. Miał duże zęby, wydatny podbródek, starannie utrzymaną brodę. Róża, również w okularach na nosie, celowo chyba zbyt dużych, ubierała się niezależnie od pory roku w wyciągnięte swetry. Często się uśmiechała, odsłaniając zęby. Obydwoje mieli po czterdzieści parę lat, zdaje się nie mieli dzieci, za to sporo psów i kotów.

Kręcili się obecnie po budynku i podeszli się przywitać.

Pojawili się w Rytowie jeszcze przed jego powrotem z Sącza, więc nie umiał ocenić kiedy. Wydawali się jedną z tych par poruszających się wszędzie wspólnie. W każdym razie już wszyscy ich znali, kiedy wrócił na hale. Większość mieszkańców mówiła o nich dobrze, choć niektórzy z politowaniem jako o parze dziwaków, których interesują zanikające kultury i obyczaje.

Waszyńscy stali za ideą śtrytu, którą podłapała potem większa liczba ludzi. Tchnęli w wieś własną energię. Skąd mieli pieniądze - nikt nie wiedział i krążyły na ten temat różne, najbardziej nawet fantastyczne plotki. W każdym razie żyli nieźle w pięknym domu z bali wybudowanym na wzgórzach. Zapraszali na kolacje, w trakcie których serwowali bryndzanekę, a do tego pierogi i placki pasterskie, a Róża od tygodni snuła się w katance.

- Witczku, jak życie? - zapytała.

- Nie najlepiej - mruknął, ale potężny Marek chyba nie usłyszał i huknął go po plecach, aż Witek musiał odchrząknąć.

- Tu jesteście, spiskowcy!

Do ich małej grupki podeszła teraz Agnieszka Kroniec, wicedyrektorka i nauczycielka matematyki. Była to wysoka, nieco władczą kobieta o gęstych, zaczesanych do tyłu włosach, czarnych jak smoła, leciutko przetykanych pasmami siwizny. Była starsza od niego i od Marysi o dobre dziesięć lat. Odносиło się wrażenie, jakby przyłapała niesfornych łobuziaków na psotach.

– Wszystko gotowe? – zapytała.

– Czy kiedykolwiek wszystko jest gotowe? – odparł filozoficznie.

– Nie przejmujcie się – zrozumiała intuicyjnie. – Pewnie wydaje się wam, że świat można mieć pod kontrolą. Nie można.

– Agnieszka, ta cała policja... – zaczęła Marysia.

– Ostatecznie będziemy mieli po prostu więcej gości, prawda? Nie zapominajcie ich zaprosić. I nie siedź za długo – powiedziała do nauczycielki.

Odeszła. Witek chwilę odprowadzał ją spojrzeniem.

– Będę już szedł – rzekł. – Przyjdę jutro po południu pomagać przy scenie.

Marysia Frankowska kiwnęła głową. Brązowe włosy zafalowały. Miała chłopaka? Trudno byłoby ukryć takie rzeczy w Rytowie. Jaki miała powód, żeby tu zamieszkać? Jaką przeszłość? Czyżby Rytów stał się nagle atrakcyjny dla młodych kobiet? Niegdyś dziewczyny uciekały stąd po szkole średniej, a często dużo przed nią.

– Nazbierałam wolontariuszy – powiedziała.

– I tak się przydam.

Pożegnali się. Witek wyszedł ze szkoły. Słońce zapadało już powoli nad Rytowem, kiedy kierował się prosto do sklepu. Parasol z piwem EB z Braniewa, które lata największej sławy miało chyba za sobą, służył kolejnym pokoleniom. Jakby świat się zatrzymał, a EB wciąż miało najlepsze reklamy na rynku. A w zasadzie to było to samo pokolenie Rytowa, te same twarze.

Zabawne: był tu więc mężczyzna podobny do Romana Wilhelmiego (na tego nawet wołano Romek!) i inny, który jako żywo przypominał Geremka. On też miał oczywiście adekwatną ksywę. Kamienisty płacyk był odgradzony płotkiem pokrytym szpetną farbą w kolorze bordo. Mimo że Witek czuł na sobie spojrzenia, to wcale nie wybierał się za ten piekielny płotek. Wiedział, że to się skończy kolejną serią pytań i znowu będzie miał przed oczami twarz małego chłopca dotykającego piersi mamy.

Wypił piwo na stojaka (grybów, rzecz jasna, nie EB), a następnie, prowadząc rower, bo w końcu na hale zjechały radiowozy, powolnym krokiem skierował się w dół wsi.

Była pustawa. Wcześniej chodzono tu spać; jego mama nawet nie czekała na wiadomości. I dobrze. Stety-niestety w Rytowie odbierały tylko publiczne media, nie dla nich rozkosze TVN-u i Super Polsatu. Witek skierował się do ładnego gospodarstwa na samym końcu, tuż za mostkiem prowadzącym w jeden z bocznych przysiółków Rytowa. W zimie było tu prawie nieprzejezdnie, choć odległość do przejścia niewielka. Ledwie kilkanaście metrów oblodzoną drogą. Ale był zadowolony, że ten dom stał nieco na uboczu.

Nasłuchiwał chwilę. Dzieci, dwie małe dziewczynki, bawiły się z tyłu budynku. Rozejrzał się i wszedł do ogrodu. Wydawało się, że nikt go nie obserwuje, ale czy to miało aż takie znaczenie?

Agnieszka Kroniec zdążyła już wrócić ze szkoły. Jak zwykle zresztą po południu, leżała na hamaku. W pracy zajmowała się tylko pracą, a po niej – samą sobą.

- Nie musiałeś tak długo z nią rozmawiać – powiedziała, kiedy go zobaczyła.

Wzruszył ramionami. Wszedł przez drzwi tarasowe i zanurkował w kuchni. Wyjął sobie piwo z lodówki. Sam je tu wstawił i miało być zimne. Otworzył kapslesek i zapatrzył się na nią.

W szkole wyglądała inaczej. Energiczniej. Teraz miała na sobie koszulkę bez ramion, układającą się na pełnych piersiach, a na nogach

domowe dzinsy z dziurami. Zdążyła się przebrać, a teraz zalegiwała z książką.

Nie przesiadywała nad przygotowaniami do śtrytu, w końcu była wicedyrektorką, a de facto zarządzała szkołą i nikt jej nie mógł nic kazać. Piękne w Agnieszce było to, że ogólnie nikt jej nie mógł niczego kazać. Miała swój rytm.

Poruszyła się teraz. Gęste, ciemne włosy opadły jej na ramiona. Delikatnie odłożyła książkę na stolik, na którym przygotowała sobie lemoniadę. Miała takie cudowne, powolne ruchy, mógł się na nią gapić godzinami.

– Wiem, co robisz, ale chodź do mnie – powiedziała.

– Na hamak?

– Tak.

Kiedy podszedł bliżej, pochylił się przed hamakiem.

Podąła mu usta. Były ciepłe.

– Ile piw dzisiaj? – zapytała, odrywając wargi.

– Tyle, ile się pije w lecie – rzekł.

Położył jej rękę na udach, a potem na brzuchu. Nie zareagowała, nie uśmiechnęła się.

– Byłaby dla ciebie w sam raz.

– Kto taki?

– Maryśka.

– Ty jesteś dla mnie w sam raz. Dobra, wchodzę!

Wszedł do hamaka, a ona zwinęła się jak kotka. Przytulił nos do jej włosów. Pachniały jak lato w Rytowie, jabłkami i słońcem.

– Żałuję, że mi nie powiedziałaś – rzekł.

– O czym?

– O Janku.

Wyraźnie zastygła. Odbywali milczący dialog, mijały sekundy.

– A kiedy miałam? – przerwała ciszę Agnieszka.

- Tylko w ciągu ostatniego miesiąca widzieliśmy się co najmniej dziesięć razy.

- Nie było momentu, bo kiedy...

- Byłem w tobie?

- Tego nie powiedziałam, Witeczku. - Zrobiła pauzę. - Jesteśmy z Jankiem rozwiedzeni, wiesz o tym, prawda?

- Nie będzie kłopotów?

Położyła mu głowę na ramieniu.

- Kłopoty - zaśmiała się, ale średnio zaraźliwie. - Tego ci nie mogę zagwarantować. Wyszedeł warunkowo. A ja potrafię już sama bronić.

- Tylko dlaczego muszę go spotykać we własnym domu!

Nagle usłyszał, że jego głos zabrzmiał wysoko. Przez chwilę zastanawiał się, czy Agnieszka też to wyczuła.

- Na to musisz sam sobie odpowiedzieć. - Jej głos zabrzmiał z kolei twardo. Nie lubiła kłopotów. Tak w życiu zawodowym, jak i prywatnym. Rysy jej twarzy wówczas twardniały.

Ten głos brzmiał jak hasło: nie rób mi kłopotów z dupy.

Choć, jak by nie patrzeć, wizyta Janka Krońca nie była z dupy.

- A poza tym to jest dom twoich rodziców - dodała Agnieszka.

- Musisz przestać to powtarzać. Brzmi, jakbym był twoim uczniem.

- Ale jesteś moim chłopcem. - Obróciła twarz. - Moim pięknym chłopcem. Przecież wiem, że jestem od ciebie starsza i że to wszystko nie jest na zawsze.

- Agnieszka...

- Ale kiedy jesteś ze mną, nie rozmawiamy o innych. Janek jest moim przeszłym życiem.

- Jest ojcem dziewczynek.

- Dla mnie jest przeszłością. Nie mam z nim więzi emocjonalnej. Jako tata się nie sprawdził.

- Czy był już tutaj?

- Nie. Może nie przyjdzie.

Zapadła krótka cisza. Przerwała ją sama Agnieszka.

– Wituś, czy kiedykolwiek ci o nim opowiadałam?

– Nie.

– Więc i teraz nie zamierzam. No, chodźmy do środka, bo dziewczynkom się niedługo znudzi. I znowu będą mnie pytały, dlaczego z tobą leżę. A skoro i tak mam się z tego tłumaczyć, to miejmy coś z tego. Pod jednym warunkiem.

– Tak?

– Nie wprowadzisz mi do łóżka byłego męża. Tego nigdy nie wolno ci robić.

Pozwoliła, by wstał pierwszy, a potem zgrabnie wysunęła się z hamaka. Podała mu dłoń. W tle któraś z dziewczynek wrzasnęła. Agnieszka nawet nie zareagowała. Boso prowadziła go w stronę domu.

6

Potęźna kamienista rzeka wiodła równolegle do szosy, między gęsto zabudowanymi zboczami. Słońce odbijało się od tafli wody. Dużo tu się działo. Wojtek, artysta, mógłby nawet powiedzieć, że sceneria jest przegadana... Domy wyrastały wzdłuż rzeki i na ostrych zboczach gór. Był tu i most, i zamek, i tory kolejowe. Przypomniała sobie, że powiat sądecki jest dwa razy liczniejszy niż gorlicki – i to było widać.

– Poprad – skwitował krótko Rumsztyński.

Wyraźnie czytał jej teraz w myślach. Zerknęła na niego. To były pierwsze wypowiedziane słowa po wyjściu ze szpitala. Niektórzy starzy policjanci tak mieli. Musiały być stół, akta, rozmowa przy mulistej kawie o smaku zupy grzybowej. Samochód nie był dobrym miejscem na rozmowę o śledztwie.

Nina powinna również rozważyć drugi możliwy powód milczenia Rumsztyńskiego. Wołała na razie tego nie robić. Popatrywała na niego, usiłując wyrobić sobie opinię ze skrawków informacji, którymi dysponowała.

Pomarszczona twarz i burkliwy głos, jak gdyby zawsze miał chrypkę. Nos konkretnie skrzywiony, jak po ciosie, którego bokser nie był pewien, więc jeszcze poprawił. Nawet te nieliczne wypowiedane słowa wydawały się nosowe.

– I Radziejowa...

– Gdzie?

– Tam. – Wskazał przez szybę na potężny masyw po prawej stronie. – Tam jest nasza królowa, choć wierzchołków stąd nie widać, musielibyśmy jechać drogą nad Starym Sączem, ale to już po ptakach.

Z uprzejmości pokiwała głową. Obejdzie się bez gór, jeszcze tego brakowało, żeby miała się gdzieś wspinać. Dotknęła brzucha, zaczęła to robić intuicyjnie. Ciekawe, czy zauważył. W końcu Rumsztyński był komisarzem i coś jej mówiło, że nie tylko za staż. Najbardziej ciekawiło ją, jak dostał się do Sącza bez samochodu, ale najwyraźniej nie zamierzał opowiadać.

A góry tutaj były wyraźnie wyższe niż w Beskidzie. I nawet jakies zamczysko spoglądało na nich ze wzniesienia, kiedy kierowali się do Piwnicznej. Dobrze, że jak na razie jechali komfortową szosą w dolinie i mogło tak pozostać. Niestety wiedziała, że ten luksus nie potrwa długo.

– Rytów to jest specyficzna miejscowość.

– Dlaczego?

– Położona wysoko w górach.

– Całkiewicz... Znaczący szef mi mówił.

– Co tam chłopak z Krakówka mógł wiedzieć – burknął Rumsztyński nieoczekiwanie. – Nic o nas bez nas.

Nie musiała mu mówić, że Całkiewicz nie był chłopakiem z Krakówka, tylko gorliczaninem, pochodził z miejscowości o godzinę drogi stąd. Dwukrotnie większy powiat sądecki miał pewne podobieństwa z gorlickim: choćby Łemków, którzy i tutaj mieli niegdyś swoje wsie, graniczące z góralskimi. Wiedziała to z rozmów z lokalsami ze swojej doliny w Beskidzie, którzy mieli tu krewnych.

– Tam wysoko w Rytowie lasy były gęste. Sama widzisz. – Wskazał na wzgórze, obok którego przejeżdżali. Skrywała je gęsta ściana drzew, niczym nieprzenikniona masa zieleni.

– Podobno miejsce zbrodni jest szczególne.

– Tak. Poczekaj na zdjęcia. To dosyć wąski pas lasu, pozostawiony niegdyś przez karczowników. Nazywają go Żmijowy Jar; podobno obrastał kiedyś jagodami, wśród nich kręciły się żmije. Matki zawiązywały niteczki dzieciakom, kiedy szły tam nazbierać owoców na sprzedaż. Takie bajania, pewnie bzdurne. Bo inna teoria jest taka, że to wynika z kształtu, że ten kawał lasu wygląda jak żmija, z wyrazistym

gadzim pyskiem... A co do faktów, to przepływa tam potok, Zawoja. Ciągnie następnie do Rytowa, łączy się we wsi z kilkoma mniejszymi i dalej w dół do Popradu. Nad tym potokiem ich znaleźiono.

- To już mi opisano. Co z ciałami?

- Poczekamy do sekcji w Sączu, teraz mogę pokazać ci ich rzeczy. Jest kilka książek, map, ubrań, plecak...

- Nosidełko?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- To jak dziecko było niesione?

- W chuście - rzekł Rumsztyński, ale powiedział to takim tonem, jakby chusta była czymś niestosownym.

- Ukradziono coś?

- Tak przypuszczam, ale sama rozumiesz, skoro nie mamy drugiego plecaka...

- Chwila, ale czyjego? Drużyńskiego czy żony?

- Zdaje się, że jej. Wszystko ci pokażę. W każdym razie nie ma portfela. - Zamyślił się. - Jego zegarka, no i przypuszczalnie aparatu fotograficznego. Z bloga Drużyńskiego mamy informację, że fotografował canonem EOS RP. Dobry sprzęt. Mówię przypuszczalnie, bo możemy domyślać się, co nosił ze sobą, głównie na podstawie jego udokumentowanych wypraw.

- Telefony?

- Są, mam oba.

- Być może żeby nie namierzać - powiedziała po chwili.

- Możliwe.

Cmoknęła.

- No egzekucja. Profesjonalny sprawca, który zabrał, co chciał. Ciekawe, czemu wziął drugi plecak, a nie zabrał samych rzeczy. Trudno przypuszczać, że ten plecak ma jakąś wartość.

- Musisz coś wiedzieć o Drużyńskim - rzekł Rumsztyński. - Był tutaj znany.

- Tak zrozumiałam. Z czego dokładnie?

- Głównie z podróży.

- Serio?

- Tak, chociaż nie mówię o Kapuścińskim. - Komisarz nieco ją zaskoczył. - Takie nasze górskie podróże małe i duże. Wyłącznie polskie góry. Specjalizował się w Karpatach, chociaż Sudety też zjeździł. A w okolicy oczywiście Pasma Jaworzyny, Góry Grybowskie, trochę Beskidu Wyspowego... Dalej Gorce, Pieniny, no i oczywiście wasz Beskid Niski. Popularny był ten jego blog, nie powiem, na mediach społecznościowych również było o nim głośno.

Przyszła jej do głowy myśl.

- Chcesz powiedzieć, że jego plecak to mogło być jakieś... trofeum?

- Nie wiem.

- Jak się nazywał ten blog?

- Łazęga z Gór - wymówił wolno.

- Serio? Strona jest dalej aktywna?

- Zdaje się, że tak. Może nawet jakieś reklamy googłowskie będą działać. To nie jest tak łatwo zamknąć, jeśli domena internetowa jest opłacona i nie było żadnych dyspozycji na wypadek zgonu... Zazwyczaj nie ma, wiesz, jak to jest. Ludzie nie myślą o własnej śmierci.

- Racja.

Rumsztyński wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że Drużyński kazał, aby do niego mówić po prostu Łazęga. Jak mówię, był popularny u nas, miał nawet kubki i koszulki sygnowane swoją ksywką.

Znienacka sięgnął ręką do wielkiej skórzanej torby (która budziła w niej nieciekawe skojarzenia, podobną miał Aleksander Siergiejewicz) i wyjął z niej kubek ze średnio estetycznym logo. Widniał na nim miniludek - chłopiec - na tle gór. Takim się Drużyński sam widział? Góry były udane, ludek mniej.

Wzruszył ramionami, jakby znów czytał jej w myślach.

- Sprzedawał na Allegro i tym podobne. Nic wielkiego.

- Żył z tego?

- Z tego raczej nie da się wyżyć, skoro nawet wy o nim nie słyszeliście. Ale próbował. - Otworzył notatnik. - Zresztą zarabiał też w biznesie.

- Jako kto?

- Na stanowisku w Miśniewiczu. Obydwoje tam pracowali.

- Cóż to takiego?

- Drzwi stalowe. Jedna z największych firm. - Zrobił pauzę. - Sporą część wycieczek organizował sam, uprzedzał o nich fanów. Robił z tego duże, jak to mówią, halo.

- Ale nie z tej.

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że się dowiemy, jeżeli to ma znaczenie.

Wróciła myślami do chłopca i zorientowała się, że obydwójce unikają tego tematu.

- Sprawdziłem również Drużyńską. Prowadziła kursy szydełkowania. - Rumsztyński zajrzał do notatek. - Jakies tam drobniejsze rzeczy. Gotowała latem na festiwalach, wegetariańskie potrawy.

Po tym, jak zawiesił głos, poznała, że to jak najbardziej godne pogardy. Jakies tam wymyśli: na festiwalach to się je kielbasę z Roleskim - albo Włocławkiem.

- No i jest oczywiście dzieciak, prawda?

Westchnął.

- Jak zauważyłaś, ledwo mówi...

- W innym wypadku opowiedziałby nam, co zaszło.

Rumsztyński pokręcił głową.

- Chłopiec ma zadrapania, ale ogólnie nic mu nie jest.

- Podstawowe pytanie brzmi, jak się znaleźli na dole wąwozu?

- Ślady wskazują na to, że zeszli ze szlaku.
- Albo zostali zmuszeni...
- W jaki sposób?
- Pod groźbą.
- Nożem?
- Pewnie tak. Trudno powiedzieć w tym momencie.

Coś jej tu nie grało, ale było jeszcze za wcześnie na wnioski.

Pokiwał głową, a potem rzekł krótko:

- Piwniczna.

Lubiła takie miejsca: bez żadnych przedmieść, żadnych wstępów. Znad wody błyskawicznie zajechali na rynek słynnego uzdrowiska. Wypiła w życiu hektolitry Piwniczanki (choć pokochała Wysowiankę miłością na zabój) i teraz nazwa stykała się z rzeczywistością.

Nie dla niej było tym razem zwiedzanie. Pozwolił jej okrążyć rynek i pojechali dalej, z powrotem nad rzekę. Rzuciła Rumsztyńskiemu pytające spojrzenie – podążali w stronę Słowacji.

- Pierwszy raz w Piwnicznej? – zapytał Rumsztyński.

- Tak.

- Nie uprowadziłem cię. Nasze miasto jest bardzo rozległe. A nazwa oznacza, cytuję, „zaciemniony przez cień gęstego boru wjazd do miasta od strony północnej”. Ma wyjątkowo górski charakter. Siedemdziesiąt procent mieszkańców mieszka w przysiółkach górskich.

Przejechali mostem nad Popradem, minęli stację benzynową i Biedronkę.

- Ale my – rzekł – skręcamy już tutaj.

Wjechali w uliczkę przypominającą podwarszawskie osiedla: stały tu zadbane domy jednorodzinne. Po kilku minutach zaparkowali i wysiedli pod komisariatem. Gdzieś za budynkiem szumiał Poprad. Niewielkie miasteczko, ale faktycznie rozsiane i rozległe.

Stali teraz przed wysoką, imponującą marmurową willą z kamienną podbudówką. Pięknie utrzymane klomby otaczały alejkę,

która wiodła do środka komisariatu. Stylowo Galicja w pełnej okazałości. Komisariat wyglądał trochę tak, jak niegdyś wyobrażała sobie gorlicki, dopóki pierwszy raz nie stanęła przed błękitnym wieżowcem na 11 Listopada.

Rumsztyński nawet na nią nie czekał. Dosyć grubiański człowiek. Popychał drzwi, a ona przemykała, żeby nie dostać nimi w twarz.

Minęli kilku funkcjonariuszy na korytarzu. Zaprowadził ją do wysokiego, chłodnego pomieszczenia, z przygotowaną już ewidencją. Założył rękawiczki i w pierwszej kolejności pokazał jej plecak starego typu, kryty mocnym brezentem.

- Należał do Drużyńskiej.

- No ale gdzie ten drugi...

Rumsztyński stał przy oknie, pokręcił przecząco głową.

- Na pewno był? - upewniła się.

- Świadcowie, rodzina twierdzą, że tak. Nawet podali tutaj przypuszczalną markę - zerknął do notatek - Pajak.

Wyjął następnie to, co znaleziono. Bluzkę na zmianę, kurtkę przeciwdeszczową Milo. Rzeczy dla dziecka: banany i zgniłe już jabłka pokrojone w kosteczkę. Mapę sądeckiego bez żadnych zaznaczeń. Bidon ze słomką, który doskonale znała - tak zwany b.box. No i finkę, wyjęła ją z pochwy i obejrzała szczególnie dokładnie.

- Nie pytam nawet o odciski - podjęła po chwili.

- Nic. Jakby sprawca nawet tam nie zaglądał. Nie ma śladów, nawet tych, wiesz, tych smugowatych, zostawianych przez rękawiczkę lateksową.

- Rozumiem. Poproszę teraz o chustę do noszenia dziecka.

Zbadała ją dokładnie. Była z mocnej bawełny, ozdobionej pstrokatym wzorem. Chustę wiązano oczywiście w pasie, co już wprowadzało kolejną hipotezę do weryfikacji...

Rumsztyński wskazał jej następnie zdjęcia. Drużyńska, blondynka, leżała na plecach. Miała rozrzucone włosy i była ubrana w krótkie

spodenki moro. Wysportowana, z przepaską na czole. Widać było różowy top zabarwiony krwią. On miał równie długie włosy, ale w dreadach związanych w kucyk. Był muskularny, choć drobny, może wzrostu żony. A może nawet nie, przypuszczalnie nawet niższy.

W tle widniał ciemny wąwóz, niczym dno samego piekła. Prawdę mówili ci policjanci. Jeśli tak jak pisała prasa, zwłoki zostały odkryte przez pasterza rano, to zdjęcia musiały być zrobione w ciągu letniego dnia. A jednak wydawało się, że ciała otacza ciemność i to nie była kwestia aparatu, bo zdjęcia technicznie wydawały się doskonałej jakości.

No i było jeszcze dziecko. To dziecko już jednak widziała, ledwie parę godzin wcześniej. Świadek zbrodni, mały Drużyński.

Przechadzała się i przeglądała te rzeczy. Były tam i zabawki należące do chłopca. Zakłuło ją w sercu.

- On leży na brzuchu, a ona na plecach... - zaczęła.

- Tak.

- To nawet logiczne, prawda?

- Wyjaśnij.

- Powiedziałaś, że miała chustę. Drugi plecak zaginał... - Przyjrzała się kolejnemu zdjęciu. - Drużyński ma pchnięcie na plecach, a ona na brzuchu.

- Zgadza się.

- To oczywiście nieprecyzyjne, ale wyobrażam sobie, że może... Drużyński zginął z zaskoczenia? Chciałabym zobaczyć te cięcia.

- Na sekcji.

Kobieta miała ręce złożone na piersiach, jakby się broniła. Chłopca już nie było na fotografiach. Gdzie siedział? Trudno też było wywnioskować położenie miejsca. Widziała kamienie, drzewa (chyba buki), strumień, ale wszystko jak w ciemni.

- Możemy już iść - powiedziała, odczuwając zmęczenie. - Nie chcę wysnuwać wniosków, dopóki nie zobaczę miejsca. I ciała.

Rumsztyński kiwnął głową z lekkim opóźnieniem. Odnosiła wrażenie, że uważnie ją obserwował, może uważniej niż ona jego.

– Za dwa dni w Nowym Sączu – powtórzył.

– Dramatycznie potrzebuję coś zjeść – powiedziała, kiedy opuścili komisariat.

– Teraz to już słabo z ofertą kulinarną – westchnął. – Zajrzyj do mnie, Nina. Opowiem ci więcej. I przekąsisz coś, dziecko.

Dziecko. Intrygujący człowiek ten Rumsztyński. Dziecko to ona miała w brzuchu.

Naprawdę nietypowe miasto z tej Piwnicznej. Inaczej je sobie wyobrażała, nawet kiedy zerknęła zawczasu na mapy. Rozglądała się mimo wszystko dookoła. Powtórnie przejeżdżali przez rynek. Dostrzegła kilkoro emerytów oraz ładny budynek urzędu miasta. Co w takim miejscu może się stać, po co tu policja? Ktoś przedawkował wodę mineralną? Morderstwo na tle uczuciowym, bo okazało się, że sanatoryjny amant prowadził podwójne życie...

Miała podobny przypadek kiedyś, choć nie skończyło się morderstwem, ale poważnym pobiciem. Napastniczką była kobieta, a motywem zawiedziona miłość. Ale kto wie, może pod tą sielską powłoką piwniczanie również mieli swoją rodzinę Bruńków.

Wyjątkowa była konstrukcja tego miasta, serca doliny Popradu, nawet na tle specyfiki uzdrowisk. A jeszcze szybciej się kończyło i znowu byli nigdzie, to znaczy przypuszczalnie w drodze do jednego z przysiółków.

Szybko straciła orientację, więc po prostu jechała, tak jak jej wskazywał. Miejsce, do którego zmierzali, znajdowało się w pewnym oddaleniu od rynku, ale wciąż widziała białą iglicę Kościoła Narodzenia NMP, który witał ich w Piwnicznej i wyraziście odznaczał się na tle gór.

Podjechali pod drewniany piętrowy dom. Stał w odległości dwóch, może trzech kilometrów od centrum Piwnicznej.

– Jadasz kwaśnicę? – zapytał, kiedy zaparkowali.

- Jadam wszystko - odparła zgodnie z prawdą. Była błogosławieństwem dla matek swoich ekschłopaków.

- To świetnie. Zapraszam.

Wysiedli. Wyszła im naprzeciwko drobna kobieta. Delikatne włosy w odcieniu lnianego blondu miała przetykane siwizną. Wyglądała na młodszą od męża.

- To jest moja siostra Gosia - wyjaśnił jednak Rumsztyński.

Kobieta odgarnęła włosy z czoła. Mogli być w podobnym wieku, choć Rumsztyński wyglądał poważniej, jak gdyby i tutaj faceci starzeli się dwa razy szybciej.

- Bardzo mi miło - powiedziała.

- Nina Warwiłow.

- Oczywiście, znam panią.

„Znam panią”. Zwłaszcza tutaj często to słyszała. A w Gorlicach ludzie stale się na nią gapili. Ostatnio grupa wyrostków szeptała za jej plecami w Lidlu i naprawdę nie wiedziała, czy to powód do zadowolenia. Przypuszczalnie rozpoznali ją, ale patrzyli na nią też jak na kobietę. Kiedy spojrzała w lusterko samochodowe, pomyślała, że od dawna nie wyglądała tak dobrze. Od dawna, czyli od czterech lat, od kiedy miała Miłę. Nagle faceci zaczęli się na nią gapić, jakby była maturzystką, która pierwszy raz wyszła na miasto.

Rumsztyński zaprosił ją do środka, do prostej niewielkiej izby z dębowym stołem, za to ogromną plazmą w rogu. Sama Nina, po roku życia w Beskidzie, rozumiała już lepiej, czemu - wbrew przestrzeniom dookoła - izby były małe. Domy trzeba było ogrzać, a nowoczesna izolacja pozostawała trochę problematyczna, przede wszystkim za droga dla wielu gospodarzy beskidzkich. W zimie było zimno i nie poradzisz, tak można to zobrazować.

Komisarz w Warszawie to już była persona, że hej i musiała wieść odpowiednie życie, a tu proszę. Proste życie, w zasadzie w jednej izbie. Za to ogromny telewizor.

- Muszę taki mieć, wiesz, dla celów służbowych - wyjaśnił. -
Wiadomości.

- Jasne.

Nie wiedziała, czy żartuje, bo Piwniczna nie była aż taką gwiazdą serwisów informacyjnych; co innego Stasek z Podbukowca, charyzmatyczny góral z programu *Górale*. Sama widziała parę odcinków, gość wydawał się uroczy i przezabawny.

Rumsztyński wydawał się nieco bardziej wyluzowany. Może męczyła go praca, a rozbawiała perspektywa wieczoru w domu. Może nie sądził, że praca to miejsce na jakiegokolwiek rozmowy towarzyskie. Znała i takich gliniarzy.

Zjedli kwaśnicę na żeberkach. Była tłusciutka, ostra i bardzo smaczna. Nina jadła z apetytem, starając się nie pokazywać tego po sobie. Oczywiście przybrała już na wadze. Następne badania miała dopiero za tydzień, a na ostatnim dostała zresztą reprimendę od położnej, że przytyła za dużo. Nie czuła tego: może dlatego, że od codziennego biegania w ubiegłych latach była szczupła jak chart.

Spoglądała przez okno. Nad Popradem zachodziło słońce. Widziała, jak Gosia na zewnątrz zapala papierosa, siedząc na stołeczku. Jej złotosiwe włosy ładnie wyglądały na tle zachodzącego nad wierchami słońca. Kobieta w dolinie Popradu. Tak mógłby brzmieć tytuł powieści kryminalnej, gdyby rozgrywała się tutaj.

- Rytów - powiedział Rumsztyński, kiedy sam wychylił kieliszek. -
Pytaj, o co chcesz.

- O wszystko.

- Jak wspomniałem, to była dawna wyrębialnia drewna. Ale wytrzebiono drzewostan - rzekł. - Głównie z sosen i jodeł, bo z buków sami budowali. Wszystko zaczęło się bez mała pięćset lat temu od hut szkła. Dlatego ludzie wędrowali wyżej i wyżej. Karczowali lasy ogniem i żelazem. A potem, w XIX wieku, pociągnięto kolej i znienacka huty szkła stały się nieopłacalne, więc i zapotrzebowanie na drewno z gór ustało... Ale ludzie już tam żyli, prawda? Nie tak łatwo się wyprowadzić,

zwłaszcza kiedyś. Dalej trwał wyrąb, ale już bliżej i nie na szkło, tylko na meble, budowę i tym podobne. Na wykarczowanych polanach robiono pastwiska albo organizowano rolę. I ludziska mieszkają tam od setek lat. To problem dla powiatu, bo i z prądem bywa różnie, odsnieżać trzeba, ale ludzie nie wyprowadzają się tak chętnie, choć pracy w kotlinie jest sporo. Bóg jeden wie, co nimi kieruje. Trochę górali też się zachowało.

- Czarnych.

- Tak. Jak powiesz nadpopradzcy, też dobrze.

- Od czego czarni?

- Od owiec - uśmiechnął się. - Niektórzy na halach odnawiają hodowlę cakli. Za parę dni odbędzie się tam śtryt. Czyli spotkanie. Będzie trochę kultury regionu, warsztaty, jarmark, pokazy, będzie można skosztować lokalnych potraw.

- Duża rzecz.

- Bo i Rytów, mimo że tak wysoko, jest rozrośnięty. Wieś liczy bez mała tysiąc mieszkańców.

- Tysiąc podejrzanych...

- Możesz i tak na to patrzeć.

Następnie komisarz wstał z miejsca i zaczął jej pokazywać jakieś publikacje, jakieś mapy, zdjęcia archiwalne i albumy. Opowiadał jej o tyglu, w którym tu wszyscy żyją. O Lachach Sądeckich, z których sam się wywodził, góralach niskopiennych, nawet o Łemkach i Cyganach...

Oczy jej się zamykały i czuła, że nie jest w stanie tego przyswoić tak, jak powinna, i straci tę szansę. Pożegnała się więc i wyszła na zewnątrz. Gosia Rumsztyńska siedziała na podwórzu. Kobieta spojrzała na nią, a potem wypuściła dym w kierunku piętrzących się nad Piwniczną grani.

- Pierwszy raz w Nadpopradziu?

- Nie, nie pierwszy. Ale pierwszy raz w Piwnicznej i pierwszy raz prowadzę tu śledztwo.

Rumsztyńska pokiwała głową.

– Pewnie pani się zastanawia, co z nas za rodzeństwo, mieszkające razem?

– Absolutnie nie przeszło mi to przez myśl. Żyły rodzeństwo może mieć lepsze relacje niż stare małżeństwo.

– Tak, Andrzej bardzo o mnie dba. Lubi dzieci i szkoda, że nie miał swoich. A pani, przepraszam, czy nie brzemienna?

Zbiło ją z tropu to pytanie. Spojrzała w błękitne oczy Rumsztyńskiej.

– Przepraszam, ja taka wiedźma jestem – dodała kobieta. – Widzę takie rzeczy. Od razu wiedziałam. Ale Andrzejowi nie muszę mówić, jak pani nie chce.

Nina nie odpowiedziała. Rzeczywiście nie chciała. W jakiś sposób obawiała się, że odeślą ją przymusowo na ośłą łączkę, a na to było dla niej za wcześnie. Oczywiście Całkiewiczowi nie mówiła o swoim stanie. A Karpiuk z Całkiewiczem nie gadał. Tymczasem Rumsztyński odebrał przykaz i – wiedział czy nie – nie zamierzał wnikać.

– Tylko proszę uważać na siebie tam wysoko na polanach – powiedziała kobieta i skierowała wzrok w stronę gór.

Ponad połaciami gęstego lasu Nina widziała wysoko w górach fragment łąki. Z doliny dało się dostrzec wierchy i oczywiście z gór widać było Piwniczną. Pomyślała, że to nie były dwie odrębne krainy: to było jedno Nadpopradzie.

Gosia wypaliła papierosa, a potem dodała:

– Tam po prostu źli ludzie mieszkają, nawet jeśli mają dobre twarze. Proszę, niech pani mi obieca, że pani będzie na siebie uważać.

Nina niepewnie pokiwała głową i to już był koniec rozmowy: kobieta zdusiła papierosa w popielnicze.

Warwiłow wsiadła do samochodu i skierowała się do Gościńca pod Wiązami, usytuowanego na piwniczańskim rynku.

Powoli, bezwzględnie mijało już to straszne – ale i ekscytujące – zamieszanie związane z najazdem policji. Dla Romy powracała szkoła, na dobre i złe. Od kiedy się tu wprowadzili, jej trasę do szkoły wyznaczały szarfy. Tato zawiesił je na drzewach w lesie między Halą Rytowską a Rytowem, aby wiedziała, jak iść.

– Odprowadzisz mnie? – zapytała cichym głosem przed pierwszą odbytą w ten sposób trasą.

– Dziecko, muszę tu na nas zarabiać, a nuż przyjadą ludzie i kto im poda herbatę z cytryną? Nie mamy pieniędzy.

Tatusz zawsze tak mówił. Nie mamy pieniędzy. I czuła się tak bardzo źle, kiedy czegoś chciała. Komiks, lalkę, książkę... „Nie mamy pieniędzy” mówił tato i potem Roma się martwiła. Ale nie o siebie, tylko o tatusia. Że jest biedny.

Nie wydawał się taki biedny, kiedy przychodzili stali bywalcy schroniska wieczorami, choćby Dońko, Kowalewski, Waszyńscy. Choć ci umieli się pięknie zachować. No i reszta bandy z Rytowa... Szkoda gadać. Zdarzało się, że nocowali na ławkach sali jadalnej (albo pod nimi) i trzeba ich było dobudzać, zanim przyjdą goście.

– Poradzisz sobie. Trafisz – powiedział tego pierwszego razu tata.

– Tatusz, w lasach są groźne zwierzęta.

– To nie zakładaj czerwonego kapturka, kochanie. No, na pewno sobie poradzisz. – Pocałował ją w policzek. – „Czerwony kapturku, uważaj na wilki... – zanucił – szarfy cię powiodą do nas na podwórko...”

Śpiewała to w trakcie drogi. Dlatego, że to wymyślił jej tato.

Chciałyby mieć jego pewność. Wspominała pierwszy dzień, kiedy tędy szła. Szarfy, które zawiesił, niemal świeciły w ciemności. Las,

obecnie nie tak duży, wydawał jej się wtedy gigantyczny. I przed tym, co się wydarzyło ostatnio, cieszył się złą sławą i dzieciaki z Rytowa wcale nie chciały tu chodzić... Dlaczego by zresztą miały? Był przecież przyszkolny plac i było boisko. W ostatnich latach zwłaszcza przyjezdne rodziny coraz częściej montowały zjeżdżalnie i huśtawki przy domu: tak zwane domowe place zabaw, w tym nawet trampoliny. W lecie zaczynało się również kąpienie w buniorku. Choć żadna z tych rodzin nie miała lasu dla siebie.

Ale to było dawno. Teraz, po latach, kilka zim, upałów i susz później, szarfy wisiały, wypłowiały, praktycznie bezbarwne. Ale znała na pamięć nie tylko drogę – znała i te szarfy. Sto lat temu nadała im imiona: po kolei szła Janka, Rita, Tosia... Najważniejsze były pierwsza i ostatnia. Pierwsza nazywała się Basia, a ostatnia – dla żartów – Kunegunda. To były jej koleżanki w drodze przez las.

A potem odkryła skrót. Albo raczej SKRÓT.

Nie trzeba było obchodzić wąwozu. Wystarczyło lekko skrócić w lewo na starcie i przedrzeć się przez niesamowicie gęsty las iglasty – aby odsłoniło się całkiem korzystne, szerokie zejście w kierunku Rytowa.

Było tędy szybciej, ale kiedy szła pierwszy raz, bała się. Miała przy tym wyrzuty sumienia, odrzucając koleżanki szarfy. I to stanowiło zejście ze ścieżki wskazanej przez tatę... Jakakolwiek by ta droga była, miała stracha. Ale było za to kilka innych rzeczy. Skrót prowadził zupełnie nieznanymi rejonami, gdzie stąpała tylko ona – a kiedy odkryła dla siebie tę część lasu, wkrótce już wiedziała, co z nią zrobić.

Ale to wszystko wydarzyło się później.

Roma docierała do drogi, która zupełnie naokoło prowadziła teraz do PTTK. Pierwszym gospodarstwem na drodze rytowskiej był dawny dom nadleśnictwa, zamieniony na mieszkalny. Stąd miała już tylko około kilometra do szkoły. W zimie, a zimy u nich były mocne, pobocze często było zmrożone i zdarzało się, że rano Roma po prostu się ześlizgiwała.

W drugą stronę było jej zdecydowanie cieplej, bo musiała iść pod górę i dalej lasem. Chyba że tata zjeżdżał po zakupy starym ułazem, ale często zamiast tego kazał dokupywać jej coś we wsi. Musiała więc się wspinać Żmijowym Jarem i palce jej zamarzały, odmrażała je sobie potem z bólem przy piecyku w Norze.

Szła szosą i jedyną ulicą miejscowości; asfalt już wchłaniał i oddawał ciepło. Guma w trampkach rozgrzewała się niesamowicie. Wołałaby iść boso, ale sporo pojawiło się tu ostatnio szkła. Szkoła była położona aż w połowie wsi. Ósma rano, a już było gorąco: Roma zdjęła bluzę i przewiązała ją sobie w pasie. W połowie drogi mieścił się największy bunior we wsi, ale w lecie całe popołudnia roilo się tam od dzieciaków, a ci, którzy pokończyli już szkoły, po prostu siedzieli tam z piwem od Cyklopa, puszczając piosenki.

Nie należała do żadnej z grup. Miała swoje miejsce w potoku, ale teraz nie chciała tam chodzić. W okolicy mówiono, że tych ludzi zamordowano nad strumieniem, a krew spływała. Może tylko tak gadali, ale miała wrażenie, że bunior jest pusty. Choć ta krew musiała już spłynąć dawno temu i Popradem mknąć w stronę morza. Poza tym denerwowało ją, że policjanci włązili i panoszyli się po Żmijowym Jarze – jej kawałku świata.

Trwały przygotowania do tego głupiego śtrytu, jakby to kogoś w szkole obchodziło.

Chodziło im o nowe telefony, i o to, żeby pojechać do Sącza, a potem opowiadać, gdzie się było. Raz na jakiś czas ktoś wracał z Krakowa; a jeśli nie z pustymi rękami, z miejsca stawał się szkolną gwiazdą. Roma nie do końca rozumiała. Nie wiadomo, po co komu iPhone do pracy w polu i bez zasięgu, ale to chyba było ważne dla dzieciaków ze szkoły. Pokazywali sobie zdjęcia z Sącza, czasem z Krakowa.

Była lekko spóźniona, nie lubiła się spóźniać, nienawidziła zwracać na siebie uwagi. Lubiła usiąść, wślizgnąć się, potem mieć nadzieję, że Paweł Tokarczyk albo Angela Łozon znużą się nią i nie obsiądą jej na przerwie, komentując ubrania. Zawsze mogła uciec do biblioteki, choć

i tam ją dopadali, a pani Koziarz w ogóle nie reagowała. Więc najlepiej było po prostu być w klasie – ale siedzieć cicho, być *nudnym*. W końcu nie mogli się nad nią znęcać każdego dnia.

Szkolne korytarze były stresująco puste, kiedy przez nie przechodziła.

– Spóźniłaś się – rzuciła pani Dokalska, wychowawczyni i biologka.

Była w trakcie wybierania osób do pytania.

– Ignerska, jeśli sądzisz, że to cię uratuje dzisiaj...

– Wcale tak nie myślę – powiedziała szybko.

– ...to masz rację, bo mój palec stanął na innym nazwisku!

Ciekawe, czy świat w dolinie i dalej wyglądał inaczej. Może nie wyglądał. U nich zaczynał się od pytania w poniedziałek rano. Tomek Mastej, który cały weekend harował w polu, wspomagając rodziców o nie najlepszym zdrowiu, był spalony na heban, w głowie za to pusty jak kanka na mleko. Wylądował z jedyneką. Dokalska postawiła następnie dwie trójki, a kiedy wyregulował jej się poranny nastrój, dodała:

– Zanim przejdziemy do limfocytów, musimy się zorganizować. To ważne, aby się udało. Dla nas wszystkich. – Rozejrzała się. Była nie tylko biologią, ale też wychowawczynią. – Wiem, że wiele osób przejmuję się tym, co się wydarzyło na halach. Nie musicie. Po pierwsze to jest daleko...

Wcale nie było. Stąd w linii prostej może dwa kilometry. Roma skuliła się teraz, aby na nią nie patrzyli. Dla niej – diabelnie blisko. Ale nawet nie wiedzieli, jak blisko.

– Po drugie, przyjechała policja i na pewno schwytają sprawcę.

– A może uciek! – rzucił Tomek Mastej.

Mądrze. Dokalska nie mogła mu już nic zrobić. Nawet ona nie była tak ostra, żeby postawić mu dwie pały.

W klasie rozległ się szum, jakby wszyscy naraz zaczęli dzielić się swoimi teoriami.

- Mastej, możesz wrócić pod tablicę, skoro masz tyle do powiedzenia – rzekła wychowawczyni.

Roma przypuszczała, że to tylko groźba, ale i tak w klasie zapadła cisza. To oznaczało, że ktoś jeszcze mógł być pytany – a lista była długa.

- Zamiast dywagować bez podstaw, chciałabym, żebyście się wszyscy zaangażowali.

Dokalska może i była starą okrutnicą, ale miała w sobie belferską mądrość. Na wychowawczej mniej by jej słuchali niż z perspektywą dziennika z otwartą stroną biologii na stole.

Roma odnosiła wrażenie, że część dzieciaków w ogóle nie wiedziała, dlaczego w tym uczestniczy – ale jakaś część była zadowolona, że coś się wydarzy. Może będą ludzie. Jakaś zabawa, może nawet szansa na alkohol...

Coś.

- Ktoś musi pracować w punkcie informacyjnym. Wskazywać, gdzie iść – kontynuowała Dokalska, a potem Roma poczuła przerażenie na dźwięk kolejnego zdania. – Może Ignerska, skoro dzisiaj jej się udało.

Przeraziła się.

- Ja będę sprzedawać – powiedziała cicho, ale wszyscy słyszeli.

- Jeszcze raz – zażądała Dokalska.

Roma przełknęła ślinę.

- Będę sprzedawać – powiedziała głośniej, może pół tonu, ale niestety zapanowała cisza. Nagle znalazła się w centrum uwagi.

Boże, żeby Mastej może znowu coś chlapanął...

- Co będziesz sprzedawać, Ignerska? – zapytała Dokalska.

- Sery. Tata już rozmawiał z panią. Mamy stoisko...

- Aha. To taki z niego góral?

Szmer się poniósł po klasie, trochę chichotów. Połowa dzieciaków pracowała teraz w polu. Ale i tak się śmiały. W zasadzie wszyscy. Tylko Magda, nowa dziewczyna, której rodzina przeniosła się z Sącza, a rodzice prowadzili firmę, nic nie powiedziała.

Śmiali się. Śmiali się z taty, bo choć mieszkał dalej, był zwyczajnie obiektem pośmiewiska. Dlaczego miał nie być? Kto inny próbowałby namówić mieszkańców Rytowa na czytanie Wojaczka i Boba Dylana? Organizowałby wieczorek poetycki? A przy tym nawet nie miał własnego domu, kawałka ziemi. To znaczy Roma czuła, że ma wszystkie te tereny dla siebie. Swoje hale, sezonowo tylko dzielone z pasterzami.

- Dobrze, Ignerska, nie wiedziałam, że jesteś taka pracowita. W takim razie może Tomek Mastej...

Klasa wybuchła śmiechem, a Dokalska wiedziała, co robi. Nikt nie brał w obronę ofiary, głupka klasowego, który głupkiem wcale nie był, a jego pech polegał na tym, że był jedynym dzieckiem starych rodziców.

W Romie aż się zagotowało pod stołem. Dlaczego nie Tenerowicz, syn bogaczy z dołu wsi? Miał komputer, telefon, a wszystkie ciuchy z Sącza. Dlaczego nie Aśka Karpak, która w szkole tylko siedziała na Facebooku, obgadując klasę, jakby to było coś szalenie interesującego.

Tomek Mastej poczerwieniał pod opalenizną, ale kiwnął głową, nawykły do posłuszeństwa. Uważano, że jest idiotą, choć to nie była prawda. W każdym razie nikt mu tego nie mówił w twarz: miał najszersze bary w całej klasie.

- Trochę się ucywilizujesz, Mastej. Dorzucimy do tego jeszcze Kawulskiego, Sroczkę i może Darewicza.

Jasne, że ich. Nauczyciele byli poważani w Rytowie; razem z Karpakami, Tenerowiczami, Dońkami i innymi tworzyli lokalną grupę towarzyską. Ich potomstwo nie będzie nękanie dodatkową pracą.

Biologia, geografia, fizyka. Roma trenowała sztukę znikania pośród ludzi: swoją własną emigrację wewnętrzną. Tak naprawdę ten stryt był super, wszyscy wydawali się czymś zajęci. Młodzi ludzie byli zainteresowani tym, że ktoś przyjedzie do Rytowa, nawet jeśli lokalne ślady kulturowe nie zaprzętały wielu głów.

Były w szkole dzieciaki mówiące gwara, ale coraz mniej. Byli starzy ludzie i niektórzy wysiadający na ławeczce pod sklepem Cyklopa. Roma wiedziała, kto jest góral, a kto nie; jeśli ktoś przyjeżdżał i pytał, można

mu było wskazać. Kilku baców na polanach górskich. Romek, który wyrabiał bardzo dobry oscypek, a potem wracał z Piwnicznej na czworakach. Władek, który wystąpił nawet w produkcji telewizyjnej. Broniek, stary baka znany z wielkiej mądrości...

Na korytarzach szkolnych śtryt stanowił zdecydowanie temat numer dwa.

„Porąbał ich siekierą”, „Krew była wszędzie...”

No i jeszcze jedno hasło. „Gwałt”. Okropne słowo, od którego Roma miała dreszcze na całym ciele, ale wydawało jej się, że przesadzają. Nie mogła uwierzyć, że tuż obok niej ktoś mordował ludzi, to wydawało się zbyt nierealne.

Dyskretnie włożyła słuchawki do uszu. Nie chciała tego słuchać, nawet jeśli było wysrane z palca. W przeciwieństwie do niej, nie musieli tamtędy przechodzić. Czuli się w Rytowie bezpiecznie: dom stał na domu. Chyba tylko raz słyszała o przemocy we wsi, kiedy to dziki Zenon z osiedli za Zawoją postanowił obrabować bogatych Kuryłowskich. Ale Kuryłowski miał strzelbę...

Inna sprawa, co się działo w domach za zamkniętymi drzwiami, ale o tym nikt nie rozmawiał: domowe sprawy.

Roma czytała książkę, albo raczej przebiegała palcami po kartkach. Siara, bo teraz należało *pokazywać* sobie coś w smartfonie, ale to też jej się znudziło. Poczuli, że ktoś się do niej przysiadła.

Obejrzała się z przestraszeniem.

Magda, ta dziewczyna, która niedawno się tutaj przeniósł, zdaje się z Moszczenicy. Ludzie, którzy przynosili się do Rytowa w ostatnich latach, nie robili tego za pracę i sami mogli napytać sobie biedy. Osobiście Roma dałaby wszystko, żeby mieszkać w dolinie. Zamiast w krwawym potoku kąpać się w Popradzie, może nawet pływać po rzece, nauczyć się wiosłować na kajakach górskich.

Może niektórzy musieli pchać się w góry, w każdym razie Magda wyglądała na równie zagubioną, jak ona sama, choć nie miała cech

ofiary. Była dobrze ubrana, drobna, ale zgrabna. Z miejsca stała się obiektem zainteresowania zarówno dziewczyn, jak i chłopców.

– Co czytasz? – zapytała.

– Ja?

Roma była zaskoczona i zestresowała się. Magda nawet ładnie pachniała, jakimś fajnym szamponem. Gdyby była „libijką”, jak mawiała Dokalska, Roma z miejsca zapałałaby do niej uczuciem.

– Nic...

– Od kiedy Flaubert to jest nic... Czy to lektura? – zapytała zaniepokojona Magda.

– Czytam dla przyjemności.

– Dla przyjemności, serio?

Roma się nastroszyła i przybrała drwiący wyraz twarzy. Ale drwiny z drugiej strony nie nastąpiły.

– Nie można? – zapytała wobec tego bezpiecznie.

– To, że nikt tego nie robi, nie znaczy, że nie można, Roma.

– Znasz moje imię?

– No chyba żartujesz, oczywiście.

Naturalnie, że znała. Przecież Dokalska nie pozwoliła jej pozostać w ukryciu. Choć zwracała się do niej per Ignerska...

Rozmowa trwała już kilkanaście sekund i nie zauważyła, że stały się obiektem zainteresowania. Zorientowała się nagle, że dziewczyny na nie patrzą.

Przelknęła ślinę.

– Lepiej stąd idź, Madzia.

– Ale dlaczego?

– Dlaczego? – Obróciła się, ale dziewczyna popatrzyła na nią tylko z sympatią, a także oczywistą niewiedzą.

„Bo jesteś nowa. Bo możesz oberwać razem ze mną. I po co ci to?”

Nie powiedziała jednak ani słowa. Nie była żadną dobrą samarytanką.

- Muszę do łazienki przed lekcją - powiedziała, a następnie przesiadła parę minut w zamkniętej toalecie. Wróciła już po dzwonku, zajmując swoją stałą pozycję pod ścianą, przy wejściu do klasy.

8

Nina spała krótko i rwanie, śniło jej się wiele rzeczy naraz. Miała dziecko, traciła dziecko... W końcu otworzyła oczy, leżąc w pokoju hotelowym.

Hotel to może trochę za dużo powiedziane i chyba sama tak to określiła. Było to kilka pokoi nad restauracją, w której również jedzono śniadania, a okna wychodziły na rynek w kierunku Popradu. Zjadła przygotowaną na zamówienie całkiem smaczną jajecznicę na boczku oraz domowy chleb z solonym masłem. Żaden szwedzki stół: jajka usmażono dla niej, praktycznie przy niej, w kuchni na zapleczu. Słyszała nawet odgłos skwierczącego bekonu – o który nie prosiła, ale który przyjęła z dobrodziejstwem inwentarza.

– Wspaniałe śniadanie – powiedziała zgodnie z prawdą.

– Wszystko na świeżo – potwierdziła gospodyni, Basia Stasik, wesola kobieta w wieku około czterdziestu lat. – Czy pani na wakacje?

Zastanowiła się nad tą dedukcją. No tak, gdyby przyjechała na leczenie, nie zatrzymywałyby się pod Wiązami, tylko w jakimś sanatorium.

– Nie, do pracy.

– Do Piwnicznej na sezon?

Nina uśmiechnęła się w duchu. Sezon na zbrodnię. Z doświadczenia wiedziała, że nie warto jednak wiele ukrywać w małych społecznościach.

– Przyjechałam tu w związku z morderstwem na Hali Rytowskiej. Pracuję w policji.

– Ach.

– Była tam pani? Mam na myśli Rytów?

- Kiedyś tak, ale to wysoko.

- Wysoko?

Basia pokiwała głową.

- W sezonie dużo się dzieje. A w zimie nie da się dojechać. Dodzwonić też się z reguły do nikogo nie można... żyją po swojemu, a my po swojemu. Wie pani, Piwniczna ma mnóstwo przysiółków. Do wielu nie da się dojechać zimą. Może teraz ludzie na śtryt przyjadą... Każdy próbuje rozkręcić ruch turystyczny u siebie, prawda?

- Tak - potwierdziła Nina, ale pomyślała o Beskidzie, w którym w promieniu wielu kilometrów wciąż była jedna restauracja, Zagroda Magurska. I dobrze.

- Każdy kogoś ma, proszę pani. Łęcycy górale nazwali się białymi. Mają śliwownicę. Daje krzepę, krasa lica nasza łącka śliwownica - zadeklamowała. - A my mamy cacke. Kto ma owce, ten ma, co chce.

- Ja słyszałam ostatnio, że kto ma owce, ten baran - rzuciła Nina.

- U nas też tak mówią!

Kobieta zaśmiała się jowialnie.

- Jacys pasterze znaleźli zwłoki... - zaczęła Nina.

- A, Rozenbowie. To więcej niż pasterze. Oni między innymi sprowadzali cacke parę lat temu. Fiedorowie też i Gomulakowie... kilka rodzin gazdowskich.

- To oni organizują śtryt?

- Dużo osób jest zaangażowanych. Musimy się jakoś wyróżnić jako okolica, a mamy czym. Nie tylko Piwniczanką Nadpopradzie stoi. Rozenbowie to porządna rodzina gazdów - dodała kobieta. - I na pewno nie mieli z tym nic wspólnego.

Warwiłow spojrzała na nią zdziwiona.

- Kto powiedział, że mieli?

W pewnym sensie pierwszy raz sama o tym pomyślała. Trzeba będzie samemu szybko pogadać z tym pasterzem. Nie: gazdą. Może zaobserwował coś na świeżo, coś, co nie znalazło się w raportach.

- To dobry chłopak, znam go. Razem z mężem prowadzimy tutaj jeszcze sklep i przychodzi po pieczywo. Pomaga rodzicom. A nie musi, skończył przecież uniwersytet w Sączu.

- To tu jest uniwersytet? - zapytała, bo jakoś przeoczyła ten fakt.

- A jaki! Niech pani się nie zdradza, że pani nie wie! Ekonomiczny, bardzo dobry. Skumacony z jakąś amerykańską szkołą.

- A ci ludzie? Ofiary? Znała ich pani?

- Nietutejsi, ale góry należą do wszystkich. Chociaż tego Drużyńskiego to ja kilka razy widziałam. Prowadził prelekcje w domu kultury. Bardzo interesujące. Pięknie opisywał przyrodę, zdjęcia również pokazywał niezwykle ciekawe. Interesował się też dawnym życiem. W taki ładny sposób do tego nawiązywał. Teraz wszyscy, wie pani, wszyscy żyją polityką, a on opowiadał o górach i dawności. Podobało mi się to. Bardzo miły chłopak, choć nie w moim stylu.

- Czyli jakim?

- Miał warkoczyki, jakieś kolczyki, dredy. Taki nieumyty mi się wydawał.

- Rozmawiała z nim pani?

- Rozmawiałam. Sam mnie pytał o kilka rzeczy lokalnych, o ludzi, którzy tu mieszkają, był bardzo wszystkiego ciekaw. Ale i co rusz wspominał, jak z jakimiś ludźmi na szlakach gawędził.

- Jakimi?

- Bardziej skąd, bo nazwisk nie podawał. W górach, wokół Jaworzyny, Radziejowej, Niemcowej. Sporo wiedział o tych terenach i jak to się u nas mówi, miał godkę.

- To chyba powszechne wyrażenie.

- Schodził swoje po górach - kontynuowała kobieta. - W schroniskach chyba wszystkich bywał, opowiadał, jak raketami śnieżnymi z Bieszczad przewędrował, z Komańczy aż po Wysową. Słowackie Tatry też przeszedł i nocował po bacówkach... Poza dredami

to był miły chłopiec. Zawsze, wie pani, dobrze się słucha kogoś z pasją, prawda?

– Prawda.

– No widział tu wszystko, jak to ludzie mówią. Tylko po co włókł tego dzieciaka? I żonę ze sobą?

– Dziecko żyje.

– Słyszałam.

Po rozmowie Nina wyszła na zewnątrz. Rynek był uroczy, choć powietrze już trochę parne: nie pomagało w tym nagromadzenie zaparkowanych samochodów. Było ich chyba z pięćdziesiąt, okrężyły skwer. Z drugiej strony, gdzie zmieścić parkingi, skoro wszędzie góry i woda...

Po lewej stronie odnotowała już ruch kawiarniany. Przechadzali się nie tylko kuracjusze, również i rodziny z dziećmi. Cukiernia Florencia była otwarta i oferowała lody kulkowe na zewnątrz. Kilkanaście metrów dalej jakaś kobieta sprzedawała oscypki przed sklepem „Górskie specjały”.

Następnie pasaż się kończył i po drugiej stronie dostrzegła urząd miejski i narożny brązowy gmach Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury. Tam musiała się odbyć owa prelekcja. Miasto było urocze, a prawdziwe piękno, jak wierzyła, kryło się tych odosobnionych, klimatycznych przysiółkach. Piwniczna wydawała się trochę miastem, a trochę rozbudowaną bramą do krainy polan górskich.

Usłyszała klakson. Na parkingu naprzeciwko Rumsztyński już na nią czekał, niedostrzegalny na pierwszy rzut oka pośród dwóch rzędów samochodów. Uchylił drzwi, by mogła wsiąść.

Jego auto to był stary zielony jeep, ze wzmacnianymi oponami. Nie rozumiała, jak mogła nie zwrócić uwagi na ten pojazd. Zawahała się przed wejściem. Było poobijane i nieco pordzewiałe, ale na karoserii widniał napis „4 × 4” i auto sprawiało wrażenie diabelnie mocnego. Samochód miał opony niczym te szalone amerykańskie auta, chyba siedemnastki.

Wyjaśniło się, dlaczego nie przyjechał do Sącza. To był samochód na tutaj; wyglądał bardziej jak pojazd Pana Samochodzika niż współczesne auto osobowe. Szyby uchylone miał na maksa, bo już od rana panował upał. I chyba nie było szans na klimatyzację w środku.

Rumsztyński musiał dostrzec jej wahanie, bo szerzej uchylił drzwiczki.

- Zapraszam.

Zapalił silnik i ruszył bardzo mocno. Wyjechali z Piwnicznej. Okrążyli okoliczną górę, przekroczyli również Poprad. Po kilku kilometrach przejechali przez jeszcze jeden most. Skręcili następnie z szosy przy niewielkim osiedlu domów. A potem - znienacka - droga zaczęła się ciągnąć w górę jak drut. Ninę wbiło w fotel, nie spodziewała się aż tak ostrego podjazdu.

- A jak coś wyjedzie z naprzeciwka? - wyszeptła.

- Zasada jest prosta - odparł Rumsztyński. - Najpierw się patrzy, czy ktoś nie jedzie z góry. A potem się grzeje, ile wlezie, żeby nie zdążył wyjechać...

Po stu metrach droga się wyplaszczyła. Domy się przeredzały, za to góry odsłoniły kolejne zbocza hal, a także błyskające gdzieś wysoko polany. W powiecie gorlickim nawet jak się zdobywało jakiś szczyt, to był zalesiony - las to główny żywioł Beskidu Niskiego. Ale nie Sądeckiego: zerknęła w prawo i już zaczynała dostrzegać dolinę Popradu.

A potem zaczęły się drzewa, długo się ciągnęły bez śladu żywego ducha. Zdawało się, że nigdzie nie dojadą. A jednak, po kilku albo kilkunastu kilometrach (bo wbrew swoim słowom, a może zgodnie z nimi, Rumsztyński jechał wolno) pojawiły się budynki. Droga wiodła teraz wzdłuż strumienia, na obu ostrych zboczach stały domy, niczym wrosnięte w skarpe. Szosa, którą jechali, była tu wąska, wydawało się, że jest w stanie pomieścić tylko jedno auto.

W końcu, po lewej stronie, pojawił się budynek szkoły: tak samo przyklejony do zbocza góry, jak i pozostałe.

Rumsztyński prowadził tymczasem narrację.

– Jak mówiłem, ludzie tutaj żyją po swojemu.

– Wcale się nie dziwię.

– Zimą to bym nie chciał. Ale widzisz, wcale się ten Rytów tak nie wyludnia. Kto wie, o co chodzi?

– Może o widoki.

– Domy jeden przy drugim – kontynuował. – Niby góry, ale jakoś nie ma przestrzeni. A teraz spójrz na telefon, nie ma tutaj zasięgu.

– Może właśnie w tym rzecz?

Nie odpowiedział. Zerknął na nią zdziwiony, ale potem trochę zwolnił, by ustąpić miejsca człowiekowi na rowerze.

– Jeszcze tu wrócimy, ale teraz...

– Na miejsce zbrodni – uzupełniła.

Rozumiała, o co mu chodzi. Wieś przypominała korkociąg. Idea architektoniczna była prosta: na zboczu po lewej stronie, przy potoku, widziała domy – a po prawej dostrzegala dachy i kominy na wzgórzach. Ale większość budynków była przy strumieniu. Tak jak powiedział Rumsztyński, dom przy domu.

– Zawoja – mruknął.

– Czy to...

– Ten sam potok. Spływa do wsi, a potem, po swojemu, do Popradu. Potok życia.

Powiedzmy, pomyślała w kontekście tego, dokąd jechali. Widziała z perspektywy drogi jakieś tamy i niewielkie pomosty przy gospodarstwach. W szerszym miejscu, czymś, co u niej nazywano głębiną albo buniorem, taplały się dzieciaki. Przez otwarte szyby słyszała ich śmiech.

Jechali spokojnym tempem, jakby Rumsztyński doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w każdej chwili może pojawić się rowerzysta – a nawet pijany rowerzysta.

Na końcu wsi domy zaczęły się przeredzać. Te ostatnie wydawały się jakieś takie marne, niby wychudzone architektonicznie. Nic dziwnego, w tak trudnych warunkach do mieszkania... Na końcu pojawiło się coś przypominającego leśniczówkę oraz znaki.

Droga zmieniała się w zupełnie leśną, szosa zwyczajnie się skończyła. Rumsztyński zwolnił.

– Normalnie tu nie wolno jeździć – rzekł.

– To chyba dobrze, że nie pociągnęli szosy, prawda?

W Beskidzie puszcza drogi, gdzie tylko mogli; asfaltowali przepiękne lasy. Rozumiała, że miejscowi widzą to inaczej – choć zaskakująco dużo lokalnych, przynajmniej u niej w dolinie, było przeciwko. Świat się zmieniał i góry się zmieniały. Dobrze powiedziała kobieta z Gościńca pod Wiązami, góry należą do wszystkich.

Choć sama określiłaby to jeszcze inaczej. Góry, ziemia nie należały do nikogo. Ludzie otrzymywali tylko ziemię pod opiekę. Z różnym skutkiem.

– To jest ten las – rzucił Rumsztyński, kiedy pojawiła się przed nimi ciemna ściana. Wiedziała ze śledztwa palcem na mapie, że jest trochę wycięty. Z obu stron, i od wsi, i od hal.

– Nie ma przez niego przejazdu. Z przejściem też niełatwo. Wąwóz jest zbyt ostry. Musimy go okrążyć – rzekł – i zajedziemy z drugiej strony.

Instynktownie dotknęła swojego brzucha. W jeepie zaczęło okrutnie dudnić, przypuszczalnie komfort jazdy to nie była mocna cecha tego samochodu. Jechali wyżej i wyżej. Po lewej stronie zaczęły rozciągać się hale, puste przestrzenie i jeszcze więcej widoków. Wykarczowane polany jak pokoje w niebiosach świata. Dziwne wrażenie, ale mocne. W końcu Rumsztyński zwolnił – i chyba dotarli na miejsce.

Wysiadła. Odniosła wrażenie, że powietrze jest tu trochę inne. Chłodne. Było pusto. Wiatr, rozzuchwalony otwartymi przestrzeniami, przewiał ją mimo wysokiej temperatury.

– Wykarczowane ogniem. – Rumsztyński przeczytał jej w myślach.

- Ale chyba nie teraz...

- Lata temu, jak mówiłem. A teraz widzisz, część dzierżawiona na wypas. Niby pusto, ale nie myśl sobie. Każdy kawałek trawy jest coś wart. Każdy ma właściciela. Trawa to pieniądz.

- Nie można obsadzić lasem z powrotem?

- Toż to prywatne własności, jak mówię, gospodarka leśna nie obejmuje. Gazdowie to mieli i częściowo dalej mają tak podzielone, że głowa mała. Idziemy?

- Tak.

Weszli do lasu. Wśród wysokich buków wiatr wyraźnie zelżał, ale zrobiło się już zupełnie zimno, jakby stąpali w chłodnej wodzie. Zupełnie inne przewyższenia niż w dość łagodnym, tajemniczym Beskidzie Niskim. Tutaj była zwyczajnie ścianka. Schodziła ostrożnie. Zeszli wężozem w dół, zrobiło się jeszcze zimniej.

Rozumiała, co miał na myśli Całkiewicz. Wcale niełatwo było tędy iść. Trzeba było wiedzieć którędy... Warwiłow szła bardzo ostrożnie, podążając za Rumsztyńskim, który poruszał się zaskakująco żwawo. Warwiłow dla odmiany, może po swoich ostatnich przejściach na wyspie Wolin, obawiała się nawet jednego wystającego korzenia.

I w końcu zobaczyła potok. Błyskał czernią.

Ten sam strumień, który przebiegał przez wieś, będąc jej prawdziwą ulicą, gdzie toczyła się, według Rumsztyńskiego, większość życia... Tutaj gnał zwyczajnie w dół, na łeb, na szyję, dnem ciemnego jaru. Zeszła na sam dół, liście szeleściły jej pod stopami. Otarła pot z czoła, bo jednak zrobiło się dość parno.

Paliki jeszcze stały, miejsce zbrodni było zabezpieczone. I taśma również wisiała. Dobrze dla śledztwa, że ostatnie dni były upalne i bez kropli deszczu...

- Kazałem wszystko zostawić na twój przyjazd - powiedział Rumsztyński.

Oznaki sprawy kryminalnej w dzikiej przyrodzie. Kiwnęła głową i założyła rękawiczki. Rozejrzała się dookoła. Cisza lasu. Zdawało się, że

tutaj, na dnie wąwozu, uszło nawet życie. Żadnych ptaków, nic, jak gdyby zeszli do Hadesu. Jeśliby wiedzieć skąd i pchnąć wystarczająco mocno, z krawędzi jaru można było załatwić sprawę bez użycia noża. Jak podróżnicy trafili na sam dół?

Podeszła bliżej.

- Widzę ślady błota na odcisniętej ziemi - powiedziała. - Może tu odbyła się jakaś walka?

- Być może.

- Była ich dwójka i dziecko - dodała w zamyśleniu.

- Morderców również mogło być więcej.

- Oczywiście dziecko w takim wieku zadziała osłabiająco. Trzeba je chronić, prawda? - Podeszła bliżej. - Traseologia. Spójrz. Nie padało tutaj? - upewniła się.

- Susza jak fiks.

- To zobacz sam. - Wdrapała się odrobinę wyżej. - Generalnie zdeptane. Ale tu w górę...

Wskazała na wyraźne odciski. Rumsztyński kiwnął głową.

- Dobrze widzisz.

- Ślady trzech par butów - dodała.

Zrobiła zdjęcie, tak wyraźne, na ile pozwalało jej światło.

- Jak oceniasz? - zapytał.

- Raczej męskie, ale trudno powiedzieć. Może być też mężczyzna o niewielkiej stopie. Wygląda, jakby schodzili spokojnie. Dlaczego?

- Nóż.

- Może być z powodu noża... - powiedziała po chwili zastanowienia. - Sprawca doskonale wiedział, gdzie idzie. Prowadził ich w dół na śmierć?

- Możliwe.

- I tylko ten jeden plecak...

- Zgadza się.

- Co się stało z drugim? Przecież mordercy aż tak się nie śpieszyło po zabójstwie? Tego miejsca znikąd nie da się wypatrzeć, nie schodząc do wąwozu.

Rumsztyński wzruszył ramionami. Rozejrzała się, już tracąc nieco orientację w przestrzeni na dnie jaru. Którędy tu przyszli w sumie?

- Jak biegnie szlak?

- Kilkadziesiąt metrów wyżej - wskazał Rumsztyński. - Na skarpie.

- Jaki to kolor?

- Niebieski. Biegnie z Krynicy aż po Pieniny.

- Dlaczego tutaj?

- Nie rozumiem.

- Dlaczego właściwie poniżej drogi?

- Nie wiem.

- Czy - zawahała się - on ich jakoś tutaj zwabił?

Podeszła jeszcze wyżej, pochylając się nad odcisniętym śladem.

- Ale widać jednak zapieranie się. To chyba nie byli twoi ludzie?

- Przypuszczalnie nie. Nakazałem im wielką ostrożność. Niewielu miało tu wstęp.

- Czyżby więc morderca zepchnął ich ze szlaku?

Policjant nie odpowiedział.

- Mógł zepchnąć jedno z nich - dywagowała dalej. - Na przykład żonę. Następnie mąż rzucił się za nimi... Tak bym zrobiła. Dodatkowa korzyść, że zwłoki nie zostaną tak szybko odkryte. Jak się nazywa ten nasz odkrywca?

- Witek Rozenba. Ale jest jeszcze jeden aspekt, Nina.

- Tak?

- Wiele sugeruje nam, że morderca jest ze wsi. Dobrze wiedział, gdzie ich prowadzi. Moim zdaniem znał już to miejsce.

Całkiewicz, zdaje się, rozumował podobnie, pomyślała.

- Mógł to być spotkany na szlaku turysta - uzupełniła.

– Widzę to tak – rzekł Rumsztyński. – Idzie para, naprzeciwko nich pojawia się morderca. Doskonale panuje nad każdym posunięciem, swoim i Drużyńskich. Każe im zejść na dół, w obmyślane miejsce. Tam ich zabija.

– Oszczędza dziecko.

– Tak, oszczędza chłopca. Zostawia ciała...

– Zabierając jeden plecak. Może to jednak zbrodnia rabunkowa?

– Albo chciał, żebyśmy tak pomyśleli.

– Odkryliście od wczoraj coś w temacie drugiego plecaka?

– Przeszukaliśmy cały ten fragment lasu – rzekł Rumsztyński. – Na razie nic. Kazałem szukać dalej i przyjechali w tym celu policjanci z Sącza. Przeczesują teraz teren bliżej Hali Rytowskiej.

– Gdzie jest hala?

– Tam. – Wskazał na prześwity u góry. – Dalej zaś będzie schronisko.

– O, a jednak coś jest. – Dojrzała potężne wgłębienia na zboczu, w kierunku, który wskazał. – Widzę kawałek drogi leśnej. Jakby detem przejechali.

– Pewnie to trasa do wyrębu.

– Czy w ostatnich dniach drwale pracowali?

– Nie.

Myślała przez chwilę.

– Dobra, niech twoi ludzie szukają – powiedziała. – Może coś z tego będzie. A może plecak jest już dawno spalony. Musimy ustalić, jak zeszedli ze szlaku. To jest kluczowe. Myślę, że zmuszono ich do zejścia, ale chcę wiedzieć, jak dokładnie. I jedźmy teraz do wsi, jestem ciekawa. Tylko powoli, bo trochę mnie zemdliło – rzuciła bez przemyślenia.

– Oczywiście.

Jak to faceci, kiedy im się coś powie, Rumsztyński jechał teraz pięć na godzinę.

W drodze powoli próbowała zweryfikować dystans. Odległość do wsi była rzeczywiście niewielka. Wyobraziła sobie innego wędrowca,

idącego tą samą drogą. Natrafili na siebie na skarpie na szlaku. Pech. I morderca impulsywnie zepchnął ich, a raczej przemocą sprowadził ze ścieżki.

Może to nie był pierwszy raz, może należało poszukać podobnych zabójstw w okolicy. Strach myśleć o seryjnym mordercy, który działa bez systemu, jak się trafi w lesie ktoś, kto się nie obroni. Z jednej strony byłoby o tym głośno. Z drugiej, pasm górskich jest wiele, a sporo zabójstw nierozwiązanych i bez żadnych śladów. Należałoby to zbadać. Jak to sprawdzić stąd, żeby uzyskać analizę choćby na skalę wojewódzką?

Zapisała powyższe na mapie pytań. Mapa rosła. Żałowała, że nie przyjechała tu już w niedzielę. Ciała mogły tyle powiedzieć, miałyby jeden obraz – teraz musiała składać puzzle i polegać na swoich świadkach. Usiłowała sobie zwizualizować sam zbrodniczy akt. Wdzierało się w to wszystko dziecko, chłopczyk w sterylnej bieli w szpitalu, i utrudniało jej to logiczne myślenie.

Zjechali do wsi, wracając na regularną szosę.

Odetchnęła z ulgą.

– Zatrzymaj się – powiedziała. – Teraz chcę wysiąść i pomyśleć.

Potrzebowała powietrza.

Strumienie, zapach bydła i pól. Owce w oddali, wypasane powyżej jednego z domów na wzgórzach. Gospodyni rozwieszająca białe pranie nad strumieniem. Proste życie w tej osadzie żywcem przeniesionej z Bullerbyn. Nawet sznury z praniem zdawały się nie kończyć przy jednym domu, ale płynnie ciągnąć wzdłuż kolejnych. Rytów, gdzie domy stały obok siebie, gdzie wieś wydawała się jednym wielogłowym organizmem.

Zerknęła na telefon. Zasięgu rzeczywiście brakowało, choć to nie była aż tak mała miejscowość. Najlepszy dowód, że mieli szkołę.

– Gdzie teraz? – zapytał cierpliwie Rumsztyński.

– Jesteśmy na wsi. Oczywiście do sklepu – powiedziała.

Pokierował ich i zaparkowali pod spożywczakiem.

Był tu kamienisty placyk, za nim płótek i namiot z widocznym banerem EB.

Podeszła bliżej. Ktoś gwizdnął na jej widok; a więc jej powodzenie trwało. Seksowna śledcza Nina Warwiłow. Niech będzie.

Rumsztyński się jednak usztywnił.

– Nie trzeba. Niech gwizdzą, wejdę tylko po wodę.

Wysoki mężczyzna o niezwykle blisko osadzonych oczach podał jej kilka szklanych butelek Piwniczanki oraz otwieracz.

Wyszli na zewnątrz. Wypiła duszkiem, woda ze szkła smakowała lepiej. Drugą podała Rumsztyńskiemu. Słyszała szmer rozmów za plecami, zapach taniego papierosa unoszący się w górę. Ryk śmiechu.

Źle, pomyślała. Życie we wsi toczyło się dalej, jakby zbrodnia nie odcisnęła na niej śladu. Ale potem nagle policjant stojący obok złapał się za biodro.

Wyjął z kabury walkie-talkie, którego jeszcze nie zauważyła. Odszedł parę metrów i słyszała szmer rozmowy.

– Nina, coś się dzieje – powiedział, kiedy wrócił do niej po kilku chwilach.

– Tak? – Obróciła się z butelką w dłoni.

– Wygląda na to, że nasi znaleźli drugi plecak.

Witek siedział i głaskał Arena po głowie. Pociągnął z butelki grybowa. Owce były oporządzone, ale nie czuł rąk i nóg... Kolega z Rytra, Paweł Gomulak, bacował i miał ich kilkaset pod opieką. Zdradził mu ostatnio, że jak sobie podliczył wszystko, to mu się kompletnie nie opłaca. Zwłaszcza przy aktualnych cenach futra owczego, były bardzo niskie. Inny kolega z Kokuszki, który też wrócił po krótkiej karierze w Sączu, nie miał tego problemu. Jego cakle stawały się cenioną na świecie jagnięciną. Był hodowcą.

System był dużo prostszy: nie trzeba było doić, jagnięta same piły mleko. Tylko że później łądowały na stołach. Sam Witek nie po to jednak wrócił. Dobra idea z powrotem cakli na nadpopradzkie hale. Czuję, że robią coś dobrego, ale gdyby miał choć trochę pomocy...

Tata jednak miał dłonie poskręcane od reumatyzmu; mama nie miała już tyle siły. A z młodych nikt się zwyczajnie nie palił do pracy, a zwłaszcza w pasterstwie. Sam nie mógł wystawać pod szkołą i werbować dzieciaków, które i tak miały robotę u rodziców na roli.

Znowu obserwował poruszenie na drodze. Radiowozy jeździły górą-dół, a Żmijowy Jar od dawna nie wydawał się tak popularny. Owoców leśnych tak dużo już tam nie było. Niegdyś rytowskie dzieci sprzedawały je w dolinie, ale teraz bardziej opłacała się borówka amerykańska. Wielu hodowało ją w zasadzie przy domach. Grzybami zaś – w późniejszej porze – obrastały lasy bliżej Piwnicznej.

Tam co roku zjeżdżali się Cyganie, żeby w zorganizowany sposób oczyścić okolicę z grzybów. Rytowianie się wzbudzali, ale jego zdaniem lasy należały do wszystkich. A Cyganie byli na tych ziemiach tak samo długo... Nawet jeszcze teraz zostało we wsi kilka rodzin, choć kiedyś

było ich więcej. Po drugiej stronie granicy, kiedy mijało się Leluchów-Čirč, można było natrafić na całe romskie wioski.

Witek pociągnął jeszcze łyk piwa od Cyklopa. Pierwszy raz od trzech miesięcy nie miał siły iść do Agnieszki. Chwilę się nad tym zastanawiał. Czuł się niekomfortowo – wbrew temu, co mu powiedziała. Byli rozwiedzeni z Jankiem, jasna sprawa. Ale Witek wychował się w Rytowie i miał świadomość, że tutaj kobieta jednego mężczyzny nią pozostaje. Ba, sam tak myślał, rozumiejąc zarazem absurd tego podejścia. Ale nie potrafił wyrwać tego chwastu z głowy. Zwłaszcza jeśli ta kobieta chowa dzieci tego mężczyzny. Dlaczego nie było nikogo, żeby go uprzedzić...

Zawahał się. Nigdy nie zadawał pytań. Dlaczego? Janka nie było, kiedy przyszedł do niej pierwszy raz. Od dawna go nie było, zarówno w jej życiu, jak i w Rytowie. Poprosiła jego tatę o drobną pomoc, ale on wysłał Witka. Wniósł jej nowe łóżko do pokoju, a potem, wieczorem, rozbierał ją na tym samym łóżku. Nie wierzył w chemię, ale wierzył w zapachy, bo przy tej kobiecie mieszało mu się w głowie.

Może taki właśnie był wrażliwy w tych kwestiach. Pracował niegdyś w biurze na Grunwaldzkiej z człowiekiem, którego woń sprawiała, że miał ochotę uciekać. Tutaj odwrotnie – nie mógł opuścić domu Agnieszki Kroniec. A teraz chyba tego żałował. Janek siedział w więzieniu, ale wszystko, co o nim wiedział, napępniało go niepokojem. A przecież, zgodnie z filozofią Witka, w życiu liczył się spokój i to, żeby mógł sobie popołudniami sączyć piwko, oddychać letnim powietrzem i nie przejmować się jutrem.

Agnieszka też wydawała się usztywniona tego wieczoru. Nie miała orgazmu, kiedy się kochali, a to niezawodny znak, że była zestresowana, bo przedtem współpracowali ze sobą jak dwie maszynki. A to, że się niemal nie odzywała, jeszcze bardziej wskazywało na napięcie.

Janek Kroniec siedział w więzieniu. Ponad cztery lata. Witka nie było wtedy w Rytowie. „Robił karierę” w Sączu. Tak gadano w Rytowie,

choć ślęczał nad jakimiś durnymi wykresami i wyliczał pensje dla innych. Czy może być coś bardziej idiotycznego? Pobierał pensję za wyliczanie pensji.

Choćby ręce pokryły mu się krwią, wołał taką pracę, realną. Ale musiał wydobyć informację, co Janek komu zrobił, bo to nie była zwykła kradzież. To nie mogła być jakaś wielka tajemnica. Ale ojciec Witka żywił do Janka Krońca niewyjaśnioną słabość, trudno powiedzieć, z czego właściwie wynikała. Pewnie, jak to z ojcem bywało, z jakichś spraw w młodości...

Witek zapalił papierosa. Policja przemaglowała go w Piwnicznej, jakby chcieli jak najszybciej zrobić z niego sprawcę. Przynajmniej takie odnosił wrażenie. W końcu jedynym jego świadkiem był Aren. Z tego, co sam rozumiał, ciała leżały w wąwozie od niedawna. Zadrżał na myśl, że ledwie parę godzin wcześniej ktoś katował tych ludzi w Żmijowym Jarze – w czasie, kiedy on wyprowadzał owce na górę.

A jeszcze miał na głowie śtryt. Został w niego wplątany, bo to miało im wszystkim pomóc. Całej okolicy, bo „ludzie będą chętniej przyjeżdżać”. Co on w tym jednak robił?

– Dobrze wyglądasz – powiedziała Agnieszka, kiedy leżeli parę dni temu rano, przed jej pójściem do pracy.

– Czyli?

– Jak prawdziwy czarny góral.

Założył kapelusz i wywinął kulą, żeby ją rozerwać, choć wcale mu nie było tak do śmiechu.

Turyści mieliby przyjeżdżać, żeby zaznać tutejszego życia? W Ryttrze, Piwnicznej i jej co bardziej dostępnych przysiółkach organizowano im kuligi, żeby miastowi mogli w ich trakcie pić wodę i nagrywać filmiki na media społecznościowe. A z przodu takiego kuligu – w Rytowie – siedziałby on sam, zastanawiając się, dlaczego to sobie robi, i wspominając, jak fajnie było w klimatyzowanym biurze wyliczać pensje dla innych.

Na drodze się zakurzyło, aż miło. Bezpańskie burki, których było trochę w Rytowie, aż się poderwały. Wzięłyby jednego z nich, ale żaden nie dorównywał inteligencją Arenowi. Przetarł czoło. Samochód policjanta z Piwnicznej grzał pod górę. Zobaczył Rumsztyka, tak nazywano policjanta w Rytowie, a z nim jakąś kobietę o ciemnych włosach. Jechali w stronę lasu.

Zapalił papierosa i głęboko nawdychał się dymu. Ławeczka pod parasolem EB stęknęła. Obrócił się. Boguś Kowalewski i Michał Dońko przysiedli się do niego. Jego zdaniem to byli już regularni pijacy, a mieli do powiedzenia tyle, co jedna z jego owiec.

- Wituś, kurwa.

Czułe powitanie. Z Michałem Dońką chodził do klasy. Robili sobie żarty w przedostatniej ławce, Michaś kapitalnie odgrywał kurę, co doprowadzało do furii Dokalską. Człowiek z gumy. I godone też miał; łazili do peteteku bajerować studentki. To znaczy Michał bajerował, opowiadał o Rytowie i o halach, stworzone i niestworzone historie lokalne. Ale skutecznie. Nieraz się zdarzyło, że licealista Michał zniknął w Żmijowym Jarze z jedną ze studentek...

Jego problem polegał na tym, że od tamtego czasu nie nauczył się żadnych nowych trików. Opowiadał te same historie. A podejście w stylu: „Oj, ty niemądra dziewczynko, pozwól, że ci wytłumaczę...”, pasowało, jeśli w ogóle, do ubiegłego stulecia.

A kiedy Witek wyjechał, skończył studia i wrócił, Dońko, teraz już podpity, z postępującym alkoholizmem, odnosił się do niego przyjaźnie i bez kompleksów. Cały czas łaził do peteteku, ale chyba głównie pić z Ignerskim, równie nieszczęśliwym facetem. Studentki też przestały przyjeżdżać, kiedy baza namiotowa kompletnie podupała.

A Boguś Kowalewski, o twarzy jak rondel i mocno osadzonych piwnych oczach, po prostu łaził za nimi. Był silny fizycznie i mało mówił. Witek trochę się go obawiał, choć nie powiedziała by tego na głos. Obaj, i on, i Dońko, uważali, że Rozenbowie mają się za lepszych od

innych – a studia na WSB, jak nazywano w okolicy szkołę biznesową w Nowym Sączu, tylko ich w tym upewniły.

Podsunęli mu jednak zimne piwko, bo mieli ich na stole więcej. Podziękował i otworzył. Przynajmniej nie musiał się do Cyklopa fatygować po kolejny grybów, a nogi go dzisiaj bolały: zawsze jakiś plus.

– Rozenba, słyszałeś?

– Co słyszałem?

– Bogusia siostry mąż jest na górze. Dzwonił do niej ze schroniska i się wygadał. Znaleźli drugi plecak. Dlatego Rumsztyński tak zapieprzał pod górę. Jak myślisz, kto to zrobił?

Rozenba pokręcił głową, Boguś się wyszczerzył. Siostra, ledwo ją pamiętał... Kowalewskich była chyba z siódemka. Bracia Kowalewscy, Boguś, Janusz, Artur, pracowali w lesie, choć nie tutaj, tylko w Austrii i Czechach. Teraz zjechali do żon, ale z żonami siedzieć nie chcieli – woleli u Cyklopa. Żony też, prawdę mówiąc, były zadowolone. Problem, jak Witek przewidywał, się zacznie, gdy mężczyźni wrócą na dobre.

– Rozenba, kurwa, jesteś tutaj?

Przypomniawszy sobie, że cichy Boguś Kowalewski bywał w szkole agresorem. Pochodził ze stromo położonego domu nad strumykiem, w jednym z bocznych, powoli zanikających osiedli na samym końcu Rytowa. Wszyscy Kowalewscy wychowali się w dwóch zimnych izbach bez prądu. Przypuszczalnie nikt nie wiedział do końca, ile jest tych domów na wysokich osiedlach, ilu ludzi tam jeszcze żyje. Rozwinęły się samopas sto lat temu w czasie boomu drzewnego, a teraz chaotycznie się wyludniały. Mieszkańcy „centrum” Rytowa uważali ich za biedotę i szczerze mówiąc, coś w tym było. Żle tam się działo, nawet kiedy doprowadzono w końcu prąd.

Zaszurgotał zwir. Jakiś kamrat szedł. Trzeba będzie rzadziej zachodzić do Cyklopa, bo choć zimne piwo blisko, samotności tu nie zazna. Tylko patrzeć, pomyślał Witek, jak stanie się jednym z nich. Nieznający wsi obcy – jak ta kobieta w samochodzie obok

Rumsztyńskiego – nie uwierzyłyby, że przy tym stoliku siedzi ktoś po studiach.

W sumie to nie chciało mu się nawijać. Chciał patrzeć na drogę Rytowa i na życie, które się na niej toczy. Na burki włóczące się tu i tam, dzieciaki biegające z rącznikami nad bunior i nawet na starą Michalakową, która odbywała codzienną podróż do siostry na dole wsi.

Co by się nie działo, jedna Michalakowa szła do drugiej. Siedziały na ławeczce przez godzinę i Michalakowa szła z powrotem. Więzy krwi, obie wdowy nie rozmawiały ze sobą, ale potrzebowały posiedzieć blisko i Witek jakoś to rozumiał...

Poczuł ciężar po swojej stronie ławki. Usiadł ktoś duży i ciężki.

Janek Kroniec.

– Ciebie szukałem – powiedział z uśmiechem.

Dońko i Kowalewski wydawali się zadowoleni, że coś się dzieje.

– Mnie?

– Ano tak, ciebie. – I nagle puknął go grubym palcem w klatkę piersiową. – Byłem u ciebie, a ciebie nie było.

Witek nie zareagował, nie potrafił tak szybko. Może dlatego część ludzi, zwłaszcza w dzieciństwie, uważała go za idiotę. Ale może najlepiej określiła go i zrozumiała pierwsza wychowawczyni, legendarna pani Tenerowicz: „Wituś, ty to żyjesz, jakbyś kręcił film o sobie. Tylko że w zwolnionym tempie”.

Pchnięcie paluchem było na swój sposób przyjazne. Przy tym jeszcze nie wiedział, co sądzić o powrocie Krońca.

– Postawisz mi piwo, młody?

„Młody. Sypiam z twoją żoną, skurwysynu”.

Ale wydobył pięć złotych i przesunął po stole.

– Proszę.

Janek nie ruszał monety, jakby ugrał pierwszą stację. A teraz szedł ku kolejnej.

Pięcioletówka ze śladami potu z palca leżała na stole. Kroniec wyjął papierosy z koszuli: prawie pełną paczkę cameli. Wcale nie wyglądał, jakby był bez pieniędzy.

– Mówią, źle się działo we wsi, jak mnie nie było.

Janek nie patrzył teraz na niego.

– Źle? – zapytał przyjacielsko nastawiony Dońko.

– Źle?

– A źle. Wilków przybyło; mówią, że strzelać nie wolno. A owce zabijać wolno. Pierdola, co nie, panowie?

Bogus przytaknął, Michał Dońko się wstrzymał. Janek uważnie przypatrywał się Witkowi.

– Twoje stado cakli się powiększyło, prawda, Rozenba? Tatuś mi mówił.

– Prawda.

– Ano widzisz, Rozenba! I ja tak sobie myślę teraz, że może potrzebujesz kogoś do pomocy.

I znowu to piekielne zbieranie myśli. Tak wolno mu szło po trzech piwkach. Dońko, zmień temat...

Ale Michał też się przypatrywał. Był ciekaw, co będzie dalej.

– Myślę sobie – ciągnął Kroniec – Rozenba jest teraz gazda. Ale parobczoków nie ma. To jak, przyjmiesz mnie?

Zdaje się zamierzał go jeszcze raz puknąć palcem w klatkę piersiową, ale tym razem Witek uchylił się sprawnie. Kroniec, zdziwiony, mało co nie położył się na nim. Schudł, wyraźnie schudł, ale przy swoim imponującym wzroście to dalej było chłopisko sto dziesięć kilo jak nic.

Janek roześmiał się, pokazując ubytki.

– Zabawa. Dobrze. – A potem wstał i skierował się do Cyklopa, z brzdękiem wrzucając pięcioletówkę do kieszeni.

Drugie wejście w las komisarz Ninie Warwiłow wydawało się lżejsze. Może dlatego, że słońce nieco już zmieniło położenie? Rumsztyński, nawijając cały czas przez walkie-talkie, wjeżdżał coraz wyżej. Już miała mu powiedzieć, żeby się zatrzymał – minęli przecież miejsce, gdzie ostatnio schodzili do Żmijowego Jaru, ale po chwili spomiędzy drzew wyłonił się jakiś budynek, być może to sławne schronisko PTTK.

Zszokowało ją, jak blisko było. Wystarczyło tylko wydostać się ze Żmijowego Jaru, wspiąć się kilkanaście metrów w górę zbocza – i już.

Miejsce zbrodni było położone dokładnie pomiędzy wsią a petetakiem, więc na wszelki wypadek trzeba będzie zajrzeć w rejestry turystów. Potencjalnie benedyktyńska praca. Nie miała jednak okazji rozwinąć tej myśli. Rumsztyński skręcił, jadąc teraz zwyczajnie po wertepach, w kierunku stojącego na końcu drogi policyjnego samochodu.

– Dlaczego tak daleko? – wyszeptwała Warwiłow, ale Rumsztyk chyba jej nie słyszał. Jak oni tu, do ogra, jeździli! Pruł po prostu na wprost, po rozjeżdżonym blocku, nawet nie po drodze, kierując się nie wiadomo dokąd. Przecież znowu oddalali się od jakichkolwiek zabudowań, w ogóle od jakiegokolwiek cywilizacji! Nagle Rumsztyk zahamował i wyskoczył z auta niemal razem z drzwiami. Ruszył przez wysokie trawy, spomiędzy których gdzieniegdzie wyrastały pokrzywy. Nina podążyła za nim. To wciąż był ten sam las, ale dobre kilka kilometrów od miejsca, gdzie znaleziono zwłoki.

Granatowy mundur czekającego w chaszczach policjanta dziwnie nie pasował do lasu, do łachmanów Rumsztyka i jej własnej, plenerowej wersji umundurowania, czyli dżinsów (które chętnie zamieniłaby na

szorty), szarego T-shirtu i traperek. Była już cała mokra. Ostrożnie, jak i ostatnio, kierowała się w dół, ale tym razem sytuacja była wyraźnie lepsza. Prowadziła tędy słabo widoczna, ale jednak jakaś tam ścieżka.

Po chwili uświadomiła sobie, że schodzą inną wersją trasy mordercy. Tędy także wiódł przecież niebieski szlak, alternatywnych tras było więc kilka, a tamte ślady równie dobrze mogły absolutnie nic nie znaczyć. Z drugiej strony, tutaj morderca byłby bardziej odsłonięty. Wejście do lasu było widoczne z daleka. Jeśli hipoteza o sprowadzeniu turystów pod przymusem była słuszna, morderca musiałby być wyjątkowo zuchwały.

Powinni jednak to zbadać. Nie była pewna, czy zejście zostało odpowiednio obfotografowane, ale Rumsztyński już zniknął za drzewami, jakby coś go gnało. Ten fragment lasu był wąski, ale – jak to bywało z naturą – urozmaicony, co utrudniało śledztwo.

Kiedy dotarła na dół, pozostali już tam byli – funkcjonariusze, wielu w mundurach. Nie widziała ich w Piwnicznej, ale przecież niewiele jeszcze miała okazję tu zobaczyć. Stali nad strumieniem. Meandrował tu zupełnie inaczej niż w pierwszym miejscu, które zwiedziła. Zbocze było ostrzejsze, a maleńkie wodospadziki rozsadzały sadzawki od góry. Widać tu było siłę i dynamikę, musieli być bliżej źródła.

Funkcjonariusze obrzucili Ninę niezbyt zainteresowanymi spojrzeniami, o wiele więcej uwagi poświęcali czemuś leżącemu na brzegu potoku. Porzuconemu, na wpół namokniętemu plecakowi.

– Nie ruszajcie tego! – wyrwało jej się, bo młody piegowaty funkcjonariusz zbliżał się niebezpiecznie blisko znaleziska, choć niechętnie i nieufnie, jak pies do jeża.

– Najlepiej w ogóle nie podchodźcie blisko – dodała.

Miała wrażenie, że ją lekceważą, że jej opinia nic tu nie znaczy. Pewnie nie wiedzieli, kim jest, i powinna wyjaśnić, że ma najwyższy stopień – wraz z Rumsztyńskim, rzecz jasna. Tylko że ona była wysłanniczką samego Całkiewicza.

Przepchnęła się pomiędzy funkcjonariuszami i ostrożnie kucnęła nad fragmentem ładnie ugniecionej trawy. Obok znajdowało się wilgotne błoto, w którym wyraźnie odbiły się ślady.

- Czy to było fotografowane?

Nie otrzymała odpowiedzi, więc sama zrobiła zdjęcie telefonem.

Podszedł do niej Rumsztyński.

- Numer czterdziesty piąty? Coś w tym stylu? - podjęła.

- Potrafisz tak ocenić?

Wzruszyła ramionami.

- To sporo, prawda?

- Normalny męski rozmiar.

- Tak, ale żaden przy zwłokach nie przekraczał czterdziestu dwóch!

- Bystre masz oko.

- Może mam, może nie mam, ale wiem jedno: ta podeszwa jest większa. I przede wszystkim inna. - Pokazała na zdjęcie, które wykonała telefonem na miejscu zbrodni. - Widać nawet tutaj. - Rozejrzała się. - Ogólnie dobry teren - zauważyła. - Co z plecakiem?

- Jest pusty.

- Znaczący całkiem...

- Tak. Całkiem, kompletnie pusty. - Dłonią w rękawiczkach obrócił go do góry dnem. Wyleciał jakiś papiererek.

Przyjrzała się: rachunek ze sklepu Społem z Sącza - woda, jabłka, batonik Ikar.

- Zachowajcie - powiedziała.

Komisarz wydawał się skonsternowany.

- Co z tego wszystkiego wynika, jak sądzisz?

- Bezsens.

- Przecież sprawca mógł dokonać rabunku, to akurat doskonale logiczne, Nina.

- Nie. Bezsens polega na tym, że tutaj. Skąd są te ślady? Nie było ich na miejscu zbrodni... - Pokręciła głową. - To się nie trzyma kupy -

dodała.

- Dlaczego?

- Jeśli sprawca ukradł plecak - tłumaczyła, bo Rumsztyński nie brzmiał bardzo pewnie - to czemu niby miałby go przynosić tutaj... Rzykować bezsensownie parę kilometrów... Czy to na pewno jest ten sam plecak?

Wydawał się zniszczony, schodzony, ale dobrej jakości. Powłokę miał przykurzoną, ale nieprzetartą. Szwy puściły jednak gdzieś tam.

Pajak - świetna firma, Nina miała jeszcze śpiwór tej marki, tak zwaną kilówkę. Idealną do krótkich wypadów w las, choć niezbyt wygodną do akrobacji wewnątrz we dwoje.

- Pajak, jak i poprzedni - potwierdził Rumsztyński. - Teoretycznie wszystko się zgadza. Może zamierzał uciec z miejsca zbrodni?

- No uciec, jasne, ale z dowodem zbrodni na plecach? Jak daleko jesteście od miejsca odkrycia zwłok?

- Prawie dwa kilometry przez las.

- Dwa kilometry? Zamordowałeś dwie osoby. Uciekasz potem przez dwa kilometry z ciężkim plecakiem na plecach?

- Może nie kontrolował tego, co się dzieje.

- Nie ten sprawca, Andrzej. W jakiś sposób sprowadził ofiary na dół. Zamordował ich cicho i sprawnie, przedtem zmuszając matkę do zdjęcia chusty. I to być może tuż przy jej zamordowanym mężu.

- Zostawił dziecko.

- Może celowo, tylko jeszcze tego nie rozumiemy. A potem ten sam sprawca szwendał się po lesie z dowodem zbrodni na plecach?

- Pokręcił głową.

- Po Żmijowym Jarze nikt nie chodzi.

- Znowu nieprawda. Rozenba zszedł ledwie kilka godzin po morderstwie.

- Więc może powinniśmy go bardziej przepyttać.

- Jasne, ale wróćmy do plecaka. - Pokręciła głową. - Przecież wiadomo, że tam nie ma aż tylu wartościowych rzeczy. To bez sensu. Zostawił za sobą całą masę śladów, jeszcze tak pięknie odciśniętych... Niech ktoś mi to wytłumaczy, bo chyba mam ograniczoną wyobraźnię.

- Nie masz.

- Ale nie rozumiem tego przestępcy. A zazwyczaj staram się zrozumieć. Podążać torem jego myślenia. To powie mi, kim jest. Co tam mogło być jeszcze w plecaku?

- A bo ja wiem. - Rumsztyński wzruszył ramionami. - Prawdopodobnie aparat fotograficzny. To znaczy nie znaleźliśmy, ale wiemy, że Łazęga wszystkie zdjęcia robił aparatem marki Canon EOS RP. - Komisarz zerknął w jakieś notatki. - I nie ma go. Ubrania, karimata, raczej nic o większej wartości, poza tym aparatem.

- Sorry, ale nie trzeba plecaka, aby przenieść taki sprzęt. A czemu nie zostawił ubrań? Przecież to również jest podejrzane.

- Może chciał ukryć...

- Niosąc trefny plecak z miejsca morderstwa? W ogóle w to nie wierzę. Nic tu się nie trzyma kupy. - Znów pokręciła głową. - Zaraz zacznę podejrzewać, że sprawcą jest jakiś miejscowy pijak. Czasem tak jest. Znasz sprawę w Bukowcach w Beskidzie Niskim? Właśnie tak to wyglądało, choć to trudne do uwierzenia... Kiedy nic nie ma sensu, najprostsza odpowiedź jest właściwa, sprawca po prostu nie myśli, tylko my, dochodzeniowcy, mamy jakieś zawyżone standardy. Tam, na przełęczy Warnicy, facet pracował w lesie. Szlakiem szedł turysta, o ile pamiętam, nazywał się Jerzy Marek. Otrzymał cios w głowę i to była zwykła zbrodnia na tle rabunkowym. - Pokręciła głową. Zwróciła się do policjantów na miejscu: - Wszystko mi tu ładnie udokumentujcie. Każdy ślad pięknie zachowany, każdy zapasek udokumentowany. A zwłaszcza, zwłaszcza - podkreśliła - te podeszwy. Chcę wiedzieć, jaka to marka i w którym sklepie kupione.

- Brakuje mi ludzi.

- Dzień jeszcze długi. Zostanę tu, dopóki nie będę miała wszystkiego. W tym miejscu jest kopalnia informacji.

Zostali jeszcze godzinę. Starła się wszystko nadzorować, w miarę możliwości. Słońce zaczynało już zachodzić nad lasem morderców. Dobrze zapisała sobie w pamięci to miejsce. Było nieco zieleniejsze, nieco mniej mroczne. Odwróciła się od potoku i zrobiła dwa kroki w głąb lasu. Widać było trawę, ale nie tylko... Jakiś nienaturalny kolor również zaczął przebijać się między szarymi bukami.

- A to co? - zapytała Rumsztyńskiego.

- Co takiego?

Podeszła bliżej i wskazała dłonią na kolorową szarfę.

- Sama się nie zawiesiła.

Szarfa wydawała się wypłowiała, ale oryginalnie miała kolor... fioletowy? Trudno było obecnie powiedzieć. Zrobiła jeszcze kilka kroków, sięgając dalej wzrokiem.

- Jest tego więcej. Rozumiesz coś z tego?

Rumsztyński wzruszył ramionami.

- Może na potrzeby wywózki.

- Nie wygląda mi na to. Szarfy są blisko siebie, a drzewa stoją. Poza tym jeszcze nie widziałam, żeby drwale zawieszali jakieś wstążki. Chętnie bym się dowiedziała, co to jest.

- Są wyraźnie stare - zauważył Rumsztyński.

- Mimo wszystko. Przecież tu nie ma nawet żadnej drogi, ścieżki... a szarfy przecinają potok tu, gdzie porzucono plecak.

Kiwnął głową, trochę już anemicznie. Wydawał się zmęczony. Ona przeciwnie, była ożywiona. Zyskała sprawę, i to złożoną. Nie miało być prosto i nie będzie. Pomyślała o Rumsztyńskim, może komisarze są tutaj z nadania? Za staż? Pierwszy raz tak o nim pomyślała. Ileś lat w kryminalnym, no i w końcu muszą ci dać ten stopień.

Całkiewicz wiedział, co robi - pomyślała, a potem skarciła sama siebie za pychę. Andrzej nie ułatwiał jej jednak zadania swoim

grubiańsko–obojętnym podejściem. Wyszli na górę i wrócili na miejsce odkrycia zwłok. Tam poprosiła o zrobienie większej ilości zdjęć dookoła brzegu strumienia, gdzie znaleziono Drużyńskich.

Dzień powoli uciekał, kiedy przebywali w katowni, która w jakiś sposób rozciągnęła się na cały ten ponury bór. Bo między zwłokami i znalezieniem plecaka... musiał tu być morderca. Pozostawało pytanie, jak się poruszał i dlaczego zadziwiająco zmienił rozmiar buta na trzy numery większy.

– Nie ma – rzekł funkcjonariusz, ponoć doświadczony w traseologii i wysłany w tym celu do zbadania potoku. – No nie ma śladów. Duch po prostu. Ślady stóp urywają się na miejscu zbrodni. A nawet jeśli, jest to numer czterdzieści dwa. Tu, gdzie znaleźliśmy plecak, czterdzieści pięć.

– Sprawca przeszedł strumieniem. To możliwe. Ale miejsce znalezienia plecaka jest znacznie wyżej, musiałby się wspinać, kaskady są tam bardzo ostre, miejscami trzeba iść na czworaka – wtrącił Rumsztyński. – Może...

– Jest zręczny jak kozica – weszła mu w słowo Warwiłow. – Zna teren albo jedno i drugie.

– Może. Ale Nina – rzekł Rumsztyński, wyraźnie skonsternowany – czy ryzykowałby? Z plecakiem wspinać się po górskim strumieniu?

– Był pewien, że nikt tu nie przejdzie...

– Skąd jednak?

– Właśnie. Przecież szarfy same się nie zawiesiły. To nie jest tak, że tutaj w ogóle nie ma ludzi, prawda?

Nikt jej teraz nie odpowiedział.

Policjanci pracowali, miała okazję jeszcze się rozejrzeć.

Zgodnie z opowieścią Rumsztyńskiego dostrzegła tu sporo krzaczków jagód. Faktycznie jednak jar chyba cieszył się złą sławą albo to jagody stały się mało opłacalne w handlu: owoców było mnóstwo. W Beskidzie Niskim powszechnie straszono bąblowicą, a lisów, które miały ją roznosić, było rzeczywiście od groma.

Jednak w tym kawałku lasu zwierzęta nie miałyby gdzie się schować. Ludzie uczynili z lasu pułapkę, karczując tereny powyżej Żmijowego Jaru i pod nim. A przecież co roku zdarzały się także pożary...

– Czas na nas – powiedział Rumsztyk.

Kiwnęła głową. Była mu wdzięczna. Czuła się zmęczona i chciała już odpocząć.

Wrócili do samochodu i zaczęli zjeżdżać w dół. Głowa dwukrotnie obija jej się o wewnętrzną ramę samochodu. Przynęła w końcu z jedną ręką przy oknie, drugą intuicyjnie na brzuchu. Rumsztyński jechał na szczęście wolniej albo to jej ciało już się przystosowało.

– Dokąd mnie wiesziesz? – zapytała, kiedy zorientowała się, że nie zmierzają w stronę Piwnicznej.

– Chcę, żebyś coś zobaczyła.

Przejechali mostem nad Popradem. Skalista górską rzeką mieniła się brązem przełamanym miedzią. A potem wjechali między domki i w ostatniej chwili domyśliła się, dokąd zmierzają. Pojawił się przed nimi zarys górującego nad doliną gotyckiego zamku.

– Tutaj się musimy zatrzymać – powiedział Rumsztyński i zaciągnął ręczny.

– Tutaj? – powtórzyła.

– Dokładnie tak.

Miała przed sobą widok na zamek, do którego grzbietem wąskiego wzgórza wiodła ścieżka. Wydawał się trudny do zdobycia. Tomek, jej były, zapiałby z zachwytem – zdobywał niegdyś wirtualne zamki w internecie. Niestety okazało się, że nawiązywał w ten sposób poważniejsze znajomości, zupełnie już rzeczywiste.

W milczeniu podążyła za Rumsztyńskim. Ruiny przypominały jej siedzibę Władysława Pałownika.

– Ma już tysiąc lat – rzekł policjant.

Ciężko jej się szło, ale przecież nie mogła powiedzieć o tym komisarzowi z Piwnicznej. Zdawała sobie oczywiście sprawę z tego, że

nie ma się czego wstydzić...

Weszli przez bramę: widniały tu jakieś świeżo wbite tabliczki informacyjne. Wewnątrz jednak nie zastali żywego ducha, czyli było tak, jak lubiła. Wspięli się żelaznymi schodkami na potężne mury. Rozciągał się stąd fantastyczny widok na dolinę Popradu.

- Gdzie właściwie jesteście?

- Na zamku w Rytrze - rzekł, a potem zadeklamował: - „I jest noc nad Popradem patrząca poprzez gęste liście świerków. I miękka jest trawa - miększa od naszych wyciągniętych rąk, zawisłych smutnie ponad wiecznie mijającą rzeką”.

W trakcie dwudziestu lat pracy Nina nie słyszała policjanta recytującego wiersz.

- Jesteś romantykiem - powiedziała.

- Poświatowska. Każdy tu trochę jest romantykiem, a trochę desperatem. Widzisz stąd prawie całą dolinę - rzekł. - Wiesz, że parę kilometrów stąd jest most kolejowy?

- Tak? - zapytała ostrożnie.

- Łączy Stary Sącz z Nowym. Pewnego dnia, parę lat temu, nasza rzeka wezbrała tak mocno, że po prostu zabrała ze sobą ten most... Słyszałaś o tym?

- Nie. Nie mieszkałam tu jeszcze, to znaczy w Beskidzie Niskim...

- Właśnie w tym rzecz, ludzie o tym nie wiedzą. Tutejsze problemy zostają na miejscu. Przeszło odpłynęło, tory zostały powyginane. Poprad zmiądzzył, zmiotł, rozniósł most na strzępy. Połączenie kolejowe ze Słowacją zniknęło na parę miesięcy. - Zrobił pauzę. - To jest potężna górską rzeka. Podobno dwieście lat temu blok skalny Kicarza osunął się do rzeki i Poprad kompletnie zalał Piwniczną. Szły potoki górskie: Wilcze, Roztoka, Zawoja i inne. Zalewały całe pola, dorobek życia. Glina i rumosz wlewały się ludziom do domów, całkowicie je wypełniając. Ludzie, którzy byli w środku... Sama rozumiesz. Powodzie to też głód. Głód był jak choroba, czasem zniknął, ale wracał. To też nie wyszło na

zewnątrz, bo większość problemów zostaje tutaj. I tak było od setek lat. Ludzie musieli na sobie polegać.

– Rzeka dawała też zarobek, prawda?

– Dawała i karała. To jest powiat sądecki, ale określa nas Poprad. Wszystko się do wody sprowadzało. Dawała napitek. Dawała energię do młynów. I karała. Spływało drewno z gór, żeby ludzie mogli przeżyć, bogacze z dolin potrzebowali budulca. Tratwy z ciężkimi kubikami były trudne do prowadzenia, zdarzało się, że flisacy się rozbijali. Ale i tak wracali po towar, bo trzeba było jakoś żyć.

– Rozumiesz – kontynuował. – Góral to nie tylko nasza gwiazda z telewizji, Stasek z Podbukowca, i faceci z ciupagami z Zakopanego. Góral to człowiek, którego natura zahartowała i który podchodzi do niej z respektem. Dla rodziny zrobi wszystko. I zawsze pomoże ci w nieszczęściu, bo każdego dnia może zmierzyć się z tym samym.

– Myślę, że rozumiem.

– To dobrze.

Zapadła dłuższa cisza. Wiatr zawił w koronach wysokich drzew rosnących wokół zamku.

– Jesteś w ciąży, prawda? – powiedział Rumsztyński.

Oczywiście nie było sensu kłamać.

– Skąd?

Wzruszył ramionami.

– Tak mi się wydaje.

Może to nie Gosia się wygadała. Nina wykonywała już ten gest: kładzenia dłoni na brzuchu. Identyczny miała przecież z Miłą.

– Tak.

– Przełożeni wiedzą?

– Tak jakby. – Obróciła twarz.

– Co to oznacza, Nina?

Intuicyjnie wyczuła, że on tylko pyta. Jak dobrze obcowało jej się z doświadczonymi ludźmi, którzy nie zamierzali kierować całym

światem.

A poza tym ludzie i tak wiedzieli, choćby i Karpiuk.

– Nic nie oznacza. Jestem na służbie. Nie mam obowiązku iść na zwolnienie.

– Dobrze. Skoro tu już jesteś, to musimy na ciebie uważać. – Obrócił wysuszoną twarz w stronę słońca i lekko zmrużył oczy. – Widziałem, jak wychodziłaś ze szpitala. Musimy znaleźć mordercę i odesłać cię do domu. Będziemy cię chronić, Nina. Nie mamy innego wyjścia, prawda?

Nagle objął ją ramieniem i było jej nawet dobrze. Nie było w tym absolutnie nic seksualnego.

Warwiłow siedziała obejmowana ramieniem podstarzałego policjanta z Piwnicznej.

Policja znowu kręciła się po lesie; Roma obserwowała to wszystko z bezpiecznej odległości. Tym razem nie musiała wchodzić do Żmijowego Jaru: po południu widziała ich praktycznie stąd. Nie chciała, aby zadawali jej pytania. A tato, jak to tato, miał dzisiaj gości.

Więc ogólnie źle jej się dzisiaj pracowało, wręcz fatalnie. Przypałętała się banda hippisów, kolegów z „dawnych lat” taty. Gdzie były te jego mityczne dawne lata? Od dłuższego czasu ich wspólne życie polegało na zasiedlaniu kolejnych obumarłych schronisk, ożywianiu trupów. Każde, ale to każde pachniało starym, rozmokłym drewnem. A czasami, przy zmianie pogody, wnętrzem słoja z ogórkami.

Nie wiedziała, co zadecydowało o tym, że tata najął właśnie to miejsce.

Z czasem pomyślała, że nie było innych chętnych.

Goście siedzieli do późna, co chwila ktoś zachodził do toalety. Mogliby załatwiać swoje potrzeby pod gołym niebem, co, niby hippisi nigdy tego nie robili? Kryła głowę pod kocem, usiłując zasnąć, aż w końcu odpuściła, sięgnęła do biblioteczki i świecąc sobie latarką, przeczytała całą drugą połowę *Papierowego człowieka* Hammetta. Fajny był ten klimat dekadentckiego Nowego Jorku lat trzydziestych. Śledczy od rana nic innego nie robili, tylko ciągnęli „koktajle”, ale potem i tak wykazywali się błyskotliwą dedukcją.

Obudziła się kilka godzin później, było już po szóstej. Tata chrapał na swoim tapczanie w drugim kącie; obok na podłodze kolega. Spodziewała się jeszcze ciał po biesiadzie, w trakcie której zalewali się łzami, nucąc *Maestro bezdomnego*, *Majstra Biedę* i *Whisky*, ale może zalegli gdzieś na zewnątrz. Nie zamierzała ich szukać. Waszyńskich,

którzy letnimi wieczorami często byli gośćmi taty, nie dostrzegła. Nie miała pojęcia, kiedy znikali i jak dochodzili do swojego domu na polanie po drugiej stronie kościoła w Rytowie.

Oczywiście po kilku głębszych mieli potrzebę kontaktu.

– Koniecznie musimy porozmawiać, mała – szepnęła wczoraj Róża Waszyńska, kiedy w oparach perfum wbiła się do jej „czytelni”.

Roma nie do końca rozumiała, po co tu regionaliści. Tato nie był bacą, nie był nawet stąd. Mieli tylko parę kóz, żeby wyrabiać sery, które sprzedawała turystom. Prawdziwi bace z Łomnicy albo Rytowa, których było kilku i mieli kilkaset sztuk pod opieką, chętnie przyjęliby zresztą gości, ale o własnych siłach nikt stamtąd nie wychodził.

Większość tutejszych znajomych taty budziła w niej awersję. Dońko, Kowalewski... Ten wzbudzał wręcz niepokój.

Musiała zająć się serami na śtryt i chlebem. Nakupiła dodatkowo mleka owczego od Rozenby, a i jeszcze koziego od Wojtka Karpaka, i zamierzała przygotować z tego kilka gatunków. Bogactwo oferty było według taty kluczem do sukcesu. Wyrabiała więc fromage i mozzarellę kozią oraz sery twarde: jeden z pieprzem, drugi z ziołami, a trzeci z papryką.

Tato optymistycznie obliczał, że to będzie ich dodatkowy letni zarobek. Bardzo na to liczył, bo od kilku sezonów zyski były nikłe.

Klął czasami.

– Problem w tym, Ronju, że się ludzie wzbogacili. I jeżdżą teraz na te pieprzone all-inclusivy. Żrą tego kebaba z frytkami. Kiedy u nas tak pięknie. Gdzie im tak będzie?

Chciałaby, żeby kiedyś zabrał ją jednak nad morze. Zdjęcia Morza Czerwonego w internecie wyglądały tak ładnie... Przy tym nie do końca go rozumiała, bo to brzmiało tak, jakby mieli mieć gości na turnusy, a do tego poziomu schronisku było obecnie daleko.

Tato był optymistą, zwłaszcza że nieliczne wyciągi na zboczach Rytowa nie działały, bo było za mało śniegu albo nieregularnie padał. W jesienne i zimowe wieczory przez długie okresy żadna zbląkana

dusza nie zaglądała na Halę Rytowską. Tato dużo spał, sączył te swoje nalewki, a ona brała jedną książkę za drugą i czytała za kotarą. Koza buzowała i było im ciepło w małym wnętrzu. Mieli swoje rytuały, dwa odrębne byty w norce. Nie było aż tak źle.

O szóstej rano, przygotowując serwatkę, Roma zastanawiała się, czy morderstwo wpłynęło – i ewentualnie w jaki sposób – na popularność stryту. W Rytowie uważano, że to się wszystkim opłaci. Ona sama się bała. Byli tutaj, na hali, sami. Może w Rytowie ludzie uważali, że są bezpieczni w domach, które włożyły jeden na drugiego. Tam nigdy przecież nie było zbrodni...

Zerknęła na zegar nad kuchenką. Westchnęła, bo znienacka zrobiło się już po siódmej. Nie zdążyła ze wszystkim, a powinna jeszcze dzisiaj pomóc Cyklopowi w sklepie. Robiła to sporadycznie, kiedy Cyklop zjeżdżał do żony w Piwnicznej. W drugiej ciąży kobieta nie mogła dojechać w zimie do lekarza i tak się przejęła, że zażądała od Cyklopa przeprowadzki.

Zdaje się nie był chętny. I teraz cała wieś się z niego śmiała, że kobita mu uciekła.

Dobrze, wydawało jej się, że sporo zrobiła, zanim hippisi się pobudzili. Starannie ukryła jednak sery w spizarce, za kartonami, bo wiedziała o gościach taty, że potrafią zjeść absolutnie wszystko. Jeden kiedyś pożarł jej kolekcję czekoladek, którą trzymała sobie za książkami, choć połowa z nich była biała ze starości. I tak za nimi płakała.

Skierowała się do szkoły. Nie chciała iść lasem. Maszerowała okrężną drogą, widząc z daleka stada Rozenby, jakby też unikał kontaktu ze Żmijowym Jarem. Wcale mu się nie dziwiła.

Przynajmniej stryt odciągał uwagę nauczycieli od pytania. Już przedtem wydawali się rozkojarzeni, a wraz z morderstwem w ogóle przestali zauważać uczniów. Wszyscy jakby odpuścili. Intuicyjnie wiedzieli, że teraz już nie ma przestrzeni. Byle do soboty.

Cieszyła się, bo jeśli nauczyciele nie zwracali na nią uwagi, to zawsze potrafiła się ukryć. Nauczyła się tego już w pierwszej klasie, kiedy była inna i miała ciuchy z ciuchów. I w Rytowie byli równi i równiejsi, a ona była ostatnia w kolejności dziobania.

Ale była też Magda... Sama zdawała się trochę przytłoczona wsią i nie nawiązywała takiego kontaktu z „elitami” Rytowa. Choć była taka śliczna. W końcu Gośka Tenerowicz, Ewelina Łoś i Angela Łozoń, czyli najbardziej popularne dziewczyny, zaczęły ją olewać, ignorować. To zadziwiające, ale od czasu tej biologii Magda stale zagadywała właśnie ją.

Roma nie zamierzała dawać więcej ostrzeżeń. Może dlatego, że miło było mieć dla odmiany koleżankę. I Magda opowiedziała jej na wuefie całą historię o tym, jak tutaj trafiła. Jak tato stracił pracę w Sączu, ale założył jakiś biznes, a potem stwierdził, że cała dolina jest do dupy, a góry super. Rodzice kupili betonowy klocek po zmarłym gaździe.

Magda opowiadała, jaka była nieszczęśliwa na starcie i jak tęskniła za doliną, ale stopniowo się przyzwyczajała.

– A w ogóle ty jesteś Roma czy Romualda? Przepraszam, bo ja nie wiem... – szepnęła jej po rozgrzewce, zanim zaczęły grę w ręczną.

Wuefiści próbowali zrobić z tego znak rozpoznawczy szkoły – a może kiedyś uda się pokonać Piwniczną i Rytro. Na razie z różnym skutkiem. Dzieci były silne, ale część była wykończona pracą w polu i nie miała sił na grę.

– Gorzej – powiedziała cicho Roma.

– To jak?

Milczała.

– Może być gorzej? Żartuję – dodała Magda i pacnęła ją ręką w ramię.

Przecież to żadna tajemnica, pomyślała Roma, ale bała się, że powie coś nie tak, zrobi jeszcze coś dziwniejszego i straci koleżankę.

– Uwierz mi. Romana...

– Przecież Romana jest bardzo ładnie! – powiedziała głośno Magda, aż się wuefistka obejrzała. – Kojarzy mi się z Rzymem – dodała ciszej.

Roma spojrzała na nią zdziwiona. Taka była geneza tego słowa. Tak właśnie tłumaczył to tato, kiedy go zapytała pewnego zimowego dnia. Wygłosił jej wówczas wykład na temat Cezara, Republiki i Cyncerona. O tym, że Cezar był w gruncie rzeczy wspaniałym człowiekiem, bo dzięki niemu Cynceron mógł osiąść w Tuskulum, odciąć się od polityki i napisać swoje największe dzieła...

Nie miała pojęcia, dlaczego jej to mówił, w ogóle jej to nie interesowało. Ale brzmiało tak absurdalnie, że zapamiętała. Choć to przypadek, że Magda tak powiedziała. To musiał być przypadek. Ale coraz bardziej odnosiła wrażenie, że nadają na tej samej fali.

– Słuchaj, Magda. Fajnie, że ze mną rozmawiasz. Naprawdę. Ale musisz wiedzieć...

Nagle pokręciła głową.

– No, że co? – Magda była uśmiechnięta. Pogodna, ładnie ubrana.

A ona? Ciuchy z taniej odzieży w Piwnicznej oraz z jarmarku, który dwa razy do roku organizowano w Rytowie...

– Nic. Możesz po prostu pożalować, że się ze mną kolegujesz, Madzia.

– Żalować? Daj spokój. – Dziewczyna pacnęła ją dłonią w ramię. – Na pewno niczego nie będę żalować. Masz to jak w banku. Przecież widzę, że jesteś super, tylko to ukrywasz.

Zarumieniła się. Ukrywała. Może właśnie o to chodziło. Może obie były w tej samej sytuacji? Bo życie w petetekach nie sprawiło, że Roma była jak dzieci ze wsi. Tato był z miasta. Tato czytał dziwne rzeczy. Szkoda. Może z innym ojcem byłaby bardziej podobna do dzieciaków z Rytowa, ale była taka, bo on taki był.

Miała jednak coś, swoją słodką tajemnicę. Widziała miejsce zbrodni, gdzie dzieciakom nie wolno było wchodzić. Ale nikt nie znał Żmijowego Jaru tak jak ona. Nikt nie mógł sprawić, żeby tam nie weszła.

- Słuchaj, chcesz ze mną pójść? – zapytała szeptem Magdę na matematyce.

Ostra Kroniec, chcąc nie chcąc, musiała zająć się nadchodzącym śtrytem, bo część odbywała się na błoniach szkoły. Dała im jakieś zadanie z matematyki, ale w sumie nikt nic nie robił: nie mieli jednak jaj, żeby chuliganić na poważnie. Gdyby Kroniec niespodziewanie wróciła, nie znałaby litości.

- Ale gdzie? – szepnęła Madzia.

- No do lasu!

- Tam, gdzie...

- Tam, gdzie – potwierdziła Roma.

- Wiesz, gdzie to jest?

- Wiem.

- Skąd?

- Wiesz, że z tatą... że tata zarządza petetkiem, prawda?

- Wiem. Słyszałam.

Roma kiwnęła głową.

Zarządza. Dobrze brzmiało, zwłaszcza w porównaniu z realiami. Czy w ogóle zarabiali na tym jakiegokolwiek pieniądze?

- Mam tam szałas – powiedziała cicho.

- Co?

Chciała powtórzyć, ale zrezygnowała. Wzięła kartkę i narysowała w zeszytcie domek z gałęzi.

Magda wciąż wydawała się zdezorientowana. No cóż, Roma była bardziej Zofią Nałkowską niż Stryjeńską.

Ale wszyscy w klasie podsłuchiwali, a zwłaszcza dziewczuchy, bo chłopcy byli zbyt zajęci prężeniem się i pokazywaniem, jacy to są wspaniali.

Napisała na kartce.

- Szałas – szepnęła Magda.

Roma potwierdziła.

Napisała: „Chcesz zobaczyć?”.

Magda chwilę się chyba zastanawiała, a potem... kiwnęła głową.

Kroniec niedługo później wróciła do klasy, ale Roma nie mogła przestać się uśmiechać.

Po wietrze w dolinie Popradu i chłodzie lasów na dole żar bijący od betonowych dróg wydawał się trudny do zniesienia. Zapachy szpitalne nie pomagały. Jej węch wilczycy, jeszcze obecnie wyostrzony, tym bardziej cierpiał. Miała wrażenie, że parno jest nawet w prosektorium, gdzie swoją drogę z gór, przez Piwniczną i wzdłuż Popradu do bijącego serca Kotliny Sądeckiej, zakończyła para zamordowanych turystów.

Czytała o nich w gazetach, widziała zdjęcia, oglądała w ich ostatnim miejscu na ziemi.

Czym innym było widzieć teraz te ciała; z licznymi obrażeniami, ranami ciętymi, które nie pozwalały na wątpliwości co do sposobu, w jaki zadano im śmierć.

Kobiecie obcięto trochę włosów. Leżała na plecach, obok niej mąż. W tym samym szpitalu, gdzie badano ciała jego rodziców, leżał chłopiec, któremu klarowała się przyszłość sieroty... Sekcję prowadził łysy doktor, a jarzeniówka odbijała się w jego łysinie jak w wypolerowanej. Może pełniło to swoją funkcję: odwracało uwagę od zbrodni i wprowadzało nutę absurdu do sekcji.

Sama reagowała na to nad wyraz emocjonalnie jak na siebie, po tych wszystkich latach. Pierwszy raz pomyślała, że popełniła błąd, jadąc najpierw do szpitala. Ale chłopiec, choć tak mały, pozostawał świadkiem zbrodni.

- Piętnaście ran ciętych - recytował do protokołu patomorfolog sądeckiego szpitala. - Osiem u niego, siedem u niej.

- Kto umarł pierwszy? - zapytała.

- On. Ale bez stu procent pewności. Trochę wnioskuje z układu zwłok... leżał na brzuchu, jakby został zaskoczony, a ona na plecach.

Rany są w efekcie nieco inne.

To już mógł zostawić im, a nie bawić się w śledczego, choć był jednym z tych lekarzy, którzy absolutnie panują w swojej sali sekcyjnej i, zdaje się, sławą wykraczającą poza powiat.

Podjęła jednak:

– Ile czasu różnicy między zgonami?

– Nie umiem powiedzieć, niewiele. Ale...

– Tak?

– To były precyzyjne pchnięcia. Wskazują na doskonałą znajomość anatomii ludzkiego ciała – wyjaśnił, prawie z szacunkiem w głosie.

– Albo w ogóle organizmu, jakiegokolwiek – wtrąciła.

– Nie rozumiem.

– Jesteśmy w górach, wiele osób ma zwierzęta.

– Wątpię – rzekł z lekką wzgardą. – Mówimy o sprawcy, który dobrze wiedział, jak zbudowany jest człowiek. Wbrew pozorom nie jest tak łatwo zasztyletować kogoś. Proszę spojrzeć. – Wskazał na diagram anatomiczny wiszący na ścianie. – Tu kość, tam kość. Jesteśmy chronieni, inaczej każdy by skonał w pierwszym roku życia.

Zaśmiał się. Spośród osób obecnych na sali – apatycznego Rumsztyńskiego, milkliwego prokuratora i Niny – nikt nie podchwycił żartu.

Wciąż trudno jej było sobie to wszystko wyobrazić. Dwie dorosłe osoby sprowadzone na dno wąwozu...

– Jedna osoba – powiedziała trochę do siebie.

– Słucham? – Lekarz przerwał wywód, nie do końca zadowolony.

– Po mocy uderzeń, kącie, głębokości... czy sądzi pan, że sprawcą była jedna osoba?

– Bardzo ciekawe pytanie – pochwalił. – Wydaje się, że jedna. Wszystkie ciosy są zadane... powiedziałbym taką samą techniką. Z uwzględnieniem znajomości...

- Anatomii ludzkiego ciała - dokończyła za niego. Chyba nie mogła usłyszeć tego po raz trzeci.

Prokurator z Sącza i Rumsztyński zaczęli zadawać swoje pytania.

Padaly hasła: „chwila śmierci”, „godzina”, „obrażenia wewnętrzne”. Doktor z przyjemnością odpowiadał na wszystkie pytania. Miała wrażenie, że służą nie tyle śledztwu, ile pewnej biurokracji.

- Ślady walki? - podrzuciła jeszcze, kiedy sączenie zdawali się spauzować.

- Nie, choć denatka... Ostatnia rana jest szarpana. Moja koncepcja jest taka - zaznaczył lekarz - że może podjęła próbę ruszenia na przeciwnika, po tym jak odstawiła dziecko na ziemię, ale zadał jej kilka ciosów i to zakończyło sprawę. Bo jej obrażenia są głębsze, trochę jakby sprawca sam się bronił przez chwilę i nie kontrolował w pełni siły ciosu.

Zamilkł. Zastanowiła się, czy błędem był brak analizy krwi z miejsca zbrodni. Choć z drugiej strony, z czym Drużyńska miałaby ruszyć na sprawcę? Dysponowała tylko własnym ciałem, z poświęceniem chroniąc dziecko. Matki były do tego zdolne.

- Proszę wybaczyć, ale w dziennikach przeczytałem, że dziecko przeżyło - rzekł doktor.

- Tak.

Pokiwał głową ze smutkiem.

Nina rozstała się z Rumsztyńskim i pozostałymi reprezentantami organów ścigania. Z punktu widzenia śledztwa była jednak zadowolona z sekcji. Dojrzała po prostu dwoje ludzi. Po postaciach z gazet, papierowych, a potem znanych z pewnych wyobrażeń na miejscu zbrodni, zobaczyła osoby.

Wybrała się na spacer, docierając w końcu do malowniczej dzielnicy Piekło, położonej za rzeczką Kamienica, która brała Sącz w wodną klamrę. Była znacznie mniejsza od Popradu, nie mówiąc o potężnym Dunajcu. Młodsza, biedniejsza, skromniejsza siostra, ale równie kamienista.

Załuścińcze, to była zdaje się oficjalna nazwa Piekła. Stara żydowska dzielnica sądecka, miejsce pełne niewielkich drewnianych domków, przywodzących na myśl wiejską zabudowę... Żydzi mieszkali przecież wszędzie, gdzie prowadziła śledztwa w górach. W opuszczonych, zagubionych wioskach beskidzkich, teraz liczących po kilkanaście albo kilka domów, były całe ich społeczności.

Przypomniała sobie, że Karpiuk, pasjonat wszystkiego, co dawne, opowiadał jej o tej dzielnicy. Przed wojną między szeregami drewnianych domków grasował Mendel Miller, żydowski Janosik, a dzielnica była ponoć bogata w domy publiczne. Wciągały nawet lekarzy udających się tam na inspekcję.

Sprawdziła w telefonie adres. Dotarła na ulicę Zdrojową.

Stała przed drewnianym domkiem o prostokątnym kształcie. Był całkiem zgrabny, z kolektorami na dachu. Będzie go można przynajmniej spieniężyć, aby zabezpieczyć przyszłość dziecka, pomyślała nagle.

Czuła ciszę i pustkę. Dom nie miał już właścicieli i w jakiś sposób dało się to wyczuć, choć na taką drewnianą chatkę w mieście pewnie niedługo znajdą się chętni. Musiała stać dłuższą chwilę, chłonąc te szczegóły, bo po drugiej stronie ulicy drzwi się otworzyły. Załuścińcze nie tylko wydawało się wsią – może i mentalnie trochę nią było.

Mała wioseczka w mieście. W gruncie rzeczy była urocza.

– Pani już ich nie znajdzie.

Obróciła się.

– Wiem.

Na ganek wyszła wysoka kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat. Przecierała dłonie wilgotną szmatką. Na nogach miała sabrinki. Warwiłow zazdrościła jej jednego i drugiego. W Sączu panował niemiłosierny upał, jakby całe ciepło skumulowało się w sercu kotliny. Górskie rzeki pracowały, ale nie nadały z chłodzeniem dużego miasta.

– Znała ich pani? – zapytała Warwiłow.

– No oczywiście, że znałam.

Nina zrobiła ruch, żeby wyjąć odznakę. Błąd, może ze zmęczenia, pojęła sekundę później. Schowała, ale kobieta musiała coś wyczuć i intuicyjnie się usztywniła.

– Ale ja nic pani nie powiem. Myślę, że oni nie chcieliby.

– Drużynscy – upewniła się Warwiłow.

– Tak. Pani tu przyszła, dlatego że wtedy... wie pani...

Kobieta przerwała, bo zniecka musiała zająć się kurką, która wybiegła z kurnika. Ale jednak wróciła. Ciekawość, chęć *podzielenia* się wiedzą zwyciężyła.

– O co tu chodzi? – podjęła Nina.

– Nie słyszała pani o napadzie? – zapytała kobieta.

– Nie... – Nina była autentycznie zdziwiona.

– Był napad na ich dom – powiedziała sąsiadka.

– Kiedy?

– No może parę tygodni temu? Od tego czasu my wszyscy się tutaj boimy. Taka spokojna okolica. I nagle...

Ściszyła głos. Warwiłow spojrzała na dom. Był kryty deską (domagającą się odświeżenia), do tego miał ganek, białe okiennice. Spokojny dom, niebijący na odległość po oczach bogactwem – raczej zaniedbaniem.

– Mam nadzieję, że nie było strat.

– Nie wiem. Ale oni byli bardzo przejęci.

– Zgłaszali to gdzieś?

– Policja z pewnością tu była. Ale wie pani, oni i tak wszystko umorzą...

– Wiem. – Warwiłow odparła szybko i z pewnym przekonaniem. – Jakieś szczegóły?

– Arek i Ewa nie chcieli o tym rozmawiać. Może się bali, że złodziej podsłucha.

– Złodziej? Coś ukradziono?

- Na policji więcej pani powiedzą. Bo myśmy tu głównie się zastanawiali. Ale policja była i radiowozy i nawet zadawali pytania... Pewnie wiedzą więcej niż my, sąsiedzi. A pani czym się zajmuje? Pewnie dziennikarstwem?

- Nie, nie dziennikarstwem.

Idąc dalej, Nina zastanawiała się, który to już raz ludzie brali ją za dziennikarkę? Jak według ludzi wyglądali policjanci? Udała się na miejską komendę, przy ulicy Grottgera. Lekko znudzony życiem funkcjonariusz nie zareagował na starcie, ale ożywił się, kiedy pokazała mu odznakę. Wreszcie mogła śmiało użyć autorytetu i stopnia służbowego.

Letni gorący dzień czuć było również w przedsionku. Czekaając na wyższego szczeblem policjanta, Nina przetarła czoło chusteczką. Bluzkę również miała już mokrą. Kleiła jej się do pleców jak druga skóra... Wiatrak ledwo ogarniał wnętrze. Czuła się jak w poczekalni do lekarza w jakimś egzotycznym kraju.

- Pani komisarz? Nina Warwiłow?

Krótko ostrzyżony mężczyzna średniego wzrostu poprosił ją do siebie. Był blady mimo lata; spod podwiniętych rękawów munduru wystawały mu tatuaże.

Nina przedstawiła sprawę. Policjant kiwał głową z ogromną szybkością.

- Owszem, owszem, znamy sprawę! - rzekł. - Przykra rzecz, bardzo przykra, ale dziwna...

Naprawdę wyglądał na zmartwionego. Potarł czoło. Nie wiedziała, czy odnosi się do śmierci w górach, czy napaści, więc sprecyzowała.

- Interesuje mnie kwestia napadu na dom Arkadiusza Drużyńskiego. Słyszałam, że było takie zajście jakiś czas temu.

- Było takie zgłoszenie - potwierdził. - A jeszcze miesiąc temu Łazęga... my go tak tutaj nazywamy.

- Wiem.

- Siedział na pani miejscu! Składał zeznania. Co mogłem zrobić?

- Nie rozumiem.

- Drużyński przyszedł tu do mnie. Chciał, żebyśmy przeprowadzili śledztwo. Uważał, że to była, jak się wyraził, profesjonalna robota.

- Nie rozumiem.

- Niestety, ja też nie rozumiałem. - Aspirant Adam Koronko, jak przeczytała na plakietce, rozłożył ręce. - Mówił dużo, ale kiedy prosiłem, aby wymienili skradzione przedmioty, to nic nie było. Udałem się jednak na miejsce, policjant powinien wszystko sprawdzić, czy nie?

- Zgadza się.

- Okno rzeczywiście było lekko wyłamane, takie trochę wyciągnięte. Naruszone, ale w jaki sposób? Może odpadło przez burze w maju, to stary dom... Przyjąłem sprawę, ale co tu było robić? Umorzylismy. Drużyński jeszcze raz tu przyszedł. Wydawał się zestresowany, ale już się nie kłócił. Wyraźnie nie chciał mi czegoś powiedzieć. Ale wtedy właśnie powiedział mi o profesjonalnej robocie.

- Bazując na...

- Technicznie profesjonalnym wejściu oczywiście. Pani i ja wiemy jednak, że profesjonalni złodzieje obecnie raczej wiedzą, gdzie idą. Nie ryzykują, włamując się do jakiegoś zapuszczonego domu. Mają swoje źródła, my tu mieliśmy kiedyś podobne historie, zna pani takiego malarza, Bolesława Barbackiego...

- Znam.

Odchylił się na krześle.

- Sprawcy w tamtej sprawie weszli czyściutko, zwinęli obraz Barbackiego i po robocie. A tu nic, nawet pieniędzy ponoć nie było w domu. Czy pani rozumie coś z tego?

- Nic a nic.

- No właśnie. Dlatego to zostawiłem. W zasadzie jeszcze czeka na umorzenie. Ale proszę bardzo - rzekł i przesunął w jej stronę papiery. -

Tu są akta, jeśli chce je pani przejrzeć. Przygotowałem pani kserokopię. Tylko proszę tego nie wynosić. Proszę sobie spokojnie przejrzeć, wskażę pani pomieszczenie.

Poprowadził ją do niewielkiego pokoju. Po chwili przeglądała już materiały.

Zdjęcia domu, okna. Wnętrze. To bardziej ją zainteresowało. Całkiem dobre zdjęcia dołączone do sprawy. Wejście było ewidentne, rama wyłamana. Rozumiała, co miał na myśli Łazęga.

Następnie obejrzała pokój. Była wdzięczna za niezłej jakości zdjęcia. Dbając, żeby w kadr nie wszedł cień, zrobiła szybko zdjęcia fotografii swoim własnym telefonem. Obejrzała się na drzwi. Kamera w rogu pokoju wyglądała na martwą. A jeśli była żywa – trudno. Nina pstryknęła kilka fotek materiałom. Robiła to dla śledztwa. Pamięć ludzka bywała zawodna jak diabli. Zajęło jej to trochę, ale wkrótce digitalizacja była skończona.

Przyjrzała się teraz na spokojnie. Pokój wydawał się ładnie urządzone. Porozkładane mapy... i jedna rozwieszona na ścianie na pół pokoju: Karpaty. Półki zawałone książkami. Plecaki. Doskonale już je znała. Te same plecaki pokonały następnie drogę na szczyt Jaworzyny, a teraz tkwiły w tym malowniczym komisariacie w Piwnicznej, ale nie na zawsze.

Jeden, dodajmy, tkwił jeszcze przez kilka dni w Zawoi, parę kilometrów od miejsca zbrodni. Skoro były plecaki... to nie wyjechali. Gdzieś poza zasięgiem wzroku fotografa powinien znajdować się chociażby ten słynny już canon EOS RP – choć jego warto byłoby ukraść. Przecież profesjonalne aparaty, lustrzanki, zwłaszcza takie z dokładnymi obiektywami, były wartościowe.

I zero. Nic nie ukradziono. Wyobrażała sobie, że twórca profesjonalnego bloga podróżniczego mógł mieć więcej cennego sprzętu. Każdy policyjny aparat kosztował minimum parę tysięcy.

Wpatrywała się w zdjęcia dokumentujące napad.

Coś tutaj przykuwało jej uwagę. Okno... było dokładnie obfotografowane. Widziała wytarte parapety, nie został na nich ślad po sprawcy. Podłoga również wydawała czysta. Przede wszystkim zaś nie zauważyła w środku towaru, który miałby być ukradziony: wartościowych rzeczy, które mogłyby skusić złodzieja, a tym bardziej sprawić, żeby to wszystko zaplanował.

Zamknęła oczy, następnie wstała i zebrała materiały. Zwróciła akta aspirantowi Koroncy, przybierając niewinną minę.

Tak czy inaczej, musiała już iść.

Wyszła z Grottgiera, przejechała Grunwaldzką i Tatrzańską. Miała jeszcze jedną ważną sprawę, o czternastej, zupełnie niezwiązaną ze śledztwem. Przejechała ledwie parę kilometrów, co sprawiało wrażenie, że Sączę jest niewielkim miastem. Ale to tylko dlatego, że przemieszczała się głównie w starszej części zabudowań. Wiedziała z map – i autopsji – że miasto powiatowe jak tuba ciągnie się dalej w stronę gór, szerokimi arteriami i trochę nowszymi osiedlami.

Dotarła wreszcie na miejsce, w ulicę równoległą do ciągnących się podłużnych Plantów Sądeckich. Przejeżdżała tędy zimą, wracając ze szkolenia w Nowym Targu, i planty mieniły się tysiącami lampek świątecznych – teraz mieniły się młodzieżą zbierającą się w knajpie pośrodku, ale przede wszystkim wokół niej. Młodzi, lato. Miejskie życie. Nina zaparkowała, wyszła z samochodu i wkroczyła do eleganckiej, odrestaurowanej kamienicy przy ulicy Matejki. Następnie zapukała do drzwi gabinetu doktor Anny Gubrynowicz.

Z każdym kolejnym dniem w Rytowie narastało napięcie, zgoła niezwiązane z morderstwem, lecz ze śtrytem. Przygotowywano cykl warsztatów i pokazów: występy zespołów lokalnych i pokazy tkalnictwa, jarmark... Najgorzej na to całe zamieszanie reagował Aren. Jakby to jego zbrodnia najbardziej dotknęła.

Już od dłuższego czasu na zmianę wyl i zajadle szczekał, ale teraz najwyraźniej zupełnie się rozregulował. Od rana tylko awanturował się na halach, ale od wczoraj po prostu węszył już wszędzie. I wściekle szczekał, jak jakiś głupi burek, a nie mądry towarzysz.

W końcu Witek z wielkim żalem zamknął go za ogrodzeniem. Pies, o dziwo, wyglądał, jakby rozumiał, a nawet jakaś ulga odmalowała się na jego pysku. Ale może dobrze, bo przygotowania szły już pełną parą. Rozstawiano stoły i namioty. Zespoły z Piwnicznej i okolicy zjechały już i szykowały się do prób. Inne trwały: w tle rozbrzmiewał dźwięk heligonki, na której trenował jej lokalny mistrz, Michał Mastalerz.

Śtryt rytowski nie tylko był okazją do pokazania kultury górali nadpopradzkich – był okazją do zejścia się mieszkańców osiedli, których tak rzadko widywano. Mieszkańcy „dzikiego” Rytowa prezentowali się zaskakująco godnie. Los nie wsparł ich posiadłością wzdłuż głównej osi Rytowa, Zawoi, i z tego względu oczywiście uważano ich za gorszych. Witek przypuszczał, że ludzie muszą mieć kogoś gorszego od siebie, żeby jakoś żyć.

Pracował w pocie czoła, pomagając w montażu sceny do pokazów tańca, stanowisk do warzenia sera i warsztatu do wyrobu piszczałek góralskich. To było przyjemne: oderwanie od wszystkich problemów:

zbrodni, związku z Agnieszką i przyjazdu Janka Krońca. Problem z siłą roboczą był dla niego lepszy, wolał mieć taki problem niż Janka.

Po pracy przy scenie zajął się rozstawianiem namiotów gastronomicznych, a nawet poproszono go o ocenę występu dzieci z zespołu tańca „Rytowska polana”. Wyraźnie we wsi, gdzie studia wyższe pozostawały pewną tajemnicą, uważano, że zna się na wszystkim. Nie rozróżniano przy tym, czy jest to zmontowanie sceny muzycznej, czy recenzja zespołu muzycznego. Wszystko to przypominało mu studenckie czasy spędzone z „Latem z radiem”, kiedy to ostatnio był człowiekiem od wszystkiego.

– Dobra, starczy na dzisiaj – powiedział do Róży Waszyńskiej, ocierając pot z czoła i uśmiechnął się do niej.

W przeciwieństwie do swojego męża, uchodziła za jedną z najbardziej pracowitych osób w Rytowie – gdyby nie zwariowany Marek, ich opinia byłaby nieposzlakowana. Waszyński dużo opowiadał o Nadpropradziu, ale ona działała. Pomagała przy publikacjach Ośrodka Kultury w Piwnicznej-Zdroju bądź Sądeckiego Parku Etnograficznego. Założyła lokalne stowarzyszenie, którego szukali potem ciekawscy, ostatecznie trafiając do jej domu, ale każdego zawsze potrafiła ugościć kawą i opowieściami.

– Napracowałeś się, Wituś. Odpocznij.

– Dobrze. Odpocznę, jak pyrtnę.

– Taki jesteś, Wituś, młody, a już o śmierci...

– Żartuję, Różyczko.

Wydawała się jednak zafrasowana. Wytrzeszczyła na niego swoje wielkie oczy w okularach.

– Jak ty się z tym wszystkim czujesz, Wituś? – rzekła z troską. – Co ty o tym wszystkim sądzisz?

– Ja?

– Mam wrażenie, że nikt się ciebie nie pyta.

– Jestem tylko pasterzem.

- Obydwoje wiemy, że nie tylko. Powiedz mi lepiej...
- Tak?
- Czy na pewno zdążymy?

Miał ochotę położyć jej dłoń na ramieniu. Ceperka, a najbardziej aktywna w przygotowaniach. Od szóstej rano była na nogach: koordynowała organizację warsztatów zielarskich i serowarskich. Tym ostatnim miała się zająć osobiście. Mimo że sądeczanka, to jak prawdziwa gazdini miała zademonstrować cztery etapy warzenia sera, w tym nawet wyrabianie serów klaganych z udziałem podpuszczki wołowej.

Witek zapalił papierosa. Nie chciało mu się stąd specjalnie zbierać, mimo że pracy było od groma. Musiał pójść do ojca i odbyć z nim rozmowę... Szedł, upajając się letnim wieczorem w Rytowie. Po stronie Jaworzyny na zboczach widział traktory. Za miesiąc zaczną się sianokosy, czekał na kopy smażące się w słońcu. Rodzice, jeśli dadzą radę, wyjdą z nim na polanę zagarniać siano. Nie było lepszego miejsca na świecie i nie było lepszego widoku. A potem dożynki. Kiedyś uwielbiał te letnie imprezy, tam pierwszy raz się spił, a potem zasnął na łące i obudził się z głową we własnoręcznie przygotowanym snopku. Fajnie było.

W Sączu, a nawet w Krakowie, śniły mu się te wąskie doliny, to słońce błyskające w powierzchni strumienia wieczorami. Ludzie wracający z pola. Dźwięk traktora, kombajnu. Snopki w kilku chłopów spychane w sierpniowym słońcu do zagrody na dole. To głupie, ale kiedy wspólnie wynajmowali (chyba w siedemnastu) stary dom koło Rynku w Sączu i imprezowali, on puścił sobie dźwięk traktora. Oczywiście na słuchawkach, bo nie chciał mieć najbardziej oczywistej ksywy świata do końca studiów.

Wspiął się w końcu do domu rodziców. Czarna ściana lasu majaczyła gdzieś tam daleko przed nimi. Witek mieszkał tak od pół roku i chyba nadszedł czas na jakieś ruchy. Zbierał informacje o wolnych działkach; wszystkie wydawały się poza jego możliwościami finansowymi. Ludzie

się wycwanili: nauczyli się robić pieniądze na dopłatach (derkacze, ochrona traw), na dzierżawie latem pod stada albo sprzedaży na dacie dla mieszkańców kotliny. Witek dobrze zarabiał w Nowym Sączu, ale był biedakiem w Rytowie – ironia losu. Który to los sam sobie wybrał.

Aren już nie szukał. Zasnął. Witek podszedł do pieska i podrapał go za uchem. Pies zamruczał. Witek westchnął i udał się za dom, sprawdzając, czy tato nie kręci się po drewnitni albo zagrodzie dla kóz. Cakle, konkretne stadko, spały w koszarze.

Ale ojca tam nie było, choć czasem popołudniami przychodził z nimi pogadać.

Wszedł do izby. Mama gotowała zupę na blasze. Sucha, delikatna kobiecina. Od kiedy tu przyjechał, miał ją ochotę objąć, ale nie wiedział, jak by zareagowała. I nie wiedział, co to oznaczało, że chciał ją objąć.

– Mama, jest Janek Kroniec?

– A co pytasz, Wituś? – Tato pojawił się znikąd. Może siedział w cieniu. – On już mieszka tutaj?

Mama się uśmiechnęła, zadowolona, że nie musi wchodzić w męskie rzeczy.

– Ostatnio tak – odparł Witek.

– No nie mieszka. Może u Cyklopa siedzi. Czego ci potrzeba od Janka?

– Nic mi nie trzeba. Ale proszę, żebyś dał mu pracę. Możemy go nająć do pomocy, jeśli tego chcesz.

Mama wycofała się do kuchni. Też miała pracę na śtryt: szyła chołostnie z czarnej wełny. Dobre wykorzystanie, bo z wełny owczej teraz nie było żadnego pożytku. Kosztowała na skupie całe 2 złote za kilo.

Ojciec siedział chwilę w milczeniu.

– Wituś, zrozum go też. Złe miał życie...

– I ono kazało mu załatwić tę dziewczynę? – powiedział głośniejszym głosem, niż chciał, bo zdążył już się wywieźć tego i owego.

– Poszedł za to do więzienia. Nie sądź wszystkich.

– Wiem, wiem... – Witek pokręcił głową, bo nie chciał wchodzić z rodzicami w dyskusję. – Gdzie ja go znajdę?

– Wiesz ile ja, synek.

Zgodził się dla rodziców, ale teraz musiał chodzić za najmniej pożądanym pracownikiem najemnym w Rytowie.

Janek Kroniec był u Cyklopa oczywiście.

Gorzej: siedział z jego własnymi kolegami.

Jakoś nie wpadł na to, że Dońko będzie się kolegował z Krońcem. A może nawiązali kontakt, kiedy ostatnio ich ze sobą poznał. Nachylali się do siebie. Dońko puścił mu oko, ale wydawał się zmieszany, kiedy go zobaczył.

Witek przysiadł tuż obok. Rozmowa ucichła. Nie miał ochoty na piwo. Nie z Jankiem, choć nie wiedział, co go najbardziej denerwuje. Wyrok, przesiadywanie u ojca. A może to, że miał dwie urocze dziewczynki z Agnieszka, że z jego nasienia powstały.

– Jutro o szóstej rano – rzekł krótko.

Janek pociągnął łyk piwa.

– Nie idę.

Zapadła cisza. Pogodny Dońko zaczął szurać podeszwą po żwirze.

– Nie idziesz?

– A nie. – Obrócił się. – Powiedziałem wyraźnie.

Mimo słów starej Tenerowicz o zwolnionym tempie, Witek poczuł, jak się w nim gotuje. To nie była prawda, co mówili. Gotowało się w nim strasznie, tylko udawał, że nie. Wkładał energię, żeby tego wybuchu nie było widać, bo jego wybuch był okropny, nawet dla niego samego – ale w pewnym momencie też przyjemny, jak wyzwolenie z więzów.

Uświadomił sobie, że może Kroniec wyczuwa to i cynicznie do tego dąży.

Opanował się i postronny człowiek nie dostrzegłby wściekłości, która wciąż się w nim tliła.

– Myślałem, że chcesz.

Janek nie obracał głowy.

– Więc już nie chcę.

– Coś się stało?

– Stało się, że się odwidziało.

Inni parsknęli śmiechem, jakby to było śmieszne.

Dońko też się uśmiechnął.

– Dobra.

– Wituś, zostań... – rzekł Dońko przyjaznym tonem. – Jeszcze wcześniej.

– Jest jeszcze robota – odrzekł i choć wziął grybów u Cyklopa, to już się nie cofnął za płotek.

Opuścił sklep, ale wcale nie wrócił do domu. Nigdzie mu nie śpieszyło. Niedaleko była taka ziemia niczyja, po tym, jak stary Pająkiewicz wykitował, a rodzina nie mogła się dogadać co do własności. Witek lubił takie gospodarstwa, co roku przybywało ich jedno, dwa we wsi. Jeśli w ciągu roku się nie sprzedało, to oznaczało impas na lata. Czasami rodzina przyjeżdżała zaorać pole, ale gazdówka umierała.

Pająkiewicz mieszkał na skarpie, po prawej stronie drogi. Witek przeszedł przez dziurę w płocie i miał stąd punkt widokowy na Cyklopa. Usiadł przed rozpadającą się chatą, którą każda zima zdawała się sprowadzać bliżej ziemi. Miał czas. W końcu chłopaki się rozeszli. Boguś był mimo wszystko żonaty, zaś Dońko spadał z ławeczki, a Cyklop nie lubił u siebie zwłok.

Ale Janek wyszedł dość pewnym krokiem. Witek wysunął się z krzaków i poszedł za nim, zachowując może sto metrów odległości.

Droga w górnej części Rytowa była pusta. Szedł niewidoczny poboczem. Janek gwizdnął, a pewnym momencie pierdnął przeciągle –

ale się nie obejrzał.

Problem w tym, że nie szedł w stronę żadnego domu. Absolutnie. Zresztą tu już nie było opuszczonych. Minał ostatnie domy, w tym Witkowy, oraz starą leśniczówkę, sprzedaną ostatnio w prywatne ręce.

Nie skręcił nigdzie. Szedł prosto do lasu.

Witek podążał za nim, aż dotarł na skraj drzew, jakby chciał się upewnić, że Janek już nie wylezie ze Żmijowego Jaru. Kroniec zniknął w miejscu, w którym teraz zwyczajnie żył.

W poczekalni unosiła się sterylna woń, od dawna już kojarząca się jej z prosektorium. W gruncie rzeczy dużo było podobieństw między tymi dwoma miejscami. Człowiek był istotą drapieżną – sama wiedziała o tym najlepiej – ale przychodził na świat najbardziej bezbronny ze wszystkich stworzeń.

Nina czekała, patrząc na kobiety z dużymi brzuchami. Niektóre wydawały się radosne, spełnione, inne ze zmarszczką zmartwienia na czole. Ale nie sposób było stwierdzić, czy to z powodu problemów medycznych, czy zupełnie innych, osobistych...

Czy na jej twarzy postronny człowiek dostrzegłby ten grymas niepewności samodzielnej matki niedługo dwojga już dzieci? Teraz w jakiś sposób przerażało ją to wszystko mniej niż w 2012 roku. Wówczas była przestraszona, zastanawiała się nad wyjściem z tego w inny sposób. Teraz w ogóle nie brała pod uwagę innych opcji.

Przeżyła cud istnienia, jakkolwiek by to patetycznie nazwać; miała za sobą cudowne w gruncie rzeczy doświadczenie z Miłą, kiedy przeżywała wszystkie emocje dzieciństwa od nowa.

Zabrała ze sobą pedantycznie uzupełnianą teczkę: badania krwi, krzywa cukrowa, wymazy, testy na toksoplazmozę i inne choroby. Po wywiadzie z położną (jak pani śpi, jak się pani czuje, jak pani je, mdłości no i waga...) została poproszona do środka. Trochę się denerwowała, że znowu ktoś wspomni o jej wieku, ale nic z tych rzeczy. Lekarka była profesjonalna.

Teczkę, w której kompletowała badania (przynajmniej w dokumentacji była, siłą rzeczy, niezła), trzymała na kolanach jak

uczennica. Razem z lekarką wpatrywała się w ekran. Oglądały narządy wewnętrzne, kręgosłup, główkę, słuchały bicia serca.

Kim jesteś, nowy bycie?

Na początku wizyty lekarka zapytała:

– Proszę wybaczyć, ale dlaczego pani do mnie przyszła? Widzę, że ma pani lekarza prowadzącego w Gorlicach. Doktor Wesolowski to dobry specjalista.

Ach, te lokalne sprawki. Gorlice i Sącz, Sącz i Gorlice... Zaraz się okaże, że ginekolodzy mają romans albo przynajmniej wspólnie przemierzają na biegówkach śnieżne trasy koło Banicy.

– Mam. Ale jestem tutaj służbowo i... – zawahała się Warwiłow.

– Tak?

Jednak Gubrynowicz wydawała się ciutkę sroga. Nina, sama kobieta na stanowisku, czuła się zbita z tropu.

– Nie wiem, czy pani się to wyświetliło.

– Mianowicie?

– Jestem u pani zapisana również na USG drugiego trymestru. Już za parę dni. W Gorlicach nie ma takich możliwości. Dlatego przyszłam.

Lekarka zerknęła w komputer.

– No widzę, rzeczywiście. Pacjentka bezpłatna. Ale to w innym pomieszczeniu, inna wizyta.

– Rozumiem.

Kolejne przywileje wieku. I z Miłą miała je za darmo, a teraz to w ogóle.

– Czemu pani przyszła dzisiaj?

– Chciałam się upewnić, jak moja forma, a raczej jak forma... dziecka.

– Nie ma powodów do obaw. A dokładne badania i pomiary, zgodnie z wytycznymi, zrobimy za parę dni.

– Uff – zaśmiała się Nina. Trochę aby rozładować własne nerwy, ale lekarka pozostała niezwykle poważna.

– Powinna się pani jednak oszczędzać. Zwłaszcza w pani wieku.

A jednak to padło.

– Powiedziała pani, że przyjechała tu pani służbowo, zgadza się? –
dodała Gubrynowicz.

– Tak.

– Czym się pani zajmuje? Jakaś podróż z firmy?

– Można tak powiedzieć.

W Gorlicach powiedzieliby raczej „z budy”. Ale „firma” też mogła zagrać na oznaczenie komendy. Kontynuować tematu nie trzeba było.

– W każdym razie musi się pani poważnie zastanowić, kiedy pani zamierza udać się na zwolnienie. Musi pani o siebie zadbać. Tętno ma pani trochę niskie...

– Zawsze miałam – wtrąciła Warwiłow. – I biegam regularnie. To znaczy biegałam, oczywiście. Ale jeśli wszystko jest dobrze...

– Szanowna pani. – Lekarka skierowała na nią spojrzenie. – W trzecim trymestrze zalecam już naprawdę odpoczynek. Wiem, jakie są czasy. Ale często świat bez nas się nie zawali, a kobiety chroni prawo, prawda? Proszę na siebie uważać. Przejorny zawsze ubezpieczony.

– Tak.

Doktor Gubrynowicz kiwnęła głową, ale nie wydawała się w pełni przekonana.

Nina wyszła lekko skołowana. Huśtawka nastrojów: cięża znów wydawała się czymś surrealistycznym. Może dlatego nie powiedziała Wojtkowi. Bo gdyby powiedziała, to stałaby się w pełni realistyczna. A to wywoływało ból brzucha.

Prawda była niezbyt korzystna. Była samotną matką z dwojgiem dzieci. Nieślubnych, choć to może bez znaczenia w tych czasach. Wyłaniała się naga prawda: sama nie otrzymała od losu pełnej rodziny, w zasadzie tylko ojca alkoholika, i wychodziło na to, że nie potrafiła stworzyć własnej.

Zerknęła na zegarek: wybiła już szesnasta. Do której pracowało się w Nowym Sączu, czy do 15 jak w Gorlicach? Po to, żeby ludzie mogli się potem cieszyć świętym spokojem na swoich włościach i w spokoju hodować marchewki?

Na szczęście dla niej, dzisiaj dynamiczny biznesowo Sącz nie zamierzał wypuszczać swoich pracowników tak wcześnie. Minęła rynek, baner Korala (ciekawe, czy i tutaj również trwały spory o lody) i ponownie przejeżdżając przez tę lekko zabiedzoną Kamienicę, dotarła do zgrabnego wieżowca.

Wielka zaleta małych miejscowości: automatycznie policzyła, że z Załubińcza Drużyński miał nie więcej niż dziesięć minut samochodem. Sama się trochę pogubiła bo na gorlicką komendę dojeżdżała tyle, co w Warszawie. Chociaż w swojej dolinie Brzennej żyła tak naprawdę w Beskidzie.

- Powiem pani szczerze, lubiłem tego chłopaka jak diabli... - opowiadał jej chwilę później menedżer (zgodnie z plakietką!) firmy produkującej drzwi stalowe. W tle widziała wejście do fabryki. Ciężarówki wjeżdżające i odjeżdżające z logo firmy.

Poważne przedsiębiorstwo. Sącz potęgą materiałów budowlanych i wykończeniowych: większość z tego, co kupowała na swoje potrzeby, wyprodukowano właśnie tutaj.

- No bardzo był fajny chłopak z tego naszego Arczka - kontynuował facet. - Chociaż wiem, że nie miał serca do tej pracy. Było gdzie indziej.

- Czyli gdzie?

- W górach oczywiście. Proszę pani, są ludzie ambitni. Jak ja. Są tacy, co chcą się tylko w spokoju napić piwa wieczorami, czy coś w tym stylu. Nie potrzebują wiele. A są tacy... Jak nasz Łazęga. Myśmy go tak wszyscy nazywali, wie pani...

- Wiem.

- Pracował tyle, żeby realizować coś ważniejszego, przynajmniej dla niego. Rozumie to pani?

- Tak - odparła. Pomyślała, że może lepiej niż „menedżer” myśli.

- Więc widzi pani. Ja to rozumiem. Czasami wysyłał mi wiadomość, że nie może być w pracy. Wiedziałem, że to nie dlatego, że jest pijany albo zachlał w sobotę, jak co poniektórzy. Otóż wiedziałem, co robi.

- Czyli znał pan jego plany?

- Pani ma na myśli...

- Eskapady. - Zrobiła ruch dłonią. - Podróże...

- Żartuje pani? Nikt nie wiedział! Był zamknięty w sobie, a dla nas, pasjonatów jego bloga - zdradził się menedżer - to był sekret...

- To nie rodziło problemów w pracy?

- Dobre pytanie! Ale byliśmy liberalni, o ile stan urlopu się zgadzał.

- Zgadzał się?

- Brał czasem bezpłatny, fakt. Ale ogólnie wykorzystywał weekendy. Z pracy wywiązywał się znakomicie. Był profesjonalistą. A co do tajemniczości jego wypraw... - Menedżer uśmiechnął się jak mały chłopiec. - Wiedziałem czy nie, to podbijało jego wartość, rozumie pani, jak to działa, prawda?

- Tak.

- Więc nie wiedziałem. Szkoda. Żałuję chłopaka, bo był naprawdę niezwykły. A przy tym wie pani co?

- Tak?

- On tak dużo chciał. Wiem, że nawet więcej niż blog. Żeby było jasne, uważam, że to były świetne materiały. Miał u nas w firmie dużo fanów, tak jak mówię. Ale zawsze można więcej... Areczek miał to w oczach. Ja sam to muszę widzieć w oczach, kiedy kieruję zespołem.

- Oczywiście, to konieczne - powiedziała szybko, żeby zachęcić go do „godki”.

- Głód, proszę pani - kontynuował. - Może nie kierował energii ku firmie, choć był kompetentny. Energię i ambicję miał! Wiedziałem, że kiedyś wyjdzie z tego coś jeszcze. Miał pomysł na siebie.

- Ale nie w firmie... - spróbowała sprecyzować.

- Sporo ludzi pracuje, kiedy im się każe - kontynuował swoje menedżer. - Robią, żeby potem wyjść z pracy, mieć z głowy. On był... marzycielem. Artystą! Z tego, co wiem, nie miał jakiegoś wielkiego wykształcenia, ale miał coś więcej, potrafił wymyślać sobie swój świat i patrzeć szerzej niż na kotłnię i nasze Beskidy. Odwagę, jak przy tej wyprawie na raketach śnieżnych. Miał cechy górala, mimo że nim nie był, bo myśmy tu przecież Lachy...

Tu ni stąd, ni zowąd zaczął nawijać o Lachersach, swoim ulubionym zespole, którego koncert jej polecał. Obiecała zapamiętać.

Po wyjściu z firmy zadzwoniła jeszcze raz do brata Łązęgi, Piotra Drużyńskiego. To był już trzeci telefon do niego, ale Drużyński ostatnio wreszcie odpisał na jej wiadomość i poprosił o kontakt właśnie dziś.

Nie odbierał tak długo, że zaczęła tracić nadzieję. A kiedy w końcu się udało, nie dał jej dojść do słowa, tylko zaczął wystrzeliwać z siebie słowa jak z karabinu.

- Będę. Będę!

- Ale dziś? - zapytała z nadzieją.

- Nie, nie dziś. Robimy dziś projekt do późna i zostałem w Suwałkach. Ale nie zawiodę pani.

Suwałki...

- Nie zawiódł mnie pan, po prostu chciałabym spokojnie porozmawiać, może przez telefon.

Tak słabo go słyszała, jakby odległość, bez mała siedemset kilometrów, robiła tu swoje.

W sumie to nie brzmiał jak biznesmen, tylko przemytnik papierosów z Białorusi.

Może wszyscy mężczyźni z tej rodziny byli dziwni.

- Nie, nie przez telefon. - Tylko ją upewnił w tym wrażeniu. - Za parę dni.

- Super. - Westchnęła w duchu. - Przyjadę do Sącza. Tylko proszę mnie uprzedzić, dobra?

Potwierdził. Odłożyła słuchawkę.

Mogła wracać.

Musiała i tak przeprocesować wszystko, co się wydarzyło, nowe informacje. Przede wszystkim z sekcji: on zginął pierwszy, ona prawdopodobnie się broniła. Tajemnica, która ją frapowała, pozostała jednak nierozwiązana: jak i którędy zeszli do wąwozu. Na to pytanie nie mogła odpowiedzieć nawet najbardziej wnikliwa, przeprowadzona przez lokalną gwiazdę sekcja. Nina musiała poradzić sobie sama. I jeszcze dziwny napad, w trakcie którego nic nie zginęło.

A potem wizja roztoczona przez tych, którzy mieli do czynienia z Drużyńskim.

Łazęga, za dnia sumienny pracownik, po godzinach marzyciel, podróżnik, wagabunda...

Jeszcze nie nadszedł wieczór. Zawróciła w stronę rynku, wypięła w przelocie kawę, podziwiając neorenesansowy i neobarokowy gmach ratusza i podjechała do szpitala.

Zawahała się, ale miała przecież blisko. Wkroczyła do środka.

Weszła spontanicznie, ale coś ją tu ciągnęło, i to nie tylko jako śledczą. Wślizgnęła się na oddział pediatryczny. Nikogo się nie pytała. Tym razem w środku była jeszcze dwójka starszych osób.

Chłopiec, mały Sebuś Drużyński, nie spał.

Zadrzała, kiedy popatrzył na nią wielkimi, piwnymi oczami o migdałowym kształcie. Pomyślała, że jej wizyty stanowią również pewną dziwną formę pokuty. Tylko wobec kogo?

Nagle starsza pani pojawiła się za jej plecami.

– Ja z policji – wymamrotała Nina, lekko się czerwieniąc.

– Wiem – odparła spokojnie kobieta. – Rozumiem. A ja tylko stara babcia Drużyńska.

Faktycznie, nie wyglądała zbyt młodo. Może się postarzała po śmierci syna albo był późnym dzieckiem. Babcie w Warszawie wyglądały teraz szalowo.

- Sebuś chciał autko - dodała kobieta.

- Ostatnio... - Nina zawahała się. - Czy on mówi...?

- Niewiele. Pić, auto, jeść. Jeszcze malutki.

- Wiem. Mam małe dziecko - uśmiechnęła się Nina. - Czy pani może... - Znowu urwała. Co właściwie chciała powiedzieć? Jaki to miało sens?

Mogła ją przepyttać, ale w tym pokoju traciła energię. Jakby towarzystwo Sebusia zabierało jej moc śledczą, ale wciąż chciała tu być.

Kobieta kiwnęła głową.

- Wiem, o co pani chodzi. Spróbujemy - powiedziała kobieta. Spojrzenie miała twarde. - Musimy znaleźć sprawcę, tak? - Przejęła nagle inicjatywę. - Sebuś - pogłaskała go po głowie - pamiętasz, jak ostatnio byłeś z mamusią i tatusiem?

- Mama...

Warwiłow poczuła łzę na policzku, otarła ją szybko.

- Był ktoś jeszcze?

Chłopiec patrzył, a potem wymamrotał coś.

- Sebuś? - zapytała babcia, ale milczał.

Kobieta spojrzała lekko bezradnie.

- Pić - powiedział ponownie chłopiec, teraz wyraźniej, i wydawało się, że patrzy również na Warwiłow. - Pić...

Babcia chłopca spojrzała na nią ponownie.

- I on tak cały czas - szepnęła. - To nie ma sensu.

- Rozumiem.

- Zawsze strasznie dużo pił. Wody, sokków. Moja synowa pytała: Ile można pić - powiedziała ze śmiechem. - Ale wie pani co?

- Tak?

- Proszę spojrzeć. - Przyniosła chłopcu szklankę. - Wcale jej nie tknął - dodała. - Jakby zwyczaj mu został, ale wcale już nie był spragniony. Rozumie pani coś z tego?

- Nie.

- To niestety tak jak ja.

Dała mu autko w kolorze czerwonym, chłopiec zaczął jeździć po kołdrze, wydając nieartykułowane dźwięki. Już nie zwracał na nie uwagi. Miał radość z zabawy.

Nina wyszła, ściskając na pożegnanie dłoń babci chłopca.

Szklanka wody nieruszona stała na szafce.

Dzisiaj na szlaku był zaskakujący ruch. Turyści szli z obu stron, jakby wzięli ich w kleszcze: od strony lasu, przy starej, zakopanej w ziemi piwniczce, od Uhrynia, Juchówki i Diabiego Kamienia, a z drugiej strony od Hali Pisanej i Sarniej Łąki. Jakby z opóźnieniem zareagowali na morderstwo, Roma była pewna tej zależności. Słyszała szepty, kilkoro turystów na górze chciało zadać jej pytanie, więc przyjęła pozę zapracowanego kopcieszka i zniknęła na dole.

Uwijała się rano po to tylko, żeby planowo spóźnić się na matematykę. Nie była z tego powodu dumna. Znowu jej się upiekło; ale czuła się też podekscytowana i cały czas chciało jej się śmiać... Chciało jej się śmiać, ponieważ stryż wszystkich tak bardzo zajmował. Ale przede wszystkim chciało jej się śmiać ze szczęścia.

No i ten tata. Wczoraj się upił po raz setny tego lata („lato jest, żeby pić, a zima, żeby spać, kochanie!”) i znowu zaczął nawijać kompletnie niezrozumiałe teksty o mamie. Umarła, jak Roma miała dwa lata, na jakąś nagłą chorobę. Tak przynajmniej mówił tato. Jak była bardzo mała, lubiła o niej słuchać, ale teraz już nie.

- Tatus - przerwała mu - a może już dosyć tej cytrynówki, co ją robisz na zimę?

- W zimie nie będę przecież...

- Wiem, wiem, jest czerwiec.

- Muszę sprawdzić, czy dobra.

- I jak?

Błysnął zębami.

- Jeszcze muszę nad nią popracować. Gorzka.

Uśmiechnęła się, może odczuła nawet pewną ulgę. Przy przerażonych ludziach z Rytowa, przejętych i podnieconych turystach, tato z kolei wydawał się w ogóle nie przejmować tym, co się dzieje. Połknęła na wiosnę kilka książek Kundery: tato był taki, jak doktor Tomasz z *Niezdolności lekkości bytu*. Chociażby chciał, to chyba nie umiał twardo stąpać po ziemi. Albo dawno, dawno temu postanowił, że zwyczajnie nie będzie, i bardzo się tego trzymał.

Ignerski żyje w swoim świecie. Tak mówili ludzie w Rytowie i mieli rację. Wieczorem, na komputerze, bo telewizor się nie mieścił w kanciapie, obejrzeli film, który udało jej się ściągnąć w szkole, gdzie było stałe łącze. Ramotka: Zbigniew Cybulski biegnący na pociąg... Tato najpierw nawijał przez pół godziny, jaki to jego ulubiony film – a potem gwałtownie zasnął, chrapiąc głośno.

Również klasyka.

Ale i tak się dzisiaj uśmiechała, bo w końcu miała w szkole koleżankę. Magda jawnie już olała inne dziewczyny i Roma nie zamierzała jej ostrzegać. Zrobiła swoje, a jej samej nagłe zaangażowanie w relacje towarzyskie mogło przynieść inne skutki. A może dlatego, że zrozumiała, że Magda ją lubi, tak po prostu.

Może było tak, jak tato mówił. Że można ją było polubić.

Nie mogła wytrzymać na lekcji angielskiego, a potem kolejno geografii oraz fizyce. Na fizyce została znieczulona wezwana, ale tak bardzo się nie przejęła trójką z minusem, którą dostała. Przynajmniej nie zbłądziła się przed klasą, bo prawie nic nie powiedziała i nauczyciel dał jej tę ocenę z litości. Po wyrazie jej twarzy uznał chyba, że jest w katatonicznej depresji.

A Roma zwyczajnie przeżywała. Miała przyjaciółkę...

W końcu lekcje się skończyły. Już nie zamierzała się cykać.

– Chodź. – Podeszła do Magdy.

Wzięła ją pod rękę.

– Ale dokąd, Romcia...

– Nie pożałujesz.

Zobaczyła w oczach Magdy ciekawość. Chciała jej zaimponować.

Nikt jej o nic nie pytał. A była tak blisko. Nikt ze śledczych nie zlokalizował jej szałas, położonego tak niedaleko miejsca zbrodni.

- Chyba że się boisz... - Na wszelki wypadek nieco ściszyła głos, choć ostatnio chyba się nią nie interesowano.

Skala imprezy, rozkładającej się na całe tereny przyszkolne, zaczynała przesłaniać wszystko inne. Działo się. Schodzili się mieszkańcy i nawet jaskiniowcy z najwyższych osiedli. Ludzie, których jeszcze nie widziała. Komentowali między sobą. Albo po prostu siadali i patrzyli.

Opowiadali różne historie. W końcu wiele rodzin było tu od pokoleń i nawet jeśli teraz biedowali, to od setek lat mieli swoje hale, góry, szałas...

- Jasne, że się nie boję - powiedziała szybko Magda.

Romie zaimponowało, że koleżance również zależy na zrobieniu dobrego wrażenia na niej samej. Magda zapytała nagle z przejęciem w głosie:

- Widziałas miejsce zbrodni?

Roma nie odpowiedziała. Trochę tajemniczy zawsze się przyda, jak w kryminałach.

- Pokażę ci, gdzie jest mój szałas - powiedziała jak gdyby nigdy nic.

- Serio?

- Tak, serio. Tylko chodźmy jeszcze do Cyklopa, chciałabym kupić sobie coś do picia.

Zdecydowała: ugości koleżankę w swoim leśnym domku.

Wyszły i skierowały się do sklepu, gdzie zrobiły małe zakupy. Kilku bywalców obrzuciło Magdę zainteresowanym spojrzeniem. Romie to nie przeszkadzało. W ogóle nic jej nie przeszkadzało, kiedy prowadziła Magdę na skraj lasu - a potem, czując się w końcu jak ta prawdziwa Ronja z opowieści ojca, odważnie wkroczyła pomiędzy drzewa, żeby pokazać swój prywatny świat.

Swojej przyjaciółce.

Tego poranka Witek ocknął się przed szóstą, bo obudziło go słońce nad Zawoją. Nigdy nie wstawał z budzikiem i zawsze chciał mieć łóżko od wschodu. Organizm naturalnie budził się ze słońcem, czyli w lecie po prostu nieco wcześniej. Przez chwilę nie chciał się nigdzie ruszać.

Sięgnął ręką koło siebie. Ciepłe, miękkie ciało Agnieszki, niemal pulsujące, było tuż obok niego. Został wczoraj wieczorem, choć rzadko to robił, a Agnieszka nic nie powiedziała. Nie przejmowała się: żyła przyjemnie i we własnym tempie.

Bywało, że to on robił dziewczynkom śniadanie. A raczej szedł po bułki do sklepu, sprawdzając, czy dowieźli już chleb (ten z Tęgoborzy, z czerwonym paskiem). Przygotowywał kanapki z owczym serem od gaździny Gomulak, która wyrabiała najlepsze, jakie można było kupić u Cyklopa. Dorzucał do tego plastry „bawolich serc” od Karpaka, które posypywał solą, ale związał się zawczasu, zanim dziewczynki poszły do szkoły.

Nawet nie wiedział, czego się obawiał. Jego kochanka była po rozwodzie. W Nowym Sączu normalnie by sobie z nimi żył. A tu w Rytowie musiał się ukrywać. Skomplikował sobie życie tym powrotem w góry. Zamiast prowadzić życie jak normalny, nowoczesny mieszkaniec miasta, miał prywatną sieczkę. A praca nie chciała się wykonywać sama, do niej zresztą nie było już prawie nikogo. Na tym etapie nawet Janka wzięłyby z pocałowaniem ręki...

Drgnął, tknięty niepokojem. Czy tylko on wiedział, że Janek nocował w Żmijowym Jarze? Musiał tam żyć, mieć jakieś rzeczy, pracować sobie ubrania – przypuszczalnie w Zawoi. Czy nikt nie zadał sobie pytania, gdzie teraz żyje były skazaniec? Witek nie czuł się dobrze z tą nabytą

niedawno wiedzą, chciał, żeby przeszła na kogoś innego, kogoś innego obciążyla.

Dotknął Agnieszki na wypadek, gdyby się już obudziła i coś jeszcze mogło się wydarzyć. Na próżno, uśmiechnęła się tylko przez sen. Była starsza od niego o dziesięć lat, a faktycznie nawet jednaście, bo sam był z listopada; może dlatego wiecznie mu było zimno. Nic dobrego być z końcówki listopada – dopóki nie dorósł, dostawał bęcki w szkole od Dońki i innych.

Tak, Agnieszka niosła ze sobą niezręczny bagaż. Ale kiedy patrzył na to śpiące ciało, wiedział, że nie ma wyjścia, a cierpienie wywołane rozstaniem zmiotłoby go, jak kiedyś w Nowym Sączu. Znowu nie chciałby się z nikim widzieć i przesiadywałby nad Dunajcem, wpatrując się w rzekę i most heleński, wypalając papierosy. Nie radził sobie z takimi sprawami.

– Jesteś romantyczny – powiedziała mu jego była, której imię starał się wyrzucić z pamięci i wspominać jak najrzadziej. Zresztą kiedy pojawiła się Agnieszka, tamta na szczęście zbladła.

– To źle? – zaśmiał się.

– Sama nie wiem. To znaczy, że *przeżywasz*. Myślę, że przechodzisz przez to wszystko ciężej niż inni.

– Może więc kiedyś po prostu nie przeżyję – rzekł.

– Wątpię.

A chwilę później z nim zerwała. Miała rację – przeżył, ale z naciskiem na „jakoś”.

Może romantycy tak mieli, a może powinien zostać z owcami i Arenem. Taki był plan i działał przez pierwsze parę tygodni na halach. Aż przyszedł tu pomóc we wniesieniu mebla. Rodzice go poprosili. Ciekawe, czy o nich wiedzieli.

Byłoby to dziwne, ponieważ codziennie gościli ostatnio Janka, Bóg jeden wie dlaczego, ale świat ogólnie był dziwny. Pocałował Agnieszkę w wystającą spod kołdry kostkę, a potem zaparzył kawę w czerwonej kawiarence Bialetti, którą podarował jej na Dzień Kobiet. Może tym

gestem, tym sposobem chciał mieć tu coś swojego; w domu, który zbudował Janek i gdzie rozbrzmiewały śmiechy jego dzieci.

Teraz, bezdomny, mężczyzna nocował w lesie, pomiędzy bukami, gdzie gazdowie puszczali kiedyś świnię po orzechy bukowe. Witek poczuł w ustach gorzki, metaliczny smak kawy.

Nalał jeszcze jeden kubek napoju i przyniósł Agnieszce. Postawił na szafce nocnej i czekał.

Tak jak i on uwielbiała zwykłą czarną bez cukru. Zadziałało, otworzyła oczy okolone długimi, ciemnymi jak węgiel rzęsami. Podniosła się, zasłaniając biust kołdrą; ale nie dlatego, że się wstydziła, bo lubiła chodzić nago, po prostu w domu było zimno. Za ścianami i na poddaszu grasowały od dawna kuny i jego zdaniem wyzarły resztki ocieplenia. Obiecał jej się tym zająć, choć jeszcze nie miał pojęcia jak. Ostatecznie nie jego dom, nie jego kuny.

- A ta pyszna kawa za co? - zapytała.

- Musi być za coś?

- Kawa do łóżka, śniadanko...

- Aga, tylko proszę, nie mów mi, że jestem romantyczny.

- Dlaczego?

- Bo już to przechodziłem.

Przełknął ślinę.

- Musisz coś wiedzieć... - zaczął.

- Chwila - powiedziała Agnieszka. - Muszę czy chcę?

- Wolę to pierwsze. Szedłem wczoraj za Jankiem.

Mocna lewa brew uniosła się troszkę w górę.

- No więc szedłem i wiesz co? Otóż wydaje mi się, że on nocuje w lesie.

Brak reakcji.

- W szałasie, może jakiejś starej kolibie albo po prostu na gołej ziemi - dodał. - Myślę, że raczej to ostatnie.

- Rozumiem - odparła po dłuższej chwili.

O dziwo, tej odpowiedzi w ogóle się nie spodziewał. Nie wiedział dlaczego.

- Rozumiesz?

- Tak. Powiedziałaś przecież.

- I nic... - Zawahał się. - Nie zamierzasz nic z tym zrobić?

- Dziwnie powiedziane - rzekła po chwili, choć nie miał pojęcia, czy dlatego, że tak to zabrzmiało, czy jako kontynuacja wyznania. - Postaw się w mojej sytuacji. Twój eksmąż wychodzi z więzienia. Jest bez pieniędzy. Myślisz, że mnie to nie interesuje? To, że o tym nie mówię, to nie znaczy, że mnie to nie interesuje, nie myl tych dwóch rzeczy, dobra? Bardzo bym tego nie chciała.

Zabrzmiało dziwnie ostrzegawczo. Po chwili podjęła:

- Przepraszam, to złe słowo. Bardziej martwi.

- Czy i ja powinienem się martwić?

- Czym? Że nagle przyjmę go do mojego domu? - zaśmiała się Agnieszka. - Widzę to na twojej twarzy. - Pokręciła głową. - Mężczyźni są tacy dziecinni. Chyba jesteś szalony, że mogłeś tak pomyśleć. Mieliśmy proces. Miałam założoną niebieską kartę w Piwnicznej, wiesz o tym, prawda?

- Tak.

- Nic przed tobą nie tałam. Więc nie zachowuj się, jakbym tała.

- Mówiłaś...

- A teraz wyszedł z więzienia. Dziewczynki muszą żyć z tym piętnem. Z odciskiem taty, który zrobił coś złego i poszedł siedzieć. W takim miejscu jak Rytów, które dalej uważa, że jestem jego żoną. Myślisz, że marzę o tym, żeby wrócił? Dziesięć lat walczyłam, żeby pozbyć się go z mojego życia. Zrobiła pauzę. - I nie tylko jego musiałam się pozbyć.

- Czego jeszcze?

- Przede wszystkim musiałam się pozbyć strachu przed nim.

- Dlaczego w ogóle... - Przerwał.

- No dokończ - zagadnęła. - Nie lubię, kiedy się tak zawieszasz, jakby taśma w filmie nie szła, jak należy.

Zdziwiło ją, że знаła to stare określenie o nim, ale w sumie powstało w gremium nauczycielskim. Nie powinien być zdziwiony, że jego kochanka nim operuje.

- To znaczy wiem, że był przystojny... w sumie cały czas jest.

- Pytasz, czy możesz z nim iść do łóżka? Masz moją zgodę. - Pokręciła głową. - Cokolwiek chciałeś powiedzieć, to głupi jesteś. - Nie zabrzmiało to obraźliwie, ale trochę jak „młody i głupi”. Jak słowa do dzieciaka, ale i tak poczuł niepokój. - Ale ja też byłam głupia. Byłam gąską. Księżę Hali Rytowskiej. Miał pieniądze, swobodę. Wiesz, ile on tych ziem odziedziczył? Do Krońców należała połowa polan na halach, pamiętasz?

- Jak przez mgłę.

- Przyznaję się - kontynuowała. - Ale nie chodzi o same pieniądze. Chodzi o fantazję. Przyjeżdżał do Piwnicznej, zabierał mnie od rodziców na koncert Rodowicz do Krakowa, na Wodeckiego do Zakopanego, Elektryczne Gitary...

- Teraz jest bezdomny - rzekł Witek i od razu wzgardził sobą. Nigdy nie stać go było na taką fantazję albo raczej: taki rozmach nie był w jego stylu. Choć jaki był jego styl, wiejskiego filozofa? Czy kobiety na pewno to uwielbiały?

- Wtedy również był bezdomny - powiedziała.

- Nie rozumiem.

- Wituś, on odziedziczył ziemię po tacie, to prawda, ale był samotny jak palec. Wychował się sierotą i dlatego teraz taki jest.

- Co się stało z jego rodzicami?

- Długa historia, ojciec... chyba nie zginął z własnej ręki. Przerwała. - To wszystko działo się w późnych latach dziewięćdziesiątych, a on nie lubił o tym rozmawiać. Matka zmarła dużo, dużo wcześniej. Mawiał, że ze zgryzoty, ale ile było w tym prawdy... Wychował go wuj z Piwnicznej. Wierz mi albo nie, ale mógł

nawet iść na studia. Głupi nie był. Ale opuścił technikum i nigdy nie wrócił. Pojechał w Bieszczady, pracował w lesie, a potem się poznaliśmy. Gdzieś w międzyczasie posprzedawał, roztrwonił, co miał. Z czasem przestałam jednak wierzyć we wszystko, co Janek gadał. Był też strasznym kłamczuchem. Pierwsze siwe włosy miałam przez niego.

- Dalej nie widać.

- Widać, tylko mnie kochasz.

Nieczęsto to padało między nimi. Nie wiedział, co powiedzieć. Uścisnął jej dłoń.

Koniecznien zmienić temat, błysnęło mu pod czaszką...

- Nie pamiętam dobrze tych historii.

Nagle pomyślał o swoim ojcu. On pewnie pamięta.

- Bo jesteś za młody, dzieciaku.

Może dlatego to powiedziała, bo przedtem wymówiła słowo na K. Trzeba było zamortyzować... Nieczęsto mówili o różnicy wieku między sobą. Czy jeśli wszyscy się dowiedzą - a dowiedzą - to nie wywoła jeszcze innych skutków?

Rytów był dziwny. Jedenaście lat różnicy wieku mogło się zdawać czymś bezbożnym. Oczywiście tylko w jedną stronę, w drugą wszystko było okej.

- Ale musimy o tym mówić w sobotni poranek? - powiedziała Agnieszka. - Naprawdę to są teraz nasze tematy do rozmowy?

- Nie, mamy i inne.

Wziął ją w ramiona i przytulił.

- Janek nie liczy się w moim życiu, ale chcę, żebyś wiedział jedno - powiedziała. Odsunęła się i spojrzała mu prosto w oczy, jakby chciała go lepiej zobaczyć. - On nie może wrócić do więzienia. Dzieci żyją z piętnem. Ja żyję z tym piętnem... Nie wiem jeszcze jak, ale on nie może wrócić na tę ścieżkę. Może zniknąć, ale nie zniosę już tych spojrzeń. Dobra?

- Aga, nie rozumiem, czemu mi to mówisz.

- Po prostu mówię.
- Dlaczego miałby wrócić?

Wzruszyła ramionami.

- Nauczyłam się, że niczego nie można przewidzieć. A na pewno nie z Jankiem. Ale z tobą... z tobą chciałabym mieć jasność.

Schyliła głowę i dostrzegł, że oczy miała zaczerwienione.

Miał wrażenie, że w tych słowach było coś jeszcze. A może płakała, bo powiedziała „kochasz”, a on zmienił temat – albo może za swoją straconą młodością z Krońcem. Nie zdradziła się ani słowem.

Co jeszcze wiedziała? Czy zaczerwienione oczy były sygnałem, żeby zakończyć? Nagle nie wiedział, co zrobić. Poczł barierę, a na języku metaliczny smak. Przytulił ją więc mocno do piersi.

Poranki pod Wiązami na tym klimatycznym ryneczku w Piwnicznej. Goście sanatoryjni zmierzający do Florencji po lewej stronie rynku, Magdaleny tuż obok jej hotelu i Słodkich Babek naprzeciwko Ośrodka Kultury, rozkoszujący się kawą i lodami pośrodku gór. Można tak żyć.

Ninę nadwerzęzył wczorajszy długi, upalny dzień w Nowym Sączu. Wczoraj zjadła vegetarianę w pizzerii mieszczącej się w starym białym domku na bliskich obrzeżach rynku. A dzisiaj, przed śniadaniem, zrobiła sobie małą rundkę po okolicy. Pijalnia wód po drugiej stronie Popradu nie była w odległości spacerowej, zlokalizowała za to rynek owocowo-warzywny od strony Popradu i przychodnię – lepiej wiedzieć. No i oczywiście targ z książkami, ubraniami, a nawet płytami CD w sprzedaży. Kupiła dla Mili *Rogasia z Doliny Roztoki* oraz *Szkołę nad obłokami* Kownackiej. Może wiekowo trochę na wyrost, za to jak lokalnie.

Wróciła, znowu zamieniła parę słów z gospodynią Basią Stasik; w zasadzie zdążyły się zaprzyjaźnić. Usłyszała o miejscowych rodzinach, a Basia Stasik pełniła tutaj funkcję dawnego heraldyka rodów szlacheckich. Przypomniała jej, że dama polskiego kina Danuta Szafarska pochodziła z Kosarzysk. Podrzuciła kilka rekomendacji turystycznych – choćby Park Węgielnik na wzgórzu nieopodal – jakby Nina nie miała jeszcze dość wysokości. Opowiedziała o odległych, choć realnych planach inwestycji na Kicarzu... I znacznie bardziej mitycznych opowieściach o tunelach wychodzących spod domów na rynku i dochodzących aż pod górę Niemcową.

Dobrze jej się słuchało, ale niestety Basia musiała wrócić do pracy, a wkrótce po tych opowieściach Nina wybrała numer swojego starego

przyjaciela Karola Chodkowskiego.

Powinno już być po odprawie. Niezawodny Chodkowski, wciąż na Pradze-Północ...

Pomyślała, że po śmierci taty, wyprowadzce po kolei z Pragi-Północ, Saskiej Kępy i Pragi-Południe to Chodkowski stanowił dla niej ostatni element łączący ją z przeszłością warszawską. Zabawne: człowiek, którego sama niegdyś przyjęła do pracy.

- Podkomisarzu Chodkowski - zaczęła, kiedy odebrał po trzecim sygnale.

- Nina.

- Zajęty?

- A jak sądzisz?

Nie pytała. Zamknęła to za sobą. Brudne praskie sprawy, mnożące się w stosiki, stosy, wreszcie kolumny papierzysk, zdolne swoją masą podtrzymać Pałac Kultury.

Zostawiła mu ów ciekawy spadek, lecz nie powiedział ani słowa.

- Prowadzę śledztwo w Beskidzie Sądeckim.

- Ale prywatnie czy służbowo? - zapytał i wyczuła przekąs.

- Dobrze pytanie. Jestem służbowo, ale chciałabym dotrzeć do kilku informacji.

- Och. I stary adiutant najlepiej się do tego nadaje.

- Dokładnie tak - odparła, bo szczerść była podstawą ich relacji.

- Więc słucham.

- Interesuje mnie, czy w ciągu ostatnich, powiedzmy, dziesięciu lat, mieliśmy do czynienia ze zbrodniami na szlakach. Ale takimi, wiesz, bez motywu. Interesuje mnie zbrodnia bez powodu, zbrodnia, bo jest okazja i są sprzyjające okoliczności. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak.

- Nie muszą być góry, mogą być jakieś odosobnione miejsca, jeziora, szlaki nadmorskie, nad klifami... To jest dla mnie najważniejsze.

- Rozumiem. Poszukam.

Cisza. Czyli koniec rozmowy. Konkretny Chodkowski nie zadawał kolejnych, zbędnych już pytań.

Wyobraziła sobie jego pogodną twarz, krótko ostrzyżoną głowę i zateśkniła. Nigdy się nie denerwował, nigdy nie wychodził z siebie. Jak to jest być takim człowiekiem?

Był empatyczny, a momentami nawet troskliwy.

- Wszystko w porządku, Nina? - podjął teraz.

- Powiedzmy. - A potem, po krótkiej chwili, dodała: - Wiesz, będziesz się może śmiał... Albo w sumie nie wiem, co zrobisz, kiedy ci powiem.

- Tak.

- Jestem w ciąży.

Ale wbrew temu, co powiedziała, wcale nie nasłuchiwała, czy się śmieje. Z jakiegoś powodu nasłuchiwała, jaka będzie jego reakcja.

- Gratuluję - rzekł.

- Kawa na ławę, to nie jest sytuacja w ramach jakiegoś mojego grand master planu.

- Rozumiem. Który miesiąc?

- Kończy się drugi trymestr.

- Wciąż w śledztwie?

- To przypuszczalnie ostatnie.

- Ostatnie? Jesteś pewna?

Zaśmiała się i pomyślała, że gdyby był obok, dałaby mu kuksańca. Przynajmniej był wobec niej szczerzy.

- Nie oceniaj mnie, przyjacielu. Moje życie takie właśnie jest. Zadzwońisz do mnie, jeśli się czegoś dowiesz?

- Jasne.

Rozłączyła się, myśląc, że trafnie określiła własny los. „Moje życie takie właśnie jest...” Wydawała się postępować logicznie. Jej umysł potrafił łączyć ze sobą pozornie niepowiązane fakty, wydobywać z zakamarków pamięci sprzeczne zdania, niespójności

w wypowiedziach, przywoływać słowa pół setki rozmówców. Miała pamięć fotograficzną i pamiętała drobnostki, detale, które okazywały się kluczowe w śledztwie.

Decyzje, które podejmowała pojedynczo, też wydawały się logiczne, i przecież była komisarzem policji, ukazywała światu spokojną, czujną twarz. A jednak wylądowała w zapadłej wsi, w niedogrzanym domu, z dziećmi z dwóch różnych związków. Gdzie wdarło się szaleństwo?

Podziękowała za śniadanie i wsiadła do samochodu, jadąc w drugą stronę, wzdłuż błyskającego słońcem Popradu i potem ponownie w górę.

Nie pamiętała o metodzie wskazanej przez Rumsztyńskiego i utknęła na środku drogi; traktor z jakimś bacą o chmurnej twarzy minął ją, jadąc polem, a mężczyzna wygrażał pięściami. Wzruszyła ramionami. Wjeżdżała wyżej i wyżej. Za każdym razem zaskakiwały ją te wysokości, a przewyższenia były zupełnie inne niż w Beskidzie Niskim.

Łup! Kolejny kamień na drodze, a może dziura w wypalonym słońcem asfalcie. Instynktownie złapała się za brzuch. Nie dostanie orderu dla ciężarnej roku, co to, to nie. Choć raz już się udało. Miła urodziła się piękna, zdrowa i poza infekcjami, które zresztą przechodziły wspólnie, wszystko wskazywało, że taka pozostanie.

Minęła Rytów, który już dobrze poznała. Wieś rozpoczynała się lichymi domkami, rozwijała i jak wąż była najszersza pośrodku, tam też pojawiało się najwięcej odnóg. Najbardziej okazałym budynkiem była szkoła, a po niej porządna leśniczówka. Minęła to wszystko, okrążyła powoli Żmijowy Jar i w końcu dojechała do schroniska.

Pod sam koniec było najgorzej i problem był nie tylko z nią, ale i z samochodem. Mazda jęczała, jej stalowe trzewia trzeszczały w proteście na tej podziurawionej terenowej drodze, kiedy tak obie wspinały się pod górę.

Zaparkowała przy schronisku, dużym okazałym budynku z ciemnych bali, i wysiadła. Ile miał lat? Stał jak wklejony w zbocze.

Na dole widziała jakieś drzwiczki, ale właściwe wejście, zgodnie z napisem, było z drugiej strony.

Pod budynkiem dojrzała tabliczki z rozpiską szlaków. Podeszła bliżej: czerwony, niebieski, żółty... Więc teoretycznie sporo się tutaj turystów kręciło. Niekorzystnie dla śledztwa, choć nad tym właśnie miał pracować Chodkowski. Przypadkowa zbrodnia rabunkowa. Z drugiej strony, czy naprawdę każdy turysta idący szlakiem był potencjalnym mordercą tylko dlatego, że akurat znalazł się na drodze? I w pobliżu schroniska?

Zabójstwo dwojga ludzi wymagało naprawdę bardzo specyficznych cech osobowości i nigdy nie miała do czynienia z takim przypadkiem – żeby morderstwo nastąpiło tylko dlatego, że mogło, że nadarzyła się okazja unicestwić drugiego człowieka. A motywem była sama okazja do odebrania życia.

Wciąż myślała o tym, w jaki sposób oni zeszli na dół. Nóż, to jasne, ale czy nóż wystarczyłby? Drużyński miał przy sobie też finkę, no i przecież to było dwoje zdrowych, młodych ludzi... Czy człowiek człowiekowi nie był bestią? A w ryzach trzymał społeczeństwo lęk nawet nie tyle przed karą, ile przed jej nieuchronnością? A tu proszę, zbrodnia przy szlaku, niedaleko schroniska, choć nie w zasięgu wzroku.

Nie, wciąż nie wierzyła w ten scenariusz. Musiał być motyw, choćby taki najbardziej prymitywny.

Rozglądała się.

Przeszła na drugą stronę budynku. I znalazła dojście, którego szukała.

Za kamienistą drogą, strumyczkiem i mostkiem była tu niewielka łąka, potem już rozpoczynał się las, część Żmijowego Jaru. A na łączce pasło się kilka kóz. Bujna, świeżo rozkwitła zieleń wyglądała trochę nierealnie, jak obraz.

Obróciła się. Słońce wisiało wysoko nad schroniskiem. Na ławeczce pod topolą samotny wędrowiec spożywał kanapkę, obrzucił ją spojrzeniem z leciutkim tylko zainteresowaniem. Inny człowiek chyba

bratał się ze wszechświatem, stojąc na jednej nodze pod krawędzią lasu. Z daleka wyglądało to na jogę, którą sama, niestety, porzuciła już ze trzy lata temu, jeszcze w Warszawie.

Sam budynek schroniska był strzelisty. Miał wysokie okna, rażno patrzące na świat. Ale sprawiał też wrażenie zaniedbanego, jak te wszystkie relikty państwowej turystyki... Ktoś tu mógł nocować albo rano zjeść śniadanie, kiedy kilkaset metrów poniżej byli katowani ludzie. Koniecznie trzeba było przejrzeć rejestry. Łazęga nie zameldował się w schronisku, ale może jakiś inny gość... po prostu tu był?

Proste sprawy i sytuacje. Jeszcze raz przywołała śledztwo w Bukowcach, gdzie przynajmniej jedna zagadka rozwiązała się, bo facet zwierzył się drugiemu nad flaszką w barze Potoczek. Jej umysł, wprawiony w zaawansowanych zbrodniach, nawet nie przewidywał takiej absurdalnej prostoty, takich głupich posunięć mordercy.

Jakaś dziewczynka krzątała się po podwórzu. Nie wyglądała na turystkę, zwłaszcza że w dłoni dzierżyła miotłkę z żółtych witek.

– Przepraszam... – zaczęła Nina.

– Tak? – Tamta się obróciła w lekkim przestraczu.

Była to piegowata, rudawa dziewczynka, Pippi. Chuda. W wieku dorastania, ale ten cały koszmar chyba jeszcze jej nie dotknął. W przyszłości mogła być piękna, z tą burzą rudych włosów. Była również szczupła, o długich, chudych nogach. Klasyczne brzydkie kaczątko..., pomyślała Nina.

– Komisarz Warwiłow. Jestem z policji – dodała, żeby trochę obudzić dziewczynkę.

Zorientowała się, że dziecko całe zeszytniało.

– Nie denerwuj się. Ile masz lat? – podjęła.

– Dwanaście, niedługo trzynaście.

– Jak się nazywasz?

– Romana Ignerska.

– Piękne imię. Roma, czy tak? Roma, tak to się zdrabnia?

Dziewczynka kiwnęła głową.

– Wiesz, co tu zaszło, prawda?

Znowu kiwnięcie głową.

– Dobrze.

Nieźle poszło, jak na sam początek. Można było iść dalej.

– Czy widziałaś tu jakichś podejrzanych ludzi, w dniu... morderstwa?

– Nie.

– A czy jest twój tata? Chciałabym zobaczyć wpisy.

– Ja mogę pani pokazać! Tata odpoczywa.

– Odpoczywa?

– Tak.

Nina pokiwała głową.

– No dobrze, pokażesz?

Mała zniknęła, przycwałowała po chwili z zeszytem. W jej ruchach była pewna niepokojąca nerwowość, uległość... Cienie pod oczami sugerowały, że bynajmniej nie należała do beztrudnych dzieci.

Nina przeglądała wpisy. Odniosła wrażenie, że są pisane dwoma charakterami pisma, no i dość chaotycznie. Z drugiej strony, czy ktoś rozliczał zarządców? Patrząc na rozpadające się schronisko, miała wrażenie, że to jest jakaś działalność charytatywna, z odrębnym prawem: a wpisz się podróżny, jeśli masz ochotę.

– Jest pusto – powiedziała Nina powoli i z rozczarowaniem, patrząc na 4 czerwca.

Przekartkowała strony do przodu i do tyłu.

Roma kiwnęła głową.

– Czy tak to zapamiętałaś? – zapytała Nina.

– Może ktoś był! Tylko nie zawsze mam czas zapisywać.

– Dlaczego?

– Jest dużo pracy. Turyści są głodni i... od razu zamawiają. Są niecierpliwi.

– Rozumiem – odparła Nina z uśmiechem. – A rodzice?

– Tato.

– Rozumiem. A on...

– Tata też ma dużo pracy – powiedziała szybko dziewczynka.

Coś tu, rzecz jasna, śmierdziało.

– Dobrze. Ale byli goście?

– Tak. Para starszych państwa... Ale to dzień przed!

– Jesteś pewna?

– Na pewno. Kiedy się dowiedzieliśmy, to ja pamiętam, bo...

I znowu przerwa. Mała coś ukrywała. Spokojnie, bo mogło to być absolutnie tysiąc rzeczy, ale coś ukrywała i trzeba było w którymś momencie ustalić, co.

– Opisz ich własnymi słowami – poprosiła Nina.

Wysłuchiwała opisu. Brzmiał jak z podręcznika o polskich (aktywnych) emerytach. Ona w okularkach z krótkimi siwo-blond włosami. On szpakowaty, wysoki, szczupły.

Płacili gotówką. Okazało się zresztą, że nie mieli innego wyboru.

– Nie ma terminala? – upewniła się Nina.

– Nie.

– Ale internet...

– Jest! Ale terminal jest drogi. Nie używamy.

Dziecko przejawiało zadziwiającą dojrzałość profesjonalisty.

– Czy zostawili coś, jakieś dane? – podjęła Nina.

– Nie. Ale oni wyszli rano, przed morderstwem.

– Roma, ale skąd wiesz, o której doszło do morderstwa i kiedy wykryto zwłoki?

– We wsi gadali – powiedziała szybko dziewczyna.

Sprytnie. Sprytnie i uniwersalnie. Tylko że nieprawdziwie. Romka mrugała wściekle i kiedy mówiła o obsłudze turystów, to wydawała się względnie spokojna i pewna, a kiedy wspominała o morderstwie – zaczynała intensywnie mrugać.

Znowu: i tysiąc przyczyn, i żadnej. Ale było tak blisko lasu, a dowiedziała się „we wsi”.

Trudno było w to uwierzyć.

Nina zerknęła na zegarek. Zbliżało się popołudnie.

– Jeszcze wrócę. Może tata odpocznie do tego czasu? I porozmawiamy?

– Tak.

Spojrzenie dziewczynki nie wyrażało jednak pewności.

Nina potrzebowała jeszcze raz porozmawiać z pasterzem, który znalazł zwłoki. Może nie teraz, może później. Po Sączu poczuła się lekko zmęczona. Najgorsze (albo najlepsze, trudno powiedzieć), że czuła się również podekscytowana prawdziwą sprawą, bo ostatnią taką miała na wyspie Wolin. A ze śledztwami było jak kiedyś z imprezami. Nigdy żadnej więcej, myślał człowiek rano, ale im więcej dni mijało od sprawy, tym bardziej Nina stawiała się po prostu głodna...

Wieczorem poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Wyszła na balkon hotelowego pokoju. Zmierzch zapadał nad Popradem; grupki kuracjuszy, emerytów bądź też turystów wracały z pijalni wód, objuczone wodą, opite zdrowiem... Przeszawiła się w Beskidzie Niskim na Wysowiankę, ale Piwniczanka zachowywała srebrny medal.

Grupka młodzieży kręciła się pośrodku rynku, jakby zagubiona. Rynek – tak, oczywiście, ale praktycznie pośrodku niczego. Od Popradu przyjemnie jednak ciągnęło i panował chłodek, idealny, żeby posiedzieć na zewnątrz.

W końcu nadszedł ten moment. Wydawał się niemal duchowy, wart celebrowania.

Zrobiła sobie herbatę. Następnie weszła w laptopie na stronę internetową Łazęgi.

Coraz bardziej intrygował ją ten człowiek.

Mimo wszystkiego, co już słyszała, wiedziała, a nawet widziała na własne oczy, zaskoczyła ją klasa tego bloga. Zapierające dech

w piersiach zdjęcia, to z pewnością. Niektóre – naprawdę doskonałe, nie tylko widoczki, ale przede wszystkim świetne wycucie światła i kadru. Tekst prezentował się nieco gorzej, miała wrażenie, że przydałaby się choćby podstawowa redakcja.

Ale nie szkodzi, piękne były te wschody słońca na starych halach pasterskich, zapierające dech w piersiach zdjęcia zimowe na paśmie Radziejowej i gęstych lasów nad Muszyną i Tyliczem, opuszczony gotycki Żegiestów (tam, jak słyszała, miało wkrótce coś powstać i zakończyć los opuszczonego „nawiedzonego” uzdrowiska!). No i znowu góry, tym razem tajemniczy Beskid Wyspowy wokół Limanowej, jak w jakiejś podkarpackiej Narnii... Także i Beskid Niski, pociągnięty aż do Komańczy, Łemkowie i Bojkowie. Bieszczady ze swoimi spektakularnymi połoninami. Pieniny, tamtejsze legendy i flisacy. A najdalej na zachód – Karkonosze, Góry Izerskie, a nawet tajemnicza Dolina Bobru. Okolice, które tak słabo znała.

Nie było tajemnic dla tego prawdziwego człowieka polskich gór. Nazwa bloga wydawała się właściwa. A mierzył jeszcze dalej. Pisał, że w niedalekiej przyszłości planuje zjechać i opisać Dolomity w okolicach Bolzano.

Zdjęcia, teksty, opisy wypraw: skrupulatnie zapisywała sobie wszystko w notesie. Tej ostatniej wyprawy Łazęga na pewno nie wpisał... Rozumiała, że Nadpopradzie to była jego ukochana ziemia, do której zawsze wracał. Te łąki: Hala Łabowska, Hala Pisana, Hala Kurzajowa i opowieści z nich płynące... „Dobre historie kryją się wszędzie”, pisał kilkakrotnie Łazęga i wydawało się, że to zdanie w jakiś sposób definiuje jego bloga.

Stare pasterskie opowieści, zmienny los górali, o których świat zapomniał po roku dziewięćdziesiątym, i stopniowy upadek gospodarki pasterskiej stanowiły jego konik. Dysponował też, musiała przyznać, wycuciem językowym, podsuwając swoim czytelnikom ciekawostki gwarowe i obyczajowe.

Podobały jej się powiastki ludzi, których spotykał na trasach. Zwykle historie o sąsiadach i wsiach, w których mieszkali, kryły w sobie prawdziwe bogactwo. Zgodnie ze słowami Basi, Łazęga uwielbiał rozmawiać z ludźmi na szlakach. To nie był przewodnik turystyczny ani tym bardziej rozbudowana ekspozycja krajobrazów; raczej próba zrozumienia tych okolic, przez pryzmat ludzi, którzy tam mieszkali.

Słowa i zdjęcia. Historie. Nie tylko to jednak stanowiło treść bloga.

Sporo treści, oczywiście, było i w komentarzach.

Zaczęła wczytywać się we wpisy na stronie... Cholera, dużo miał tych fanów, tak to wyglądało po ikonkach i sądząc po opisach, pochodzili z całej Polski.

Dziesiątki, setki imion i nicków. Z początku pozostawała w gąszczu, ale kiedy wertowała mnożące się artykuły, internetowa dżungla zaczynała się przerzedzać.

Te same nazwiska. Najczęściej komentujący pojawiali się pod większością artykułów, i to szybko po publikacji. Stali bywalcy, którzy zaszczycali bloga swoją obecnością latami.

Beskidnik, Opiłka Dwa, Michał Madej (tu miała skojarzenie, bo Madej był jedną z ofiar w Gnieździe. Przypomniała sobie tego dziwnego, ponurego człowieka), Baraszka, Gorol, Miłośnik, Pati 87, Mr Misterio...

Zauważyła, że Łazęga (podpisujący się również tym nickiem w dyskusjach pod komentarzami) odpowiadał chętnie, często wręcz obszernie.

Przechodziła z artykułu na artykuł. Zorientowała się w pewnym momencie, że trzecią godzinę przegląda już tego bloga. Zamówiła u Basi drugą herbatę z cytryną.

Zimno jej się zrobiło, więc okryła się leżącym na balkonie fioletowym kocem. Niezależnie od śledztwa czerpała z tego przyjemność. Dawno nie była na blogu, który teraz wydawał się jakąś przestarzałą formą artystycznej ekspresji internetowej – i niesłusznie!

To była przygoda, coś bardziej obszernego i dokładnego niż media społecznościowe. Przypominało jej niegdyś znakomity blog *Odyssy*, na

którym uwielbiała czytywać opisy wypraw po odległych zakątkach ziemi. Można się było świetnie zainspirować. Kiedyś, czyli kiedy miała pieniądze i czas na wyprawy zagraniczne. Obecnie zagranicę stanowił dla niej Bardejov i Bardejovské Kúpele.

Tutaj było coś podobnego.

Z czasem, tak jak się zaczyna rozumieć określony system, algorytm, miała wrażenie, że zaczyna też wyczuwać nastroj, a nawet cechy charakteru Łazęgi. Zgodnie z chronologią artykułów jego nastroj spadał i choć teksty dalej były pisane na wysokim poziomie, w tych późniejszych zaczynało brakować duszy, jakby trochę udawały entuzjazm i szczerłość początkowych. Zwłaszcza tych spoza doliny Popradu – w odnoszących się do życia na halach wciąż czuć było serce.

Równolegle wydawało się, że nieco zmienia się charakter dyskusji pod artykułami z podróży, to również było ciekawe.

Zerknęła na jeden z ostatnich wpisów z Gór Grybowskich (nie wiedziała, że takie istnieją, знаła tylko sensne miasteczko, z „tranzytowym” rynkiem i browarem).

Opilka Dwa pisze: „A kiedy w końcu jakieś słowo pisane?”.

Łazęga: „Może wcześniej niż sądzisz”.

Michał Madej: „Czyli kiedy?”.

Opilka Dwa: „No właśnie, kiedy, kiedy, no kurna kiedy???”.

Łazęga: „Hmmm”.

Mr Misterio: „W zeszłym tygodniu ukazał się artykuł”.

„Artykuł”, odnotowała Nina, mamy tu formalistę.

Beskidnik: „Coś się leni ten nasz podróżnik (szereg emotikonek). A gdzie obiecana relacja z Niskiego, kolego? (wiem, świetny rym!)”.

Łazęga: „Będzie. Jestem teraz zajęty”.

Beskidnik: „Czym? Czym???”.

Anastazja Nasturcja: „Dziękujemy za wspaniałą relację z Radziejowej. Powtórzyłam ją sobie! Dzięki Tobie. Ale ile się śniegu najadłam”.

(szereg emotikoniek; ludzie z tym naprawdę przegrali).

Łazęga: „Ostrzegalem hehe”.

Anastazja Nasturcja: (uśmiech).

Diabelek: „Nasz Imperator Inspirator”.

Opilka Dwa: „Co będzie teraz? Jakaś wycieczka?”.

Mr Misterio: „A co, kiedyś chodził na spacer po parku zdrojowym?”.

Pati 87: (seria uśmiechów).

Miłośnik: „Cierpliwie czekamy! Pozdrawiamy”.

Łazęga: (skasowany komentarz).

Warwiłow oderwała na chwilę wzrok od laptopa. Wpatrywała się w światełka na rynku.

Skasowany komentarz. Czemu nie odpowiedzieć? Skąd sekrety?

Tutaj była jednak cała społeczność ludzi, którzy żywiołowo reagowali na te opowieści; pulsująca tkanka miłośników gór, pisania, a zapewne jednego i drugiego. I choć Łazęga był jednocześnie wirtualnym kolegą, towarzyszem... To była zżyta grupa, widać było, jak się identyfikują jako społeczność, używając (choćby Miłośnik, Anastazja Nasturcja) pierwszej osoby liczby mnogiej: czekamy, pozdrawiamy. A teraz ci wszyscy ludzie stracili swojego... kogo właściwie?

Jak wiadomo, internet nie lubi kasowanych treści. Zaintrygowana, siłą rozpędu weszła w inny artykuł, poświęcony Pieninom oraz cerkwiom Niskiego (sporo ich już znała, ale ta posępna w Kwiatoniu stanowiła dla niej zaskoczenie).

I tu również skasowany komentarz. Pod każdym artykułem... Wszędzie skasowane komentarze, i to przez samego Łazęgę.

„Czyli kiedy?” – dopytywał jeszcze Michał Madej.

Łazęga: „Kiedy?? Nie ma takiego pytania. No więc odpuść sobie, kolego” (wręcz wrogo, odnotowała Warwiłow). „Wyjdzie, to wyjdzie!”.

Wyjdzie.

Co wyjdzie?

Zorientowała się, że ma już na koncie cztery godziny skrolowania. Musiała trochę odetchnąć.

Zamknęła klapkę, wdychając powietrze Piwnicznej. Młodzież już zniknęła. Ciekawe, czy i gdzie były tu jakieś tańce, dansing?

Rozkosznie związane ze sobą dojrzałe pary (jak oni to robili po latach?) przechadzały się pod rękę deptakiem wzdłuż kościoła, potem wzdłuż skweru i wstępowały do Florencji lub Magdalenki.

Przymknęła oczy. Materiały zdjęciowe na blogu wychodziły regularnie. Tak samo jak zdjęcia i teksty opisujące dokładnie odbyte wędrówki, zaliczone szczyty, przechodzone szlaki... Tekst również, mimo pewnych niedoróbek, był naprawdę niezły, jak na człowieka bez studiów, pracującego w firmie produkującej stalowe drzwi.

W takim razie co jeszcze zostało do wydania?

Nieprzyjemna była ta rozmowa z policjantką. Czy już była podejrzana? Roma wyobraziła sobie siebie jako drobną Lizzie Borden, morderczynię dwojga dorosłych ludzi. Ale czy ta cała Warwilow mogłaby uznać, że ona miała coś wspólnego z jatką na dnie jaru?

Lekcje zaczynały się dzisiaj później; wszystko przez strypt. Mieli pomagać rano, ale Roma miała wrażenie, że jej nieobecność pozostanie niezauważona. Znowu wyobraziła sobie siebie tam, w Żmijowym Jarze, z nożem w ręku. Spojrzała na własne chude, lecz silne dłonie. Obarczanie się winą przychodziło jej całkiem łatwo. Jak w domach zamożnych koleżanek – no dobra, zamożniejszych, bo bogatych koleżanek nie miała. Zawsze wówczas czuła się, jakby była winna, jakby grzebała w szafkach i usiłowała wyciągnąć coś, co będzie można spieniężyć i wzbogacić jej ubogie pod każdym względem życie.

Dlaczego jednak nie powiedziała prawdy? *Widziała* tych ludzi, słyszała ze swojego szafasu hałasy oznaczające, że schodzili. Słyszała jakieś głosy, ale wycofała się. A może wmawiała sobie coś po czasie? W końcu często dochodziły do niej odgłosy ludzi zbyt głośno gładzących na szlaku, nie musiało chodzić o tych konkretnie...

Nie chciała, aby ją zobaczyli, nie chciała, żeby ktokolwiek widział, gdzie jest jej szafas. Potem, kiedy przyszła policja, nie mogła się powstrzymać i zajęła punkt widokowy.

A teraz jej się wydawało, że może słyszała mordercę. I wstydziła się przyznać, bo nic nie zrobiła.

Bała się też innych rzeczy, przede wszystkim pytań. Na przykład o tatę. W dniu morderstwa także go nie było: polazł aż na Halę Łabowską nazrywać tarniny na nalewkę. Ale Roma nie była głupia.

W kryminałach właśnie tacy boży prostaczkowie jak tata obrywali solidnie, a bywało, że byli skazywani. Z tatkiem ogólnie była dziwna historia. Jakby niewiele potrzebował do życia, ale jeśli robił coś, na czym mu zależało – na przykład nalewki – wychodziło mu świetnie. Próbowala ich czasem.

Ale zazwyczaj znikał. Tak jak teraz, szczególnie latem. Choć i zimą bywało, że przepadał na długo. Czasem wracał podпиты z Piwnicznej i nie wiedziała, skąd miał na to pieniądze, bo starała się kontrolować ich budżet rodzinny po tym, jak rok temu zabrakło im pieniędzy już piętnastego i przeżyli tylko dzięki własnym serom i kresce u poczciwego Cyklopa.

Wyszła na halę. Lekki wiaterek zabierał ze sobą resztkę czerwcowego ciepła i niósł wieczorny chłód. Zauważyła maliny, trochę poziomek, zrywała je. Całe życie dożywała się w lesie, choć zawsze ją straszono: tu węzami, tam zarazą... Niedługo nadejdzie lipiec i deszcze. Cały Żmijowy Jar spłynie z błotem do Zawoi, i ziemia, jak to w lipcu, zrobi się mulista i brązowa.

Rozglądała się za tatą. Może wyszedł nazbierać owoców na nalewkę, tak jak wtedy... Nie zamierzała go szukać, tylko chciała wiedzieć, gdzie jest. Gości nie było. Raczej już nie nadejdą, choć zdarzało się, że trafiali się po nocy i prosili o pierogi. Zrywała się wtedy, żeby jak najszybciej mieć to za sobą i wyspać się do szkoły.

Ciekawe, czy tata miał wobec niej jakieś plany, skoro nie miał ich wobec siebie.

Niewiele o tym rozmawiali.

Było ciemno, ale jeszcze nie tak zupełnie. Podeszła do biblioteczki, którą uzupełniała ze szkolnej. Nikt tu z nauczycieli nie zawita i nie będzie wiedział, że podwędziła parę kryminałów Chandlera i przede wszystkim Dashiella Hammetta. Podglądała też wyższe sfery u Agathy Christie i Dorothy Sayers, z tym wspaniałym lokajem Bunterem, robiącym całe śledztwo za Wimseya. Lubiła ten angielski świat. Majorów powracających z Indii. Pokojówki o imieniu Gladys,

dziedziczki o imieniu Rosamund. Seanse spirytystyczne i wieczorki brydżowe. Parę lat temu zorientowała się, że w sumie ma trochę inny gust. Postaci wydawały jej się trochę jak z akademii w szkole. Przestała czytać dla bohaterów, ale chciała być w tym świecie, tamtej Anglii, choć był tak daleki od hał, ale w jakiś sposób lepszy. Poukladany.

Zabrała latarkę, świetnie się czytało, kiedy literacko przebywała w tych angielskich domach. A jak przyjdą goście – może tato obsłuży ich swoją nalewką. Wzięła porzewiałą maczetę, jakby mogła ściąć po drodze jeszcze kilka gałęzi – a może z innego powodu, sama już nie wiedziała. Może teraz, kiedy policja już nie węszyła po Żmijowym Jarze, mogła powiększyć szalas o jedną komnatę!

Miała przestrzeń i miała pomysł inżynieryjny, jak tego dokonać. Wystarczyło przedłużyć od góry pień robiący za podstawę dachu. Znalazła już kolejny, który chciała przybić dwoma gwoździkami, no i będzie. Żeby mogły tam sobie obie czytać z Magdą, popijając lemoniadę, którą ona przyniesie z domu. Miała taką wielką szklaną butlę, którą zostawił kiedyś turysta.

Starczy na parę godzin gawędzenia i leniuchowania w cieniu, starczy na lato. A może kiedyś... Może kiedyś mogłyby w ogóle mieszkać we dwie. Magda też będzie się chciała stąd wyrwać i wykombinują stancję czy coś w tym rodzaju. W końcu w Sączu dało się jakoś dorobić, rozdawać ulotki czy inne rzeczy: praca leżała tam na ulicy.

Roma czuła, że jest gotowa zasuwać jak koń pociągowy, byle tylko zamieszkać z Magdą gdzieś w dolinie.

Szła prosto, a potem przez tajemniczy zagajnik pełen dziwacznie powykręcanych drzew: Żmijowy Jar, choć wąski, mieścił w sobie z piętnaście różnych krain. Surowe ściany wąwozu, porośnięte szarymi bukami i dębami, zielone zagajniki z drzewami iglastymi. Kaskady Zawoi w części zbliżającej się do większego lasu. Krzaczkę jagód, poziomek i jeżyn, nawet jeden wodospad, z którego uwielbiała pić wodę... Różnorodność gatunków drzew jak pokojowo ze sobą żyjących różnych ludów.

Tylko idiota myślałby, że nawet niewielki las to jedność.

Roma szła do swojego miejsca na ziemi. Może teraz nie tylko swojego, teraz dzielonego z Magdą. Zatrzymała się jakieś dwadzieścia metrów przed i zagapiła się.

Szybko dotarło do niej, że straciła już to miejsce.

Jej szalas stał się w kilka chwil kupką starych, bezładnych, połamanych gałęzi.

Podeszła bliżej na wątlých nogach, bo dostrzegła coś białego...

Wśród gałęzi była czysta kartka. Oparła maczetę o pień, wzięła do ręki papier.

Widniało tam jedno słowo.

„Dziwka”.

Usiadła. Siedziała i słuchała, jak ten las śpiewa.

Łzy zaczęły kapać jej po policzku, otarła je wierzchem dłoni.

Wstała i próbowała coś zrobić, pozbierać gałęzie.

Ale tu musiało przyjść kilka osób, i to z siekierą. Popatrzyła na starannie dobrane ściany szalasu. Materac, który sobie przyniosła... był poszarpany i pachniał moczem.

Gałęzie były w oczywisty, brutalny sposób połamane.

Tu musiała przyjść liczniejsza grupka, dotarło do niej po chwili.

Chłopców. I dziewcząt...

Tak, także i dziewcząt, pomyślała, a potem nabrała już absolutnej pewności. Nie trafiliby tutaj tak łatwo, szli jak po sznurku, byli przygotowani, znali przejście.

Zaczęła płakać, mocniej i mocniej. Nie mogła przestać, położyła się na połamanych gałęziach, wchodziły jej w ciało, przedarła sobie bluzkę i podrapała plecy, nic nie czuła.

W końcu się podniosła.

Ta cisza lasu działała jej na nerwy. Miała jej dosyć. Otarła wierzchem dłoni łzy i wytarła nos. Następnie zeszła na dół, do strumienia, i zaczęła bezmyślnie uderzać ostrzem maczety o kamienie. W tym miejscu

jeszcze parę lat temu potrafiła godzinami wynajdywać „kaczki”; najbardziej jako dziecko lubiła kamienie z kruchego piaskowca. Czasami lubiła budować tamy, zatrzymywać wąski strumień, patrzeć, jak nurt się blokuje, a brzegi wypełniają.

Nie miała pojęcia, jak mogła to robić. Teraz chciała tylko bić narzędziem w kamienie, aż się stępi, aż jej ręka odpadnie, aż to wszystko się skończy, aż...

Brzdęk. Inny odgłos niż poprzednie. Nie rzuciła kolejnym kamieniem, odłożyła na brzeg. Coś błysnęło w wodzie. Odłożyła maczetę i włożyła dłoń do strumienia, który dalej był lodowaty. Wyjęła z wody starą miedzianą zapalniczkę, taką z wlewem do benzyny.

Inicjały, wyryte na zapalniczce, prezentowały się następująco: MA.

Skąd tu się wzięła zapalniczka?

Stara, ale niezardzewiała i nieomszała, tak jakby wrzucona do wody całkiem niedawno. Zero śladów rdzy – tylko po co i dlaczego ktoś ją porzucił?

Roma wyprostowała się. Następnie, w zasadzie instynktownie i bez namysłu, włożyła zapalniczkę do kieszeni. Usłyszała, jak brzdękają monety, dźwięk połączenia metalowego bractwa. Choć zapalniczka była inna, zdawała się nieść ze sobą jakąś historię... Jaką?

A potem już nie chciała się oglądać za tym, co już było. Dostała podarek od potoku, od losu, choć nie miała pojęcia, skąd się wzięł i co właściwie ma z tym zrobić, skoro nie paliła – a ojcu dawać nie zamierzała.

Zapalniczka była piękna i oryginalna, z rzeźbieniami. Przez skórę Roma czuła, że może to i lepiej, bo oderwała się od myśli o zniszczonym szałasie. O tym, kto go zniszczył – choć wiedziała już świetnie. I zdawała sobie sprawę z tego, co to dla niej oznaczało.

Zmierzchało już, kiedy wspinała się halą pod schronisko; starą drogą wśród przyjaznych wyblakłych szarf. Jakoś nie chciała przechodzić swoim skrótem, wydawało jej się, że ktoś lub coś ją obserwuje.

Nagle zobaczyła sylwetkę zmierzającą w jej kierunku. Na drogę wyszedł jej tato. Uśmiechnął się, pewnie był już po swoich nalewkach.

– Ronju kochana, gdzie byłaś? – zapytał.

Tak rzadko o to pytał, że zapomniała języka w gębie.

– A...

– W swoim miejscu w lesie, tak? – podsunął, dziwnie jej się przyglądając.

– Może – wymamrotała. Skąd wiedział...?

– Pokażesz mi je kiedyś, córciu?

Cisza. Serce miała w przelyku. Teraz ze smutku. Tatuś nie był winny. Tato nie mógł tego zrobić. Doskonale wiedziała, kto zniszczył jej szałas, a sprawcy też chcieli, by wiedziała.

– Tatuś, pokażę ci niedługo.

Wiedziała, że za sekundę zapomni. Że trzeba po prostu jak najszybciej zmienić temat.

– Fajna z ciebie dziewczynka, Ronju.

Niefajna, pomyślała, wcale niefajna. Taka, którą się zdradza, która służy innym do rozrywki. Ruda Romka ze schroniska.

Cyganka.

Jak w pierwszej klasie.

– Nie.

– Co powiedziałaś?

Cisza.

– Nic.

– Ronju, chcesz mi coś powiedzieć? – Znienacka przyjrzał jej się uważnie.

– Chodźmy do środka – rzekła i minęła go, a kiedy wspinała się ku schronisku, zapalniczka pobrzękiwała jej w kieszeni.

Zmierzchało już, kiedy Witek wyszedł z koszar dla owiec. Ręce miał zupełnie zgrabiące i paliło go w przetyku. Poszedł do studni, którą starym zwyczajem i przede wszystkim zdrowym rozsądkiem zostawiono na podwórzu. Przecież zawsze może się przydać...

Woda na prąd, to na prąd, tamto na prąd... niebezpieczne. Elektryczność wydawała się czymś zmiennym, czymś, na czym według wielu mieszkańców Rytowa wciąż nie można było w pełni polegać.

I rzeczywiście, w sumie raz na jakiś czas prąd radośnie zniknął, kiedy pod naporem śniegu w lasach padały stare omszałe słupy, których nikt nie konserwował. Przez dzień lub dwa tysiąc mieszkańców żyło przy świeczkach. Szkołę zamykano. Jak szybko ludzie się przystosowali – okazało się, że połowa ma agregaty na benzynę, a druga połowa postanowiła zwyczajnie przeczekać.

Wlał w usta pyszną lodowatą wodę, aż mu ściekła po wargach. Obtarł wierzchem dłoni. Dopiero po smaku zorientował się, że ma ją umazaną owczymi odchodami. Splunął, a potem stwierdził, że musi przelać to czymś konkretniejszym.

Wziął piwo z lodówki, a potem usiadł przed butwiejącym domkiem. Obok siedział tato. Kiedyś uchodził za jednego z mocniejszych mężczyzn Rytowa. Całe lato, czy to burze, czy upały, spędzał w szałasach pasterskich. W ciągu ostatniego roku bardzo się jednak postarzał. Najgorsze, że sychnął mu się wzrok. Do niedawna tato miał jedno okulary, plusowe za parę złotych z Rossmanna w Piwnicznej. Witek wziął go do okulisty. Kiedy tato założył przydługą marynarkę, dwudziestoletnią koszulę z niedopranym kołnierzykiem, uświadomił sobie, jak daleko w tyle są już jego rodzice.

Coś było z mężczyznami w Rytowie. W Sączu mężczyźni w wieku jego taty bujali się kabrioletami, chodzili na siłownię, a także – co było akurat całkiem śmieszne – otaczali się coraz młodszymi partnerkami. A jego silny, zdrowy ojciec, z uściskiem jak imadło, w ciągu roku zaczął przypominać starca.

Witek zapamiętał sobie, żeby przywieźć mu kilka par granatowych dzinsów. Zimy dokładały im lat. Matka nie wychodziła w ogóle, bo „cała się trzęsie”, ale jeszcze się jakoś trzymała. Może samotność tych zim postarzała jego ojca.

Tato zdawał się dziwnie czytać mu w myślach.

– Musimy ci jakiś dom wybudować co, Wituś? – rzekł. – Z nami, starymi, nie będziesz wiecznie siedział.

Pociągnął łyk piwa. Temat tabu. Mógł mieć dom, ale musiał mieć ziemię. Tato miał ziemię, ale nie chciał się dzielić, jeszcze nie teraz... Lepiej do śmierci trzymać wszystko w garści. A nuż młody odda komuś – jakaś lafirynda z doliny się trafi, wszystkich i wszystko ogoli. Nie takie przypadki znał. Tak gadał tato i Witek miał nadzieję, że nie pije do Agnieszki Kroniec. W końcu i ona była kiedyś z doliny.

Na tej polance, gdzie wypasał ich stado cakli, mógłby zbudować sobie całkiem ładną kanadyjkę, z kotłem na biomasę albo nawet ergonomicznym kominkiem. Kolega z Łomnicy stawiał takie pod klucz. Dogadałby się.

– Tatuś, wiesz, jak jest. Jestem biedak.

– W mieście dobrze zarabiałeś.

– Się rozeszło.

– Oj, Wituś.

Tak, rozeszło się. Na weterynarza dla owiec. Na remont obórki. Na leki dla mamy... Niektórych rzeczy nawet nie wymieniał, żeby nie denerwować taty. Ot, życie jedynaka.

– Wituś, pomyślimy – rzekł tato. – Pomyślimy...

Witek pokiwał głową.

- Tato?

- Tak?

Przełknął ślinę.

- Powiedz no dwa słowa, jak to było z Jankiem.

- Co było?

- Tatusz, ja już tego nie pamiętam, poza tym, że zło się podziało. Więc opowiedz mi. Za co go dokładnie posadzili? Pamiętam tylko, że była jakaś dziewczyna i...

Tato się zamyślił.

- Na pewno chcesz tego słuchać?

- Tak.

- Otóż Janek pojechał na tę dyskotekę w Starym Sączu... Tam były jakieś dziewczyny miejscowe. Podobno szedł za nimi poza miasto, ja tam nie wiem. Jedna była bardzo pokrzywdzona.

- Jak pokrzywdzona?

- Bardzo, Witek. Ale naprawdę nie wiem, ponoć była ciemna noc...

- Ale sąd tak powiedział.

- Bronił go nie będę. Tylko mówię, Wituś. Za Krońcami chodziły takie historie. Nieprzyjemne. Gorsza była z jego tatka, Maćkiem Krońcem, choć insza.

- To znaczy?

Ojciec milczał.

- Tato, powiedz, ja serio tego nie pamiętam.

- Maciej został zabity na bacówce. Nigdy nie znaleźli sprawcy. Wtedy nikt się tu nami nie interesował. Mówili, że może to jakiś wędrowiec był... Smutna sprawa.

Witka tknęło, że to podobna zbrodnia... Przypomnił sobie obraz śmierci w Żmijowym Jarze. Przypuszczał, że widok dzieciaka będzie go prześladować do końca życia. I chociaż słyszał, że mały teraz jest w Sączu, zwyczajnie nie miał odwagi tam pojechać.

- Co było dalej z Jankiem, tato? - zapytał. - Pamiętam, że tutaj bywał.

Bywał. Duże słowo. W lecie przyjeżdżał z doliny nawet na parę tygodni. Witek bał się go. Janek wywiesił go kiedyś do góry nogami nad najwyższym brzegiem Zawoi. Podrzucił robala i jadowite czerwone mrówki, kiedy on sam bawił się jeszcze samochodzikami. Czyli był z niego kawał skurwysyna bez żadnej litości dla kilkanaście lat młodszego chłopca.

A tato opowiadał, jakby był jego starszym bratem.

Każdy miał swoją wersję życia. Każdy widział to, co chciał widzieć.

- Tato, musisz coś wiedzieć - rzekł.

- Tak?

- Szedłem raz za nim.

Tatko tylko uniósł brew.

- I słuchaj. Nie wiem, czy się go pytałeś. - Witek zawahał się. - Bo on teraz mieszka w lesie.

Ojciec rzekł coś niezrozumiale.

- Słucham?

- Teraz ciepło.

Witek przewrócił oczami.

- Powiedzmy. Tata, ja nie mówię, że on nocuje, bo ciepło. Mówię, że jest bezdomny. I że mieszka w Żmijowym Jarze. Tam, gdzie znalazłem zwłoki. Bardzo blisko, może kilometr, dwa od tego miejsca nad Zawoją. Ja nie powiem tego policji, ale pomyślałem, że może naprawdę to... nikt ich tam nie sprowadził na dół, jak mówią? Drużynscy nawet pewnie nie wpadli na to, że ktoś tam żyje, może zeszli napić się wody. A oni pewnie nawet o tym nie pomyśleli...

- Kto oni?

- No, policja.

- Dlaczego mi to mówisz, Wituś? Komuś musisz, tak?

Tatko spojrział na niego z zaskakującą kombinacją złośliwości i ostrości w spojrzeniu; instynktownie Witek odsunął się. Właśnie taki złośliwy, choć nie brutalny, tato stawał się po napitce. A pił dobrze, bo po sąsiednich do Rytowa wsiach mieszkali Łemkowie, pili kropkę, a tato z nimi. Kropka, eter w istocie, to był chrzest jakich mało.

– Nie rozumiem.

– Czego nie chcesz powiedzieć tego jego żonie, tylko mnie?

– Co?

– Słyszałeś pytanie, Wituś.

– To nie jest jego żona.

Stary pokiwał tylko głową. Swoje wiedział; Agnieszka miała rację. Dla nich, rdzennych rytowian, bo nie mówił o takich Waszyńskich, Agnieszka dalej była żoną Janka.

Przysięgli sobie przecież.

– Już jej powiedziałem, tato – rzekł.

– I co ona?

– Zmartwiła się.

– Zmartwiła się – odparł tato. – Patrzcie ją. Naiwny jeszcze jesteś, synek. Naprawdę myślisz, że o tym nie wiedziała?

Po południu Nina podjechała do PTTK. Zanim wysiadła, uporządkowała myśli w głowie. Piąty dzień śledztwa. Łazęga, zafascynowany Nadpopradziem i góralskimi opowieściami, coś planował, a pozostali, czyli jego fani (chyba tak powinna ich nazywać), kibicowali mu w tym, choć trochę na ślepo, jak z zaufaniem do guru. Łazęga utrzymywał wokół tego aurę tajemnicy...

Morderca oszczędził chłopca – bo przecież nie miał żadnych urazów – a plecak znaleziono w odległym miejscu. Był jednak pozbawiony najbardziej wartościowych łupów, co rzeczywiście wskazywało na rabunek. A najbliższej do miejsca zbrodni było z tego piekielnie wysoko położonego schroniska na wykarczowanej Hali Rytowskiej.

Niebieski szlak wiódł brzegiem urwiska, ale wciąż nie było jasne, czy zabójca sprowadził ofiary łagodniejszym zboczem od schroniska, czy w zasadzie zepchnął ich z urwiska bliżej lasu. Pozostawało tajemnicą, jak mu się udało ściągnąć ich na dół, i absolutnie nie lekceważyła tej zagadki. Miała jedną zaskakującą teorię, ale chciała ją jeszcze przemyśleć, pozwolić, żeby się rozwinęła, potrzebowała jakiegoś dowodu...

Wróciła do schroniska i wsiadła do mazdy. Zapaliła silnik i jechała może dziesięć na godzinę. Zjeżdżało się chyba jeszcze gorzej – gdyby spaliła hamulce, byłoby po niej na tej stromej drodze. Przyjdzie czas, że będzie potrzebować napędu na cztery koła, musiała sobie znaleźć tylko dobrego doradcę, żeby nie skończyć z trupem toyoty albo nissana.

Umówiła się z Rumsztyńskim we wsi. Mieli porozmawiać z Witkiem Rozenbą, pasterzem (gazdą, jak mówiła Basia Stasik), który znalazł

zwłoki. Uprzejmie poprosił, aby przyszli pod szkołę, bo jest zajęty. Uszanowali to.

Przejeżdżając przez Rytów, poczuła energię przenikającą tkankę wsi. Rozstawiano namioty, rozwieszano światełka na gałęziach drzew, jak gdyby miała się odbyć szalona impreza wakacyjna. Urządzano stanowiska pokazowe i warsztatowe. Nie widziała jeszcze nikogo w stroju góralskim, ale przypuszczała, że folklor będzie.

Dostrzegła sieć elektryczną biegnącą przez Rytów i oplatającą całą wieś stoiskami, plakatami, afiszami, tą energią właśnie... Przecież jasne było, że tu nie powstanie żadne turystyczne eldorado. Zwłaszcza wobec niewyjaśnionej śmierci dwojga ludzi na szlaku – choć może to ludzi nie zniechęcało, a wręcz przeciwnie.

Miała wrażenie, że trochę osób kręcących się po miejscowości łązi tu z powodu zwykłej żądzy sensacji. Podwójne morderstwo i śtryt, i to w tym samym tygodniu. Zbieżność? Jak tylko zamykała oczy, miała przed oczami wyraz twarzy chłopca. I jeszcze te ciągnące się prośby o wodę... Dlaczego właśnie to stawało jej przed oczami? To nie miało żadnego, najmniejszego sensu.

Rumsztyński już na nią czekał. Witek Rozenba, szczupły, przystojny chłopak z czarnymi włosami, ciemnymi oczami i zarostem, wyszedł im na spotkanie. Miał dość wysoki, choć niepiskliwy głos i wyglądał na zmęczonego. Tak jakby zdawał sobie z tego sprawę, bo zaczął opowiadać o nawale pracy przy gospodarstwie.

- A jak przygotowania do śtrytu? – zapytał uprzejmie Rumsztyński.
- Postępują.
- Piwniczna też przyjedzie – rzekł policjant.
- Wiem.

Spoglądała na lekko skrzywioną minę Rozenby i pomyślała, że może to jest człowiek, który nigdy nie jest kontent. Skrzywiony siłą mechanizmu samoobrony. Jak ci prosperujący biznesmeni, którzy zapytani zawsze ci powiedzą, że są na skraju ruiny.

- To jest komisarz Nina Warwiłow – rzekł Rumsztyński.

Mężczyzna w ogóle nie wyglądał na zdziwionego. Oczywiście, każdy już wiedział.

Przyglądała mu się. Znała już wersję Rumsztyńskiego. Zagubiona owca, piesek, który sprowadził pasterza na dół... Naraz jakaś młoda, szczupła dziewczyna skierowała się w stronę Witka, ale dał jej znak dłonią.

- Proszę opowiedzieć własnymi słowami - poprosiła Warwiłow.

Zrelacjonował. Jak to przypuszczał, że wilki zjadły mu owcę. Jak szedł za psem. Pies sprowadził go na dół rozpadliną. Lekko zbłądł, kiedy doszedł do opisu ciał. Zastopowała go jednak sama, kiedy zaczął mówić o chłopcu.

- Proszę mi opisać tę scenę. Wiem, że to może być bolesne, ale muszę zapytać. Gdzie on był?

- Siedział... chyba za mamą, prawda?

- Ja tego nie widziałam. Coś dokładniej?

- Opierał się o nią.

- Czy mógł być niewidoczny dla napastnika?

Rozenba wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że nie. Na ziemi leżała jeszcze... chyba tak, ta chusta!

Chusta do noszenia małego. Drużyńska musiała ją zdjąć - rzecz w tym, że nie wiadomo kiedy, pomyślała Nina.

- Coś jeszcze?

- No i pozostałe... to znaczy jeden plecak.

Rany były zadane od tyłu. Łazęga zmarł od ostrego cięcia w tył pleców. To wydawało się bardzo istotne. A jego żona od kluc z przodu... Najbardziej prawdopodobna wersja była taka, że przed śmiercią obróciła się przodem do swojego zabójcy.

- Co pan wie o tym kawałku lasu? - zapytała.

- To znaczy?

- O jego genezie.

– Niewiele – odparł krótko. Trochę za szybko.

– Nazywa się Żmijowy Jar...

– Trochę na wyrost moim zdaniem. Las został tu nie wiadomo po co. Ale dobrze, że został. Zwierzęta mają wodopój. I Zawoja nie wysycha tak łatwo.

Potok. Wszechobecny w Rytowie, tutaj też go słyszała, bo słuch miała znakomity. Dochodził do niej delikatny szum i odgłosy dzieciaków bawiących się na buniorze. Strumień błyskał, miał niesamowity kolor, nie tak zielony jak bunior w Beskidzie, bardziej złoty, przypuszczalnie przez barwę kamieni.

– Jaki pan ma numer buta? – zapytała.

Dostrzegła błysk w oczach Rozenby. Dotąd mówił bardzo spokojnie, kulturalnie – ale trochę jakby to nagrał zawczasu i teraz odtwarzał.

– Czterdzieści i jeszcze sześć. Zresztą pan Rumsztyk, to jest Rumsztyński, już chyba fotografował, prawda?

– Prawda – odparła. Ciekawy był ten pseudonim policjanta, ale on sam ani mrugnął.

– Czy często pan schodzi do Żmijowego Jaru?

– Nie. Nie mam z kim owiec zostawić, więc bardzo niechętnie. Już mówiłem...

– Daleko pan wychodzi z nimi na hale?

– Nie, zazwyczaj wypasam niżej.

– Czyli nie na halach?

– Nie, to wypasanie na własnych polanach – odparł. – Wyżej dzierzawimy jeszcze kawałek ziemi od człowieka z Piwnicznej i dlatego byłem na tej łące.

– Jakie jest jeszcze wypasanie? – zapytała z uśmiechem.

– Oczywiście szalaśnicze... Waszyńscy więcej pani powiedzą.

– Kto to?

– Nasi wioskowi regionaliści. Stoją za tym wszystkim. – Wskazał dłonią na organizujący się stryt.

- Mam jeszcze pytanie - powiedziała Nina. - Czy sądzi pan, że morderca mógł przewidzieć, że pan tam zejdzie do potoku?

Zdawał się chwilę zwlekać z odpowiedzią.

- Ja absolutnie nie wiedziałem, nie mogłem znać tego miejsca.

- A ktoś mógł? - zaryzykowała.

Milczał i poczerwieniał lekko.

- Może mała Ignerska. Przechodzi tamtędy do szkoły.

- Ignerska?

- Może, bo zawsze tak było. Choć ostatnio Marcin Ignerski skołował jakiś samochód i nawet jeździ.

- Czy ktoś jeszcze?

Znowu nie odpowiedział i ponownie wydawało się, że nie mówi wszystkiego.

- Ma pan podejrzenie, kto to mógł zrobić? - podjęła. - Bo wie pan, ja odniosłam wrażenie, że do morderstwa doszło jednak trochę przy drodze. Na drzewach są szarfy i wydawało mi się, że coś wskazują.

- To właśnie Roma tamtędy przechodziła.

- Ach, czyli to jest ta dziewczynka...

- Z peteteku - potwierdził. - Córka Marcina.

- No to o co chodzi z tymi szarfami?

Rozenba wzruszył ramionami.

- Zdaje się ojciec rozwiesił, żeby mała nie zgubiła drogi ze schroniska. Taki nieformalny szlak.

Nina wspomniała chudą, zdenerwowaną dziewczynkę.

- Chryste, to ile ona miała lat, jak tamtędy chodziła?

- Niewiele. Ale co pani myśli, że ona jedyna chadzała z daleka do szkoły? Tu nie miasto. Dobrze, że w ogóle mamy szkołę, inaczej dzieciaki musiałyby łączyć do Piwnicznej.

- Chyba jeździć autobusem.

- Nie w zimie - uciął.

– I tylko ona? – kontynuowała wątek Nina. – Mam na myśli, czy tylko ona przebywała w Żmijowym Jarze? Przecież jest tak blisko, tuż nad wsią...

– Niech pani popyta innych – rzekł wymijająco.

– We wsi?

– Także w schronisku. Nie mam tej wiedzy, nie koleguję się z Ignerskim. Znam go jak wszyscy, ale nie jesteśmy przyjaciółmi.

– To brzmi, jakby jednak ktoś tamtędy chodził – powiedziała wolno.

– Kiedyś nawet ja sam. Koło peteteku była baza namiotowa. Ale wymarło toto i petetek przestał być taki atrakcyjny. Była tam pani, prawda?

– Tak.

– Krynica to to nie jest.

Uniosła brew na to porównanie.

– Przepraszam, ale mamy do zrobienia próbę taneczną naszego zespołu. – Młoda kobieta dawała mu już nieco rozpaczliwe znaki rękami. – Musi mi pani wybaczyć.

– Tańczy pan?

– Absolutnie nie. Mam ocenić.

– Dobrze, powodzenia. Ale jeszcze jedno – zapytała na pożegnanie, bo zdaje się, że Rozenba chciał już iść i jakby mu się śpieszyło. – Czy śledził pan blog Drużyńskiego?

– Wiem tylko, co robił. Zwłaszcza teraz, po tym, co się wydarzyło. Tutaj nie ma sieci, a ja pożegnałem internet dawno temu.

– Słyszałam, że przedtem mieszkał pan gdzie indziej?

Przez chwilę milczał, jakby musiał otworzyć jakieś drzwi.

– Tak. Pracowałem w Sączu. Skoro pani pyta, to wiem, że był taki człowiek jak Łazęga. Popularny u nas, ale szerzej nieznanym, prawda?

– To by się zgadzało. Czytał pan jednak jego relacje?

– Kiedyś – zaznaczył. – Bo teraz nawet jak zjeżdżam do Piwnicznej... Oduczyłem się korzystania z telefonu. Po co to komu? Niewiele się

zmienia od czytania tych wszystkich informacji, zwłaszcza polityki. Nie musiałem czytać bloga, bo góry mam na co dzień.

– A z pamięci?

– Sprawdza mnie pani?

Wzruszyła ramionami.

– Głównie były tam chyba artykuły z naszego regionu. Fotografował opuszczone hale pasterskie. Rozmawiał też z ludźmi, to mi się podobało. Lubię, jak ludzie z różnych miejsc i środowisk ze sobą rozmawiają. No i oczywiście były te szlaki górskie.

– Jakież konkretne?

Rozenba wydawał się zniecierpliwiony. Autorytet policyjny przeważał jednak, dostrzegła to w jego oczach. Dlatego nigdy nie mogłaby być prywatną detektywką. Ludzie nie odpowiadali na pytania, kiedy nie musieli. A jej nie chciało się ich zmuszać – albo „przekonywać”.

– Z pewnością przez Halę Rytowską, jeśli o to pani pyta. Na pewno też Łabowską i tak dalej. Skoro to panią interesuje. – Wydawał się niepewny. – Jego z pewnością fascynowało dawne życie tutaj, cała kultura nadpoprzedka. To. – Wskazała ręką na śtryt. – Więc ja też przeczytałem. W końcu jesteśmy ciekawi tego, co najbliżej, prawda?

– Tak – przyznała. – Chyba ma pan rację. Jakby pan sobie cokolwiek jeszcze przypomniał... Proszę o nas pamiętać. Wiem, że jesteście teraz zajęci, ale śtryt przeminie. A co potem? Sprawa musi być rozwiązana.

– Skąd pewność, że sprawca jest stąd?

Rozenba zabrzmiał dziwnie ostro i pierwszy raz miała wrażenie spontaniczności. Ciekawe...

– Ma pan rację – odparła spokojnie. – Pewności brak. Ale może to lepiej, czy nie? Czy chcemy mieć mordercę, który przypadkowo morduje ludzi na szlakach? To byłby dla nas koszmar, sprawca prawie nie do namierzenia. Po prostu wszystko mi mówi, że ten człowiek doskonale zna to miejsce. Żmijowy Jar, jak to nazywacie. Słusznie czy nie, bo węży jeszcze nie dostrzegłam.

Rozenba coś ukrywał. Zdradzały go rozszerzone i przestraszone oczy i choć niekoniecznie był sprawcą, łączywie obserwowała jego twarz. Przeszedł przez nią lekki cień, a potem Witek kiwnął głową.

– Przepraszam, ale serio muszę już was opuścić. Nie tylko jestem siłą roboczą, ale po próbie będę też biegał w chołostniach, koszuli, oczywiście w kapeluszu oraz z kulą. Będę grał, więc naprawdę...

– Proszę już iść – uśmiechnęła się Nina. – Powodzenia życzę, jestem strasznie ciekawa.

– Będzie pani?

– Naturalnie.

Wydawał się zdziwiony, ale kiwnął głową. Oczywiście, że będzie uczestniczyć, pomyślała. Znalezienie sprawcy, jeśli pochodził z tej dziwnej wsi, było jak znalezienie zapalniczki w snopku siana. Zgromadzenia społeczne w jej karierze już nieraz udowodniły wielką przydatność dla śledztwa. Wspomniała choćby to pamiętne zebranie społeczności oddziału C8 szpitala psychiatrycznego w Weseliskach.

Usiadła i przynajmniej nie musiała tłumaczyć Rumsztyńskiemu, czemu to musi robić. Po ich wizycie w Rytrze nie powiedział ani słowa.

Obserwowała Rytów. Była to naprawdę duża osada; bardziej niż jej się wydawało. Niemal jak Sękowa pod Gorlicami lub Ropica. Tylko znacznie dziwniej zbudowana.

Przecież każdy znał Żmijowy Jar. Musieli znać w takiej miejscowości, tak specyficznie położonej i jeszcze z petetkiem po drugiej stronie lasu. Z jednej strony domy przy strumieniu stały ciasno – z drugiej hen, daleko ciągnęły się pola i pastwiska, którymi można było niezauważenie przejść.

Każdy mógł być mordercą...

– Jak oceniasz szanse powodzenia strytku? – zwróciła się do Rumsztyńskiego, teraz może bardziej „Rumsztyka”.

– Sam nie wiem. Moja siostra próbowała kiedyś zarobić na owczej wełnie. Prowadziła firmę wyrabiającą rękawice i inne produkty.

Powiedzmy, że może na śtrycie łatwiej będzie to wypromować. – Po chwili dodał: – Czemu wypytywałaś Rozenbę o te rzeczy na koniec?

– Sprawdzalam jego pamięć. Jego zeznanie dotyczące znalezienia zwłok jest istotne. Po kilku dniach ludzie strasznie koloryzują.

– Ciekawa z ciebie śledcza, Nina.

– Ciekawa w sensie...

– W sensie, uczyć się! Po tylu latach wciąż się uczę, mała.

Przełknęła to określenie „mała”. Czy na pewno była mała? Z pewnością nie będzie już za chwilę.

– Może powinniśmy tu zostać, rozejrzeć się – powiedział Rumsztyński.

– Tak.

– Przyjechałaś samochodem – stwierdził. – Myślałem, że już nie planujesz.

– Zdanie się zmienia niestety. Chciałabym jeszcze raz obejrzyć te plecaki.

– Dobra, zaraz zadzwonię.

– Dzisiaj jeszcze się tu rozejrzę.

– Myślałem, że zjeżdżamy do Piwnicznej. Możemy pogadać w budzie.

Dostrzegła stres na jego twarzy. Już niedługo powinna powstać jakaś koncepcja. Nie mieli nic. Śtryt śtrytem, ale musiała przyjrzeć się ludziom. Miała wrażenie, że w Zawoi i na halach zakopanych jest dużo więcej brzydkich sekretów.

Była ich ciekawa.

– Nie, na pewno nie dzisiaj – powiedziała.

I w tym momencie dopiero dostrzegła wyraz zaskoczenia w jego oczach. Lubiała zaskakiwać ludzi.

– Bo ja tu już zostaję – powiedziała. – Wynajęłam pokój w PTTK na Hali Rytowskiej.

Roma obudziła się rano. Mieli gościa, więc trzeba było wcześniej wstać i jeszcze przed szkołą przygotować śniadanko. Nie miała pojęcia, co sobie pani komisarka (tak teraz chyba mówiło się w miastach) życzy. Nie żeby nie podjęła próby dowiedzenia się. Już wczoraj zapukała do drzwi pokoju „dębowego” – tego, który jej zdaniem najlepiej się nadawał dla *takiego* gościa.

Komisarz Nina Warwiłow otworzyła drzwi. Spoglądała jakoś tak dziwnie przenikliwie. Spokojnie i skanująco.

Roma trochę się spłoszyła.

– Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz, Roma.

Była onieśmielona, że policjantka pamięta jej imię.

– Chciałabym zapytać – powiedziała, przełamując bariery – co pani chciałaby na śniadanie?

– Na śniadanie? Nie mam pojęcia. A co tobie do tego, dziecko?

– Tato mnie wysłał.

Skłamała szybko i instynktownie. To było jak druga skóra.

– Tato?

– Tak.

– A nie mogę – zaczerwieniła się nagle kobieta – zamówić czegoś?

– Wolelibyśmy wiedzieć teraz.

– Teraz, bo... Chwila, bo idziesz do szkoły, prawda?

– Nie, dzisiaj sobota – wymamrotała Roma.

– Och, prawie zapomniałam. Na szczytach gór człowiek traci poczucie czasu, co nie?

Roma nie odpowiedziała.

– Tato cię wysłał, powiedziałaś?

– Tak.

– Dobrze. Powiedz mu, że jeszcze nie wiem. Ale że nie wstaję zbyt wcześnie, więc bądźcie spokojni.

Roma kiwnęła głową.

– Roma... Mogę cię o coś zapytać?

– Proszę.

– Jak teraz ze szkołą? Pytam, bo wiesz, mam dzieciaka. Moja córeczka ma cztery lata, ale tylko patrzeć i będzie w twoim wieku. Ledwo mrugnę!

Uśmiechnęła się. Roma nie odwzajemniła. Zestresowało ją to wypytywanie o tatę. Jakby razem robili coś złego.

– To znaczy? – zapytała.

– Masz dużo lekcji?

– Nie tak dużo.

– Tato ci musi pomagać? – zapytała z uśmiechem policjantka. – Słyszałam, że teraz rodzice odrabiają lekcje za dzieci. Prawda to? Nie podkabluję twoim nauczycielom, ale serio?

Roma czuła się niezręcznie. Milczała i zupełnie dziecinnie wbiła spojrzenie w deski na podłodze. Był tam interesujący sęk w kształcie sowy. „Przetrwać, byle przetrwać...” Bała się nauczycieli, a co dopiero policjantki. Zdawało jej się, że zaraz trafi do więzienia.

– Dobrze, przepraszam za te pytania – rzuciła beztrosko Warwiłow. – Zapomniałam, jaki to nudny temat: szkoła. Naprawdę nie przejmuj się śniadaniem, jem jak ptaszek.

Po wyjściu Roma poczuła się dokładnie tak, jak przewidywała: konkretnie ziniwilowana. Jakby prowadziły dwie równoległe rozmowy. Jedna linia dotyczyła prawdziwych pytań – ale druga prawdy o niej i o jej życiu.

Nawet na ich hale dochodziły historie o Ninie Warwiłow. Miała inne wyobrażenie baby ze spluwą. Szczupła, ciemnowłosa policjantka nie miała w sobie nic groźnego. A także na sobie. Choć Romie zdawało się, że w kącie widzi kaburę...

A prawdy o sobie wcale nie zamierzała przekazywać.

Nie była idiotką, rozumiała, że inne dzieci nie pracują tak ciężko. Że sporo dzieci, zwłaszcza poza Rytowem, ale i w samym Rytowie – w ogóle nie pracuje. Że są dziećmi. Ale jej całym światem był tato i to miejsce, gdzie akurat mieszkali. Może ten PTTK, a może inny. Ich domem była ich dwójka. I za dużo książek przeczytała, żeby nie wiedzieć, że istnieją gorsze opcje.

Lepiej było zniknąć. Miała w każdym razie nadzieję, że tato poradzi sobie ze śniadaniem dla policjantki i że nie wpadnie mu do głowy pomysł, aby gdzieś w tym czasie sobie pójść. Dlaczego ta baba tak wypytywała?

Sama będzie przez to głodna, to nie jej wina, nie mogli mieć z tatą kłopotów. Teraz nie mogła zrobić śniadania, ale musiała wcześniej wyjść z domu. Tak jak pisali w książkach, kłamstwo rodziło kolejne kłamstwo. Niesamowite, jak nie można było od tego po prostu uciec, kiedy człowiek się zaplątał.

Już to przemyślała poprzedniego dnia... Koniec ze szkołą. Nie każdy musiał kończyć szkołę, masa pisarzy nic nie kończyła. Może właśnie tak powinna żyć, jak pisarze. Nie ma lekcji pisania, nie ma uniwersytetu pisania, będzie tworzyć i tak zarobi na życie: Hłasko i Jack London nic nie skończyli. I jak na razie biologia i fizyka do niczego jej się nie dokładały w życiu poza permanentnym bólem brzucha. Nie było sensu tego kontynuować.

Słowem: Roma Ignerska rzuciła szkołę jednoosobową decyzją i poczuła się wolna. Rozumiała, że ktoś się może o to przyczepić, ale zarazem czuła, że jej decyzja jest ostateczna. Przecież nie mogą jej zmusić, kiedy powie, że nie idzie! Jak niby? I to nie będzie taty wina, to bardzo, bardzo ważne.

Znała lepsze miejsce niż szkoła. Skierowała się między drzewa. W plecaku, zamiast podręczników, miała książki, ale włożyła do niego też toporek, gwoździe i małą piłkę zwiniętą z drewna.

Magda wskazała dzieciakom, gdzie jest jej szałas.

Zniszczyli go, zbeczcęcili. Tam, gdzie Roma leżała i podróżowała na tajemnicze wyspy, łądy, odległe archipelagi, pływała na statkach i oceanach, jakiś wiejski głupek przyszedł i nasikał. Na tyle było ich stać i Magda była dokładnie taka sama. Zdradziła ją, żeby wkupić się w łaski dzieciaków ze wsi.

Kiedy to zrozumiała, Roma poczuła ulgę. Taki właśnie był Rytów, kłamliwy, zdradziecki. Z pozorów ładny, w rzeczywistości robaczywy. Kibicowała Warwiłowi, żeby policjantka to zrozumiała. Sama nigdy nie żyła, a teraz już nie zamierzała żyć – gnić! – tą głupią wsią.

Roma знаła miejsce, którego już nikt nie znajdzie – a ona sama nie będzie na tyle tępa, żeby komuś je pokazywać. Już nigdy.

Weszła do lasu i ściskając w dłoni zapalniczkę znaną z strumienia, skręciła, ale tym razem już nie mijała tajemniczego zagajnika z powykęcanyimi brzożami, tylko weszła w sam środek, w najgęstsze krzaki, zwłaszcza o tej porze roku. Były tu iglaki, pokrzywy, gdzieniegdzie krzaki jeżyn. Gałęzie pokaleczyły jej policzki, ale znalazła nowe miejsce. Takie, którego nikt już nigdy nie znajdzie.

PTTK na Hali Rytowskiej niewątpliwie przywoływał u Niny pikantne wspomnienia. Ze swoim pierwszym chłopakiem, Pawełkiem, często łazili po górach. Oczywiście byli bez kasy, za to zaliczali numerek na każdym noclegu. I na trasie również, spontanicznie, między drzewami. Pamiętała, że byli w Górach Stołowych, Karkonoszach, Pieninach, a niewykluczone, że dotarli nawet tutaj.

Pawełek. Co się z nim działo? Był taki ładny, choć w zasadzie nadawał się tylko do tych numerków. Dużo się śmiał, ale niósł mało treści. Oczywiście potrzebowała bardziej problematycznych mężczyzn, z Pawłem miała za mało kłopotu.

Rozejrzała się. Dawno nie była w takim wnętrzu. Ciemne, pachnące wilgocią ściany, wszystko oparte na skosach. Placki ze śmietaną i bogatymi dodatkami (teraz z owocami lasu, rzecz jasna), zgodnie z tradycją miejsca, i ta chuda, ruda dziewczynka, która odpowiadała półgębkiem na nawet najbardziej podstawowe pytania. Dzika, ale jednocześnie bystra.

Na zewnątrz kilkoro turystów z plecakami podziwiała widok rozciągający się z hali na dolinę Popradu i dalej na Kotlinę Sądecką. Nie zostawali jednak, przechodzili dalej. Więc jednak ruch był: niewielki, ale regularny. Nina dalej nie wierzyła w przypadkową zbrodnię, bo jeszcze nie miała do czynienia z takim zbrodniarzem.

Chociaż, tak jak powiedziała, seryjny morderca działający w ten sposób byłby dla wszystkich nieuchwytnym koszmarem.

Udało jej się stąd odbyć dwie rozmowy przez wifi. Działo całkiem nieźle. Internet w tych stronach działał pewniej niż telefon, chyba tak miało być. Odbyła krótką rozmowę z Miłą. Mała podekscytowana

opowiadała jej o ciepłych plażach Morza Śródziemnego, muzyce na ulicy, krewetkach wielkich jak rogalik z piekarni i słodkich churros, które Mila, jak się okazało, dodatkowo jadła z kremem pistacjowym. Tym ostatnim Nina nie była specjalnie zachwycona. Skończyły rozmawiać chwilę przedtem, jak mała zrobiła buzię w podkówkę. Nina mówiła potem, że kocha i że niedługo się zobaczą.

Jej eksświekra, Jola Kapińska, z którą odbyła kilka nieprzyjemnych rozmów na wyspie Wolin, dotrzymała słowa. Chcieli mieć Milę i chcieli wprowadzić ją do swojego życia. Bez wątpienia jej córka korzystała z wakacji w Hiszpanii. Odrębne pytanie brzmiało, czy u małej nie dojdzie do rozdwojenia jaźni, kiedy wróci do zapyziałego domu w Beskidzie. No ale znowu: czy mogła jej odmówić czegoś dobrego?

Przypuszczała, że Mila nigdy nie stanie się dzieckiem beskidzkim, pozostanie warszawskim – bo wychowywała ją matka z Warszawy, rodowita prażanka z bloków osiedla RSM Praga.

Drugą rozmowę tego dnia Nina odbyła z Chodkowskim. Zapytała go o morderstwa w dziczy.

– Niewiele – rzekł. – Owszem, zdarzały się jakieś napaści na szlakach. Ale nic skomplikowanego. Klótnie też były, ale wiesz, takie wewnętrzne, między podróżnymi...

– Zakończone podwójnym morderstwem?

– Nie.

– A coś, co choć trochę przypominałoby *modus operandi* tego sprawcy?

– Nie. Nie znalazłem. Chociaż wiesz co...

– Tak?

– To jest taka trochę sytuacja, jak wypadek z ucieczką, prawda? Przecież nie jesteś mordercą, ale uciekasz.

– On ich sprowadził na dół.

– Od kiedy mi o tym powiedziałaś, zastanawiam się, w jaki sposób.

– Na pewno miał nóż.

- Było ich dwoje, a facet, z tego co mówisz, wysportowany.
- Mieli dzieciaka. Ale może masz rację.
- Po prostu się zastanawiam.
- Okej. Sama przeszłam już tę drogę kilka razy, to znaczy ze schroniska...

- Serio? Uważaj na siebie.
- Chryste, Karol, już to mówiłeś. Tak naprawdę jest mi teraz trochę łatwiej.

- Bo?
- Wykonałam ruch do przodu i tu zamieszkałam.
- To znaczy... zatrzymałaś się?
- A co powiedziałam?
- Zamieszkałam. Po prostu się przestraszyłem. Różnie to z tobą bywa.

- Bardzo śmieszne. Droga do wsi jest straszna, ale bliżej tu niż wjeżdżać z Piwnicznej. Zaraz odbędzie się tu duża impreza... Wiesz, co się dzieje na takich. Rozwiązują się języki. Więc trochę się pokręczę.

- Yhhh - zaczął dziwnie mamrotać, a potem dodał: - Bądź ostrożna.
Powiedziała mu, że jest w ciąży, i mimo że nie skomentował, teraz trochę żałowała.

- Jest jedna rzecz co do śledztwa - przypomniała sobie.
- Tak?
- Coś tkwi na tym blogu, spędziłam tam ostatnio ze trzy godziny. Łazęga był prawdziwym podróżnikiem, żaden tam instagramer. Gość naprawdę schodził te szlaki. Ale jest coś, do czego nie potrafię jeszcze dojść. Jakby ludzie na blogu, w sensie użytkownicy, posługiwali się dodatkowym językiem, którego w ni w ząb nie rozumiem. Są krok przede mną.

- To pogadaj z tymi ludźmi.
- Przecież nie mam ich personaliów. To nie takie proste, Karolku.
- Pogadaj online.

Odłożyła słuchawkę, myśląc nad jego słowami. Pogadaj online, prychnęła.

Ale potem pomyślała, że Chodkowski miał rację. Jak zwykle zresztą.

A poza tym nie musiał jej mówić, by uważała. Mimo że było lato, poprzedniego wieczoru włożyła na siebie wszystko, co miała. Tutaj, na wyrżniętych przez górali halach, czuło się podniebny świat, równie chłodny. W Beskidzie Niskim prawie nic nie było widać; człowiek mógł wleźć na samą górę, ale tam trzeba było często wieży, żeby dostrzec widoki. Inna sprawa, że niebo nigdzie nie było tak czyste i wieczorami w dolinie Brzennej jak na dłoni widziała konstelacje Oriona, Wielkiej i Małej Niedźwiedzicy, Gwiazdy Polarnej, z których dostrzeżeniem normalnie miałyby problem.

Człowiek sam na sam z przestrzenią, zmuszony do samotności i refleksji... Nie zawsze tak było. Kiedyś, podobnie jak w Beskidzie Niskim, żyło tu wiele osób, góralskie rody ze swoimi owcami. Ale mówiono, że bacowie jeszcze żyli w Rytowie, Łomnicy... Byli jak jakieś białe kruki wśród wielobarwnej społeczności, która zasiedliła te nadpopradzkie tereny. Byli jak Łemkowie, jednakże nie wyrugowała ich okrutna kolej historii, tylko czas.

Młody Rozenba bez śladów gwary opowiedział jej, jakie ma spracowane ręce i że to się tak naprawdę kompletnie nie oplaca. Śtryt był romantycznym wołaniem i miała ochotę tego doświadczyć, jak niegdyś Watry w Beskidzie, ale przypuszczała, że dla wielu może być cepelią – bo stara kultura umierała.

Mogła doskonale zrozumieć Łazęgę, jeżeli faktycznie interesowało go dawne życie pasterskie. Jak jacyś Rasmus i włóczęga czerpał przyjemność z wędrówek po tych opuszczonych ziemiach, może zmęczony biznesową żywiołowością ziemi sądeckiej i wielkich dolin rzecznych. Szukał pobudzenia dla wyobraźni, inspirującej pustki? Znalazł tylko śmierć, jakby romantyzm utracił już prawo bytu.

Jak twierdzili ludzie, którzy go znali, w każdym możliwym momencie uciekał tutaj, na hale: w pasmo Jaworzyny albo Radziejowej,

okazjonalnie docierając do Bieszczad i w drugą stronę, aż do Sudetów. Z bloga wynikało jednak, że najwięcej czasu poświęcił Nadpopradziu kosztem innych rejonów, i wspominał, że stale odkładał nawet wymarzoną wyprawę w Dolomity. Dlaczego?

Siedziała na ławeczce, kiedy zaczęła dostrzegać wyłaniający się kształt. Maskę samochodu, powoli widoczną na tle krawędzi lasu, auto mijające nieczynną już wiatę w starej bazie studenckiej. Zostały po niej jeszcze znaki. Widziała natomiast jakiś pojedynczy rozłożony namiot, ale to chyba chyłkiem i po nocy.

Dobrze, że się tutaj zatrzymała. Morderca, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, był z Rytowa. Wczoraj obserwowała, jak dwójka młodych ludzi kieruje się do lasu. Miała wrażenie, że ten skrót był dla całej wsi, a nie tylko jednej małej dziewczynki, idącej za wypłowiałymi szarfami. Powinna zwrócić się do Ignerskiego, odklejonego człowieka w słomkowym kapeluszu, a nie do Romy...

Rumsztyński zaparkował. Wysiadł i rozejrzał się. Splunął, zanim ją zobaczył. Rozbawiło ją to. Lekko się spłoszył. Naparstek beżowo-zielonej śliny spadł na trawę.

Roześmiała się, żeby się nie spał.

- Przepraszam.

- Jestem z policji.

- Jak się tu żyje? - zapytał z mieszaniną troski i powątpiewania w głosie.

- Bezpiecznie.

- Dobrze dla...

- Na pewno bliżej śledztwa. To się teraz liczy. Słuchaj, musiałam to sobie poukładać w głowie.

Opowiedziała mu o swoich odkryciach w Nowym Sączu - i na blogu.

- Więc Łazęga... - zaczął zamyślony.

- Czegoś szukał - dokończyła.

- Czego?

- Nie wiem. Ale ostatnio poświęcił wszystkie inne pasma, które kochał, na rzecz tego jednego. Góry Grybowski, Beskid Wyspowy, Niski... Sprawdziłam, że w kółko wędrował po tych terenach. Przemierzał teren od Krynicy po Rytro, a niebieski szlak był jednym z jego najczęstszych. W ciągu ostatniego roku głównie tutaj się przechadzał.

- Ułatwiają pracę mordercy.

- Może. Ale to nie wszystko.

- Co jeszcze?

- Mam wrażenie, że czegoś szukał.

- Kogoś?

- Nie. Czegoś.

- Nie rozumiem.

- Informacji. A może raczej – historii.

- Do przewodnika turystycznego?

- Nie wiem.

- Może jakiejś literackiej, papierowej formy swojego bloga?

- To oczywiście niewykluczone. Wolałabym się jednak upewnić.

Zapadła cisza.

- Dobra. To już się zaczęło – rzekł Rumsztyński. – Jedziemy? Gotowa na Rytów w pełnej okazałości?

- Masz na myśli w pełnym skansenie?

- Nazywaj to, jak chcesz.

Podał jej rękę, muskularną i żyłastą.

- Gotowa. – Wstała sama, a widząc jego minę, dodała: – Chryste, nie musisz mi w tym pomagać.

- Chcę.

Rozejrzała się. Nad Rytowem niebo było jeszcze jasne, ale od strony Krynicy robiło się smoliście czarno. Stratusy zdawały się zahaczać o najwyższe sosny.

- Wiesz co, daj mi jeszcze chwilę - powiedziała, a potem zawróciła i zabrała ze sobą kurtkę z goretexu. W ciąży wzrastała jej odporność, co nie oznaczało, że nie mogła się przeziębić.

Rumsztyński wstał i otworzył jej drzwiczki samochodu.

Weszła do środka i podążyli drogą na śtryt.

Witek spoglądał na coraz czarniejsze niebo i przyszłość rysowała się w pewnym sensie bardzo klarownie. Deszcze nadciągały na pierwszy dzień strytku. Przez jakiś czas wydawało się, że ciemna chmura przejdzie nad halami, ale nagle jej się odwidziało i w Rytowie zupełnie zmieniło się światło. Kiepsko to wszystko się zaczynało.

Inaczej to sobie wyobrażał. Ludzie kręcili się smętni – choć przewidywania się spełniły, zjechało się ich wielu. O strytku pisał przecież „Nowosądeczanin”, „Dobry Tygodnik Sądecki” (który sam czytywał!), „Gazeta Piwniczna”, zaangażował się lokalny dom kultury w Piwnicznej: istotne, ważne media powiatu. A pieczę nad wszystkim trzymał oraz dodatkowe środki dostarczył sam Sącz.

Nic jednak nie zadziało tak skutecznie jak morderstwo.

O Rytowie pisały główne media w całej Polsce – i Witek rozpoznawał, że część z tych ludzi wcale nie przyjechała tutaj z powodu górali, czarnych, białych, lipnickich czy nadpopradzkich... Przyjechała tutaj, bo kilka dni temu doszło tu do makabrycznego zabójstwa.

Ciężkie krople deszczu, niemalże gradowe, dziurawiły całą infrastrukturę strytku, zwłaszcza słabo zabezpieczone wystawy i stoiska z jedzeniem: pierogami łomnicańskimi, bryndzanką, plackami pasterskimi i świeżym chlebem ze smalcem i ogórkami.

Ten sam los spotkał warsztaty dla dzieci, w pośpiechu zbierano więc przygotowaną zawczasu wełnę i barwniki roślinne. Przygotowana na występy muzyczne i taneczne scena, na której od kilku dni trenowała „Rytowska polana”, była oczywiście kryta, ale trybuny już nie...

Generalnie część handlowo-rozrywkowa wydarzenia zaliczała oczywisty falstart.

Wszyscy teraz solidarnie, nieważne, czy miejscy, czy niemiejscy, czy z Piwnicznej, czy z Łomnicy, Krynicy, Sącza, Rytowa, czy z jego osiedli, kryli się w otwartych dla publiczności miejscach pod dachem.

Witek wziął ze sobą Arena, nie chciał się rozstawać z psem na cały dzień. Owczarek, grzeczny i dobry, a przede wszystkim bardzo mądry, dzisiaj niestety szczełał, w zasadzie nawet warczał. Z początku delikatnie, później już bez żenady wył wniebogłosy, wzbudzając gniwne reakcje wśród przyjezdnych – a nawet strach, bo fizycznie był z niego kawał psa, nawet jeśli w gruncie rzeczy łagodny.

Ludzie zaczęli zwracać mu uwagę. Jakby to, u licha, była jego wina. Nie była przecież, nie zamierzał się nią obarczać. Cakle rano też wydawały się niespokojne, może wiedziały, co się szykuje, kiedy tato, na słabych nogach, wyprowadzał je na hale. Na pokazy pasterskie Witka i strzyżenia owiec przyszło ledwie kilkoro osób z parasolami. Ze dwa razy mignęła mu Agnieszka. Była zajęta, bardzo *ważna*, jako przedstawicielka szkoły.

Musiał przyznać, że świetnie się prezentowała w prostej białej, ładnie skrojonej sukience. Powietrze było duszne i on mocno się pocił w wełnianych chołostniach. Normalnie w lecie nosiło się białe płócienne, ale czarne z wełny cakli znacznie lepiej prezentowały się na pokazie. W każdym razie brzuchacze z dolin byli podnieceni i pod wrażeniem aury Agnieszki. Witała osobistości z Kotliny Sądeckiej, którzy dotarli aż tu, on zaś biegał w koszuli z oszywką, zganiając owce z powrotem i chowając przybory.

W końcu był wolny i udał się tam, gdzie wszyscy. Na halę sportową, która została przeznaczona na potrzeby strytku, a stała się znienacka centrum imprezy. Na skutek deszczu panowało zamieszanie. Witek przemyślił psa, bo sądził, że może nikt nie zauważy. W końcu byli na wsi – a w kontekście przyjezdnych wprowadzanie piesków między ludzi było ostatnio w miastach modne.

W środku wywiązała się niezła impreza. W ruch poszły nalewki, a nawet kropka. Wolni faceci z Rytowa: Dońko, Michał Tenerowicz,

Leszek Górka, nawet „w praktyce” wolny Cyklop, byli odpicowani. Ładne dziewczyny z Sącza z ciekawością wpatrywały się jednak w niego. Wiedział, że prezentuje się bardzo dobrze w stroju górala i luźnej lnianej koszuli, tylko podkreślającej opaleniznę z hal.

Zachęcały go do alkoholi i skorzystał. Napitek z ładnymi dziewczynami z doliny. Czemu komplikował sobie życie romansem z Agnieszka? Gorzej: w zasadzie związkiem. Jej były mąż był zwykłym kryminalistą. Gwałcicielem. Nie tylko ten wyrok miał na koncie, były też inne. Mieszkał teraz w lesie, w czymś w rodzaju pośpiesznie skleconej koliby – czego z sobie znanych powodów Witek nie zdradził przed Niną Warwiłow.

Niech ktoś inny jej opowie.

Witek napił się i bawił coraz lepiej. Włosy, oczy, piersi; zgrabne dziewczyny wirowały dookoła. Zjechały się piękności z Piwnicznej i Sącza, bogate dziedziczki fortun biznesowych. Robiły sobie zdjęcia. Taki stryt to dobry materiał na media społecznościowe. Każda chciała mieć z nim zdjęcie, dostał kilka buziaków w policzek, tuliły się do niego. Lekki zapach potu i perfum był nawet podniecający. Nie protestował.

Tylko co do Arena Witek ewidentnie się przeliczył. Pies jednak nie umiał się zachować. Znowu wył jak opętany. Brzmiało jeszcze gorzej, kiedy rozchodziło się w środku. Hałas mieszał się z ożywionym gwarem generowanym przez tłum i odbijał od wysokiego sklepienia hali.

Witek miał tego dość. Dobrze się bawił, tańczył. W niepięknie pachnącej sali zrobił się prawdziwy stryt – oznaczający w końcu *spotkanie* – a jego najlepszy przyjaciel psuł całą zabawę.

– Twój pies, Wituś?

To pytanie zadał Adam Tomasziewicz, który pełnił funkcję sołtysa. Gruby facet zdobył to stanowisko parę lat temu, ale panoszył się, jakby cała wiec należała już do niego.

- A mogę jakoś pomóc? – zapytał Witek.
- Wituś, weź go stąd. Bo ludzie się boją.
- Krzywdy nikomu nie zrobi.

– Wituś, ty to wiesz i ja to wiem, ale kobitki się boją.

Kobitki. Nie do wiary, że dalej tak nawijał. Był autorem kultowego i najgłupszego tekstu, jaki Witek słyszał. Kiedy lata temu wszedł w kupę, stwierdził, że „Przynajmniej kobitki nie będą na mnie teraz lecieć”.

Ale został sołtysem i dalej mówił „kobitki”. Witek nie chciał się kłócić z Tomaszkiwiczem. Nie to, że nie miał jaj, bo co tam sołtys mógł; w sumie zabawne stanowisko. Ale taka dobra zabawa się zrobiła, że sam nie chciał jej psuć.

– Kochany, co się dzieje? – Podszedł do pieska.

Aren był po prostu niespokojny.

Witek rozejrzał się dookoła. Znane rytowskie twarze – oraz te inne, nieznanne. Zaczynało się wypogadzać.

– Wituś, zrób coś z tym psem – męczył go za plecami Tomaszkiwicz.

W końcu sam złapał warczącego Arenę za obrozę. A potem, choć nie był z tego powodu szczęśliwy, wyszedł i przywiązał go do opustoszałego teraz stoiska na zewnątrz. Puściłby go wolno, ale znowu będzie draka, że ludzie się boją.

Chciał już wrócić.

Zapalił jeszcze i zakręciło mu się od tego w głowie. Aren uspokoił się na chwilę i pogodził ze swoim losem. Ułożył się grzecznie pod mokrym stolikiem. Problem został zażegnany.

Dobra była ta nalewka z winogron od Tenerowiczów: Witek wrócił i od razu przyjął dwa dodatkowe kieliszki. Znowu zachwyty, znowu zabawa. Tańczył z jedną dziewczyną, potem w grupie. Myliły mu się te panienki z błyszczącymi włosami, wszystkie wyglądały tak samo. Gdzieś tam mignęła mu twarz Agnieszki, wydawała się zła. Miał to gdzieś. Ciągłe taka pieprzona odpowiedzialność, cała ta pieprzona odpowiedzialność, nawet za psa.

„Ciągła praca, brak zabawy, nudzą Witka takie sprawy!” – krzyknął, ale nikt nawet nie usłyszał i nie zwrócił uwagi na cytaty.

Tańczył.

Nadzieja Niny, że wreszcie zobaczy Rytów w pełnej krasie, spełzała na niczym. Zamiast zaobserwować społeczność w skali jeden do jednego, musiała uznać wyższość ucieczki przed rześistą ulewą, która, jako żywo, przypominała te z sąsiedniego Beskidu. Przyroda wyraźnie nie zamierzała się angażować w promowanie kultury i demonstrowanie dawności nadpopradzkiej. A może chciała jej strzec przed ceprami? Trudno orzec.

A może wprost przeciwnie, skonstatowała Nina, spoglądając na imprezę, która rozwinęła się w sali szkolnej. Nadpopradzie z życiem!

Wielokształtna masa bawiła się w akompaniamencie wycia psów. Z jakiego powodu taki jazgot – nie wiadomo, ale w końcu byli na zapadłej wsi i burki dla zasady powinny się trochę awanturować. Ludzie z Rytowa bawili się. Był rozweselony sołtys, siłujący się na rękę z krzepkim przyjezdnym albo może lokalnym, był swobodny taniec przy muzyce dalekiej od góralskiej, a bliższej dyskoteci w Łużnej pod Gorlicami. Przypuszczalnie znacznie więcej to wszystko mówiło o mieszanym charakterze polskiej wsi, jeśli ktoś chciał dostrzec prawdę.

Nina schowała się pod opuszczonym namiotem, żując bardzo dobry ser kupiony u Romy. Twardy, kozi, z ziołami. Takiego się w sklepie nie znajdzie.

– Jutro też się dzieje. Możemy się rozejrzeć.

Kryli się z Rumsztyńskim przed deszczem. Ludzie biegali w tę i we w tę, trochę śmiejąc się z ulewy, a trochę przed nią uciekając. Wariactwo. Coraz głośniejsza muzyka, coraz więcej alkoholu. Jakby napięcie z tych parnych dni sięgnęło zenitu i wszyscy nagle postanowili się żyć. Zamiast grzecznej folkowej imprezy miała przed oczami coś

w rodzaju festiwalu rockowego, gdzie wszyscy brodzą w błocie, i to stanowi część zabawy.

- Cholera jasna – mówiła, patrząc na rozweselony, rozbiegany tłum. – Wolałabym dzisiaj inaczej. Dziś jest ten dzień, kiedy czuję, że rozwiązują się języki.

- No to uderzaj do środka.

- Jak wiesz, chyba nie za bardzo mogę. Mimo wszystko. Słuchaj, byłam raz na weselu. Młoda dziewczyna w ciąży została zaproszona do zabaw na oczepinach, wiesz, takich w stylu zakładania wielkich majtek, barchanów, że niby śmieszne i w ogóle... Skakała, a brzuch razem z nią. Miałam szczerą nadzieję, że nie urodzi.

Rumsztyński się zaśmiał.

- Tym bardziej podtrzymuję moje zdanie.

- Dobrze – powiedziała Nina. – Prawdę mówiąc mi ulżyło. Odwieź mnie na górę i jedź powoli.

Na Hali Rytowskiej było ciepło i przytulnie. Pokój pachniał schroniskiem, to nie był nieprzyjemny zapach. Przywoływał młodość albo raczej tę „młodą” młodość.

Zaparzyła sobie rooibosa z czajniczka, który zawsze ze sobą woziła. Ułożyła się pod kraciatym kocem, pachnącym proszkiem do prania.

Pogadaj online, powiedział jej Chodkowski. Oczywiście, jak zwykle jej były podwładny miał rację. Jak bardzo brakowało jej takiego partnera!

Kontynuowała eksplorację bloga Łązęgi i musiała założyć profil, aby dotrzeć do większości treści. Jaki? Miss Marple na pewno nie. Nora Charles... Też nie przejdzie, choć Nora to wspaniałe imię.

Żadna Nina, na razie coś absolutnie niekojarzącego się z nią. Tak jak musiała zrozumieć daną miejscowość, tak musiała poznać tego człowieka, Drużyńskiego, żeby rozwikłać zagadkę, dlaczego skończył martwy nad potokiem. Poszukiwanie podobnych spraw przez Chodkowskiego spełzło do tej pory na niczym – i raczej nie rokowało.

Tak więc może ksywa „Anurak”: Nina podążyła tropem fonetycznym i absolutnie bezpiecznym. Po co kombinowała, taki miała już przecież nick na Facebooku. Algorytm, który podobno kazał ludziom występować pod nazwiskiem, jeszcze jej nie dopadł. Wgrała sobie zdjęcie z telefonu w ikonę konta, ale reszta sztucznego dossier... Szybko zorientowała się, że reszta pozostawała nie do zrobienia.

Komentatorzy mieli różne odznaki. Ona nie miała i nie miała czasu ich zdobywać – zakładając, że jest coś do zdobycia na stronie martwego właściciela.

Łazęga cieszył się ogólną popularnością. Sympatyczna twarz i taki przypuszczalnie charakter. Odpowiadał na wszystkie komentarze. Nie wdawał się w sprzeczki. Jeśli się uważnie patrzyło, można było sporo wyczytać o osobowości człowieka na podstawie awatara w internecie. Oczywiście nie mówiła o królowych bikini z Instagrama, ale to też dużo mówiło o stanie umysłu.

Poznawała już tych ludzi, potrafiła wyłapać, czy ktoś był spokojny, czy wyważony, wesoły czy melancholijny. Wyglądali na zgodną i wspierającą się społeczność, jednak czuła, że pojawił się tam rak toczący grupę. Pewien szczególny profil. Ktoś, kto nie tworzył społeczności, nie dawał uwagi i aprobaty, ale żądał...

Zawahała się. Ze względów informacyjnych szczególnie zainteresował ją obecnie „Mr Misterio”, o dumnej odznace „komentator”. Jak namierzyć tego człowieka? Pisał bardzo wyraziste, kompleksowe komunikaty.

Nick wydawał się całkiem interesujący! A czemu nie spróbować: wpisała to imię na Facebooku. I znalazła: twórca internetowy, choć dość niszowy. Obserwowało go niewiele ponad tysiąc osób.

Kim jesteś, przyjacielu... Jak masz na nazwisko?

Istniała pewna prosta sztuczka, nie wszyscy o tym wiedzieli, a ludzie bywali nieostrożni.

Profil miał nazwę „Mr Misterio”, ale w wersji Facebooka – tej komputerowej – na pasku wyszukiwarki pojawiło się zupełnie inne

hasło. Było to imię i nazwisko podane przy rejestracji.

A brzmiało: Andrzej Antoni Będziński.

– Mam cię! – krzyknęła zadowolona.

Weszła z kolei w wyszukiwarkę. W KRS coś wyskoczyło, facet prowadził spółki... coś powiązanego z internetem. Najważniejsze, że niedaleko, bo w Moszczenicy. Parę zdjęć w internecie również się znalazło. Był na nich niedźwiedziowaty mężczyzna w polarze w jakichś inscenizacjach średniowiecznych w Starym Sączu.

– Andrzeju Antoni, co wiesz, wyznaj, proszę – wyszeptwała.

Będziński na swojej stronie publikował satyryczne rysunki, których bohaterem był pan Rzodkiewka. Pan Rzodkiewka był w zamysle celnym i bystrym komentatorem świata; wydawał jej się dosyć wulgarny. Ale zgodnie z prawidłami internetu polubiła fanpejdż, a potem kilka postów poniżej niego.

Na szczęście i rysunki, i opisy były krótkie. Tak samo komentarze na blogu: treściwe, bez błędów ortograficznych, przekleństw, a nawet potknięć stylistycznych. Andrzej Antoni Będziński nie wyglądał na człowieka, który lubi tracić czas.

Napisała również kilka komentarzy ze swojego konta na Facebooku, miała tu sporo widoczków z podróży dodanych w różnych latach i oczywiście dostępnych publicznie. *Summa summarum* profil nie był taki zły. Przydał jej się już kilkukrotnie.

Musiała odczekać chwilę. Ofiarowała tę namiastkę akceptacji, której ludzie tak bardzo potrzebowali w internecie. Teraz zwróciła się po zapłatę. Prymitywne, ale może zadziała.

„Dzień dobry” – napisała na czacie. „Świetna strona”.

Trzy minuty później Mr Misterio vel Będziński odpisał:

„Dziękuję”.

„Nie ma za co! Mogę mieć do ciebie pytanie?”

Zakładała, że internauci lubią przechodzenie na ty. To było niczym wejście w sferę przyjaźni.

„Interesuje mnie Łazęga, dużo o nim czytałam na blogu i widziałam, że też tam jesteś” – kontynuowała.

„Dlaczego cię to interesuje?” – napisał szybko.

„Piszę artykuł – skłamała. – Oczywiście chętnie cię podam jako źródło”.

Czekała. Będziński dwa razy coś pisał, ale się z tego wycofywał.

Zaczęła nerwowo bębnić palcami po biurku.

Wysłała mu jeszcze zaproszenie na prywatnym. Przyjął błyskawicznie. Oczywiście, nick miała nie swój, ale zdjęcia normalne, sprzed kilku, a raczej kilkunastu lat. Nie sądziła, aby była tak rozpoznawalna.

Obydwoje się nawzajem obwąchujemy, pomyślała. Jak psy gończe, ale tylko ona nim była.

Będziński zaczął odpowiadać. Wpatrywała się z napięciem, jak Andrzej Antoni pisze coś – ale zaraz potem się z tego wycofuje. I znowu zaczyna...

Chryste, to było u niego patologiczne. I jakie irytujące! Powinni zlikwidować tę funkcję na komunikatorze, ona mogła absolutnie wykończyć człowieka.

„Anurak, ciekawe imię” – napisał w końcu.

Szybko mu odpowiedziała.

„Dzięki. Słuchaj, im więcej siedzę na blogu, tym bardziej widzę, że Łazęga chciał coś napisać... – zagrała wprost. – Ale co w zasadzie?”

Sekundy mijały.

„Myślę, że coś poważnego – odpowiedział Andrzej Antoni. – Ale zamilkł w tym temacie”.

„Zamilkł...” – pomogła, bo wymiana znowu się urwała i minęło paręnaście sekund.

„Tak. Kompletnie zamilkł. Od jakiegoś czasu... chciał napisać coś konkretnego”.

„Czyli o konkretnych ludziach?”

Znowu milczenie i kilkakrotne próby napisania, następnie wycofywanie się z tego rakiem.

Miała ochotę zgrzytnąć zębami.

„Anurak, może lepiej...” – zaczął niezdecydowany Będziński.

Chciała zadać pytanie pomocnicze, ale wtedy usłyszała pukanie do drzwi.

O co chodzi? Było niczym omamy.

Pukanie nie ustawało.

Wstała spod koca i momentalnie zrobiło jej się chłodno. Zadrżała od tego.

Otworzyła drzwi.

W drzwiach stał Ignerski. I z jakichś powodów ociekał wodą.

Zwróciła na to uwagę, bo zwyczajnie kapało na podłogę, a wciąż jeszcze była w rozmowie z Andrzejem Antonim Będzińskim.

– Komisarz Rumsztyński dzwoni – rzekł Ignerski. – Prosi do telefonu.

– Teraz?

– Tak, mówi, że to bardzo pilne.

Nina zostawiła laptop na stole. Będziński znowu myślał. Chciała jak najszybciej wrócić do tej rozmowy...

Zeszła. Ignerski w jadalni podał jej słuchawkę telefonu bezprzewodowego.

– Halo – usłyszała świszczący głos Rumsztyńskiego. – Nina, słuchaj, na śtrycie stało się coś. Coś bardzo dziwnego. Jak...

– Jak co?

Rumsztyński wydawał się zafrapowany. Wyczuła to nawet przez telefon.

– Jak morderstwo, Nina – powiedział.

Obserwowanie pijanej tłuszczy (tak pisał Sienkiewicz, za którym przepadała, chyba jako jedyna w szkole) nie należało do wymarzonego sposobu spędzania przez Romę popołudnia. W ogóle nie należało do przyjemności. Zwłaszcza gdy trzeba było unikać dzieciaków z klasy. Przypuszczała, że będą ją dręczyć.

Była jednak przygotowana, bo miała już plan i czuła wolność! Nie odczuwała tego niezwykłego dreszczu, jak kiedy wymyśliła PLAN, ale wciąż trzymało ją to w pionie. A brak zainteresowania ze strony nauczycieli jej nie martwił. Skąd, Rytów był tak daleko położony od świata, że nic jej nie zrobią.

Nigdy więcej Dokalskiej, ostrej Kroniec z matematyki, głupiego pytania z fizyki, z której i tak nic nie rozumiała. Kuła wzory na pamięć, ale nie potrafiła znaleźć przełożenia na rzeczywistość. Nie wiedziała, czy ktoś potrafił, a nauczyciel, stary Czerwiński, chyba również stracił morale, po tym jak Mariusz Karpak dosłownie zjadł swoją kartkówkę, z której dostał zero punktów. Świadomie czy nie, Karpak pozbył się dowodu rzeczowego i dobił psychicznie fizyka.

Różni ludzie kręcili się przy jej stoisku z serami – ale nikt nie patrzył na nią. Tato przez godzinę zagadywał ludzi, a potem przypałały się jakieś bogate studentki z doliny. Przyjechały kabrioletem i przynajmniej trzy były już wstawione. Miała nadzieję, że nie cztery, bo tyle miejsc miało cabrio.

– Pamiętaj o promocjach, Ronju. Aktywna sprzedaż, córeczko – szeptał tato.

– Wiem.

– Nie możemy z tym zostać.

A potem ulotnił się, właśnie kiedy pojawiła się ta grupa roześmianych młodych kobiet. Roma wiedziała, że tato wciąż się może podobać. Był wysoki, ubrany dzisiaj w odświętną skórzaną kamizelkę. Długie włosy miał już posiwiałe i przerzedzone, ale skrywał to pod skórzanym kapeluszem. Do tego gęsta broda i kolczyk przydające mu uroku. Z białych zębów wystawało mu źdźbło trawy i miał ten swój szelmowski uśmiech, z którym wyglądał jak pewny siebie kowboj. Pomyślała, że stryt to jest jego czas.

Z tego, co jej opowiadał, wychował się na blokach na Osiedlu Centrum, ale udawało mu się udawać mieszkańca gór od pokoleń. Skutecznie. Widziała, jak godzinę później pod namiotami, gdzie już rozbrzmiewały śpiewy, jedna dziewczyna siedziała mu na kolanach, odsłaniając opalone uda.

Roma nie mogła na to patrzeć. Nie była zupełnie, jak to mówili, zielona w sprawach damsko-męskich, ale starzejący się tato i dziewczyny parę lat starsze od niej...

- Hau, wrr, wrrr...

Aren szczekał wściekle, bolała ją od tego głowa. Lubiła tego pieska, ale dzisiaj wolała, aby został w domu, choć wiedziała, że Rozenba ciąga go ze sobą wszędzie. Ale cierpiała na migreny - tak w końcu orzekła pielęgniarka szkolna, ale tonem, jakby to były bóle fantomowe.

Nasilały się od hałasu, ale przede wszystkim od nagromadzenia bodźców: różnych mieszających się ze sobą dźwięków, od upału oraz pragnienia. Na jesieni i w zimie przyjmowały trochę inną formę, nie tylko bólu głowy, ale wrażenia, jakby pływała godzinami w zimnym, szarym stawie.

W końcu Witek Rozenba ogarnął się i przywiązał Arena. Pies na łańcuchu wyraźnie nie spodobał się przyjezdnym. Sołtys szepnął coś Rozenbie do ucha, ale do psa zbliżyć się nie chciał. Stała tak niedaleko, że widziała złość łagodnego w gruncie rzeczy Arena - może to jakiś nagły atak wściekizny? Ale to się musiało rozwijać kilka dni, przecież czytała w *Cujo* Stephena Kinga...

Chciała podejść, ale się nie odważyła. Miała zbyt bujną wyobraźnię. Widziała, że inni podchodzili, choć pies różnie reagował. Byli i Waszyński, i Dońko oraz parę innych osób ze wsi, znających i lubiących Rozenbów. Bez efektu. Aren wszedł w tryb wściekłości, podniecenia i przypuszczała, że wiele ma z tym wspólnego całe zamieszanie – nie od dziś wiadomo, że nie cieszy zwierząt.

Uśmiechnęła się szeroko, kiedy podeszło do niej miłe małżeństwo z Łomnicy.

– Ten podpuszczkowy, a ten fromage. Pyszny! – powiedziała.

– Skoro polecasz, dziecko.

Uśmiechnęła się. Pani kupiła serów za osiemdziesiąt złotych. Utarg był niezły, ale wisiały nad nim ciężkie chmury – literalnie, bo stało się jasne, że zaraz uderzy ulewa.

Czuła, że jeszcze chwila i głowa jej eksploduje.

Do natężenia bodźców doszło ostatecznie i to. Ciężkie krople spadały na zapakowane w folie serki. Usiłowała z tym walczyć, przesuwając swój skromny brezentowy daszek, ale na niewiele się to zdało. Jednocześnie zauważyła, że serce imprezy wyraźnie przeniosło się gdzie indziej. Centrum wydarzeń stała się sala szkolna, w której przeżywała swoje koszmary. Wydobywały się z niej dźwięki łomoczącej muzyki i to chyba było najgorsze ze wszystkiego!

Tato w każdym razie był na poważnie zapracowany. Na opalonym udzie dziewczyny znalazła się już jego dłoń. Deszcze nie przeszkadzały, to jasne, może nawet wzmagaly podniecenie w podchmielonym towarzystwie. Tata był zajęty. Pewnie nawet na dłużej...

Roma podliczyła pieniądze w biodrówce. Jakimś sposobem miała już kilkaset złotych. Nie było źle jak na jeden dzień. A ludzie stracili zainteresowanie stoiskami na wolnym powietrzu, ewidentnie władzę przejęła impreza.

Roma podjęła decyzję.

Spakowała wszystko do torby sportowej. Stoisko pozostawiła, bo i tak nie miała co z nim zrobić, a było kryte parasolem. Zapakowała sery

w reklamówki, tak szczelnie, jak potrafiła, a potem, kryjąc się przed deszczem, niewidoczna, mijała roześmiane grupki jak zręczna slalomistka.

Zaczęła maszerować w górę wsi. W okolicach mostu dostrzegła grupkę roześmianych dzieciaków. Ewidentnie zmierzali w stronę szkoły: wieść się rozniosła i cała wieś chciała się już zabawić.

Serce zabiło jej mocniej. Szła z nimi Magda, a wyglądała, jakby w pełni *przynależała*. Nie wlokła się z tyłu. Była w środku, zagadana...

Roma naciągnęła kaptur tak mocno, że aż jej dudniło w uszach. Miała pieniądze i serki. Musiała bronić swojego dobra i zamierzała: zębami i pazurami. To były ich pieniądze, jej i taty, ale zamierzała trochę odłożyć tylko dla siebie. Doskonale wiedziała, że wygląda żałośnie i przypuszczalnie ją zauważą. Ale przemknęła szybko, a deszcz stał się tym razem jej sprzymierzeńcem. Wszystkim przechodziła ochota na dręczenie jej, a impreza na śtrycie kusila, żeby tam szybko dotrzeć.

W końcu dźwięki ucichły. Im dalej szła w górę, tym bardziej wszystko stawało się zamglone jak przeszłość... I dobrze. Sprawdziła stan torby. Nie było tragedii: serki były dobrze zapakowane, ale powinna je schować do lodówki. Pieniądze w biodrówce, zabezpieczone jeszcze torbą foliową, były suche. Na szczęście faktycznie zrobiło się chłodniej. Gorzej było z chlebami pieczonymi na liściu kapusty, ale jakimś cudem sprzedała sporo i został tylko jeden. Mógł iść na zmarnowanie, czyli na ich własny talerz...

W gruncie rzeczy miała jeszcze chwilę. I zrobiła się głodna.

Nie chciała wracać do schroniska. To był przystanek, nędzna klitka, która za jakiś czas stanie się przeszłością. Kiedyś stąd wyjedzie, prawdopodobnie sama. Jej domem od zawsze był las. I tym razem wybrała taki teren, że dzieciaki jej nie znajdą. Nie zdradzi, że buduje kolejny szałas, a jeśli zdarzy się, że będą ją śledzić – ta banda szwendających się chuliganów i chuliganek – to ich zgubi. Była już przygotowana.

Wyszła na płaskowyż i zaczęła się wspinać po najbardziej stromym zboczu wąwozu, gdzie kamienie same usuwały się spod nóg. Starła się je wyprzedzić, była z tego niezła zabawa. Na górze teren znowu się wypłaszczył i porastał go gęsty iglasty las.

Jej nowa kryjówka.

Nie chciała już mieć widoku na wąwóz, w którym zakatowano tych ludzi. Schowała się wśród gęsto rosnących drzew i traw. Zniosła zebrane gałęzie buka i maleńką skrzynkę narzędziową. Tę dla bezpieczeństwa zakopała jednak w ziemi.

Musiała być oczywiście ostrożna. Dzieciaki były bardziej perfidne, niż się wydawało, a Magda okazała się doskonale do nich pasować. Więc gdyby jednak zamierzano ją dręczyć – zabezpieczyła się!

Sprawdziła jednak, czy ktoś tu nie dotarł, dla spokoju ducha. Zapamiętała dokładnie, jak położyła drobne gałązki na ziemi. Tworzyły kształt litery M. Jak mama.

Nachyliła się. Jedna była przecięta. Ale delikatnie. I nieco się rozsunęły...

Stała nad nimi chwilę. Mogło tu być zwierzę. Mogło, ale śladów racic nie dostrzegła, widniał za to ślad buta w większym rozmiarze.

Gdyby to były dzieci, już by się nic nie ostało, dotarło do niej nagle. Jaka zresztą była realna szansa, że odkryli jej tajemnicę? Nie znali tego lasu tak jak ona. Dopadła do skrzyneczki z narzędziami. Wciąż była zakopana, ale zauważyła, że tu również ktoś rył w ziemi.

Zostawił skrzynkę. Ale kopał dalej...

Czyli że zdołał trafić na jej ślad i czegoś szukał.

Nad takimi zwłokami Nina chyba jeszcze nie stała. Z pewnością dokonano tu poważnego przestępstwa, a mimo to była skonfundowana.

Ciało biednego Arena spoczywało na tyłach miejsca, gdzie świętowano. Budynek wciąż dudnił dźwiękami imprezy, tłumy, przyjemności. Jednak do ludzi dotarło, co się wydarzyło. Nad psem zebrała się nieprzyzwoicie duża grupka. Chyba nigdy na wsi śmierć zwierzęcia nie wzbudziła takiego żalu. A może wyczuwano w tym wszystkim coś złego.

Ten pies rzeczywiście hałasował przedtem jak opętany. Pamiętała, że szczekał, jakie to było drażniące, zwłaszcza w kontekście szaleńczo ożywionego tłumy. Trudno było z tego coś wyczytać, zaobserwować. Z jej punktu widzenia działa się za dużo, żeby mogła stworzyć sobie jakieś portrety ludzi dookoła i wypracować hipotezę.

Przy psie siedział w kucki mężczyzna, a jego koszulka była mokra, ale nie od deszczu. Witek Rozenba, z którym przecież ledwo co rozmawiała, szlochał rozdzierająco. Zdenerwowała się, że wszystkie ślady wokół psa zostały zdeptane przez niego i pozostałych ludzi, którzy uznali za stosowne i potrzebne podchodzić i klepać go po ramieniu.

Może nie powinna się tym jednak denerwować: takie było życie. To ona była tutaj intruzem. A śledztwo nie zawsze było najważniejsze.

Rozenba podniósł wzrok i to było spojrzenie człowieka głęboko smutnego.

Zerknęła na Rumsztyńskiego, ale ewidentnie robił jej miejsce.

Postąpiła naprzód, a pijany tłum rozsunał się powoli.

Podeszli wraz z komisarzem. Dała Witkowi rękawiczki, bez słowa założył. Biło od niego spirytusem, ale wydawał się pograżony w rozpacz. Delikatnie podniósł piękny łeb psa. Krew zalała żółto-brązowe futro. Ostre i zdecydowane cięcie szło przez całe gardło, wskazywało na znajomość anatomii. Wszak i sprawca masakry w wąwozie wiedział, gdzie ranić, gdzie kłuć, aby było skutecznie. Jak gdyby wielokrotnie robił to już wcześniej.

Rozejrzała się, ale szukanie śladów wydawało się raczej nonsensowne. W błocie po deszczu widziała dziesiątki odcisków ludzkich stóp, dla których morderstwo psa – jakkolwiek to brzmiało – stało się kolejną śtrytową sensacją. Ożywione zainteresowanie gapiów wydawało się adekwatne do tego, co się działo, i przecież sama intuicyjnie to łączyła. W końcu emocje rządzą człowiekiem.

Było za daleko dla fotografa policyjnego. Nie wiedziała zresztą, czy przyjedzie. Tak samo jak prokurator, to już w ogóle fantazja. Zrobiła parę zdjęć telefonem, tak dokładnie, jak potrafiła. Rzeczywiście, widok zamordowanego pieska rozkładał na łopatki. Do martwych ludzi już tak jakby się przyzwyczała, ale zamordowane zwierzęta wymagały zupełnie nowego nawyku, zupełnie nowego przyzwyczajenia... Komu zwierzę zawiniło?

Chwilę później stanęli pod dziurawą wiatą. Rozenba przykrył psa czarną płachtą; tłum powoli się rozchodził. Niektórzy wracali na imprezę, ale chyba już się kończyła i wydawało się, że ludzie powoli ją opuszczają.

Rozenba zapalił papierosa, a dym przeniknął ich wszystkich. Dalej biło do niego alkoholem, wyraźnie sporo wypił.

- Proszę opowiedzieć, spokojnie i bez nerwów – poprosiła.
- Poszedłem go zamknąć – szepnęła Rozenba.
- Dlaczego?
- Strasznie szczekał.
- Od kiedy?
- Nie wiem. Na pewno od dłuższego czasu.

- Godzin?
- Może nawet kilku dni. Ale tutaj wpadł normalnie w amok.
- To pan znalazł zwłoki – powiedziała bardziej do siebie.
- Tak, przecież mówiłem.
- Pan przy nich był pierwszy...
- Nie rozumiem, już powiedziałem...

Rumsztyński pojął, o co jej chodzi, dostrzegła to po jego spojrzeniu.

- Byliście przy nich pierwsi – powiedziała, znowu bardziej do siebie.

Wciąż myślami była przy rozmowie na blogu z Andrzejem Antonim Będzińskim. Chwilę temu surfowała po wirtualnej przestrzeni, badając zamiary Łazęgi. Z drugiej strony, ledwie parę kilometrów niżej, ktoś zamordował psa.

- Zgadza się i rozmawialiśmy wczoraj. - W głosie mężczyzny wybrzmiała złość, zrozumiała w tych okolicznościach.

- Poszedł pan tam, bo... szukał pan owcy...

- Tak.

- Ale nie zszedł pan tam pierwszy. Sygnał dał pies. Pierwszy przy nich był Aren, czy nie? Dobrze pamiętam?

- Zgadza się.

- Długo przed panem był na dole?

- Może parędziesiąt sekund. Szedłem szybko, kiedy ich zobaczyłem...

- Czy przedtem pies też taki był?

- Jaki?

- No nie wiem, nerwowo? Reagował na tłum, hałas, zamieszanie? Taki jak dziś?

- Skąd! To był superspokojny pies. Mądry. Nie darł się bez powodu.

Rozenba się rozplakał. Dała mu chwilę.

- Przyjaciel – rzekł. - Naprawdę nie wiem, co się stało. Ale dzisiaj to było apogeum. Sądziłem, że to może przez ilość ludzi. Nie jest przyzwyczajony, tylko ze mną od małego...

- Ale pan mieszkał w Sączu.

- Nie brałem go ze sobą. Próbowałem.

- Co się stało?

- Szczekał w mieszkaniu.

- Tak jak teraz.

- Może. Przyjeżdżałem, a potem wróciłem... Byliśmy nierozłączni. Kochany psiak. Boże, nie wierzę w to, co się stało.

Dotknęła jego ramienia, ale po chwili cofnęła rękę.

- Rozumiem pana ból, jednak musimy przez to przejść. Im szybciej, tym lepiej. Co było dalej?

- Wróciłem tutaj. To znaczy na imprezę. Przypiąłem go na łańcuchu.

- Bo?

- Nalegano na mnie, sołtys... nieważne. Był problem, pies hałasował, musiałem to zrobić. Ale gdyby nie to... Choć nie, kurwa, dlaczego ja to zrobiłem...

Mężczyzna położył sobie ręce na twarzy.

- Pies szczekał - powiedziała.

- Mogłem go odprowadzić za gospodarstwo. Zachowałem się źle.

- Nie, zachował się pan racjonalnie. Miał pan tu obowiązki, prawda?

- Miałem. Nie jestem barbarzyńcą! Zawsze trzymałem go najwyżej za ogrodzeniem, nie na łańcuchu.

- W domu nie było nikogo?

- Może rodzice. Ale jemu i tak się zdarzało uciekać, czasem się tak bawiliśmy. Ja uszczelniam plot on ucieka... i tak w kółko - rzekł z nikłym uśmiechem. - Choć ostatnio już nie uciekał. Zmądrzał. W ogóle to był bardzo inteligentny pies.

- Dalej - naprowadziła spokojnie.

- Tańczyłem, chyba trochę wypilem i straciłem poczucie czasu.

- Cały czas słyszał pan szczekanie Arena?

- Skąd! Tam było strasznie głośno.

- Wychodził pan?

– Nie, ani razu. Trochę wypilem. Choć teraz czuję się kompletnie trzeźwy. Może ktoś coś widział? – zapytał nagle.

– Sprawdzimy to. Czy spostrzegł pan, żeby ktoś podchodził do psa, kręcił się blisko, zachowywał się podejrzanie?

– Nie.

– A kiedy jeszcze był pan na zewnątrz?

Miała wrażenie, że mężczyzna trochę teraz spowolnił odpowiedź – jakby miał wątpliwości.

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno. Poszedłem tańczyć i nic nie widziałem.

Zdawał się łąać, ale zupełnie nie wiadomo dlaczego. Wydawał się autentycznie zrozpaczony. Czy sam mógł być mordercą? Pies nagle sobie przypomniał, że jego ukochany pan zabił ludzi, i postanowił poinformować o tym świat? Bez sensu.

Jej zawodowe doświadczenie z psami sprowadzało się do przejść z psami śledczymi, głównie owczarkami niemieckimi i belgijskimi, rasy malinois. Nie była psią behawiorystką, ale to wszystko po prostu nie trzymało się kupy.

Deszcze, ulewa. Stoiska pozamykane. Impreza w szkole, a pies był za budynkiem. Może to przypadek, może jakiś psychopatyczny brutal, mało takich sytuacji, nawet czasami nagrywanych? Choć to dziwnie przypominało jej koncepcję z przypadkowym morderstwem na niebieskim szlaku. Okazja czyni mordercę.

Pokręcił głową.

– Chciałbym już... – Wskazał na psa.

– Tak – odparła, zerkając na Rumsztyńskiego. – Proszę iść.

Zdawał się poruszać jak w malinie. Strasznie smutny to był widok, kiedy podniósł płachtę i zaczął nieść swojego przyjaciela. Trochę żałowała, że nie może zrobić sekcji i sprawdzić, czy to ten sam nóż...

Wątpiła, by okrały doktor z Sącza się tego podjął. Spalona sprawa: morderstwa na zwierzętach wpadały w czarną prawną-śledczą dziurę.

Zerknęła na Rumsztyńskiego.

- Co sądzisz?

- A ty? - odpowiedział pytaniem. Pokiwał głową. - Pewnie myślisz to, co ja...

Milczała. Że też o tym, cholera, nie pomyślała! Żadne z nich nie pomyślało.

- Za późno tu przyjechałam. Żadne z nas tego nie przewidziało, z całym szacunkiem, jesteście idioci, a nie śledczy.

Zrobiła pauzę.

- Aren był pierwszy w wąwozie, zanim nadszedł Rozenba, a potem inni. Wystarczyło czasu, nos psa jest o niebo czulszy niż ludzki. Pobraliśmy próbki zapachowe, ale obydwójce byliśmy niemądrzy - powiedziała. - Morderca się przestraszył. Bo jestem przekonana, że sprawca tutaj był. I właśnie dlatego Aren został zabity. Pies podjął trop mordercy w lesie, a myśmy to przegapili.

Witek stracił psa. Aren bezpowrotnie zniknął z jego życia. Po tym, jak obejrzeni go policjanci, poszedł za zagajnik, gdzie długo przytulał się do zwłok pieska. Przeszło już padać, ale krople z brzoźowego zagajnika dalej kapały mu na twarz. Pozwolił na to. Siedział długo w kucki, w końcu wziął łopatę i zaczął kopać tak zaciekle, że wyskoczyły mu pęcherze na dłoniach.

Wraz z bólem trochę mu odpuściło. Ale tylko trochę. Westchnął ciężko, jakby to smutek wyszedł gardłem. Aren. Najlepszy przyjaciel. Bez żadnych sloganów, po prostu. Gazdowanie byłoby ciężkie do przełknięcia, gdyby nie jakiś towarzysz, bo, z całym szacunkiem dla owiec, nie miały dla niego osobowości. Może tak go ojciec nauczył, żeby potem żal nie było, że to tylko owce. Kto ma owce, ten ma, co chce. Kto ma owce, ten baran...

Pies to co innego. Nieględzący, nieoceniający, niegadający pierdół, nie tarajkał, zawsze był obok. On sam go zabił. Raz go, kurwa, przywiązał i przez to zabił własnego psa.

Zapalił papierosa nad grobem Arena. Tak sobie siedzieli często, on kurzył, a Aren siedział obok, jakby sobie gadali.

- Z kim teraz będę rozmawiał, piesku?

Nie teraz, nie dzisiaj, ale będzie musiał znaleźć innego towarzysza. Psa, który by się zajął stadem pod jego nieobecność. Bo był sam na halach. Ale na to było jeszcze zdecydowanie za wcześnie. Pachniało zdradą.

Ale tak naprawdę to jego zdradzono, pomyślał. Miał wrażenie, że to jeden z mieszkańców, ktoś od niego. Kto z turystów, którzy przecież schowali się przed deszczem i oddawali się radosnym harcom, miałby

tyłe zuchwałości, żeby podejść i jednym pewnym gestem poderżnąć Arenowi gardło? Ludzie z miasta byli miękcy, przecież tam mieszkał, nikt nie operował nożem w ten sposób. To był ktoś, kto to już robił wcześniej, ze zwierzętami – albo bez. Kto znał anatomię, ale nie z wiedzy, tylko z autopsji.

To był ktoś ze wsi.

A Rytów, nawet ze swoimi odnogami, wydawał się zbyt mały, żeby nie mijał sprawcy: pod sklepem, na halach, nawet pod kościołem. Znał przecież każdego.

I każdy znał jego psa.

Po tym, jak pochował Arena, poszedł na piwo, na prywatną stypę. Kilka osób obrzuciło go zaciekawionymi spojrzeniami, ale w gruncie rzeczy budził obojętność: kogo tak naprawdę interesuje śmierć wiejskiego kundla. Jeden pies więcej, jeden mniej.

I tak było ich za dużo, a spora część dalej na łańcuchu, choćby były łagodne jak baranki.

Rytów. Prymitywna dziura na halach. Nawet gdyby gówniarz zarządził zwierzę dla przyjemności, to co prawda nikt by tego nie pochwalił, ale nie byłoby również stosownej kary.

Dońko siedział na ławeczce, Witek go widział, choć nie podchodził. Wyszło słońce, oblało sklep i przykurzoną ladę światłem. Grzeński smażył się w ciepłe, stopy żubrów oraz najtańsze chrupki i napoje pomarańczowe. Wszechobecny zapach mięsa i wędlin.

Witek miał szansę na inne życie, mógł robić wypadki ze znajomymi pracującymi na kierowniczych stanowiskach w Koralu, Newagu lub Fakro. Bujać się z długonogimi pięknościami z Sącza, w wielkich domach ich rodziców albo na obrzeżach miasta. Wpieprzać sushi. Wybrał kielbaski, namiot EB i psy na łańcuchu.

Poczuł ciężką dłoń na ramieniu. Marek Waszyński jakby wyrósł za jego plecami.

– Dobry to był pies, Wituś.

Pokiwał głową.

- Wiesz, zanim Róża się tu przeniosła... byłem sam.

Faktycznie, jak przez mgłę Witek pamiętał, że Róża Waszyńska dojechała później. Jakby Marek musiał ją do tego przekonać - choć teraz była już wszędzie.

Waszyński, który przyspiewki znał lepiej niż miejscowi i pięknie je wykonywał, skoncentrował się tutaj na dobrym życiu. Podobno był z wykształcenia *ekologiem*, więc z czego miał pieniądze - nie wiadomo. W Rytowie skupił się na gotowaniu i brataniu z Ignerskim, równie ekscentrycznym człowiekiem.

Pozostała między nim a Rytowem szczelina. Zdaje się, że wyobrażał sobie życie jak w *Winie truskawkowym*, ale kolegował się z innym miastowym, bo Rytów był zacofany. Witek widział to teraz bardzo wyraźnie. Jeszcze nie tak dawno skłóćeni sąsiedzi potrafili się nawzajem sabotować kotem wrzuconym do studni.

- Gdyby nie Lea, świętej pamięci suczka... pewnie już nie pamiętasz... chyba bym stąd wyjechał.

- Pamiętam.

Zawahał się.

- Dziękuję ci - rzekł Witek. Nie chciał kontynuować tej rozmowy, w sklepie i przy wszystkich.

Wyszedł na zewnątrz. Dostrzegł po prawej stronie ruch, to Dońko na niego machał.

Dońko, który regularnie łąził do Ignerskiego przez Żmijowy Jar. Dońko, który od tygodnia nawet nie zbliżał się do jego gospodarstwa, a po morderstwie nad strumieniem zniknął na jeden, dwa dni. To wszystko Witek widział, ale policji nie powiedział. Jak to, na swojego kolegę nadawać?

Jasne, że widział. Nie wiedział, czemu, do diabła, okłamał Warwiłow. To też nie miało sensu. Widział Dońkę, widział, jak Róża Waszyńska głaszcze jego psa. Robili to, bo znali Arena i próbowali go uspokoić. Ale znał tych ludzi i nie wierzył, że ktoś z nich mógł zrobić jego pieskowi

jakąkolwiek krzywdę! To byli przyjaciele, to byli ludzie, którzy mieszkali z nim w jednej wsi.

Nie powiedział tego Warwiłow, choć przypuszczał, że się domyśliła. Zrozumiał jej pytania. Aren złapał trop nad strumieniem i podjął go w Rytowie. Wywąchał mordercę. Wszyscy byli ślepi, łącznie z nim samym. A teraz jego najlepszy, jedyny prawdziwy przyjaciel leżał w mokrej ziemi.

Powlókł się drogą, popijając grybów.

Czuł przez skórę, że Aga na niego czeka. Może ona jedna mogłaby go teraz zrozumieć, pocieszyć, ale w jakiś sposób stała się częścią tego, w co się wpakował. Odżyło dawne uczucie szczeniaka do nauczycielki. Może wiedziała o tym, kiedy przyszedł do pomocy. Była tego dnia w letniej sukience, z rozpuszczonymi włosami i roziskrzonymi oczami. Zaskoczyło go to spojrzenie, nie spodziewał się tego wzroku i tego zainteresowania.

Jasne, że mu się podobała, ale nawet nie pomyślał, że coś może być. Mimo że z przeszłością, to wydawała mu się babką z innej ligi. A w tej sukience w kwiaty patrzyła, jakby była zakochana. Potoczyło się błyskawicznie, jeszcze tego samego dnia. I to jeszcze mocniej przytrzymało go w Rytowie z owcami.

Dzisiaj ojciec wziął je na wypas na ich polanę po drugiej stronie Zawoi, choć trawa tam była już mocno wyjedzona. Ale był stary i Witek nie mógł mu tego robić, to zdecydowanie za dużo – a przede wszystkim ryzykownie dla stada, za którym węszyły drapieżniki. Ale spróbuj którego odstrzelić, leśniczy przyjedzie i będzie raban na całą dolinę.

Tato z owcami na polanie: to z kolei wystawiało na niebezpieczeństwo kury, bo populacja lisów znacznie wzrosła i czasem po prostu warowały w kanałku pod mostem, czekając na ich kurki. Witek od dawna myślał o jeszcze jednym psie, specjalnie do ochrony przed lisami, trzymanym w domu.

Może teraz będzie okazja. Ale nie, pomyślał po chwili. Było za wcześnie.

Wypalił kolejnego papierosa, nie gadając z nikim i szurając podszwami, udał się w stronę swojego gospodarstwa.

Okazało się, że ktoś tam na niego już czeka. Stał przed nim Janek Kroniec.

Witek nie powiedział ani słowa. Nie jego dom, nie jego problemy. Janka teraz na pewno nie potrzebował, mógł dla niego już nie istnieć.

– Chłopie, nie przywitasz się? – Mężczyzna zastąpił jednak mu drogę. A wobec jego milczenia dodał: – Przecież to tylko pies.

– Tylko pies? Wolałem tego psa od każdego człowieka.

Janek wzruszył ramionami i zapalił papierosa. Miał na sobie tę samą koszulę co ostatnio, zauważył Witek. Oczywiście, że tak, bo nie miał domu. Pewnie prał ją w strumieniu w Zawoi, w mule, glinie i piasku.

– Mogę ci w czymś pomóc?

– Odwrotnie – rzekł Janek. – To ja ci pomogę.

– W czym?

– To, o co pytałeś przyjacielu... Zgoda, idę jutro z tobą z owcami.

Witek znieruchomiał.

– Ale... dlaczego?

Janek wzruszył ramionami.

– Pytałeś, to jestem.

– Dlaczego dzisiaj?

– Tęskno mi. Dawno nie byłem na górze. Trzeba wracać. No i płacicie coś, prawda?

Witek kiwnął głową, ale bardziej dlatego, że nie wiedział, co powiedzieć, a w głowie mu się kotłowało.

– Zapłacę – rzekł Witek, mocno zamyślony.

Janek kiwnął głową wyraźnie zadowolony.

– Będę czekał o szóstej.

I to było wszystko, co miał do powiedzenia – odwrócił się i oddalił bez słowa.

Śtryt skończył się śmiercią pieska. Przykro jej było. Roma знаła Arena, tak jak znała prawie każdego psiaka w Rytowie, ale Arena szczególnie lubiła. Wszak widywała go na halach wraz z jego panem. Chociaż Witek nie kazałby nazywać się panem. Powiedział jej kiedyś, że zwierzęta nie mają panów, tylko opiekunów, tak samo jak ziemia.

– Ale nie mów tego ludziom w Rytowie – mówił ze śmiechem, kiedy zatrzymał się na piwo w peteteku.

– Dlaczego?

– Bo cię zaraz wytkną palcami – wyjaśnił, nie wiedząc, że już to robią.

Lubiła go, trochę kochała. Nie jak starszego brata. Ale przecież była gówniarą. Cyganką.

Szła za nim cichutko, kiedy szedł chować pieska. Wstydziła się do niego podejść. Ona, małolata, do najfajniejszego mężczyzny w Rytowie. Odszedł w końcu i chyba jej nie zauważył, bo widziała, że płacze. Wówczas odczekała chwilę i sama też położyła kwiaty na ziemi, pod którą spoczął Aren.

Wróciła i tata miał dla niej dużo pracy. Turyści, którzy przybyli tu ze śtrytu, stanowili falę niewielką, ale wystarczającą, żeby wywołać rewolucję w schronisku. Wydawało się, że nic innego nie robią, tylko jedzą pierogi z kaszą, popijając piwem. Miała wrażenie, że sama porusza się tylko w oparach tłuszczu, i warknęła na tatę, który potulnie zajął miejsce przy kuchence – jako de facto podkuchenny, jak to ładnie pisali w książkach.

W końcu ruch trochę zelżał. Nie czuła palców. Kiedy zamykała oczy, ze zmęczenia widziała pierogi ze skwarkami. Wysła na zewnątrz, żeby

chwilę odetchnąć pod wieczór. Nie miała już siły. Odnosiła wrażenie, że jeśli wrzuci jeszcze jednego pieroga do wody, usmaży jeszcze jedno naleśniki, to sama zwinie się w kłębek i wskoczy na patelnię.

Usiadła, mocno już zmęczona.

Coś było jednak nie tak.

Obróciła twarz w stronę drogi z Rytowa.

Na ławeczce pod starą śliwą rozsiadła się hałastra.

Szczerzyli się do niej.

Była wśród nich Magda, wyglądała jakoś inaczej. Również się uśmiechała, choć do grupy, inaczej niż w szkole. Ta sama twarz, a inna.

Roma patrzyła na nią dłuższą chwilę, po czym obróciła głowę.

Nie potrafiła się na niej skupić, nie potrafiła też wyrzucić z pamięci „przyjaciółki”.

Nagle Tomek Mastej wyciągnął coś z kieszeni.

Kamień, zrozumiała instynktownie, choć z opóźnieniem.

– Cyganka! – krzyknął. – Łap!

Spadło na nią coś mokrego i obleśnego.

Po chwili znowu coś ją uderzyło, tym razem w oko. Podniosła. To był ogryzek.

– Pomyśleliśmy, że jesteś głodna!

Spojrzała przed siebie: mieli tego całą torbę. Chłopcy, dziewczęta podnieśli ręce i cała salwa poleciała w jej kierunku. Byli więc przygotowani.

Jeden trafił ją ostrą końcówką w oko. Ale zabolalo. Złapała się za twarz i krzyknęła.

To był błąd. Pojawił się śmiech. Rozejrzała się wokół, jakby w poszukiwaniu niewidzialnego obrońcy. Ale przecież tu nie było nikogo; zwyczajnie nie miała nikogo na świecie.

Była sama.

Czuła, że zaraz się rozplacze i że to jest najgorsze, co może zrobić w tej sytuacji, bo hyeny jeszcze chętniej się na nią rzucą. Złe dzieciaki.

Przeszli czeredą przez Żmijowy Jar i zerwali jej przyjaciółki szarfy z drzew. Leżały zmięte na ziemi. O szarfach też opowiedziała Magdzie, kiedy pokazywała jej swój stary szalas. Inni już o tym przecież zapomnieli...

Nie przechodzili tędy pierwszy raz, to oczywiste. Niektórych naprawdę się bała. Tomek miał w oczach okrucieństwo, w desperackiej próbie ucieczki od roli ofiary. Dmuchiwanie żab, mordowanie chrząszczy, zjadanie mrówek to była norma – a teraz najwyraźniej zamordowanie jej ogryzkami.

Obok bólu poczuła jednak zagrożenie. Ogryzki leciały w jej stronę kolejnymi salwami, jakby dzieciaki wyżarły cały sad. Wstała, obróciła się na pięcie i wystartowała do biegu. Minęła schronisko i zaczęła po prostu gnać w stronę Hali Łabowskiej. Czuła się zmęczona, ale biegła, uciekała od ataków ogryzkami, od tych okrutnych gęb, od niedosłej przyjaciółki, która mimo ładnych oczu była taka sama jak inni.

Nie obchodziło jej, czy biegną za nią; zresztą nie znali tak dobrze terenu. Nikt nie znał, tylko ona. Skręciła w ostre krzewy, przeskoczyła przez strumyczek, przeszła pod pastuchem i znowu zmieniła kierunek. Szła przez kładki, a jeśli nawet słyszała tupot, to już dawno ucichł. Łzy leciały jej z oczu, ale zmęczone nogi wiodły ze strachu naprzód.

Nawet kiedy była już pewna, że nikt jej nie ściga, dalej biegła i biegła po halach. Wiatr dudnił jej w uszach. Trawa w tych miejscach, które nie były wydzierżawione ani z dopłatami, była dzika, chlastała ją po nogach wraz z pokrywami.

Nagle się zatrzymała i obejrzała się za siebie. Nie było nikogo.

Za to przed sobą miała widok, którego jeszcze nie знаła. Nie mogła biec więcej niż dwadzieścia, trzydzieści minut, ale bardzo szybko. Tutaj jeszcze nie była. Musiała przekroczyć ugory, zapomniane polany, zmierzać dalej i dalej.

Za rozległą łąką zobaczyła niewielki, niski budynek, którego nie znała. Zaczęła się tam kierować, jakby przyciągał ją magnesem. Brązowa fasada była coraz bliżej, wydawało się, że jest niezamieszkały.

Z bliska widziała resztki ogrodu, ganeczek, potężne bale i spadzisty dach z wybrakowanego gontu, gdzieniegdzie bujnie zarośniętego mchem.

Miała przed sobą bacówkę góralską, choć mocno już zniszczoną. Podeszła bliżej. Na podwórzu dostrzegła ślady bytowania górali, jednak po przyjrzeniu się stwierdziła, że miejsce jest kompletnie opuszczone, jakby przez kilkanaście lat nikt tu nie zaglądał.

Stara bacówka. Bywały i takie, lecz coraz mniej. Nigdy nie słyszała o tym miejscu. Choć nie było aż tak daleko, nigdy go nie widziała...

Obejście wyglądało dziwnie, jakby opuszczono je w pośpiechu. Na ganku stała jeszcze bańka po żętycy. Uwielbiała, jak tato prowadził ją do górali, którzy dawali jej się napić z bańki stojącej na ganku bacówki; z żelaznego kubka, tylko przemywanego wodą z wiadra.

Kubek, inny, ale podobny, walał się niedaleko. Był porzewiały, znajdował się między wysuszonymi bobkami, których chyba nie zostawiły owce. Bacówka była najwyraźniej tak zapuszczona i długo niezamieszkała, że dzikie zwierzęta zaczęły tu podchodzić bez strachu.

Ciekawość była silniejsza od obaw.

Weszła na ganek, podeszła do drzwi. Chwilę wydawało jej się, że są zamknięte, coś je blokowało. Ale to nie był zamek, po prostu dawno nieużywane zakleszczyły się.

Zaparła się nogami na kamiennym ganku, pchnęła je. Puściły, weszła do środka.

Rozejrzała się, jakby instynktownie chcąc zapalić światło. Było ciemno. Czuła ten charakterystyczny zapach wędzonki wciąż bijący ze starych, lekko odbarwionych ścian: gdzieniegdzie kolor nie był już brązowy, tylko jakby purpurowy.

W środku znajdowały się dwie izby. W drugiej, zdaje się, spali niegdyś górale, w pierwszej zobaczyła jeszcze ślady watry i kij do warzenia sera nad ogniskiem – sam kociołek najwyraźniej zrabowano.

Nagle usłyszała hałas. Podeszła na palcach do drzwi bacówki. Pchnęła je. To była tylko sarna, która spłoszyła się na jej widok, ale

dobrze, że wyrzała, bo w oddali zobaczyła sylwetkę człowieka. Zbliżał się do bacówki.

Nie wierzyła, że dzieciaki jeszcze tu za nią przybiegły. Taki kawał. A była szybka i sama nie znała drogi, a one...

– Cholera – szepnęła. – Cholera jasna.

Znowu zachciało jej się płakać, ale przygryzła wargę. Nie mogła dać się zaskoczyć w środku bacówki, to było niebezpieczne, skoro mało co nie zabili jej przed „własnym” petetkiem! Jeśli tu szli, miała dosłownie parę sekund.

Wymknęła się i przebiegła skulona na bok bacówki, w kierunku bezładnych krzaków z pozostałościami brzydkich, brudnych starych butelek i śmieci, porośniętych gigantycznymi pokrzywami. Pokrzywy od dawna były jej przyjacielem i w nich się schroniła. Za nią szumił niewielki strumyk, tędy też mogła uciekać. Po kamieniach chodziła od małego, była lekka jak kozica. Więc może – *może* – miała tu przewagę.

Na razie jednak skuliła się w zaroślach.

Była kilkadziesiąt metrów od bacówki. Musiała to przeczekać, bo perspektywa spotkania nieprzyjaciół na halach wzbudzała w niej teraz prawdziwy niepokój. Dzieciaki, nic sobie nie robiąc z jej ojca, z gości, nawet z policji (która mogła się pojawić w osobie Niny Warwiłow), boleśnie obrzuciły ją ogryzkami. Oczywiście było, że mogli jej zrobić coś więcej.

Przed gankiem bacówki pojawił się człowiek. Nie widziała twarzy, ale nie wydawało jej się, że to jakiś dzieciak. Ze swojej kryjówki dostrzegła szarą kurtkę, dżinsy, ciemne włosy. Człowiek, chyba mężczyzna, zdawał się pochylony, zgarbiony...

Nagle wszedł do bacówki. Serce zabiło jej szybciej. Z tej perspektywy w ogóle nie wyglądał na turystę. Wszedł zdecydowanym krokiem, jakby czegoś szukał. Szybko wyszedł. Rozglądał się: lewo, prawo, potem wydawało jej się, że stanął bokiem, bo sylwetka zrobiła się *cieńsza*. Roma poruszyła się w krzakach, serce łomotało jej w piersi, bo instynkt podpowiadał nieomylnie, że ten człowiek oznacza krzywdę.

Przesunęła się w stronę gigantycznych roślin i jakby prąd przeszedł jej po skórze. Ale nie mogła spuścić z oka mężczyzny, żeby nie przegapić momentu, kiedy powinna skoczyć do strumienia. Chwilę postać jeszcze, a jeśli patrzył w jej kierunku, to nie mogła tego stwierdzić.

Skuliła jeszcze głowę, kryjąc zdradzające ją włosy koloru ognia i czekała, sekunda po sekundzie. Minuta po minucie.

Nie nadchodził.

Nie wiedziała, ile to wszystko trwa. Mogło i godzinę.

Kiedy ponownie wyjrzała, podwórko przed bacówką było puste.

Nina jechała do Moszczenicy, wsi położonej pod Starym Sączem, po drodze do Nowego. Wszystko wzdłuż Popradu: rozumiała słowa Rumsztyńskiego na zamku w Rytrze. Rzeka zdawała się bacznie śledzić jej poczynania. Jakby wody znały już prawdę, szeptały jej: „Dotrzyj tam, dziewczyno...”. W końcu wody Zawoi, jak i wszystkich innych strumieni nad Piwniczną, spływały do Popradu.

Moszczenica była rozległą, dużą miejscowością, jak sporo wsi tutaj. Nina podjechała pod wskazany adres. W Sądeckim mieszkało znacznie więcej ludzi niż w Niskim, może za sprawą bardziej dramatycznego krajobrazu? W Paśmie Jaworzyny Krynickiej było, zdaje się, kilka dawnych wsi lemkowski, graniczących z góralskimi, ale ledwie kilka. A może to ten słynny tygiel: wszystkie wsie były liczne, mówiono niby jednym językiem, choć akcent różnił się w poszczególnych miejscowościach. Ponoć nawet regionalistom trudno się było w tym połapać.

Kierując się nawigacją, dotarła pod niewielki drewniany dom.

Ale została w samochodzie, bo dwa wilczury za ogrodzeniem zaciekle się rozszczękały.

Zaczekała.

Byli już umówieni internetowo. W końcu wyszedł z domu barczysty, zwalisty brodac z solidną nadwagą. Gwizdnął na psy, które momentalnie się uspokoiły.

- Anurak? - zapytał.

Przełknęła ślinę.

- Tak - powiedziała.

Grała tym, co jej dał. W ogóle nie zapytał jej o imię.

Pieski ułożyły się na boku momentalnie znudzone – albo świetnie wytresowane.

– Duże – zwróciła uwagę.

– Dla obrony.

– Przed czym?

– Jeszcze pytasz? – rzekł, a gestem zaprosił ją do środka.

W pewnym sensie to zdanie stanowiło odpowiedź. Nie zapytała ponownie.

Weszła do domu, myśląc o kaburze, którą miała schowaną pod długim swetrem, w razie czego. Zwłaszcza że nie wchodziła tu jako policjantka. Będziński myślał, że jest zwykłą śmiercielniczką.

W dużej kuchni, do której ją zaprosił, gospodarz zaparzył im kawy. Obserwowała tego rosnącego mężczyznę. Wyglądało na to, że żyje samotnie.

Rozglądała się. Byli w kuchni, a trochę też w jakiejś szalonej czytelnicy. Gazety walały się wszędzie. Nie tylko to: sporo artykułów było wyciętych z prasy i powieszonych na ścianach.

Kiedy był zajęty kawą i obrócony tyłem, przejrzała parę gazet. Ciekawe. Były tam zarówno „Wyborcze”, „Rzeczpospolite”, jak i „Polityki”, ale i „Super Expressy”... Cały wachlarz polskiej prasy, w tym rzeczywiście sporo brukowców.

Zaskoczyło ją to, że Będziński się na nią patrzy. Odwrócił się wręcz błyskawicznie. Zarumieniła się.

– Lubię czytać stare gazety – wypaliła. – To śmieszne, co ludzi trapiło przed kilku laty, czego nie wiedzieli...

– Ja też – odparł szybko. – Jak widzisz, lubię nawet z różnych opcji. Czy nie uważasz, że w brukowcach również zawarta jest prawda?

– Tak, ale dlaczego?

– Bo kierują się najniżej. – Pokiwał głową, jakby sam sobie wieszował obserwacji. – Ale przejdźmy gdzie indziej, Anurak. Tu jest straszny bałagan.

Wydawało jej się śmieszne, że zwraca się do niej tą lipną ksywką. Prawdziwego imienia podać jednak nie chciała, intuicja podpowiadała jej, że nieszczęśliwie kochał policję.

Zdawał się jednocześnie przykładać wagę do jej nicka: tak dokładnie, prawie z namaszczeniem, wymawiał to wymyślane słowo.

Przeszli lekko capiącym korytarzem w stronę pokoju w skrzydle domu. Nie czuła się bardzo pewnie. Zwalisty facet, zdaje się mieszkający sam... to znaczy nie sam, z dwiema bestiami.

Co robił w środku dnia?

Pokój, do którego ją zaprosił, również nie wzbudzał wielkiego zaufania. W przeciwieństwie do pozostałych pomieszczeń zdawał się ogołocony z rzeczy. Gdyby nie duże, wychodzące na podwórko okno, nie weszłaby tu z nim.

– Tu możemy spokojnie porozmawiać, Anurak.

To ostatnie powiedział już z lekkim akcentem.

Usadowił się za biurkiem, czujnie wpatrując się w nią zza grubych szkielek. Przypominał niedźwiedzia zarówno wyglądem, jak i wrażeniem, które sprawiał: jakby pod pozorną powolnością i łagodnością czało się niebezpieczeństwo. Wahadełko nie mogło się wychylić w żadną ze stron.

– Interesuje cię Łazęga – stwierdził.

– Tak.

– A konto założyłaś niedawno... tych kilka wpisów, żeby się uwiarygodnić... przecież widać, że zdjęcia również wrzucone tylko po to. Kim jesteś, Anurak Em?

Wiedziała jednak, że jest zainteresowany. Nie mogła zdradzić, że jest z policji, wydawało jej się, że to najgorsza ścieżka.

– Kimś, kto myśli o Łazędzie i jego śmierci. Kimś, kto jest ciekaw.

Ku jej zdziwieniu kiwnął głową.

– Ja też myślę, ostatnio przez cały czas. Ale teraz niestety muszę cię poprosić o wyjęcie telefonu.

- Dlaczego?

- Nie możesz tego nagrywać.

Po chwili wyjęła.

- Pokaż ekran - poleciał.

Pokazała.

- Dobra. Jeśli zostawiłaś coś na zewnątrz...

- Co niby?

- Ten pokój jest dźwiękoszczelny. Zamontowałem zagłuszacz, ale są różne przypadki.

Coraz poważniej myślała o nim jak o misiu nie drapieżnym, nawet nie zabawnym, ale szalonym.

- W porządku. - Rozłożyła ręce. - Nic nie nagrywam, nie zamierzałam. Chcę powiedzieć, że... - przełknęła ślinę - policja podchodzi do sprawy konwencjonalnie. A mi się wydaje, że Łazęga podpadł niektórym ludziom. Wiesz, co mam na myśli.

Kiwnął głową.

- Wiem.

- I?

Odetchnął.

- Anurak, ludzie ginęli i giną w niewyjaśnionych okolicznościach. Czym są umorzenia spraw kryminalnych, no czym, powiesz mi?

Mogłaby mu to obszernie wyjaśnić, zwłaszcza na podstawie pracy na praskiej komendzie. Przemęceniem. Nadmierną ilością spraw przypadających na jednego dochodzeniowca. Pieprzoną biurokracją... Brakiem dowodów i brakami kadrowymi w polskiej policji. Ludźmi mataczącymi na potęgę. *Summa summarum* zdecydowała się na milczenie.

- To zwyczajne, prymitywne krycie, ot co - rzekł z triumfem w głosie. - Wszystkie władze świata są umoczone w krycie, i to na każdym poziomie. To właśnie łączy władze. A dlaczego?

- No?

- Połowa Polski pracuje dla Niemców, druga połowa dla Rosjan, wiesz o tym, prawda?

- Tak - odparła tak pewnie, jak potrafiła.

- To dobrze - powiedział z uznaniem w głosie. - To bardzo dobrze, Anurak. Bardzo, bardzo dobrze. - Zamilkł. - Oczywiście, że to się komuś nie podobało. Komuś wysoko postawionemu.

- Jak wysoko?

- A ja wiem? Na szczeblu wojewódzkim? Podwójna zbrodnia? Tylko dlaczego oszczędzono dziecko?

- Ale... dlaczego w ogóle musieli ich zamordować? - zapytała.

- A bo on coś wiedział! Odkrył coś, co było bardzo niewygodne dla wielu ludzi.

- Niebezpiecznych ludzi...?

- Sama sobie odpowiedz na to pytanie, Anurak.

- Ale masz jakąś myśl?

- Chodził po tych stronach i coś znalazł. Coś, co było brudne, obciążające, kompromitujące - mówił dalej i zdawało się, że lekko się odkleja.

- Jak się dowiedzieli? - naprowadziła go.

- Myślisz, że jesteś jedyną osobą, która weszła na bloga, żeby się czegoś dowiedzieć?

- Ale...

- Ale... jesteśmy inwigilowani. Kto wie, kim jesteś, Anurak. Ale moje psy cię przyjęły, więc jest to jakiś znak, prawda?

- Tak.

- Choć marny - dodał.

- Co to może być? - drażniła niestrudzenie.

- A ja wiem. Czuję, że on chciał napisać coś większego. A potem... zaczął się bać. Dlaczego?

- No właśnie...

- Moim zdaniem, to ma związek z napadem na ten dom.

Poczuła błyśnięcie w skroniach i była pewna, że w tym momencie zalśniły jej oczy. To jej się zdarzało, wiedziała od postronnych.

Miała nadzieję, że się nie zorientował.

– Skąd wiesz? – zapytała.

– Ba. Myślisz, że znałem go tylko w sieci? Chciałem zweryfikować, co to za człowiek. Pogadaliśmy kiedyś. Napisał mi o tym. Doradziłem, aby siedział cicho na forach. Po co ludzie mają wiedzieć...

– Jasne. W takim razie... czego się bał?

– Jak mówię, Anurak. – Będziński rozłożył ręce. – Czy ja wyglądam na samobójcę? Kto mniej wie, ten lepiej śpi, dłużej żyje i...

– Krócej zeznaje – wymuskiwno jej się, ale zareagował na to dobrze.

– O właśnie – dodał. – Widzę, że łapiesz. Wiedział coś, co było niebezpieczne, i wiedział, że to ma związek z napadem na jego dom. Ale co dokładnie, chyba do tego nie doszedł. Tyle.

Była pewna, że Będziński wie więcej. Ujawniały się jego kolejne oblicza. Szalony miś miejscami zmieniał się w misia szachistę. Sprzedał jej tyle informacji, ile chciał.

– A co ty uważasz, po co ten napad? – zaryzykowała.

– Nie mam pojęcia. Pewnie czegoś szukali. Nie znaleźli albo znaleźli.

– Kto szukał?

Będziński rozłożył ręce, a następnie zniemacka poczerwieniał.

– Wiem, ile wiem. I ile, z całym szacunkiem, dobrze jest powiedzieć osobie, którą poznałem wczoraj.

– Czyli wiesz więcej.

– Tego nie powiedziałem, Anurak.

Miała inną furtkę. Mogła wyjąć szmatę. Zaprosić na przesłuchanie. Wszystko krzyczało jej, że to błąd... Będziński nie wyglądał na człowieka, którego można w ten sposób zastraszyć. Pewnie od dawna przygotowywał się na taką ewentualność. W końcu władze to zło.

Przy tym to wydawało się dziwnie nieetyczne. Zaprosił ją do domu, poznała jego psy...

– Mówię wprost, Anurak, ale zdradziłbym, gdybym znał odpowiedź. Drużyński to był dobry facet. Miał rodzinę... Dzięki niemu wirtualnie chodziłem po górach.

– Jak to?

– Widzisz to, prawda? – Wskazał na pokaźny brzuch. – Ale to nie problem, problemem jest kręgosłup. Była kontuzja, a potem doszło kilkadziesiąt kilo. Więc łączyłem tam z nim, czytając bloga, widziałem każdy kamień, tak jak on widział każdą przełęcz i wierch. Bo sam nie mogę wspiąć się nawet na Halę Rytowską.

Pomyślała, że smutne mieszkać tak blisko gór, a mieć je poza zasięgiem. Chyba nie dałaby rady: kochała szwendać się zбочem niedalekiej Magury Małastowskiej.

– Mam jeszcze jedno pytanie... – podjęła.

– Dawaj.

– Opiłka Dwa.

– Co Opiłka Dwa?

Wydawało jej się, że stał się czujny.

– Dlaczego pytasz?

– Widziałam, że często pisano komentarze spod tego nicka. Ale przede wszystkim te pytania. W ten sposób subtelnie różnił się od innych, jakby chciał jak najszybciej uzyskać odpowiedź.

Będziński kiwnął głową, jakby ta odpowiedź go usatysfakcjonowała.

– Wiesz, kim jest? – dodała Nina, zachęcona tym gestem.

– Ha, zadałem sobie to samo pytanie. Niestety nie udało mi się z nim zaprzyjaźnić.

– Nie odkryłeś kto to?

– Nie jestem programistą, Anurak. Przynajmniej nie w pełni – rzekł zagadkowo. – Wątpię, aby było to takie łatwe. Więc i ciebie zainteresowała Opiłka...

– Albo zainteresował.

– Oczywiście. Powiem szczerze, coś was łączy. Pojawiliście się nagle i zadajecie dużo pytań.

– Serio?

– Tak. Sporo komentarzy Opiłki zostało później skasowanych. Zrób mi tę przyjemność, Anurak. Nie kasuj postów. I nie znikaj tak szybko – rzekł, wstając. Jego wydatny brzuch górował teraz nad biurkiem.

Zadała sobie pytanie, czy to nagły koniec rozmowy, ale podniósł się, żeby zdjąć z szafki laptopa.

– Zresztą to już pieśń przeszłości – rzekł, kładąc go na biurku i otwierając pokrywę.

– Dlaczego?

– Chyba tak dokładnie nie sprawdzałaś. Podejdz bliżej.

Wahała się, ale podeszła. Był to duży, niezły laptop marki Toshiba.

Na ekranie pojawiła się strona powitalna bloga.

Smutny pomnik zamordowanego mężczyzny.

– Jesteśmy na moim koncie – rzekł Będziński.

Wszedł w jeden z artykułów, a następnie w sekcję komentarzy.

– Opiłka Dwa, tak?

– Jest...

– To kliknij.

Tak zrobiła, klikając w tę nazwę.

Pojawiło się hasło: użytkownik nie istnieje.

– Może to błąd.

– Jaki błąd. Nie ma. Null, nada.

– Od kiedy? – szepnęła.

– A ja wiem? Przypuszczam, że zadbał o inny adres VPN. Tak czy inaczej, nie namierzysz. Coś o tym wiem.

Spojrzała na jego komputer. Mocny, ale widziała też inne, stacjonarne komputery, kiedy przechodzili przez dom.

– Skąd wiesz?

– Robię w bezpieczeństwie dla specyficznych klientów. Tyle ci trzeba wiedzieć.

Odpowiedź – profesja – wydawała się wryta na jego wielkim brzuchu.

Zadrzała mimowolnie. Jej komputer był nieźle zabezpieczony, z oczywistych względów. Logowała się tylko przez Tor. Ale zawsze mogła być nieostrożna...

Misiu szalony zmieniał się w misia masterminda. Wiedział dużo więcej, niż zdradził i nie miała pojęcia, ile o niej samej.

Jedno wiedziała, jedno wyczuwała – zależy mu na dorwaniu zabójcy Łazęgi. To w tym stosiku tajemnic wydawało się pewne.

– Próbowaleś namierzyć Opilkę...

– Tak. Próbowalem. Nie ma opcji. Powiedziałbym nawet, że Opilka, czy jak mu tam, wiedział, co robi.

Milczała, zbierając myśli.

– No – wykorzystał tę pauzę i rzekł, odsuwając się z fotelem. – Robota wzywa, więc sama rozumiesz. Fajnie było pogadać.

– Tak.

– Dobrze byłoby jeszcze kiedyś, prawda? Nie znikaj, Anurak. Nie bądź obca. Dobrze byłoby cię jeszcze kiedyś zobaczyć.

Wyszła od Będzińskiego z większą ilością pytań niż odpowiedzi i chwilę siedziała w samochodzie – ale odjechała kawałek, tak by gospodarz jej nie widział. I zrobiła to z miłosierdzia, nie chciała karmić jego wyraźnie zmęczonej psychiki.

Opilka Dwa.

Dziwny profil i użytkownik zadający dużo dziwnych pytań, natarczywie oczekujący informacji. Nie pasował, wilk w owczej skórze. Już zamknięty profil...

Oczywiście sam Będziński też wydawał się podejrzany. Znał Łazęgę w realu, ale mimo wszystko bardziej skłonna była podejrzewać go o szaleństwo niż morderstwo.

Co do tego pierwszego miała w zasadzie jasność. Pytanie, jak duża była skala jego obłądu.

Podjechała do Nowego Sącza. Umówiła się na rynku w kawiarni o nazwie Secesja. Lokal był położony przy ulicy Jagiellońskiej, może dwieście metrów od rynku. Wyglądał na stary, ale to mogły być pozory.

Ulica, wraz ze Lwowską słynna z handlu i atrakcji, zdawała się w lecie nabierać życia. Słysząc był gwar i młodych ludzi, a kiedy tędy przechodziła, zauważyła też kilkoro turystów. Już się wywiedziała w temacie lodów: polecono jej bezwzględnie udać się do Argasińskich.

Tymczasem skierowała się na spotkanie do Secesji.

W rogu, nad gazetą i kawą, siedział mężczyzna w podeszłym wieku. Wyglądał niczym cenny i starannie dobrany element wystroju.

Zamówiła kawę i bezę Pavlova, żeby uruchomić trochę zapłon po wycieńczającym spotkaniu z Będzińskim. Napięcie, które mężczyzna wprowadzał... Dopiero po fakcie pomyślała, że był prawdziwym wampirem energetycznym.

- To najstarszy aktywny kolarz w Polsce, pan Marian Szewczyk - powiedział facet, który pojawił się przed nią, wskazywał zaś na starszego mężczyznę przy oknie. Rzeczywiście, staruszek wyglądał, jakby pamiętał jeszcze czasy bohaterskiego burmistrza Romana Sichrawy.

Jej rozmówca, Piotr Drużyński, był szczupły i ubrany w marynarkę, pomimo niedzieli.

Powitanie sugerowało, że był tak samo ekscentryczny, jak wynikało z rozmowy telefonicznej.

- Serio? Co tutaj robi? - zapytała Nina w odpowiedzi na to nieformalne powitanie.

- Spędza życie bez kółek. Proszę posłuchać, mam czterdzieści minut, czyli do następnego calla.

- Jest weekend.

U niej na wsi, w dolinie Brzennej, w niedzielę nie powinno się pracować...

Drużyński wzruszył ramionami.

- Pracuję z zagranicą.

Ugryzła się w język przed pytaniem, czy zagranica też pracuje na akord.

- Rozumiem.

Kiwnął głową. Był dobrze ostrzyżony i elegancko ubrany, ale podobieństwo do Łazęgi było nad wyraz widoczne.

Drużyński przypatrywał jej się z pewną ciekawością, ale i ona sama dostrzegła po chwili podkrążone oczy, znużone spojrzenie. Może przepracowanie - a może żałoba po śmierci brata. Ubrany też był w ciemne barwy, od stóp do głów.

- Zacznę prosto z mostu. Nie byłem bardzo blisko z bratem. Ale zgodziłem się na spotkanie, bo...

- Tak?

- Wiem, że nikt inny, poza Ewą oczywiście, nie miał z nim kontaktu. - Wydawało jej się, że dostrzega teraz grymas na jego twarzy. - Wiem, że nie mieli kontaktu ludzie z pracy, nawet jeśli twierdzą inaczej. Bo mój brat był samotnikiem. Tak naprawdę już od urodzenia. Miał naturalny kontakt z przyrodą i ona go napędzała do działania. Nic innego. - Zamyślił się. - Ale ostatnio miałem wrażenie, że nie był sobą. Bał się.

- Bał?

- Tak. I wszystko zaczęło się po tym włamaniu. Zna pani tych różnych świrów, co się boją, że są nagrywani i tak dalej...

Zabawne. Mówił do osoby, która dwadzieścia minut temu siedziała w gabinecie Andrzeja Antoniego Będzińskiego, całkiem profesjonalnie wytłumionym.

- Może dlatego, że faktycznie jesteście nagrywani - powiedziała.

- Może - zaśmiał się gorzko. - Ale nie w tym rzecz. On miał wrażenie, że... - Przerwał, jakby się namyślał albo bał się coś palnąć.

- Że we włamaniu nie chodziło o włamanie - podsunęła.

- Skąd pani wiedziała?

- Pracuję w policji. Czy może chodziło o ostrzeżenie?

- Naprawdę nie wiem, choć starałem się śledzić jego bloga - zaśmiał się. - Jestem starszym bratem, wołałem wiedzieć, co w trawie piszczy, innymi słowy, gdzie on jest - uśmiechnął się smutno. - Taka się zrobiła niby-tradycja ostatnio, że Arek nie zdradzał, gdzie się wybiera. Ale ja odnoszę inne wrażenie. Że tajemnica powstała, bo się bał. Rozumie pani?

- Myślę, że rozumiem - odparła.

- I jeszcze myślę... że może włamanie było po coś. Arek również się tym niepokoił.

- Mówił dlaczego?

- Nie. Problem w tym, że ludzie są teraz tak strasznie podejrzliwi. A może nie chciał wyjść na jakiegoś wariata przede mną, starszym bratem - uśmiechnął się gorzko. - Tak czy inaczej wydaje mi się, że nie powiedział wszystkiego, co wie. Ale od napadu nie był sobą, jakby coś za nim chodziło. Jakiś cień.

Tyle miał dla niej czasu, ile przekazał. Zerknęła na mapkę w telefonie, choć jak to bywało, topografia Sącza stawała się dla niej coraz bardziej znajoma. Lubiła i znała już to miasto, choć wysepkami. Sącz zdawał się jej bliższy Warszawie niż Gorlicom. Czuć było ślady wojewódzkie, to po prostu było duże miasto. Afisze informowały o zaskakująco spektakularnych imprezach: koncert Lady Pank, Anny Marii Jopek, wybór Mistera Supranational... Przypuszczalnie kilku egzotycznych misterów uzna miasto za stolicę Polski.

Minęła Planty ulicą Długosza i skierowała się do szpitala. Przeszła szybko przez oddział dziecięcy. Udała się w znane już sobie osobne

skrzydło. Chłopiec leżał sam i wślizgnęła się do środka.

Bawił się. Pewnie niedługo go wypuszczą. Co dalej?

Sebuś spojrział na nią i wydawało jej się, że się uśmiechnął. Zakłuło ją od tego serce. Półtora roku...

W sumie nie wiadomo, dlaczego go trzymali. Może był w szpitalu, bo sytuacja była wyjątkowa i kombinowano, co dalej. Babcia nie wyglądała na krzepką. Chłopiec był nawet młodszy od Mili. Jaka była jej córka w tym wieku? Zaskakująca. Zaczynająca nawijać.

Pewnego dnia, kiedy Nina zbliżyła się do ekspresu, Mila zapytała: „Kawy, mamusiu, kawki?”.

Więc gadała, no coś tam mówiła. Nina pamiętała, że mała miała wówczas ledwie półtora roku, tyle co chłopiec Łazegów. Ta uwaga o kawie była tak zaskakująca, że zapamiętała, a nawet gdzieś ją zapisała.

Sebuś rozłożył sobie właśnie plastikowe dinozaury na kółdrze. Wyglądało, jakby nic mu już nie było. Bawił się.

Nie będzie pamiętał. Może nie będzie miał poczucia straty czegoś, czego nie będzie pamiętał – co jednak będzie miała większość jego rówieśników.

Zbliżyła się.

– Pić – powiedziała już za niego.

– Pić – potwierdził.

Wydawało się, że wciąż zna tylko to jedno słowo.

– Co to jest? – Wskazała na dinozaura.

Powiedział coś jak „disa...”.

– A to? – Wskazała na samochód.

– Auto.

Więc coś wiedział. Ale jakby odzywał się od niechcienia, bo coś ważniejszego miał już w głowie.

I mówił to, bo pamiętał, albo może... bo bał się zapomnieć? Takie nagle miała dziwne przemyślenie.

Chciał jej coś przekazać. Dzieci wiedziały, czuły, rozumiały więcej, niż potrafiły zdradzić... Może to było nic, może wszystko. Chłopiec, jak gdyby lekko zrezygnowany, zajął się swoimi dinozaurami, wydając wysokie, lecz nieartykułowane dźwięki.

Zawiodła go. Nie potrafiła go zrozumieć...

Wyszła, umysł miała ciężki od myślenia, ale opuściła szpital, bo już musiała. Wyjeżdżała z Sącza chyba z pięćdziesiąt minut, razem z ludźmi wracającymi z pracy do doliny Popradu. Rzeka mieniła się czernią, kiedy wracała w stronę Słowacji, bo niebo znowu się zachmurzyło.

Przez chwilę jechała równolegle z pociągiem, który ciągnął w stronę granicy. Wspomniała słowa Rumsztyńskiego o porwanym moście. I znowu wróciła myślami do śledztwa.

Myślała o chłopcu, który chce pić. A następnie o opowieściach Będzińskiego i brata Łazęgi... Przede wszystkim zaś o rzeczach znalezionych na miejscu zbrodni, które obejrzała na komisariacie w Piwnicznej. Jeden plecak. Chusta, z której wyjęty był chłopiec. Musiał być wyjęty, choć tak naprawdę nie musiał... Wyobrazila sobie tę scenę. Rozenba twierdził, że chłopiec był przy ciele matki. Sam się nie oswobodził. Potworna sytuacja, ale jakby... chłopiec dostał szansę, prawda?

Pić, powiedział, i to kilkukrotnie.

Wjechała do peteteku i z nikim nie rozmawiając, skierowała się na górę i ułożyła do snu w swoim niewielkim pokoju na halach. Kiedy otworzyła okno, aby *naćpać* się tego cudownego powietrza, dźwięki deszczu wpadły jej do pokoju wraz z kroplami wody. Zasnęła chyba w dwie minuty, jak dziecko.

Spała twardo. Nad ranem miała bardzo intensywne, plastyczne sny. Pojawiał się w nich Łazęga, pojawiała się również Mila. Z jakichś przyczyn jej twarz mieszała się w snach Niny z twarzą Sebusia Drużyńskiego.

Obudziła się przed siódmą, z jasną myślą w głowie, którą błyskawicznie zapisała w notesie. Element, który jej umykał, wskoczył

w trakcie snu we właściwe miejsce. Napila się neski, używając turystycznego czajniczka. Jak tylko wybiła siódma, wybrała numer Rumsztyńskiego, żeby jeszcze zdążyć przed odprawą – o którejkolwiek ją mieli.

- Właśnie chciałem z tobą porozmawiać – rzekł. - Jak rozmowa w Nowym Sączu?

Przypomniała sobie, że powiedziała mu o planowanej rozmowie z bratem Łazęgi.

- Wszystko ci opowiem – odparła. - Ale najpierw muszę zobaczyć coś innego.

- Cóż takiego?

- Otóż chciałabym zobaczyć ten b.box znaleziony na miejscu zbrodni.

Słońce już prażyło, kiedy wyszli rano z Jankiem na hale. Stracił psa, a zyskał... kogo właściwie? Kompana? Pracownika? *Parobczoka*? Żadne miano tu nie pasowało. Janek milczał, ćmiąc papierosa za papierosem. Spał w lesie, ale miał pieniądze na tony papierosów. Stawiał piwka u Cyklopa. W sumie trudno powiedzieć za co. Niewiadomą było, jak kiedyś stracił wszystkie pieniądze, nie wiadomo, skąd miał je teraz. Zgodnie z tym, co powiedziała jego żona, otrzymał niegdyś całą górę w spadku.

Gorąco było. Mieli nocować w jednym z szałasów. Cakle chyba również już odczuwały upał. Były bardziej stadne niż białe owce. Próbowaly się kryć pod krzakami na wyciętych halach, wzajemnie oferując sobie jednak ciepło nagrzanycy ciał i futer.

Niewiele myśląc, Witek zszedł niżej do strumienia. W tym miejscu znajdowało się tu niewielkie kąpielisko, bunior na może dwie, trzy osoby. Rozebrał się do naga i wszedł. Woda, zaskakująco chłodna, przepływała mu między nogami i po klatce piersiowej. Zanurzył się razem z głową. Odczuł rozkoszne zimno, które wywalalo z głowy wszystkie myśli.

Usłyszał plusk.

To Janek do niego dołączył. Parsknął jak kot, odchylił na bok głowę i wypuścił lewą dziurką żółto-szarego glutka, a potem zanurzył się ponownie.

Kiedy wynurzył głowę, był uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Dobra woda – rzekł.

Kroniec miał czterdzieści ileś lat na karku, a brzuch płaski jak tarka. Do tego bardzo muskularną klatkę piersiową, a ramiona jak zwoje

węzłów żeglarskich, z kilkoma średnio estetycznymi tatuażami. Wyglądał jak zapaśnik wagi ciężkiej.

Witek spojrzął na swoje własne ciało. Mimo że wychował się w górach, było dość białe i bezwłose jak u kobiety. Dokonując wyboru pomiędzy nimi dwoma, żadna kobieta nie wskazałaby właśnie jego. Wyobraził sobie, jak te muskularne ramiona obejmowały Agnieszkę. Może nie było jej tak fatalnie, jak opowiadała. W końcu dwójka pięknych córek z tego powstała.

Siedzieli nadzy w wodzie. Dwóch facetów, współdzielących w taki czy inny sposób tę samą kobietę. Dzielił ich metr, nie więcej. Witek wyszedł, postać chwilę na słońcu, żeby wyschnąć – na szczęście w taką pogodę nie trwało to długo. Nie odwracał się w stronę Janka, ubrał się i usiadł na rozgrzanym od słońca kamieniu, ćmiąc papierosa.

Słońce na chwilę zaszło chmurami. Musieli iść tam, gdzie bardziej zielono i miał czynną dzierzawę... Jedna ulewa nie rozwiązała sprawy. Trawa na halach już w czerwcu była wyschła i żółta, jakby nadchodził koniec lata. Wydawało się, że z roku na roku jest coraz gorzej. Może połowa kraju twierdziła, że nie ma zmian klimatycznych, ale on czuł na własnej skórze – albo raczej na czarnym futrze owiec.

Janek dołączył.

– Poprowadzę.

Skoro Witek nie miał psa, było mu wszystko jedno. Minęli ze stadem Halę Rytowską, a potem Halę Łabowską, przeprowadzili następnie owce kolejnym wąskim paskiem lasu...

Nie padło już ani jedno słowo.

Znał te okolice, ale za bardzo się oddalali. Nie wiedział nawet, czyje to są ziemie. Sporo miało nieuregulowany status po śmierci właścicieli: nikt na nich nie zarabiał. Mimo wszystko nie powinni tędy przechodzić.

– Spokojna głowa – rzekł Janek, jakby wyczuł jego wahanie. – Znam właściciela tych ziem.

Witek milczał, ale nie podobało mu się to. Sami na halach. Bez psa. Co się stało z jego psem? – kolejny raz zadał sobie to pytanie.

W końcu przeszli przez następny zagajnik między łąkami i wyszli na otwartą przestrzeń.

Witek nie zaszedł tak wysoko ze stadem, zwłaszcza po ostatnim. Janek poprowadził ich w innym kierunku niż zwykle. I coś tam na końcu hali zamajaczyło...

Wyostrzył wzrok. Był to ponury, niski budynek z bali. Rozpadająca się baczówka. Nie wiedział, że taka tu stoi. Zwykła baczówka, ale nawet z daleka było widać, że kompletnie zapuszczona. Wokół wyrosły trawy na pół metra, tak że budynek wydawał się jeszcze mniejszy – choć przypuszczalnie był regulaminowej wielkości.

Jak się nazywała ta hala... Nagle wydawało mu się, że przypomniał sobie nazwę: Kurzajowa... Chyba, choć to niemożliwe...

W błysku zrozumienia Witek odwrócił się nagle w stronę Janka.

Ten spoglądał na niego szyderczo.

– Ty sobie myślisz, Wituś, że ludzie to nic nie gadają.

– Nie rozumiem...

– A gadają. Trajkają jak pojebani! A ja słucham...

Witek nie odpowiedział. Krew nagle zapulsowała mu na skroniach.

– Wypytywałeś, to masz – rzekł Janek. – Masz, kurwa, co chciałeś.

Witek cofnął się pół kroku. Poczłł niebezpieczeństwo, jak zimno wypełzające z dna wąwozu, jak tego dnia, kiedy zeszli tam z Arenem.

– Myślisz, że żona tylko z tobą gada? Więc nie tylko z tobą. – Janek zaśmiał się szyderczo.

– Janek...

– Chciałeś wiedzieć, no to masz!

Zbliżył się do niego. Górował nad nim wzrostem i Witek prawie czuł te wszystkie wypalane pety.

– Nie wejdiesz tam, Wituś?

Witek spojrział jeszcze raz na ciemny budynek baczówki.

– Nie wejdiesz do środka zobaczyć, gdzie mój tato ducha wyzionął? Wejdź, kurwa, skoro byłeś taki ciekaw. Idź, rozejrzyj się.

Witek odwrócił się. Nie chciał. Zobaczył, że cackle znowu zbiły się pod drzewem. Gwizdnął na nie, dźwięk przeszył pustą przestrzeń. Chciał stąd odejść, opuścić to okropne miejsce.

W uszach mu wirowało. Zdawało mu się, że widzi cały czas wykrzywioną w uśmiechu twarz Janka. Nienawidził go teraz, za wszystko.

Zawołał na stado i zaczął iść szybkim krokiem. Musiał jak najszybciej zostawić za sobą hałę.

Rumsztyński poprowadził ją rano do pokoju z dowodami rzeczowymi. Było ich tu trochę. Magazyn ewidencji niczym przechowalnia zapomnianych przesylek... Ziemskie pozostałości po zamordowanych, zaginionych ludziach. Przedmioty pozbawione przynależności i sensu.

Rumsztyński nałożył na dłonie błękitne rękawiczki i przekazał jej b.box.

Był niewielki, z przezroczystego plastiku, z niebieskim, otwieranym na klappkę wieczkiem.

- Bidon - rzekł Rumsztyński.
- To się nazywa b.box - powiedziała.
- Skąd wiesz?
- No bo wiem. Mam malutką córkę.

Nie było potrzeby dopowiadać, że ledwo co mała wyrosła z b.boxa, a trzeba go będzie znowu używać.

- Dzięki za wzbogacenie wiedzy - rzekł.

Przyglądała mu się.

- Wygląda na nowy.
- Powiesz mi lepiej, czego szukasz?
- Dlaczego jest nowy? - ciągnęła.

Rumsztyński wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem. Niedawno kupili.
- Dziwne. Mały potrafi pić. Sam sobie wziął wodę z kubeczka, widziałam w szpitalu.

- Kubków zwykle się nie nosi na wycieczki.

- No to zwykły bidon. A jednak b.box, a one są przystosowane dla dzieci, które nie radzą sobie z pić. Ale przede wszystkim zastanawia mnie, dlaczego jest nowy. Zobacz - pokazała - nawet widać jeszcze miejsce po oddaniu ceny. Mam małą córkę, żadna rzecz, którą mamy, nie wygląda na nową. Wszystko ułamane, poharatane, dziurawe, z pourywanymi uszkami...

- Może przypadkowo zabrali.

- I wracamy do tego, że jest nowy.

- Nie umiem ci nic powiedzieć. Skąd te wszystkie pytania?

- Posłuchaj, Andrzej. Niewiele mówiący chłopiec cały czas nawija o pić. Jakby miał fiksację na tym punkcie.

- Kontynuuj.

- I to nie jest przypadek. Moim zdaniem coś zapamiętał. Cała trauma i tragedia... to się skumulowało u niego w tych słowach o pić. Tak mi się wydaje, tak mi wskazuje intuicja i logika. A nowy b.box tylko to potwierdza.

Wiedziała, że wspomnianie o intuicji może wywołać wyrócenie oczu. Ale jej intuicja była silną bronią, której nauczyła się zawierzać. Była na takim etapie życia prywatnego i pewności zawodowej, że nie zamierzała się z tego tłumaczyć.

- Rozumiem. - Rumsztyński wstał. - Może kawa na rozruszanie, inicjację, burzę mózgow? Zaskoczyłaś mnie z rana. A my tu mamy paskudztwo kawopodobne.

- Więc ja zapraszam.

Podjechali do centrum. W kawiarni na rynku w Piwnicznej zamówili sobie dwa cappuccino. Słyszała szmer klimatyzacji w jadowicie pomarańczowych wnętrzach. Ale mieli zapewnioną prywatność. Z uwagi na sprzedaż lodów ludzie raczej korzystali ze stolików na zewnątrz, z otwarciem na rynek i skwer z zabytkową cysterną pośrodku.

Odnotowała kolejny wzrost cen lodów w kulce. W ostatnich latach chyba tylko cena kawy wzrosła porównywalnie. Kiedyś kosztowały 30

groszy, a co sezon letni pojawiała się nowa „oferta” finansowa; zwłaszcza jeśli dodano nazwy „wytwórnia”, „manufaktura”, a przede wszystkim „rzemieślnicze”.

– Może ciastko do kawy? – zaproponował Rumsztyński.

– Podziękuję.

Sam zamówił sobie ciastko z kremem. Obserwowała, jak pochłania je z apetytem: z bogatą polewą czekoladowo-orzechową. W słoneczny dzień wydawało się jej mało kuszące.

Na zewnątrz był niespotykany ruch samochodowy, tu i tam słyszała też lokalny akcent.

Rumsztyński miał rację. Tu było pusto i stosunkowo bezpiecznie. Piwniczna żyła swoim sanatoryjno-wypoczynkowym rytmem. Rozumiała obawy Całkiewicza, ale nie przypuszczała, by zbrodnia wpłynęła na stabilny ruch turystyczny, spragniony wody o idealnych proporcjach magnezu i wapnia oraz pięknych widoków z doliny.

– Co kombinujesz? – zaczął Rumsztyński, kiedy odebrał kawę od baristki, do której zwracał się po imieniu.

– Nie rozumiem...

– No z tym piciem. Przedstaw swoją teorię!

– Dziecko cały czas mówi o picciu. Dlaczego?

– Bo spragnione...

– A może mały Sebuś chce nam coś przekazać, tylko my tego nie rozumiemy? Nie lekceważmy dzieci. Przestępcy nagminnie je lekceważą, a dzieci wiele widzą.

Tak przydatne było tu doświadczenie rodzicielskie, którego Rumsztyński chyba nie posiadał. Wciąż miała w pamięci jedno zdanie wypowiedziane przez Milę – na podstawie jej samodzielnej obserwacji – które okazało się kluczowe do rozwiązania zagadki śmierci Jana Barnasia w Beskidzie. A także scenę zabawy w składanie ofiary w pensjonacie na wyspie Wolin, która pomogła jej rozwikłać tajemnice starego domu dziecka.

- Dobra. Może stary się zgubił? - rzekł Rumsztyński. - Serio to nie rozumiem pytania.

- Bo ono samo w sobie może nie ma zbyt wiele sensu. Ale dziecko nawija. Jak mielibyśmy się dowiedzieć, co pierwotnie było w rzeczach Drużyńskich?

- Ponownie mnie zgubiłaś, Nina.

- Mam na myśli - podkreśliła - czy b.box był w ich plecaku, kiedy wyruszyli na trasę na Halę Rytowską.

- Jak niby? - Rumsztyński rozłożył szeroko ręce. - Oczywiście mogę popytać dziadków, ale czy oni to będą wiedzieć?

- Zrób to. A teraz postawmy sobie pytanie, dlaczego zabójca mógł to pozostawić na miejscu zbrodni.

- To niebezpieczny sofizmat, Nina - zaskoczył ją Rumsztyński.

- Wiem, ale potraktuj to jako eksperyment śledczy.

- Twierdzenie bez pokrycia - kontynuował, jakby nie rozumiała i nie usłyszał jej ostatnich słów. - Ale dobra, poeksperymentujmy, skoro tego chcesz. Jaki masz pomysł?

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że bez jedzenia człowiek, nawet taki mały, trochę wytrzyma. Ale musi mieć co pić, prawda?

- Jeśli myślisz o miejscu zbrodni, to jest tam Zawoja.

- Żeby mały się utopił?

- Woda jest płytka - rzekł bez większego przekonania.

- Ale on ma półtora roku, może się również zakrztusić. O to mi właśnie chodzi. Jeśli moje rozumowanie jest choć odrobinę trafne, to nam sporo powie o mordercy, czy nie? Miejsce, którym sprowadził ofiary, absolutnie nie było przypadkowe. I moim zdaniem b.box też nie jest przypadkowy. Ale w jaki sposób wiedział, że dzieciak będzie z nimi szedł... no to jest tajemnica. Przecież na blogu nic o tym nie ma. Sprawdzalam: Łazęga pilnował, aby jego dziecka nie było na zdjęciach.

- Albo mały został przy życiu...

– W jakim celu? Jedyne, o czym myśle... że nie usunięto go, bo jest za mały, żeby poznać i zdemaskować mordercę przed policją. Może odpowiedź na naszą zagadkę nie leży w logice, bo naprawdę trudno jej się dopatrzeć w takim postępowaniu metodycznego mordercy, ale w emocjach.

– Powiedziałaś, że jest metodyczny.

– No właśnie. Ale i bezwzględny.

– Albo chce, żebyśmy tak sądzili.

– Również się nad tym zastanawiałam.

Po chwili pokręciła jednak głową.

– Dobra, może to chybiona teoria.

– Co zamierzasz?

Wzruszyła ramionami.

– Mam wrażenie, że jeszcze nie rozumiem Rytowa w wystarczającym stopniu. Jest też kilka innych rzeczy.

Zrelacjonowała mu rozmowę w Nowym Sączu, a także tę z Będzińskim. Nie wchodziła w szczegóły i dla bezpieczeństwa nie opowiedziała o swojej nowej starej tożsamości: Anurak Em.

Dostrzegła w jego oczach uznanie.

– Czyli z tym napadem...

– Coś było na rzeczy.

– Opiłka Dwa to morderca? – zapytał.

– Nie wiem – odparła po paru sekundach. – Ale Będziński również zwrócił na niego uwagę. Co zaś z odciskami na śtrycie, przy Arenie?

– Nic specjalnego. Niestety zdeptane trochę przez Rozenbę i psa. A...

– ...wokół psa zdeptane przez gapiów.

– Tak. Każdy chciał podejść. Przecież to wieś.

Pokiwała głową. Śmieszne, jak to brzmiało w ustach Rumsztyńskiego. Ale w sumie był mieszkańcem miasta, i to

niezwykłego. Ale Rytów nie był przysiółkiem Piwnicznej, tylko niezależną *wsią*, miał swoje własne osiedla...

Wyszła z kawiarni. Spojrzała na góry po drugiej stronie Popradu. Hale pasterskie, jasne połacie ziemi, odznaczały się wśród lasów, widoczne przy ładnej pogodzie. Dzisiaj przykryte były tylko mgiełką.

O co chodziło z tym blogiem? Zastanawiała się, jadąc najwolniej, jak potrafiła w górę – ale pamiętając żelazną regułę tych stron przekazaną jej przez Rumsztyńskiego: żeby sprawdzić, czy nikt nie jedzie z góry. Nie chciała skończyć w rowie, zaskoczona, jak ostatnio przez człowieka na traktorze. Minęła Rytów i trochę już zmęczona skierowała się prosto do PTTK.

Rozpogodziło się nieco, ale aura pozostawała deszczowa, niby pozostałość burzliwego śtyrytu.

Nina zaparkowała samochód i pomachała z daleka Ignerskiemu, który majsterkował w warsztacie przyklejonym do obórki dla kóz. Schronisko było puste. Jak proszono na tabliczce przed wejściem, zostawiła traperki na ganku i udała się do swojego pokoju. Zamknęła drzwi, położyła się na łóżku i przymknęła oczy, widząc przed sobą twarz Łazęgi.

I musiała w końcu przysnąć. Instynktownie złapała się za brzuch, kiedy tylko się obudziła.

Zaskoczyło ją, że spała czterdzieści minut. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Strużka śliny wylądowała na poduszce, z poszewką w, a jakże, baranki.

Wyszła na zewnątrz, na bosaka, żeby poczuć ziemię pod stopami i ciepłe kamienie.

Patrzyła na słońce zachodzące nad zagadkowym lasem, delikatnie muskające wyrżniętą trawę. Nie było bardziej urodziwych zachodów niż w górach i basta. Spojrzała w prawo i nagle dostrzegła na ganku męskie buty, których nie widziała wcześniej. Ignerski prosił, by je zdejmować. Całkiem sprytnie posunięcie. W środku było nader czysto: turyści polerowali podłogę skarpetkami.

Wyglądało na to, że jakiś samotny wędrowiec przyszedł dzisiaj do schroniska. Niewielki plecak oparto o półeczkę. Przymuszczalnie poza gospodarzami, których zazwyczaj nie było w środku, to był jeden jedyny człowiek w peteteku.

Podeszła bliżej. Do plecaka przytroczono również nóż, finkę w skórzanej pochwie.

Weszła do środka: cicho. W sali jadalnej nie było żywego ducha. Winda, serwująca jedzenie niczym z rogu obfitości, stała beczynnie. Wyszła cichutko na zewnątrz.

Usłyszała szuranie. Wzdrygnęła się; nie widziała właścicieli. Ignerski znowu zniknął z pola widzenia, a mała pewnie była w szkole. Nina sama na halach, to nie było bezpieczne.

Klamkę, glocka, trzymała w pokoju. Nie najlepszy pomysł, ale sejfem nie dysponowała i na szczęście – tym razem – nie była z córką.

A potem nagle... choć trudno w to uwierzyć, usłyszała pogwizdywanie.

Melodia wydawała się znajoma, jak jakaś dawno niesłyszana kołysanka dla dzieci.

Instynktownie położyła rękę na biodrze, gdzie nie było przecież broni. Szła dalej do przodu.

Mężczyzna, bez butów rzecz jasna, siedział zwrócony w kierunku widokowym. Bose stopy miał położone jedna na drugiej, pocierał sobie palce.

Chciała już odejść, ale coś ją przyciągało jak magnes. Uświadomiła sobie, że przyczyną jest wyśpiewywana melodyjka. Rozpoznała warszawską *Balladę o Henryku Rozbójniku* – śpiewaną z charakterystycznym utrwalonym fałszem, jakby wieloletnie odtwarzanie po swojemu stworzyło w zasadzie nowy utwór.

Przypomniła ją sobie. Słyszała ją w samochodzie niemal codziennie. Słyszała ją nad komputerem, a czasem, czasem nawet nad zwłokami. W porcie praskim, nad Wisłączy w Skaryszaku nad

kanałkiem. W zaroślach, pięknych praskich kamienicach i mieszkaniach komunalnych na Białostockiej.

Mężczyzna obrócił się. Słońce zasłaniało mu twarz, ale błyskawicznie go poznała.

- Wiesz, że byłem i zawsze będę twoim podwładnym - rzekł Karol Chodkowski i wstał. Był boso. Nadal szczupły, ale zdawało się, że spotęźniał, od kiedy ostatnio go widziała. - Ale uprzejmie byłoby chociaż powiedzieć „cześć” poza komendą.

Z uśmiechem podeszła i przytuliła go mocno.

Roma nie mogła wyrzucić z głowy spotkania w bacówce. Samo miejsce zadziało na nią przygnębiająco. I kroki oraz ślady w błocie na ziemi... Nie mogła przestać o tym wszystkim myśleć. Może to był zabłąkany turysta. Musi się wywiedzieć, zdobyć jakieś informacje o tej bacówce, która wyglądała na dawno opuszczoną.

Roma przewracała w dłoniach zapalniczkę znaną nad strumykiem. Bawiła się ogniem, miała wrażenie, że jest coraz słabszy i słabszy. Przypuszczalnie od początku benzyna była na wyczerpaniu, urządzenie głównie iskrzyło. Po co nosić wyczerpaną zapalniczkę? Czy to woda tak zadziała?

Woda. W sumie znalazła ją w...

Nagle zorientowała się, że się zagapiła. Kompletnie nie zauważyła, że jej dzisiejsze miejsce odosobnienia, rozpadająca się ławeczka w starej bazie namiotowej, nie jest tak bezpieczne jak sąłas. Czasem ktoś tu zachodził. Rozbijał się bez konsultacji ze schroniskiem, mimo że wyraźnie napisano, że baza jest nieczynna. Co za pomysł, żeby baza była tak blisko schroniska. Za drobną opłatą można było się rozbić na polance przed budynkiem, ale ludzie chyba cieszyli się, że nie zapłacą, jak gdyby coś im się w ten sposób udało ugrać.

Okazało się oczywiście, że nigdzie nie jest już bezpiecznie. Czy to w lesie, czy tutaj, za starą szopą. Usłyszała zamaszyste kroki i – nie wiadomo dlaczego – wpadła w panikę. Choć może wiadomo. Obudziła się dzisiaj rano z małymi, ale intensywnie kolorowymi siniaczkami po co mocniejszych uderzeniach ogryzkami.

Rano, kiedy sprzątała, zorientowała się, że to nie same ogryzki. Obrzucono ją też małymi, twardymi jabłkami. Mogli zrobić jej krzywdę,

mogła wylądować w szpitalu.

Na odgłos kroków zdążyła tylko schować zapalniczkę pod but.

To tata, to tylko tata. Wyłonił się zza zakrętu. Jak ją zobaczył, westchnął cicho, niby z bólem. Napił się wczoraj czy o co chodziło? Pewnie bolało go, że stryt się skończył...

Usiadł i wyciągnął fajkę. Ostatnio częściej ją palił, pachniała ładniej niż poprzednie wynalazki. Zauważyła, że weekend go wykończył, teraz będzie odpoczywał przez trzy dni pod śliwą.

– Czemu tak siedzisz? – zaczął.

Wzruszyła ramionami. Wiedziała, co teraz będzie. Tata „zajęty” (bo przecież do kaca się nigdy nie przyzna), czy ona zajęłaby się śniadaniem dla gości? Pościel również trzeba wymienić, no i może wyprasować. Będzie dodatkowa opłata i dobre noty na mapie Google. Ostatnio to nawet dokonywała i drobnych napraw stolarskich na górze, kiedy stelaże łóżek zaczęły po kolei pękać. Była chyba za młoda, żeby rozważać, co ludzie na nich wyrabiali.

Miała jednak też lekki żal, że tylko to go interesuje.

Jednak tata nie był tak zupełnie przewidywalny.

Zerknął na zegarek.

– Jest jedenasta – powiedział.

– No i? – zapytała, wciąż myślami przy obowiązkach w schronisku.

– Wydaje mi się, że kiedyś jedenasta była godziną szkolną, Ronju.

Serce zaczęło jej szybciej bić.

– Wypisałem ci zwolnienie?

– Nie.

Trudno powiedzieć, czy to było kłamstwo. Bo nie wypisał – ona to zrobiła.

– Od kiedy nie chodzisz, mała?

Nie odpowiedziała.

– Czy coś się stało?

– Nic się nie stało. – To już było ordynarne kłamstwo.

- Naprawdę?

- Tak.

- Dziwne. Kiedy lubiłaś chodzić do szkoły.

Może i tak było. Ale od kiedy została Cyganka, to szkoła jakoś nie stanowiła wielkiej przyjemności.

Więc nie, nie lubiła. Jeśli cokolwiek tak naprawdę lubiła, to czytać książki. Wszystko inne w jej życiu było drogą ku temu – aby po obowiązkach szkolnych i w schronisku móc czytać w szafasie.

Trochę zrobiło jej się miło, że tato się o nią martwi. Rzadko pytał o cokolwiek z jej życia. Jakby już była dorosła. Niestety nie była, chciałyby być.

- Czy mam się spodziewać wizyty nauczycieli? – zapytał.

Spojrzała na tatę. Nie umiała powiedzieć, czy mówi serio. Czy martwi się o nią, czy o własny tyłek. Rozwiązał te wątpliwości.

- Wiesz, że musisz chodzić, maleńka. To się nazywa obowiązek szkolny. Jeśli nie będziesz...

- To co, tatuś?

- Mogą mi cię zabrać.

Zbladła. Jasne, że miała PLAN. Ale jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześnie na realizację. Poczowała lęk.

- Tato... żartujesz.

- Myślę, że mogą. Musisz chodzić, mała.

- Bo jak mnie zabiorą, to kto będzie pracował, tato?

Cisza.

- Ronju kochana, przecież wiesz... – zaczął.

- Co wiem, tatuś? Że nie wszystkie dwunastolatki tak pracują? Codziennie harują? Czy to jest legalne w ogóle?

- Masz kłopoty z kolegami? – zapytał cicho tata.

Nawet mądrze to zabrzmiało. Przeciął wpół wszystkie jej pretensje, nawet jeśli czuła, że miała rację.

Kłopoty, dobre sobie.

Przyszli tu gromadą i rzucali w nią – tak, żeby zranić. Tato przechodził gdzieś obok. Rzucił im roztargnione spojrzenie, kiedy szedł w stronę uli, swojej nowej pasji. Nawet na chwilę nie przerwali salwy. Na takich jak tato mówiono, że można im nasrać na głowę, i tak nic nie zrobią. Zwłaszcza w nie swojej sprawie.

Zezłościła się. Na niego i na siebie.

– Idę.

– Do szkoły? – zapytał z nadzieją.

– Może, jeszcze nie wiem. Dam ci znać, tatuś. Albo opieka społeczna da.

– Ronju...

– I przestań tak na mnie mówić! Jak miałam sześć lat, to mnie cieszyło, a teraz brzmi naprawdę beznadziejnie, wiesz?

Była nawet zadowolona, że znalazła pretekst, że przerwać tę rozmowę. Ale czuła też prawdziwą złość na tatę. Nakrzyczała na niego, pierwszy raz w życiu tak gwałtownie. I nic nie zrobił, nawet nie tłumaczył jej, tylko skulił się w sobie...

Czuła, że może dalej krzyczeć, że teraz już pękły bariery.

Zbyt wiele czytała książek dla dorosłych, żeby nie rozumieć swojej sytuacji. Czytała Zolę, czytała Balzaca. Równie dobrze mogłaby założyć fartuszek i mówić do gości „paniczu”. Była jak te trzyletnie dzieci pracujące w bangladeskich fabrykach papierosów.

Wstała, wyjmując zapalniczkę spod buta. Doszła na skraj lasu. Był ciemny, wabił ją, choć nie był takim przyjacielem jak zawsze. Las między jej światem, czyli Norą, a cywilizacją. Las, który zrobiła swoim domem. Jęzor, który delikatnie otulał ją swoim cieniem w lecie, w zimie stawał się magiczną Narnią, kiedy wspinała się do Nory po szkole.

Roma pstrykała zapalniczką, która wydawała z siebie iskrę za iskrą.

Widok Chodkowskiego ogromnie Ninę ucieszył. Czuła się tak, jakby odzyskała brata, którego nigdy przecież nie miała. Ale naprawdę, podkomisarz (obecnie!) Chodkowski był dla niej jak brat. Co innego regularne rozmowy telefoniczne, a co innego ujrzenie tej łagodnej, uśmiechniętej twarzy na żywo. Przypomnienie sobie gestów, które tak dobrze znała, kiedy był jej podwładnym na Pradze-Północ. Nie miała pojęcia, jak minęły pierwsze godziny od momentu, kiedy się pojawił...

Po ostatniej rozmowie telefonicznej sprawdził, gdzie ona jest.

- A nawet gdybym miał jakieś wątpliwości, Nina... Pewnie już tego nie pamiętasz.

Wyciągnął telefon, iPhone, wyraźnie nowszy niż jej własny - w końcu warszawiaka.

- Spójrz. - Wszedł w ikonkę lokalizatora.

Zaskoczyło ją to. Widniała na ekranie: Nina Warwiłow.

Właśnie tu, w schronisku PTTK.

- Zawsze wiem, gdzie jesteś.

- Faktycznie, zapomniałam... Ja też ciebie mam?

- Oczywiście.

A potem... powiedział, że to był impuls. Złapał pociąg do Piwnicznej, a następnie przeszedł szlakiem. Odnosiła wrażenie, że jest z siebie bardzo zadowolony. Faceci chyba tak mieli, czasem musieli zażyć przygody; dla zasiedziałego na Pradze Karola ewidentnie stanowiło to przygodę. Przez jego opanowaną naturę przebijało się ożywienie i zadowolenie z siebie.

Ale sama czuła się jak we śnie. Z nikogo nie ucieszyłaby się bardziej.

Minęła już połowa dnia, kiedy posilili się, wymienili plotkami na temat starych kolegów ze służby (jej nemezis Aleksandrowi Białkowi nie powodziło się najlepiej, porzucony przez żonę za zdrady tył i smętniał, siłownię odpuścił lata temu, a naczelnikostwo stało pod znakiem zapytania), aż wreszcie nabrała energii i ochoty, żeby porozmawiać z Karolem na temat śledztwa. Leżeli na podziurawionych leżakach, wgapiając się w zachodzące powoli nad doliną słońce.

I zaczęła opowiadać. Wszystko, co do tej pory wydedukowała. Opowiadała o chłopcu i bidonie. O poszukiwaniach drugiego plecaka i opowieściach tajemniczego, zwichrowanego Będzińskiego. Karol, zarówno wtedy, jak i teraz, zwyczajnie słuchał. Nie wysnuwał żadnych wniosków, zamieniał się w słuch.

Kiedy skończyła, siedzieli chwilę w milczeniu.

– Więc sądzisz, że ktoś wiedział, że będą tędy szli?

Zabawne, że po tych wszystkich latach, mimo samodzielnego stanowiska w dochodzeniach, wciąż zadawał jej pytania, obawiając się wysuwania własnych hipotez.

– Dokładnie tak sądzę – uśmiechnęła się Nina.

– Skąd?

– I tego właśnie nie wiem, ale...

– Tak.

– To ma związek z napadem na dom w Nowym Sączu. Dziwny napad, nic nie zginęło. Albo raczej to, co niby zginęło, było śmiesznie małej wartości. Z jednej strony całkiem profesjonalne wejście, z drugiej dom, który był stary, odrapany i była mała szansa, żeby były w nim jakieś wartościowe rzeczy. Dlaczego profesjonalny złodziej miałby to targetować?

– Czasem trafia się jakiś rodzinny obraz, wiesz, Witkacy, Czapski, Boznańska, przekazywany z pokolenia na pokolenie i takie rzeczy wychodzą.

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale oczywiście nie możemy wykluczyć. Ale serio, jaka to szansa? Ile osób jest w posiadaniu takich rzeczy?

I z całym szacunkiem, ale Nowy Sącz to nie jest mieszkanie jakiejś staruszki w Alejach Jerozolimskich, które może skrywać skarby, cenne woluminy, sam wiesz... A napad zaniepokoił Łazęgę, co wynika z opowieści zarówno jego brata, jak i Będzińskiego.

- Ludzie mają lęki po kradzieży.

- Ale z zeznań, do których otrzymałam dostęp, brzmiało, jakby już wtedy czegoś się bał.

- Czego?

- No właśnie nie wiem. Ale tak się zastanawiałam. Jeżeli nie zginęło nic wartościowego, to może to było...

- Ostrzeżenie?

Dokładnie tak. Podobał jej się ten nowy Chodkowski, w pełni uformowany śledczy. Niby normalne, uwzględniając jego obecny stopień podkomisarza. Miał również bogaty staż i doświadczenie. A jednak kiedy pracowali razem, bał się wyrażać swoje zdanie i przez to tracił.

Był w jej cieniu. Oddała mu pewną przysługę, wyjeżdżając. Być może to stanowiło ostatni etap do uformowania go jako śledczego z prawdziwego zdarzenia.

- Tak. Tylko przed czym? - zapytała. - Ale zastanawiałam się jeszcze nad jedną, nieco szaloną koncepcją. Prosiłam, żebyś sprawdził, czy nie było takich zabójstw na szlakach w ostatnim czasie. Nie znalazłeś. Plus od początku to wydawało mi się dziwne. Ktoś włamał się do domu Łazęgi, ale nic specjalnie nie ukradziono. A tych parę rzeczy... To była zasłona dymna. Jakby nie tyle nic nie wyniesiono z domu Łazęgi, ale coś może wniesiono.

- Mianowicie?

Teraz zobaczyła, że go zgubiła. Ale był w tym śledztwie tylko szczątkowo.

- Jeszcze nie wiem. Wypoczęty?

- Tak.

- To chodź za mną.

- Gdzie?

- Do potoku. Źródła tego, gdzie wszystko się zaczęło. I mam nadzieję, kiedyś się skończy.

Albo, pomyślała, taką nadzieję powinno mieć dziecko w jej brzuchu. Bo to była ostatnia sprawa przed pójściem na zwolnienie. Podjęła tę decyzję, wjeżdżając dzisiaj na halę. Nie było potrzeby omawiać tego z poczciwym Chodkowskim. Powoli to do niej docierało, bo czuła się dobrze, i dlatego, że podejmowanie prywatnych decyzji nie było jej mocną stroną - ale to był już koniec.

Skoro zaszła w ciążę, należało to wszystko doprowadzić do szczęśliwego zakończenia, a potem umościć się w nowej rzeczywistości. Nowym-starym życiu. Powszechnie uważano, że jest utalentowana w poruszaniu się w nieznanym wcześniej przestrzeniach. Dwójka dzieci z dwóch różnych związków to będzie dla niej absolutnie nowa sytuacja.

Poprowadziła Chodkowskiego lasem, szlakiem rwącego potoku. Przed nim nie musiała nic ukrywać, szli powoli. Chłód lasu: strumień szumiał sobie powoli na dnie wąwozu. Dawno już przetrwał tę okrutną zbrodnię, spłynęła kaskadami wody.

Zdawało jej się, że widzi czyjeś oczy, choć to było absurdalne. Dumne buki, rosnące przestrzennie, szeroko na brzegach wąwozu, znały sprawcę zbrodni, może przekazały tę informację podziemnymi korzeniami.

Stanęli z Chodkowskim nad Zawoją. Nina odniosła wrażenie, że poziom wody trochę się podniósł od jej ostatniej wizyty w tym miejscu.

- Pytałeś gdzie, prawda?

- Czy tu popełniono zbrodnię? - Rozglądał się uważnie.

- Nie tutaj - zaznaczyła. - Dwa kilometry stąd. Ale tutaj znaleziono drugi plecak, co jest dla mnie zagadką. - Zrobiła pauzę. - Przypuśćmy, że jestem morderczynią, a to jest zbrodnia zaplanowana. Co Łazęga zawsze nosił ze sobą, jak nie stary, wysłużony plecak, doskonale

widoczny nawet na fotografiach na blogu? Czy jest coś bliższego podróżnikowi niż plecak?

- Jeszcze stare buty, niektórzy mają taki fetysz.

- Eksploatowane buty, nawet scarpys czy salomony, żyją po parę sezonów. Plecak może całe dziesięciolecia. I ten nasz również, widziałam go. Ja myślę, że ten plecak coś znaczy, jest kluczem. Zabójca działał bardzo pewnie, w swoim własnym tempie. Zabrał plecak z miejsca zbrodni. A potem... ślady podeszew się urywają. Musiał jak najszybciej zgubić ślad, co więc zrobił?

- Strumień - wskazał Chodkowski.

- Właśnie! Musiał jak najszybciej dojść nad potok, żeby nie zostawić śladów obuwia i tych zapachowych. Przeszedł strumieniem i wyszedł gdzieś wyżej, gdzie nawet nie sprawdzamy, bo niby jak. Sto, dwieście, może trzysta metrów wyżej. To jedyna sensowna opcja. Ale nie było potrzeby iść aż tutaj i stanowiło to ryzyko. Już ustaliłam, że Żmijowym Jarem przechodzi więcej ludzi, niż oficjalnie się o tym mówi.

- Dobra - rzekł Chodkowski ostrożnie. - Staram się zrozumieć, o co ci chodzi...

- Tylko dlaczego to wszystko? Dlaczego zabrał ze sobą plecak?

- Coś w nim było?

- Jeszcze nie wiem, ale się dowiem.

Łazęga całe życie chciał napisać coś porządnego, twierdził Będziński. Sąsiedzi poniekąd to potwierdzili. Co takiego?

Cisza. Las leciutko szumiał, a Chodkowski po swojemu milczał, oddając jej tym samym pierwszeństwo. Czekał, aż ona dotrze do tego punktu. Ale odczuwała pustkę, tego kluczowego elementu w śledztwie nie rozpracowała.

Nagle coś zobaczyła. W samą porę, bo Chodkowski chyba chciał przerwać już tę sprzyjającą myśleniu ciszę.

- Kucnij - syknęła.

Po prostu wykonał polecenie jak żołnierz rozkaz.

W polu ich widzenia pojawiła się Romka. Była u góry, wychodziła z zagajnika. Znajdowała się może trzydzieści metrów wyżej, ale Nina rozpoznała czerwoną bluzę dziewczyny, wściekle gryzącą się z jej rudymi włosami. W świetle słońca przenikającego korony buków wyglądało to, jakby w lesie pojawił się płomień.

Dziewczynka wyskoczyła z zagajnika, ale chyba nie spojrzała w ich stronę.

Może ich spostrzegła, ale raczej nie – bo nie spodziewała się ich tutaj.

Roma Ignerska, pomyślała Warwiłow. Dziewczynka, która przechodziła Żmijowym Jarem trasą wytyczaną przez szarfy. Które zresztą tajemniczo zniknęły.

Teraz Roma wychodziła z gęstego lasu – a Nina Warwiłow długo odprowadzała ją wzrokiem.

Wstała, kiedy mała zniknęła. Następnie przesunęła się do drzewa i lekko zarysowanego paska po ciasno niegdyś zawiązanej szarfie. Kora była tutaj nieco słabsza, jakby od lat nie padało na nią słońce. Skojarzyła, że o tym właśnie mówił Rozenba. Ignerski zrobił małej szlak przez las, żeby nie zgubiła drogi do szkoły. Wyobraziła sobie małą dziewczynkę w zimie... choć pewnie w zimie w ogóle nie chodziła, jak te dzieci w Beskidzie z niedostępnych wiosek, gdzie autobus co prawda dojeżdżał, ale tylko do połowy drogi.

Mała, która знаła ten las. Tak dobrze, że ścieżka wzdłuż szarf już zarosła, czyli Roma musiała chodzić innymi drogami. Dlaczego większość szarf zniknęła? Kto je zerwał i dlaczego? I, przede wszystkim, którądy teraz dziewczynka chodziła do szkoły?

Tak, była jeszcze jedna mieszkanka Żmijowego Jaru, która znała las i potok najlepiej ze wszystkich. Ta dziewczynka codziennie serwowała jej śniadanie w PTTK.

Witek długo zwlekał z pójściem do kochanki. Nie widzieli się już prawie trzy dni. W świecie romansów to mogło oznaczać już rozstanie. Może to faktycznie było rozstanie, sam nie wiedział. W końcu zerknął w poszarzałe lustro w swoim pokoju. Cały ten pokój domagał się remontu. Mieszkał w domu rodzinnym, a na ścianach miał plakaty z Sandecją Nowy Sącz (i swoje własne zdjęcie z Bogusławem Szczecińską!) oraz Legią Warszawa z sezonów '96 i '97. Może mentalnie również pozostał w tym wieku.

Przejrzał się w lustrze. Powinien pójść do fryzjera. Barbera wymagały zarówno broda, jak i wasy. Włosy miał już tak długie, że mógł zawiązać kucyk, przyczesał je tylko. Ale nie ubierał się specjalnie starannie i przemknęło mu przez głowę rozstanie. To dziwne, kiedy jednocześnie kocha się kogoś i myśli o rozstaniu. Jakby karało się w ten sposób samego siebie...

A może to rozsądek dochodził do głosu? Niezależnie od przekonania, że będzie cierpiał. Bo cierpienia był pewien. Może była starsza od niego, może miała dzieci i eksmęża. Pożądał jej jak diabli, ale czuł, że pożądanie jest pochodną tego, że ją kocha – i lubi jako osobę.

W końcu zarzucił na siebie świeżo wyprasowaną połówkę ze znaczkami krokodyla z innych, nowosądeckich czasów. Niemal odruchowo gwizdnął na Arena, w ostatniej chwili przypominając sobie, że jego pies nie żyje. Zaciśnął i rozprostował palce, myśląc o człowieku, który to zrobił.

Doszedł na miejsce i zatrzymał się, jakby sprawdzając, czy nie ma tam Janka. Może i Kroniec stracił połowę zębów w trakcie swojego

burzliwego życia i był prymitywny, ale nie głupi. Próbował odzyskać swoje miejsce w Rytowie. Wyglądało jednak na to, że go tu nie ma.

Witek wszedł do sadu. Dziewczynki Agnieszki bawiły się na zewnątrz; rozłożyły sobie koc, a na nim zabawki. Stale kłóciły się o lalki, choć w innych przypadkach były nad wyraz zgodnym rodzeństwem. Przyniósł im kiedyś wypasione, najlepsze, jakie znalazł w Pepco w dolinie. Już po półgodzinie była awantura, choć przyniósł dwie.

Pozdrowiły go zdawkowo. Nazywały go wujkiem, a starsza pieszczotliwie ostatnio „Wicią”. Nie wiedział, co to oznacza, ale chyba nie zyskał prawa do protestów.

Agnieszka była już po pracy, wieszala pranie nad strumieniem. Zauważył, że Zawoja nabrała tu objętości. Dziewczynki zbudowały tam: prywatny basen na lato. Nie powinny, ale od czasów ostatniej powodzi minęło kilka lat, a ludzie mieli krótką pamięć. Zapamiętał, żeby ją trochę odchudzić po cichu, bo tama była zaskakująco solidnie zbudowana, z gałązkami, gliną i mchem pośrodku.

Zawoja miała swoje tajemnice. Za dzieciaka kupili kiedyś z Dońką w sklepie dwa litry oranżady.

- Ciężka - powiedział Dońko, a potem, bo zawsze miał dobre pomysły, dorzucił: - Spuśćmy ją ze strumieniem.

- A jak przyśpieszy i spłynie do Popradu?

- Tama pod mostem zatrzyma.

Skończyło się tak, że całe lato szukali dwulitrowej butelki napoju pomarańczowego. Nigdy nie odnaleźli. Obaj się popłakali pierwszego dnia po stracie.

Podszedł teraz bliżej. Aga odwróciła się na dźwięk kroków w ogrodzie.

Nie była wyluzowana jak pod jabłonką. Była wkurwiona, ale wciąż atrakcyjna.

Obróciła się do niego z powrotem plecami. Widział, że są napięte. Nad nimi miała piękną, długą szyję, a kruczoczarne włosy spięte w kok.

– Jak dziewczynki? – zapytał.

– Nie widzisz? Zajęte zabawą w piknik.

– Aha.

Cisza.

– Aha? – Obróciła się do niego z powrotem. – Tyle masz mniej więcej do powiedzenia?

– A co jeszcze miałbym?

– Nie wiem. Na przykład przepraszam?

– Za co?

– Nie było cię trzy dni.

– Może tu nie było. Ale spędzałem czas z twoim byłym mężem.

– Nie możesz mówić o nim per Janek? Nie rozumiem, czemu ciągle mnie z nim łączysz!

Milczał.

– Co on ci nagadał? – zapytała.

– Nic nie nagadał...

– Pytam serio!

– Dlaczego się tak pieklisz?

– Piekłą? Chyba żartujesz. – Przerwała, po czym westchnęła. – Wituś, nie jest idiotą. Będzie tobą manipulował. Myślisz, że dlatego, że jest skazańcem, przestępcą, utracjuszem, to jest tępy? No więc nie jest!

– Brzmi dziwnie szczerze.

Spojrzała na niego wymownie, ale ciągnęła swoje:

– Jest dużo bardziej podstępny, niż myślisz. Jest przestępcą. Może nawet psychopatą. A wiesz, skąd wiem? Bo mną też manipulował. Zagrał przede mną innego człowieka, niż był.

Ściszyła głos, choć dziewczynki nie mogły ich stąd słyszeć. Ale ściany we wsi miały uszy – choć tutaj je miały raczej drzewa.

– Myślisz, że chciałam skończyć w Rytowie? – kontynuowała. – Że byłam chciwa na jego pieniądze? No więc nie. Poszłam za nim, bo mnie

oszukał. Najgorsze oszustwo to oszukiwanie innej osoby co do tego, kim się jest. Najbardziej popieprzone jednostki robią to najlepiej. Dlaczego?

- Aga...

- Bo muszą i mają wprawę! A teraz nauczył się kilku nowych sztuczek, chyba w więzieniu, i próbuje ich na tobie.

- Ale po co? Przecież jesteście rozwiedzeni, czy nie? Po co miałby mną manipulować?

- A dlaczego skrzywdził tę biedną dziewczynę? Jeżeli się nudził... miał przecież inne kobiety, kiedy był ze mną.

Nigdy mu tego nie wyznała.

- Więc naprawdę nie musiał. Ale to zrobił. Naprawdę nie wiem, on podąża za instynktem, krzywdząc je.

- Skrzywdził? Jesteś tego pewna...

- Tak, skrzywdził tę dziewczynę. Wiem, że skrzywdził i od początku nie miałam żadnych wątpliwości. A wiesz dlaczego? Bo znałam go od tej strony.

Zapadła cisza. Chciał ją objąć, ale czuł też wściekłość.

Zaczęła płakać. Naprawdę nie wiedział, co zrobić. Podejść, szeptać kojące słowa... a może odwrócić się i uciec.

Miał wszystkiego dość i brakowało mu jego psa.

Agnieszka otarła łzy i chyba zobaczyła, co się z nim dzieje.

- Nie rób niczego głupiego - powiedziała. - On ci tego nie daruje, cokolwiek zrobisz, jest mściwy...

- Rozumiem, że się go boisz - odparł. - Rozumiem, że zrobił ci krzywdę. Kocham cię, ale rozumiem.

Wciąż nie podchodził.

- Więc nie każ mi wchodzić w to samo. Zauważyłeś, że to ty ostatnio wprowadzasz go między nas? A ja nie chcę żyć w strachu, zwłaszcza przed innym człowiekiem.

Witek milczał, ale trwało to zbyt długo.

- Co chcesz zrobić? - zapytała, a w jej głosie wyczuł obawę.

– Na razie chcę stąd wyjść. Niepotrzebnie przychodziłem. Za dużo się dzieje. Tu – popukał się w swoją głowę – i tam. – Wskazał ręką na Rytów.

– Nic nie rób – poprosiła cicho, ale on już się odwrócił i skierował na drogę.

Zorientował się, że dziewczynki słyszały ich kłótnię. Siedziały teraz w milczeniu na kocyku, przerwawszy zarówno zabawę, jak i codzienne swary. Zaklął w duchu.

Kiedy wyszedł na drogę, przez chwilę naprawdę chciał jej posłuchać. „Nic nie rób”.

Kiedys chciał nic nie robić.

To nie było takie łatwe – zwłaszcza gdy miał już wreszcie jasność myślenia. Kiedy to, co ma zrobić, ukazało mu się z ogromną widocznością. Od początku znalezienia zwłok gryzł się w język. Tego nie powiedzieć, tamtego, nie inkryminować nikogo przypadkiem!

Nie mówić, że Dońko i Bogus Kowalewski przełażą lasem. Nie mówić, że dzieciaki ze szkoły chodzą samopas i że nie wszystko, co robią, jest dobre. Że widział Ignerskiego rano na halach, że nie było go w schronisku w dniu znalezienia zwłok, że Waszyńscy siedzą w peteteku przez cały czas – i na pewno również wybierają czasem drogę przez Żmijowy Jar.

Policja, obcy – oni wszyscy byli złem dla społeczności Rytowa. Czym było w takim razie zatajanie prawdy?

Wiedział, gdzie jest Janek.

W jego własnym domu, gdzie znowu, z nieznanых względów, brata się z jego tatą.

Witek wszedł między drzewa. Rozłożyste buki dawały schronienie i coś o tym wiedział. Wlaź tam. Zimno od razu przykryło go jak wietrzną pierzynką. I tak był spocony.

Pamiętał, którędy wtedy szedł, a mimo to stapał ostrożnie. A kiedy po kilkunastu minutach dotarł na miejsce, przetrząsnął żalną kupkę

będącą obecnie doczesnym majątkiem księcia Hali Rytowskiej, Janka Kronca.

Jego podejrzenie wcale nie musiało być słuszne. Widział to z odległości, ale coś jednak spostrzegł. Teraz miał okazję sprawdzić. Kiedy zaś znalazł wszystko, na chwilę zamknął oczy. Żałował, że nie ma z nim Arena, żeby spojrzeć w jego mądre ślepie. Choć to głupie, wciąż wydawało mu się, że pies chodzi razem z nim.

Tę decyzję musiał podjąć sam. I już wiedział, że zaważy ona na jego przyszłości.

Piętnaście minut później kierował się już na Halę Rytowską. Z niewielkim ciężarem na plecach wspinał się po szeleszczących liściach i błocie.

Stanął w końcu przed odrapanym budynkiem PTTK. Widział dziewczynkę. Tę jak jej było, Romkę, rozwieszającą białe prześcieradła między drzewami. I stąd czuł zapach świeżości. Choć w ustach miał inny posmak, jakby krwi.

Roma lekko poczerwieniała na jego widok. Nie miał czasu na uśmiech, który pewnie by jej się przydał.

Zobaczył bowiem komisarz Ninę, stojącą z jakimś postawnym łysolem.

Skierował się w ich stronę.

Przerwali rozmowę, kiedy podszedł.

Witek bez słowa wyjął z plecaka zegarek, kilka ubrań, ale przede wszystkim aparat Canon EOS RP.

Położył to wszystko na ziemi.

- Myślę, że tego pani szuka - powiedział.

Ale się działo. Po tym, jak Witek Rozenba wmaszerował z ostrym wyrazem twarzy do schroniska, Nina Warwiłow i ten jej kolega zaczęli się kręcić nerwowo. Wkrótce przyjechały dwa radiowozy, następnie kolejne i zapełniły na jakiś czas placyk przed budynkiem.

Z fascynacją obserwowała to poruszenie – a także i Witka, który zdawał się niczym nie przejmować. Usiadł i zwyczajnie czekał, raz na jakiś czas kurząc papierosa i wydychając dym w stronę lasu.

Lubiła na niego patrzeć. Gdyby kiedyś miała chłopaka (bo niezwykle trudno jej było zwizualizować sobie w tej roli jednego z kolegów z klasy albo szkoły), widziałaby w tej roli kogoś w rodzaju Witka. Kogoś wnoszącego tutaj powiew życia spoza Rytowa.

Dedukowała, co mogło się wydarzyć. Rzucił jakieś rzeczy do stóp Warwiłow, niczym Wercyngetoryks Cezarowi. Cokolwiek to było, zadziało jak zapalnik... Radiowozy wjechały na hale. Musiała koniecznie podsłuchać, co się wydarzyło, i musiała koniecznie zapamiętać, żeby nauczyć się choć bazowego czytania z ruchu ust. Z literatury detektywistycznej wynikało, że jest to niezwykle przydatna umiejętność.

Tata na początku wydawał się mało zainteresowany, ale potem usłyszała jego rozmowę z Witkiem. Nie chciała, żeby ją widzieli. Nie wiedziała nawet, że obaj mężczyźni się kolegują. Witek tu nie przyłąził. No ale ewidentnie się znali – a może nawet lubili.

Ukryła się za rynną, w ten sposób, że kiedy zatkała jedno ucho, w drugim wyostrzył się słuch i słyszała większość rozmowy.

– Żałujesz tego, co zrobiłeś? – zapytał cicho tato.

Witek nie śpieszył się z odpowiedzią.

- Czego miałbym żałować – odparł po kilku sekundach.
- Rytów może to zrozumieć po swojemu.
- Czyli po jakiemu?
- Przecież wiesz.

Sama była zdziwiona, że ojciec okazał się taki *obecny* w tej sprawie. Bardziej by go rozpoznawała po tym, że miałby to wszystko gdzieś. Drugie morderstwo, zabójstwo Arena, zmieniło jednak nastrój w okolicy. Nikt nie uważał, że było przypadkowe. Turyści też szeptali o tym między sobą. Słyszała ich przez otwór windowy.

- Wiem jedno – powiedział Witek. – Jeśli będzie chciał, to nikt go nie znajdzie.

- Dlaczego?

- Bardzo trudno jest znaleźć człowieka stąd. Pomyśl, czy ktoś wiedział, że on siedział w tym lesie?

- Ty wiedziałeś. Jak?

- Miałem swoje powody – rzekł wyraźnie wymijająco Witek. – Ale teraz. Zwłaszcza teraz... i zwłaszcza ktoś, kto nie chce być znaleziony. Nie znajdują go.

- Myślisz, że ich załatwił?

Nie usłyszała niestety odpowiedzi Witka, choć skupiła się, jak potrafiła. Potem pomyślała, że może po prostu jej nie było.

Witek w końcu odszedł. Przypuszczała, że dlatego tak późno, bo zbierał siły na Rytów. Już wiedzieli, co się stało, nie miała żadnej wątpliwości. Jeśli na górze wsi dwóch chłopów pobiło się o bańkę mleka, na dole wsi piętnaście minut później była na ten temat rozmowa. Jakby Zawoja potrafiła przenosić informacje swoim nurtem. I wszyscy widzieli wzmożony ruch policjantów na jedynej drodze Rytowa.

Znowu auta. Słyszała szum policyjnych samochodów, jakieś krzyki, ale nie ostrzegawcze, bardziej komunikacyjne. Naraz jakiś samochód przejechał przed schroniskiem, wzbijając kłęby kurzu, aż zakasłała. Jej

zdaniem tam, gdzie zaczynał się najgęstszy las, ciągnący się aż po Żegiestów, nie było sensu jechać. Nigdy go nie znajdują. Podzielała zdanie Witka.

Sama Roma oczywiście wiedziała, że Janek tam nocuje. Nikt jej nie pytał, po co zresztą miała mówić. Natomiast nie wiedziała, że miał rzeczy, bo nie sprawdzała... Zadrżała.

Zacisnęła dłonie na zapalniczce. Nie potrafiła jej puścić, umościła się jej w dłoni jak pierścień na palcu Froda. Polubiła ten nacisk, delikatny ból sprawiał jej przyjemność. W pewien sposób zapalniczka stała się najcenniejszym przedmiotem, jaki Roma kiedykolwiek posiadała, zwłaszcza po zniszczeniu szałas.

Wspięła się wyżej na halę, żeby zobaczyć ruch policyjny z perspektywy. Wjeżdżali z każdej strony...

Zagapiła się, bo to był niecodzienny widok, właściwie ekscytujący.

- Co tam masz, dziecko? - Podeszła do niej Róża Waszyńska.

Róża musiała siedzieć w altanie obok starej piwniczki. Co tu robiła - nie wiadomo - ale ludzie lubili tu przesiadywać, bo stąd był najlepszy widok na dolinę.

- Nic - powiedziała szybko.

- Nic a nic?

Pokręciła głową. Nie mogła się przyznać. Róża Waszyńska przyszła do niej, ale Roma wyczuwała obecność kogoś jeszcze - kogoś, kto się nie pokazywał.

Kogoś, kto nie podejdzie, tylko obserwuje ją z odległości. Zwyczajnie bała się wypowiedzieć to na głos, nawet wobec Róży, która z nieznanym powodów ciągle się tu kręciła.

Zbyt wiele przeczytała powieści, żeby nie rozczytywać znaków. Zbyt dobrze знаła odgłosy lasu, żeby nie rozpoznawać jeszcze jednego: stóp zapierających się przy zejściu wąwozem, kamieni usuwających się spod butów i spadających w dół, uderzających o inne kamienie.

Znała wszystkie gałązki i zagajniki w Żmijowym Jarze, potrafiła nawet znaleźć odcisk na trawie – znalazła jeden, męski i zupełnie świeży.

Jednym słowem, była już obserwowana i to nie było miłe uczucie.

Zeszła na dół bez dalszych wyjaśnień, pozostawiając Różę samą sobie. Jeśli kobieta chciała zaspokoić ciekawość, musiała sama wpaść na to, jak to zrobić.

Lawirując między samochodami i starając się pozostać niewidoczną oraz nieznaczącą, Roma wróciła do schroniska.

Miedziana zapalniczka i wyraźny jej odcisk na opuszcze palca coraz bardziej ją bolały.

Ale Roma wiedziała już, co ma z tym zrobić.

Na zewnątrz panowało zamieszanie, a w PPTK-u było cicho i pusto. Jakby nagle stał się bezpański. Jakby drażniąco często puszczający do niej oko Ignerski wraz z córką zesli na czas poszukiwań Krońca do piwnicy. W końcu Nina znalazła ich domek w schronisku. Obeszła budynek i dostrzegła małe drzwiczki u dołu, tuż przy kamienistej ziemi, jak wejście do jamy niziołków. Pomieszczenie wyglądało na zbyt małe, żeby pomieścić dwójkę ludzi – zwłaszcza wysokiego Ignerskiego i jego długonogą córkę.

Drzwi były jednak otwarte.

Po chwili zawahania weszła.

– Halo!

Mieścił się tu mały przedpokój, z drewnianymi schodami wiodącymi na górę. Po swojej lewej stronie Nina dostrzegła małą windę, która „serwowała” jej śniadanie. W mikrej kuchence dostrzegła wiktuały śniadaniowe: jajka, chleb, plastry żółtego sera, który należało już schować do lodówki. W jamie niziołków było przyjemnie zimno: panował chłód kamiennego wnętrza, bo zewnętrzną powłokę stanowiły nie bale, a kamienna podmurówka.

Zdawało jej się, że tu jest tylko ta jedna kuchnia... ale nie, dalej dostrzegła jeszcze mniejsze drzwiczki, jakby wędrowała między światami.

Pchnęła je, teraz już nieco śmielej.

Zapaliła światło.

Weszła do mikroskopijnego pomieszczenia, w którym zalatywało toaletę. Wejście do niej znajdowało się na samym końcu.

Dostrzegła dwa posłania, barłogi w zasadzie, książki leżące bezpośrednio na łóżku...

Kurz i w sumie brudno. Zrobiło jej się przykro. Po śmierci mamy też tak mieszkali z ojcem. Kurz i brud, jakie to jest cholernie przygnębiające, przywodziło jej na myśl śmierć. Automatycznie podniosła z podłogi koldrę, która wyglądała, jakby była z zupełnie innego miejsca. Dla innego dziecka, znacznie mniejszego.

Wysła. Myślała o Janku Krońcu. Widziała tego człowieka co najmniej raz, pod sklepem. A teraz został jej podany niemal na tacy, jednak w sprawie wciąż były zagadki...

A w dochodzeniu śledztwo na cztery ręce zmieniło się w śledztwo na sześć dłoni. Wbrew jednak podejściu wielu podstarzałych glin, Rumsztyński wcale się nie dziwił – mocno nieformalnej – obecności Chodkowskiego. Przeciwnie, wydawał się nawet zadowolony.

Komisarz z Piwnicznej nie wyglądał jednak na człowieka sukcesu. Rozkładał ręce.

– Wieś nie chce pomagać.

– Jak to nie chce?

– Przecież ich nie zmuszę, Nina!

– Jest tak, jak mówiłeś. Odrębny świat.

– Nie znamy tak dobrze tych terenów. Każda wieś to jak osobna specjalizacja... Nie mówią. Nikt nie chce potem żyć tutaj z piętnem konfidenta. Przecież wiesz.

– Nie wiem.

– No to już wiesz.

– Jesteś wkurzony – skonstatowała.

– Jestem – rzekł i widziała, że jest wręcz wściekły. – Bez pomocy mieszkańców nie wytropimy tego człowieka. Nie chcą pomagać. Boją się.

– Dlatego, że siedział.

– Dlatego, że jest mordercą, Nina. Ale moim zdaniem boją się sąsiadów. Ich zdania, opinii. Wszyscy. I nie każ mi tłumaczyć dlaczego, bo, szczerze, sam tego nie rozumiem.

- Coraz częściej myślę o Bukowcach. Opowiadałam ci tę sprawę, prawda?

- Coś czytałem.

- A pamiętasz konkluzję?

Milczał, wyraźnie zafrasowany.

- Wiesz, że na miejsce zbrodni pofatygował się Całkiewicz? - uzupełniła.

- Nasz komendant?

- Ten sam, który mnie tu wysłał. Wiesz, że przyjechał z doborowymi ludźmi?

- Znalazł sprawcę?

- Gówno znalazł. Choć wyszło, że tak naprawdę nie szukał. Interesowała go inna zbrodnia, człowiek, który padł jej ofiarą. Tak czy inaczej, sprawca przyznał się w barze, nomen omen, Potoczek. Następnego dnia po morderstwie zwolnił się z pracy w lesie. - Zrobiła pauzę. - Dążę do tego, że może od początku kombinowaliśmy pod górę. Jest bezdomny, który mieszka w lesie. Kryminalista. To, o czym od początku myślałam, że okazja czyni mordercę... tylko nie szukałam tak blisko. Pytanie tylko, dlaczego jeszcze nie spieniżył canona, przynajmniej do tej pory.

- Że z portfela korzystał, to już wiemy.

- Skąd?

- Żartujesz? Wystarczy zapytać u Cyklopa.

- Zaczynasz mówić po tutejszemu.

- Dawno mówiłem. A co do aparatu, to może jeszcze nie zdążył opylić.

- Nasze szczęście, że były pieniądze i jest Cyklop. Ostał się dowód poszlakowy, choć niewielki. - Przerwała. - Informuj mnie o wszystkim, jak tylko będziesz miał zasięg - dodała.

- A ty?

- Może się przejadę.

- Z nami?

- Nie, w dół.

Chodkowski zniknął. I dobrze, że się rozdzielili.

Była niezaangażowana w poszukiwania Janka, na niewiele by się teraz jednak zdała.

Warwiłow zjechała w dół Rytowa, tam, gdzie wskazał jej drogę jeden z napotkanych mieszkańców.

Podjechała pod ładny dom z prostej czarnej deski, który domagał się już odmalowania. Za budynkiem znajdował się sad z jabłnkami i hamakiem. Dostrzegła w nim kobietę. Nie było kogo, tylko samą wicedyrektorę szkoły.

Agnieszka Kroniec podniosła się na jej widok, następnie zaś przetarła czoło dłonią.

W ogrodniczkach ujmujących jej wieku w ogóle nie prezentowała się jak była żona więźnia, zbiega Janka Krońca.

- Nina Warwiłow - przedstawiła się.

- Wiem, kim pani jest.

Nie podeszła. Kroniec była wyższa, ale Nina miała wrażenie, że są nieco podobne fizycznie. Kojarzyła jej się z jakąś aktorką, może Grażyną Wolszczak w tej wersji z *Gier ulicznych* Krauzego? Miała ciemne włosy jak Hiszpanka, wydatny, ale nieprzesadnie duży nos - taki, który kiedyś, przed szaleństwem operacji plastycznych, określono by jako piękny. Duży biust, dłonie z długimi palcami. Poważne, lekko autorytarne spojrzenie.

- Czy możemy porozmawiać?

- Tak. Możemy - odparła Kroniec po chwili wahania. - Ale wolałabym oszczędzić tego dziewczynkom. Pozwoli pani, że je czymś zajmę, dobra?

- Oczywiście, chociaż to nic złego... - Nina usiłowała się uśmiechnąć, ale Kroniec już zniknęła w domu.

Powrót nie zajął jej wiele czasu. Poprowadziła Ninę do ogrodu.

- Nie będzie pani przeszkadzało? Tu nikt nie usłyszy.

- Dziękuję, że pani ze mną rozmawia - zaczęła komisarz. - Przede wszystkim chcę podziękować za wszystko, co pani...

- Co pomoże w ujęciu Janka - wtrąciła krótko gospodyni.

- Nie do końca. Jak pani wie, sprawą, którą prowadzę, jest morderstwo Drużyńskich. Muszę zbadać wszystko.

- Wiem, że miał ich rzeczy - powiedziała Kroniec. - Janek zawsze był impulsywny i nieostrożny.

- Czyli sądzi pani, że to on?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Moje zdanie w tym temacie jest równie dobre jak pani.

- To dziwne jak na...

- Kogo? Byłą żonę?

Nina odczekała parę sekund.

- Czy możemy zacząć od początku? Pani Agnieszko... Cokolwiek pani sądzi, ja chcę tylko odkryć prawdę.

Znowu zapanowała chwila ciszy. Gospodyni powoli zaczęła mówić.

- Janka poznałam, jak jeszcze był... w innej formie.

- Jakiej? Co robił?

- Powiedzmy lepiej. Pewnie udawał. Ale czasem, wie pani, trzeba mieć oczy szeroko otwarte. Do ludzi podchodzić jak do kierowców na drodze, z ograniczonym zaufaniem. Janek był z początku ujmujący i miły. Z czasem jednak stał się brutalny, dziki. Podstępny na tyle, żeby kryć swoje najciemniejsze instynkty. Dlatego nie rozumiałam tego, co się później działo, dlaczego się działo. Mogłam być jednak mądrzejsza. Wystarczyło spojrzeć w górę.

- Proszę rozwinąć.

- Jego ojciec Maciej był taki sam.

Zapadła chwila ciszy. Maciej Kroniec. Ninie zdawało się, że to hasło jest jej znane. Czyżby z bloga, który zawzięcie wertowała? Takie skojarzenie przemknęło jej przez głowę...

- Był?

- Nie żyje od ponad dwudziestu lat.

- Jakie były te ciemne instynkty? - zapytała.

Przez twarz kobiety przeszedł cień.

- Jestem z policji - powiedziała nieco ciszej Nina. - Jestem też kobietą. Nie zdradzę tego, co pani mi powie. Chcę tylko rozwiązać sprawę.

- Złe. I podstępne. Stary Kroniec był drapieżnikiem i polował również w dolinie. Często najpierw poznawał się z rodzinami swoich ofiar... Chyba nie chcę się nad tym rozwodzić.

- Wiem, że Janek był skazany za gwałt.

- Dlatego, że to zrobił. Nie pierwszy raz.

- Jak to?

- Powiedziałam, nie pierwszy raz. Nie przeszłyśmy na ty, więc zapytam, czego jeszcze pani nie rozumie? - Kroniec skierowała na nią ciemne oczy.

Zapadła cisza. Kretynka, pomyślała po chwili Warwiłow. Tylko dlatego, że instytucja małżeństwa... Sama kierowała się jakimiś stereotypami.

- Powiedziała pani, że syn był taki sam jak ojciec.

- Tak. Choć Janek jest w pewnym sensie bardziej otwarty. Maciej miał miłą twarz i godkę, ale był jeszcze bardziej niebezpieczny, jadowity jak pająk.

- Czy on też...

- To był zły człowiek. Myślę, że matce Janka serce pękło przez nich obu. Nie zrobił mi krzywdy, jeśli pani o to pyta. Bez przesady. Ale swoje wiem. Janek też zresztą opowiadał. Wbrew pozorom nie wspierał ani nie bronił ojca, choć okazał się taki sam. Maciej Kroniec krzywdził kobiety, może mieć pani co do tego pewność. A jeśli są tacy, co go jeszcze pamiętają, proszę to z nich wycisnąć. Potwierdzą, jeśli mówią prawdę. Mam nadzieję, że po latach ludzie w końcu zaczną to robić.

Po wyjściu Nina przystanąła na pustej drodze, rozmyślając nad słowami kobiety.

Historia, którą chciał opowiedzieć Łazęga... Potwierdzili to zarówno jego brat, jak i Będziński, który nie był takim wariatem, na jakiego się prezentował – albo na jakiego chciał wyglądać.

Opowieść Drużyńskiego... Czy kosztowała go życie na dnie wąwozu?

Może sprawcę już znali, ale nie znali pełnej motywacji, może to wcale nie była zbrodnia na tle rabunkowym.

Nina zamknęła oczy, żeby powiązać te wszystkie informacje ze sobą. Osoby, takie jak Janek Kroniec, mieszkający w lesie włóczęga. Człowiek, który stracił wszystko, kryminalista. Żałowała, że tak późno porozmawiała z Agą Kroniec, ale może tak miało być: szpilki na mapie śledztwa zaczęły się mnożyć z niepokojącą szybkością. Z jednej strony był Łazęga, jego wirtualny blog pełen dawnych opowieści z hal, z drugiej Rytów i jego jak najbardziej realne sekrety, z rodziną Krońców na czele.

Tutaj, w górach, żyli mężczyźni, którzy krzywdzili kobiety, z ojca Macieja na syna Janka...

Sądecka i piwniczańska policja szukała tego ostatniego po przepastnych lasach, ale co innego mogło być kluczem. Może potrzebowała sięgnąć wstecz. Zbrodnie zawsze zaczynały się wcześniej. Urazy pęczyły, napięcie je wynaturzało, deformowało, w końcu nadchodził ten moment.

Tak jak i w śledztwach. Kiedy pozornie odległe ze sobą elementy łączyły się w całość wiązane jedną nową informacją.

Nina pomyślała teraz o czystym, nowym, niemalże nieużywanym b.boxie, który mały trzymał nad zwłokami swojej matki. O spotkaniu przed kilkoma dniami, które wydawało jej się teraz kluczowe.

Zamknęła oczy, zastanawiając się nad tym, co powinna obecnie zrobić.

Skierowała się do Piwnicznej, spędziła tam kilka godzin. W mieście owocna okazała się rozmowa z jej dawną gospodynią z Wiązów, Basią

Stasik. Poczekala, az kobieta bedzie miala chwile wolnego, i tym razem juz „z wolnej stopy” zaprosila ja na kawę do Magdalenki. Zadawala jej same konkretne pytania. Korzystala przy tym z bajecznej pamieci swojej bylyj gospodyni. Potrzebne jej byly imiona i nazwiska, a juz najbardziej to jedno pamietne. Na koniec poprosila Basię o dyskrecję.

Nie tylko to: Nina udala się następnje do reprezentacyjnego narożnego gmachu na Rynku i dołączonej do niego szarej części, składających się na Ośrodek Kultury. Miała szczęście, że w środku odbywało się wydarzenie. Obejrzała więc sobie owo szczególne miejsce, obszerną salę, gdzie Łazęga udzielił pamietnej prelekcji o swoich wyprawach. Chciała je zobaczyć na własne oczy.

O czym opowiadał? W jaki sposób? Miała tylko jego bloga. Opowiadane na prelekcji były z pewnością stare góralskie historie, które śledził Łazęga. Taki przecież kierunek jego blog obrał niedługo przed jego śmiercią. Czula, że intuicja jej nie zawiodła. Bo blog stał się jakiś czas temu swoistą przykrywką dla Łazęgi, kryjącą zupełnie inne działania.

Nina pojawila się z powrotem na Hali Rytowskiej dopiero późnym wieczorem. Na miejscu udala się prosto do swojego pokoju. Położyła się do łóżka, gdzie zasnęła jak kamień, czując, że musi przede wszystkim zmagazynować siły na jutro. A następnego dnia, z samego rana, wyjęła pożyczone od Rumsztyńskiego walkie-talkie.

Udalo jej się namierzyć komisarza. Okazało się, że juz jechał pod górę.

Wypiła kawę i usiadła przed schroniskiem. Po kilkunastu minutach dostrzegła z daleka karoserię jego jeepa. Samochód Rumsztyńskiego lśnił jak diabli, jak on, do diabła, to robił na tych drogach? Mężczyźni mieli czyste samochody, a brudne wnętrza, pomyslała, wspominając jego gabinet. Stereotyp się potwierdzał.

Rumsztyński wyszedł przed schronisko. Dobry był z niego policjant, ale nie zastąpi Chodkowskiego. Tylko tyle i aż tyle, jak mówili na

Sąddeczyźnie... Był wyraźnie zmęczony, jakby przez te parę dni jeszcze bardziej się postarzał, a zasuszona twarz dodatkowo się zapadła.

- No nic - rzekł - może kolejny dzień coś przyniesie. Przeczesał tereny na Hali Pisanej aż do Cyrli... Następnie kawał lasu w stronę Piwnicznej i Żegiestowa. Nie ma go. Mówią, że jeśli nie będzie chciał, to nikt go tu nie znajdzie. Ale ludzie się boją. Jakichś tropicieli nam tu sprowadzili, ale te lasy... Równie dobrze on może już być na Słowacji, wędrować brzegiem wioski cygańskich. A co ja mam ludziom tutaj powiedzieć?

- Jeśli od wyjścia z więzienia mieszkał w lesie, to dlaczego teraz ma dać się znaleźć? Spróbujcie na jesieni. W końcu się wynurzy.

Komisarz spojrział na nią przeciągle; wydawał się zmęczony.

Ona wręcz przeciwnie, czuła się od rana ożywiona. Poszlaki uzupełniały się wartko, jak nurt wody u źródła Zawoi. Jeszcze nie wiedziała, jaki to wszystko będzie miało skutek.

- Nina? - zagał Rumsztyński.

- Usiądź ze mną - poprosiła. - Doszłam do kilku ciekawych rzeczy.

- Doszłaś?

- A przynajmniej koncepcyjnie.

Był jeszcze bardziej niż zwykle spalony słońcem, a porażkę miał widoczną nawet na twarzy. Prawdę mówili ludzie z okolicy: człowieka stąd nie dało się tutaj znaleźć, a na pewno nie w czerwcu.

- Wiesz co - zaczęła - upewniłam się w ciągu ostatnich kilku dni, że Łazęga miał pewną historię do opowiedzenia.

Rumsztyński wpatrywał się w nią. Gestem dał znać, aby kontynuowała.

- Łazęga nie tylko opisywał widoki w swoich wędrownkach pasmami Jaworzyny i Radziejowej. Interesował się pasterzami, procesem załamania się tej gospodarki po upadku komuny. Dawnym życiem. Wydaje mi się, że ta koncentracja miała jeszcze jeden cel, kamuflowała coś innego, bardziej konkretną opowieść... O ludziach. Nie tylko o tej

wielkiej historii, lecz także tej małej, przyziemnej, może nawet nikczemnej. I w związku z tym mam do ciebie pewną prośbę.

- Tak?

- Chciałabym, żebyś mi powiedział wszystko, co wiesz o śmierci Macieja Krońca w starej baczynie na Hali Kurzajowej.

Janek był poszukiwany. Oficjalnie. A Witek – równie oficjalnie – był już konfidentem. Sam sobie nadał to miano jako rodzaj pokuty i jednocześnie przygotowania na reakcję wsi. Ale uważał, że termin dziwnie pasuje do tego, co właściwie zrobił.

Nie wiedział, że Janek ma fanty. Poszedł na czuja. To, co później uczynił, w bardziej cywilizowanych miejscach można by określić mianem etycznego donosicielstwa.

Inna interpretacja, której w gruncie rzeczy był bliższy, brzmiała tak, że sprzedał Janka, pobratymca, jak ostatnia menda. I nie mógł teraz iść do Agnieszki. Mógł tylko zwyczajnie czekać. Aż burza minie albo ich związek ulegnie anihilacji. Tęsknił za nią jak diabli, za jej ciałem, za jej umysłem i językiem, który rodził zaskakujące słowa, których nigdy nie potrafił przewidzieć. Za obiema rzeczami – duchem i ciałem, bo były dla niego symbiotycznie połączone.

A jeśli już na coś czekał, to aż ta miłość wystygnie. Paradoksalnie miał co robić, mierząc się z nienawiścią całej wsi. Pewnie jak na razie świrował, ale trudno aby było inaczej, kiedy nawet rodzice nie chcieli z nim teraz rozmawiać.

Zjechał do Piwnicznej. Tutaj czuł się trochę lepiej, bo nie wszędzie go rozpoznawano. Choćby dlatego, że połowę ludzi stanowili kuracjusze z licznych gościńców rozsianych po dolinie Popradu oraz, oczywiście, z sanatorium Limba. Sezon sanatoryjny w pełni; tylko się z tego cieszyć.

Będą pieniądze na przeżycie zimy, aż do Gwiazdki. Bo tak tu część ludzi żyła. W miastach ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, że część mieszkańców wsi i prowincji wcale nie ma stałego dochodu, nie żyje ze sprzedaży ziemniaków. Żyła z turystów, z tego, co się trafiło w zimie na

stokach i na kuligach, a w lecie z ruchu generowanego przez Piwniczną, Krynicę, Łomnicę...

Podjechał w drugą stronę. Minał delikatesy na obrzeżach centrum i skierował się do jednego z przysiółków Piwnicznej. Jechał wąską szosą przez Kosarzyska, a następnie wspiał się stromą drogą wyłożoną płytami betonowymi, kierując się do leżącego już wysoko na polanach Podbukowca.

Minał starą, opuszczoną szkołę: drewniany, podziurawiony czasem budynek był spektakularnie położony na halach. Witek zapatrzył się w jeszcze piękniejszy widok na Piwniczną, jeden z najlepszych w okolicy. Góry schodziły się ku dolinie, jakby się do niej schylały.

Podjechał do gazdówki. Znajomy znajomego miał tu pieska. Z właściwej rasy, z właściwego miotu. Ponoć od dziesiątek lat z cakłami. Ponoć, bo same cakle wróciły parę lat temu między innymi z ich inicjatywy.

Przywitał się z właścicielem, a potem długo patrzył pieskowi w oczy. Był sympatyczny, miał mocne łapy i pysk. Będzie duży, to już plus. Na górze twoje życie nie będzie takie łatwe, piesku.

– Jak masz na imię? – zapytał zwierzaka.

Czekał, aż coś mu się samo nasunie. Szczeniak był podobny do starego psa, ale to nic dobrego. Patrząc na te ślepia, widział dalej wierne oczyska Arena.

Płakać mu się zachciało.

Nagle pies położył mu łapę na przedramieniu, drapiąc go, ale z wyraźną przyjaźnią.

Witek kiwnął głową.

– Biorę. Ile się należy? – zapytał.

– Co łaska, chłopie. Tylko nie donieś na mnie do skarbówki, dobra, Rozenba?

Spojrzał. Zawahał się. Nagle chciał odjechać.

- Żartuję, człowieku - parsknął śmiechem gazda. - My tu sobie żartujemy z tego waszego rytowskiego piekielka. Co ty myślisz, że myśmy za Krońcem przepadali? Ta dziewczyna miała i ma rodzinę, do diabła. I każdy ma jakąś siostrę. A jeśli zabił, dobrze, że go ścigają. W ogóle nie płac mi za tego psa. Piwniczna jest ci wdzięczna.

Witek pojechał z powrotem na hale w trochę lepszym nastroju.

Ale jak tylko wspiał się z powrotem do Rytowa, nastrój pękł jak bańka mydlana.

Wieś zdawała mu się już nie ukochana, sielska, tylko klaustrofobiczna. Wąskie zbocza i jeden strumień. Tak jakby wszyscy żyli na kupie, srali sobie nawzajem na głowy. I trochę tak było, skoro część gospodarstw była jeszcze oparta na sławojkach. Jakby się złączyli w jeden spotworniały organizm, ale tylko ci z przodu mieli czym oddychać, a reszta się dusiła.

Nie miał ochoty iść na piwo. Niech nikt się do niego nie zbliża. Nawet jeśli niektórzy zgadzali się z nim, był tutaj sprzedawczykiem.

Paradoksalnie zmniejszać jego winę mogło to, że miał romans z Krońcową. Najlepiej mówiło to o Rytowie. Nie sprzedawczyk, a tylko chciał się pozbyć chłopa.

Bezimienny jeszcze piesek wydawał się trochę smutny, ale we wsi nie odstępował go już ani na krok. Witek kazał mu siadać i leżeć. Jakoś szło. W następnej kolejności mówiono, żeby uczyć psa tego, co będzie przydatne w codziennym życiu... Potem przyprowadził go do owiec, do jagniątek, żeby pies nie dostał od barana w łeb. Szczeniak mocno się przestraszył, kiedy jedno, wyrosnięte już, ruszyło na niego. Witek nagle się roześmiał.

- Nie przejmuj się, mały. Przejdzie ci.

Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać, że pies pasterski boi się owiec. Szczeniaka rozgrzeszało to, że były od niego większe. Jeśli to się jednak utrzyma, będzie musiał oddać psa. Najlepiej zanim się do niego przywiąże.

Usłyszał kroki na sianie, które pokrywało kamienne płyty przez cały rok.

Nie odwracał się.

Nie chciał z nikim rozmawiać, nikomu nie chciał się tłumaczyć. Może zatrzaśnie furtkę i zamknie się zwyczajnie na Rytów.

– Wituś?

To był tato.

Obrócił się, gotowy na rozmowę. Dłonie mu się same zacisnęły, choć to tylko tato.

Pomyślał, że ojciec nie będzie mu robił wyrzutów, problemów z powodu jednego kryminalisty. Wspomnił jednak ostatnie słowa taty o Agnieszce i przeczuwał, jak ta rozmowa się potoczy.

– Też jesteś przeciwko? – zaczął Witek.

– Synek...

– Nie chodzi o kobietę. To znaczy... – Zawahał się. – Chodzi o to, że ja nie mogę ukrywać tego, co wiem, tylko dlatego, że ludzie są stąd. Nie te czasy. W miejscu zabójstwa Arena kręciło się dużo osób. Wiedziałem, że Janek ma te rzeczy, i nic nie zrobiłem. Jeżeli to on zabił mojego psa...

Poczuł, że łzy napływają mu do oczu.

– Synek – usłyszał ponownie.

Ojciec podszedł do niego. Przytulił go mocno do klatki piersiowej. Była jak żelazo. Po namyśle Witek odwzajemnił uścisk. Trzymali się w objęciach przez dłuższą chwilę.

– Kocham cię, Wituś, i wiem, że robisz dobrze. Inna jest sprawa. Była u ciebie ta policjantka z Gorlic.

– Nina Warwiłow.

– Pytała mnie też o Macieja.

– Starego Krońca?

– Tak.

– Co powiedziałaś?

Ojciec milczał przez chwilę.

- Synek, powiedziałem, co powinienem powiedzieć. Żeby pewnego dnia spokojnie umrzeć.

- Tato...

- Prosiła o kontakt. - Ojciec dokończył z wyrazem twarzy, jakby nie chciał kontynuować. - Idź do schroniska, pogadaj z dziewczyną.

– Zaskoczyłaś mnie, Nina – powiedział Rumsztyński.

Siedzieli na ławeczce naprzeciwko siebie. Widziała ostre, wydziergane słońcem szramy na jego twarzy. Tym był, psem terenowym, świetnie poruszającym się w górach, ale dzisiaj poniósł porażkę.

– Śmierć Macieja Krońca. Jesteś pewna, że nie chcesz zjechać do archiwum w Piwnicznej?

Potrząsnęła szybko i gwałtownie głową.

– Mów teraz.

– Będziesz polegać na mojej pamięci. Mogę coś pominąć.

– Rozumiem.

Rumsztyński pokiwał głową z namysłem.

– To była jedna z tych dużych spraw okresu przełomu – rzekł. – Jak się już pewnie domyślasz, sprawca nie został znaleziony. Stary Kroniec... – Pokręcił głową. – Może ten przełom spowodował, że nie wykryto mordercy. Żadnych świadków, bo ofiara sama nocowała w baczówce. Okolice jeszcze bardziej bezludne niż teraz, i na pewno bardziej dzikie. – Przerwał.

– W jaki sposób go zamordowano? – zapytała Nina.

– Można powiedzieć, niewiele z niego zostało. Czaszka została zmiażdżona. Sprawca przeciągnął go po ścianach...

Policjant skrzywił się.

– Czemu nie wykryto sprawcy? Skoro to był bogaty i wpływowy gazda? – podjęła.

– Wtedy, na początku lat dziewięćdziesiątych, to już przestawał być świat góralski. Okolice mocno się wyludniała, było mniej ludzi. Mniej niż teraz, kiedy zjechali się z kotliny. Więc tak, Kroniec był wpływowy, ale tutaj. To już się tak bardzo nie liczyło w dolinie. Przede wszystkim, jak przypuszczam, sprawa była trudna. Żadnych śladów. Jakby duch przeleciał. Nierozwiązywalna.

– Dokładnie tak jak nad Zawoją, prawda?

– Tak. – Pokiwał głową. – Ale to było ponad dwadzieścia kilka lat temu.

– Rabunek?

– Nie pamiętam, ale raczej nie.

– Odwet?

– Nina, nie pamiętam akt, przecież wiesz, jak to jest. Tyle spraw od tego czasu było.

– Ale pracowałeś wówczas w policji?

– Na jakimś tam podrzędnym stanowisku. Kroniec nie był nieposzlakowanej opinii, to na pewno. Jeśli to nie było pociągnięte, to dlatego, że te ziemie przestawały być znaczące dla Sącza. Za daleko i w górach. Wszyscy byli zajęci budowaniem biznesów, podnoszeniem się z komunizmu, prywatyzacjami zakładów w dolinie.

Słońce było coraz wyżej na nieboskłonie. Osłoniła oczy, bo zaczęło ją razić na ławeczce.

– Myślę, że sprawca też znał tę historię – powiedziała cicho. – I może znał postępy, jakie czynił w pracach nad tą fabułą Łazęga... Wychwyił to, a nawet myślę, że czynnie występował na blogu, pod nickiem Opiłka Dwa. – Zrobiła pauzę. – Logiczna wydaje się hipoteza, że Opiłka Dwa jest mordercą.

– To go znajdziemy.

– Już o tym myślałam. Konto zamknięte, według moich źródeł nie do namierzenia.

Oczywiście, należało zweryfikować ekspertyzę Będzińskiego – w tym aspekcie wzbudził jednak jej zaufanie.

Tak właśnie Łazęga pisał na blogu. Dobre historie kryją się wszędzie... Ci pisarze i reportażyści o władnioci dobrą historią, którzy zrobią dla niej wszystko.

– Andrzej, on znalazł tę sprawę, zainteresował się nią i postanowił opisać. Może miał prywatne powody, ale może chciał się zwyczajnie wybić z blogera na pisarza, nawet reportażyście, i znalazł materiał, taki, na jaki się czeka latami. Wiesz, jaką reportaże robią obecnie furorę.

Po chwili przerwy podjęła:

– Chodził po szlakach. Gadał z ludźmi, którzy coś mogli pamiętać. Był niezauważony i pod osłoną swojego bloga rozwiązywał zagadkę sprzed lat. Tak przypuszczam. Wiecznie w trasie na szlakach, Łazęga zbierał informacje, być może robił to miesiącami. Ale... te wpisy na jego blogu, zwłaszcza komentarze – dodała – wskazują na to, że w pewnym momencie stał się niesamowicie podejrziwy. Dlaczego?

– Nie wiem.

– Dla mnie najbardziej prawdopodobna odpowiedź jest taka, że Łazęga znalazł sprawcę. Rozwiązał zagadkę albo przynajmniej opracował mocną hipotezę. I gra zaczęła się nagle toczyć o bardzo wysoką stawkę.

– Dlaczego nie powiadomił policji?

– Brakowało mu dowodów. Ale chyba nie o to tylko chodziło. Myślę, że Drużyński chciał zadziwić świat swoją wersją tajemniczej zbrodni w górach. Napisał tak nawet w jednym artykule na blogu: dlaczego nie pisać historii od razu opartej na prawdzie? Bez kłamstwa.

Naga prawda, prawdziwa jak góry. Na tym blogu jest wszystko, byle tylko uważnie czytać. Co więcej, napisał tak w artykule poświęconym góralom nadpopradzkim.

– Wciąż jednak nie rozumiem, jak...

– Co?

- No jak sprawca ich namierzył! Czekał na niebieskim szlaku pod petetkiem? To się nie trzyma kupy, Nina. To jest duży minus twojej teorii.

- Trzyma, jeśli zrozumiemy, o co chodziło z napadem na jego domu w Załubińcu parę tygodni temu. Bo tutaj nie chodziło o to, żeby coś *wynieść* z domu. Dobry miałam instynkt, ale dopiero jedna uwaga Karola Chodkowskiego naprowadziła mnie na właściwy trop.

- To o co chodziło?

- Chodziło o to, żeby coś *wnieść* do domu Łazęgi i pozostawić tam w ukryciu.

- Co takiego?

- Pluskwę, Andrzej. Napad na dom, którego tak naprawdę nie było... Była jednak bardzo poważna konsekwencja i myślę, że Drużyński miał dobrą intuicję, że się potem bał. Do środka została wniesiona pluskwa, którą następnie morderca zaszył w plecaku Łazęgi.

Poprzedniego dnia ktoś był w jej „pokojach”. Już parę dni wcześniej Roma zaczęła patrzeć na wycieraczkę. Sprawdzała, czy ktoś nie włożył do Nory pod jej nieobecność... No i włożył, spostrzegła ślady butów, które nie były podeszwami taty, a także i złożoną kołdrę – coś, czego nigdy nie miała czasu zrobić.

Roma wiedziała, że Kroniec nocuje w lesie – choć nie miała pojęcia, czy on wie, że go widziała. Nie wiedziała jednak, że mężczyzna trzyma tam rzeczy. W powieściach kryminalnych usiłowałby się raczej tego pozbyć. Zabranie się z kimś do Sącza z fantami w plecaku nie było przecież trudne. Myśląc o tym, nie mogła zasnąć i wsłuchiwała się w chrapliwy oddech taty. Ojciec chrapał na kilometry, ale ona tak się do tego przyzwyczaiła, że chyba nie umiałaby już bez tego zwyczajnie zasnąć.

Zapalniczka już kompletnie straciła ogień. Ale była przepiękna, Roma pocierała ją chusteczką, żeby jeszcze lepiej zobaczyć napis MA. Ciekawe, co oznaczał. Napis był jak wejście do innego świata, na stronę zbocza ukrytą zwykle w cieniu.

Przy tym wszystkim, co się działo, PLAN spadł na drugie miejsce. Może dlatego, że już się nie bała. Między wierszami zawiązała się nic porozumienia między nią a tatą odnośnie do szkoły. Zrozumiała to, jak po ostatniej rozmowie już nie wracał do niej z uwagami i komentarzami. Z jednej strony przykro jej było, że o to nie dbał – z drugiej, kiedy przestała się bać jego reakcji, ich relacje stały się jakby lepsze.

Dzisiejszego ranka szykowała śniadanie dla gości, smażyła jajecznicę, kroił chleb, uwijając się przy parówkach na kuchence

(gości zrobiło się dziwnie więcej).

Czuła się niewyspana i pomyślała, że właśnie przez tę zapalniczkę nie może spać. Twardy przedmiot, który obracała w palcach, który trzymała zawsze przy sobie, bawiąc się nim. Choć bez benzyny, palił ją w dłonie.

Ktoś szukał tego pięknego przedmiotu, który przypadkiem objęła w posiadanie, i był już u niej w domu. Przypuszczalnie ten sam człowiek, którego widziała w bacówce na Hali Kurzajowej.

Jeśli należała do Janka Krońca... co oznaczały inicjały MA?

Lekko sfrustrowana wciskała zapalnik kuchenki, aż kompletnie przestał się palić.

- Ronju?

- Tak, tatusz? - Obróciła się szybko i nerwowo.

- Nic. Jest dużo gości - rzekł po dłuższej chwili, ale wcale nie mówił tego z zadowoleniem. Miała wrażenie, że zamierzał powiedzieć coś innego. Przypuszczała, że wcale nie cieszy go jednak taka ilość przyjezdnych. Życie bez pieniędzy spowodowało, że przestał zważać, ile ich ma. Ona musiała. Przejęła jego nigdy niepowstały stres z tego powodu.

Tak właśnie. Pomyślała, że on wcale nie chce zarobić. Tyle, ile było, w całości go satysfakcjonowało. Żeby przeżyć. Co ważniejsze - aby było przyjemnie i nie trzeba było rano zeskakiwać z łóżka.

- Co tam ściskasz? - zapytał nagle.

Zaskoczył ją.

- Nic takiego - wyszeptwała.

Głupi jednak nie był. Wyraźnie zastanawiał się jednak, czy coś jeszcze powiedzieć, czy może odpuścić. Grunt, że nie zagajał o szkołę. No bo co? Zmusiliby ją do chodzenia przez lasy, przez śniegi, wilczymi trasami? Innego wyjścia - *przejścia* - nie było.

Zmuszona powiedziałaaby, że nie będzie chodzić przez las. I co wtedy? Rytów mógł jej naskoczyć. Nic nie była winna tej miejscowości.

I w końcu zrozumiała to, co musi zrobić, żeby odzyskać chociaż trochę spokoju ducha.

Wstawiła kolejne talerze do windy. Parówki, sery oraz pieczywo własnoręcznie upieczone na liściu kapusty. Ludzie potem chwalili. W sumie mam już fach w rękę, pomyślała pod kątem swojej przyszłości. Może bardziej niż miał go tato.

– Dokończysz, tatuś? – powiedziała, kiedy zawczasu przygotowała zasmażkę na kilkanaście porcji pierogów łemkowskich. Kupowała je mrożone u Cyklopa, ale cieszyły się tu niezwykle powodzeniem.

– Tak, tak. – Wydawał się roztargniony.

– Nie zapomnij się z nimi rozliczyć, dobrze?

– Jasne, maleńka. Za kogo mnie masz.

W sumie fakt. Pieniądze jeszcze potrafił egzekwować, kiedy już włożyli w coś pracę.

Sama nie wiedziała, co ją naszło, kiedy podeszła i pocałowała go w policzek. Wydawał się jej... biedny. Może nie lenił się, tylko nie radził sobie ze światem tak jak ona i ukrył się na szczycie góry.

Wstała i otrzepała się lekko. Wyszła. Od historii z jabłkami była uważna, rozglądała się bacznie. Ale dzieciakom chyba się znudziło. Wkrótce o niej zapomną. Tak samo miała z Magdą. Im dłużej jej nie widziała, tym szybciej znikał żal. Czego oczy nie widzą...

Roma przeszła powolnym krokiem przez łąkę.

Chciała, żeby ją obserwowano. Przeczuwała, że Janek jest bliżej, niż oni wszyscy myślą. Już się go nie obawiała. Szła powoli, nasłuchując dźwięków z tyłu, a słuch miała taki, że zbliżając się do windy, słyszała rozmowy turystów w jadalni. Trzask gałązki, szmer wiatru, odgłos ciężkich kroków na kamienistej ziemi.

Ona wiedziałaby, jak złapać górala stąd, ale nie zamierzała zdradzać tego policjantom, bo to nie było w jej interesie i nie chciała zwracać na siebie uwagi. Umiesz liczyć, licz na siebie.

Cieszyła się cieniem, który ofiarował jej Żmijowy Jar. Zsuwała się zrzęcznie w dół, patrząc na drzewa, które dobrze знаła, niegdyś z szarfami o żeńskich imionach, zerwanymi potem przez dzieciaki. Równie powoli, jak wykonywała wszystkie dotychczasowe ruchy, dotarła do strumienia.

Miała być zauważona. Zmierzała do tego nawet bardziej, niż to było rozsądne, raz za razem przecinając kijem powietrze. Ulubiona zabawa dzieciństwa teraz służyła zrobieniu dodatkowego hałasu.

Dotarła do potoku. Usiadła na kamieniu. Musiała być doskonale widoczna z góry, w fioletowej koszulce, z włosami rudymi jak jesienny liść. Zdjęła buty i włożyła stopy do wody, patrząc, jak przepływa nad jej palcami, momentalnie się dostosowując. Najbardziej współpracująca substancja na świecie. Transparentna, uczciwa.

Roma potrzebowała jej jeszcze raz.

Wyjęła zapalniczkę z kieszeni. Przez chwilę obracała ją w dłoniach, następnie położyła dokładnie w tym miejscu, w którym ją znalazła. Na tym samym brunatnym, szerokim kamieniu w strumieniu, a znała je wszystkie na wylot. Przedmiot błysnął spod wody.

Nie oglądając się za siebie i czując się jak zwierzyna łowna, Roma zaczęła wspinać się w stronę schroniska, tym razem jednak w szybszym tempie.

Dwa radiowozy terenowe już zajęły do schroniska, ale Rumsztyński dał znać funkcjonariuszowi, że zostaje. Nina była ciekawa, ile czasu poświęca na poszukiwanie Janka. Było jasne, że lokalne zasoby nie są nieograniczone. Można było – i należało – zaangażować GOPR. Ratownicy najlepiej znali te góry. Przymuszczenie w którymś momencie goprowcy również się wycofają, rozumiejąc brak perspektyw w tej sytuacji.

– Myślałam o tym od początku – zwróciła się do Rumsztyńskiego. – Łazęga był podsłuchiwany... Bo wydaje mi się, że był. Ale przede wszystkim chodzi o lokalizację. Na ile starczy bateria urządzenia? Góra parę tygodni droższego, bardziej klasowego sprzętu. Dokładnie taki odstęp czasowy, jaki nastąpił od napadu na dom Łazęgi.

– Zgadza się – odparł ostrożnym tonem.

– Powiedziałam ci o pluskwie. Przypuszczam, że morderca zaszył ją w osłonie plecaka. Kiedy go znaleźliśmy, zauważyłam, że był cerowany. Pytanie tylko kiedy. Może jeszcze gdzieś w domu zostawił podsłuch, ale... przypuszczam, że to był GPS z podsłuchem na żywo. Po co dzielić, jeśli można połączyć. To pewniejsze rozwiązanie.

– To stanowiło jedyny cel napadu?

– Zgadza się. Miał ich namierzonych. Łazęga nie ruszał się bez swojego plecaka, widać to na każdym zdjęciu bloga, ten plecak zwyczajnie go załatwił. Sprawca przeszedł szlakiem z drugiej strony. Od Krynicy, może lasami, i czekał na nich na niebieskim szlaku. Sam wybrał miejsce.

– Wciąż trudno mi w to uwierzyć...

– Dlaczego?

- Bo rzadko kiedy mordercy są tacy zmyślni.

- Może u ciebie. Uwierz - powiedziała, bardziej odwołując się jednak do Pragi-Północ. - Musisz to zrobić, bo to jedyne, co logicznie wyjaśnia wszystko inne. Musimy przyjąć, że morderca wiedział, że Drużyński będzie szedł szlakiem. Że obrał odpowiednie miejsce, obok wąwozu i z dala od osiedli ludzkich. Miejsce, w którym będzie mógł błyskawicznie zdjąć, że tak powiem, rodzinę ze szlaku.

Rumsztyński wyglądał na zafrasowanego.

- Ale to nie koniec - kontynuowała. - Od początku głowiłam się nad zniknięciem drugiego plecaka. To, że znaleźliśmy go dwa kilometry dalej, to odrębna zagadka. Pierwsza brzmi, dlaczego w ogóle nie było go pierwotnie na miejscu zbrodni?! Dlaczego mieliśmy tylko jeden? Otóż nie było go, bo morderca potrzebował czasu.

- Ale na co? Wąwóz był pusty.

- Niezupełnie. Rozenba znalazł zwłoki niedługo po zabójstwie. Sprawca musiał to przewidywać, a może nawet na to liczył.

Rumsztyński wyglądał, jakby teraz go zgubiła.

- Wyjaśnię za chwilę... - dodała. - W plecaku Łazęgi od początku był klucz do sprawy. Morderca miał tyle czasu, żeby zniknąć po morderstwie, ale nie miał go na tyle, żeby wyjąć pluskwę, a o niej nie powinniśmy się dowiedzieć. Następnie z powrotem *zaszyć* plecak. Dlatego tuż po morderstwie wszedł do strumienia, zgubił ślad traseologiczny, przeszedł, moim zdaniem, nie więcej niż kilkadziesiąt metrów i tam dokonał operacji ostrożnego wyjęcia lokalizatora z plecaka i usunięcia śladów.

- Ale znowu, plecak znaleźliśmy gdzie indziej, parę kilometrów dalej.

Nie odpowiedziała. Na to odpowiedzi jeszcze nie miała. Tylko koncepcję.

- Tylko dlaczego to wszystko? - dodał Rumsztyński, ponieważ milczała.

- Wszystko zaczyna się i kończy na blogu. Jedna odpowiedź wydaje mi się na tym etapie logiczna. Jak powiedziałam, morderca wiedział, że Łazęga będzie pisał opowieść o starej bacówce. Że będzie plótł historię o śmierci Krońca i tak bardzo nie chciał tego, że zdecydował się zamordować dwoje ludzi - a jednego zostawić przy życiu, co do niedawna stanowiło dla mnie zagadkę.

- Do niedawna?

- B.box jest rozwiązaniem tej zagadki, a przynajmniej silną poszlaką. Uważam, że morderca zwyczajnie oszczędził dziecko. Nie tylko to, zostawił mu b.box. Ryzykowna sprawa, ale takie dziecko nie jest w stanie zwykle przekazać nic poza bazowymi emocjami i tak właśnie się stało. Mały od początku próbował jednak coś powiedzieć. I tak zrobił więcej, niżbym się spodziewała. Niedawno miałam córkę w tym wieku i wydaje mi się, że nie potrafiłaby. Mały bohater.

Przerwała, czując w tym momencie, jak jej myśli zbaczą w innym kierunku.

- Oszczędził dziecko, jednocześnie dając wskazówkę. Zabił, bo miał niezwykle silny motyw. Nie nazwałabym tego mordercy mordercą. To jest ktoś, kto może nie zabije człowieka powtórnie... No chyba, że poczuje się zagrożony. Ale wydaje mi się, że musimy tę rozmowę powoli kończyć.

- Dlaczego?

Wskazała na drogę. Zbliżał się do nich Karol Chodkowski.

Policjant z Warszawy zatrzymał się na chwilę, ale przywołała go gestem dłoni.

- Masz?

Podkomisarz kiwnął głową i podszedł bliżej.

W rękę Chodkowskiego pojawiła się nagle miedziana zapalniczka.

Po namyśle Nina założyła rękawiczki.

- Po co kolejne odciski? Podaj mi ją, proszę.

Kiedy to zrobił, obejrzała ją uważnie.

- MA? - zapytała na głos.

- Skąd wiedziałaś, nie wiem - rzekł Chodkowski, siadając obok. - Ale mała rzeczywiście coś miała. Zostawiła to w...

- Strumieniu - weszła mu w słowo Nina.

- Tak. Skąd wiedziałaś? - powtórzył.

Wzruszyła ramionami.

- Nawet nie musiałem specjalnie szukać - rzekł Chodkowski. - Jakby była w prezencie. Błyszczała spod wody. Jest w znakomitym stanie, choć pusta. Przemoczona, ale przede wszystkim bez benzyny, choć wlew jest szczelny.

Tylko taka mogła być, pomyślała Nina. Pusta. Brak benzyny spinał jeden ze szczegółów sprawy.

- Dobrze, że to znalazłeś. Jestem przekonana - zwróciła się do Rumsztyńskiego - że to jest prawdziwe miejsce, w którym porzucono plecak Łazęgi. A gdyby go nie przeniesiono...

- Przeniesiono?

- Tak, przeniesiono go dwa kilometry dalej, nie ma innej możliwości. Inaczej od razu mielibyśmy ten przedmiot.

MA. Czyje to oznaczenie, do diabła? - pomyślała.

Mężczyźni, doświadczeni funkcjonariusze, wpatrywali się w nią z uwagą.

Zamknęła oczy, przypominając sobie scenę sprzed paru dni.

Papierosy, dziecko, b.box. Slajdy przeskakiwały jej w głowie.

Stary góral zamordowany w swojej bacówce: nigdy niewyjaśniona zbrodnia. Odrębne elementy spinały się w całość. Będziński i jego słowa; jak ten paranoik był bliski prawdy ukrytej w gąszczu cudaczných teorii, które przed nią wygłaszał w swoim profesjonalnie wytłumionym i zabezpieczonym pokoju... Intuicyjnie wyczuł prawdę i chyba wyczuła już ją Warwiłow.

Chodkowski obserwował ją uważnie.

- Nina, czy zapalniczka to klucz? - zapytał.

- Tak. - Obracała ją delikatnie w palcach. - Należy do mordercy.

Witek nie mógł iść do szkoły. Śtryt się skończył, więc jego obecność tam mogła wyłącznie wywołać zdziwienie i zwiększyć ryzyko spotkania Agnieszki. Tato był z owcami; sam więc próbował nauczyć psa kilku sztuczek. Jak na razie nic się nie udało, za to pies chyłkiem pogryzł niedzielne buty mamy.

– Dobra, siedź tutaj – powiedział w końcu.

Pies odprowadzał go smutnymi oczami, kiedy Witek wyszedł na drogę. Kopiąc kamyki, jak dwadzieścia lat wcześniej, skierował się w stronę sklepu. Tomasziewiczowa kupowała chleb, następna w kolejce była Anka Tereżyńska z dołu wsi. Był czas, kiedy mu się podobała. Wszyscy obecnie dziwnie milkli w jego obecności. Miał wrażenie, że ludzie omijają go wzrokiem.

Kupił dwa piwa, paczkę winstonów i snickersa.

Kiedy wyszedł przed sklep, poczuł nagle wilgoć na dłoni.

Coś obryzgało mu rękę, lądując na końcu bezpośrednio przed nim. Była to flegma, którą wypuścił Boguś Kowalewski.

– Myślałem, żeś kupił konfitury – rzekł.

Widać było, że jest zawiany.

– Nie muszę. Mama robi – odparł Witek.

– Konfitury, rozumiesz, Wituś. – Boguś Kowalewski przybliżył swoją nieładną twarz.

– Tak. Dlaczego splunąłeś?

– Bo jesteś sprzedawczyk.

– Nie jestem, bo nie wziąłem pieniędzy. Przekazałem...

– Przekazał, konfident jebany – roześmiał się Boguś. Miał publikę, ludzie zawsze byli odważniejsi z publicznością.

Dońki z jakichś przyczyn Witek nie spostrzegł, ale ogólnie odnosił wrażenie, jakby rozgrywał się tu wieczorny spektakl. Przyszli tu dla niego?

– Tego cię, kurwa, nauczyli na studiach? – kontynuował Boguś. – Sprzedawać kolegów?

– To nie był mój kolega.

– Pewnie – usłyszał z „widowni” – do kolegi żony tak często byś nie chodził.

Znowu ryk śmiechu. Witek poczerwieniał. Nic mu, kurwa, nie zrobią. To nie była agresja, a nuda. Coś się działo, co pozwoli trochę zbić napięcie, które sami w sobie nosili i hodowali.

Ale nie zamierzał uciekać.

Skierował się do ostatniej ławeczki, w samym rogu.

Jeszcze słyszał jakieś gwizdy, jeszcze jakieś krzyki. Wyłączył się jednak.

Hasła „Kroniec”, „Krońcowa” przelatywały obok niego jak niecelne pociski. Nic nie mogli mu zrobić. Nikt w Rytowie nie zaatakowałby drugiego człowieka przy świetle dziennym. W rozrośniętej wsi nie było policji, więc musieli ustalić, gdzie kończy się ostracyzm, a zaczyna bezprawny atak.

Co innego zarżnąć jego psa, kiedy panowało zamieszanie. Witek utwierdził się w przekonaniu o tej hipokryzji po drugim grybowie, kiedy chmiel przyjemnie zaszumił mu w głowie.

Zjadł batona, następnie wystawił twarz w stronę słońca.

Ławeczka stęknęła pod nieoczekiwanym ciężarem.

Cyklop.

– W pokoju przychodzę – rzekł sprzedawca i wydobył butelkę piwa. – Sklep już zamknięty.

Witek milczał.

– Nie przejmuj się nimi – powiedział mężczyzna. – Będą gadać, bo mają z tego zabawę.

Witek spojrzał na niego, na tę wielką czerwoną twarz i te dziwacznie blisko osadzone oczka. Jak obecnie wyglądają jego dziewczynki?

Cyklop. Rzadko się odzywał, więc trzeba było docenić to, co teraz robił. Witek doceniał. Wzruszyła go postawa tego milczka. Wszyscy wiedzieli, że cierpi samotnie, ale nikt nie przyszedł do niego z flaszką. Przecież do Cyklopa chodziło się tylko do sklepu.

– Jak życie? – zapytał on sam.

– Życie? Pierdolona wiejska moralność – odparł Witek szczerze. – Uważają teraz, że jestem konfidentem. Wyjaśnisz mi?

– Nie przejmuj się, Witek, rozumiem cię.

– Tak?

– Wiem, że strasznie tu samemu siedzieć.

Nawet już nie skomentował tego, że wszyscy wiedzą o jego związku z Krońcową.

Teraz czuł się jednak, jakby siedzieli mu pod pierzyną. Niemile uczucie.

Cyklop dziwnie przemawiał. Ale przemawiał zamiast obrzucania gnojem, Witek powinien to docenić.

– Pierwsze zimy, kiedy Jolka... wiesz.

Nie skomentował. Cyklop musiał już mieć pięćdziesiątkę. Kiedy ta żona zjechała do Piwnicznej? Witek nie umiał sobie nawet przypomnieć. Facet siedział sam w wielkim dwupiętrowym domu.

Wyjechała, bo nie mogła się dostać do szpitala. Ile w tym było prawdy?

Smutne oczy. Szare, ale dziwnie bez wyrazu.

– Ty i ja, Wituś. Nie pasujemy do tego miejsca, rozumiesz to, prawda?

– Nie wiem.

Milczeli przez chwilę. Rozległa się kolejna salwa śmiechu, wydawało mu się, że rozpoznaje, kto to. „Koledzy”.

– Coś taki nierozmowny? Co jeszcze ci powiedziała Warwiłow? – zaczął nagle Cyklop.

– Kiedy? Nie jestem jej przyjacielem.

– Nie sprzedała ci nic za informację o Janku? Wituś, co z ciebie za handlowiec – roześmiał się głośno Cyklop.

– Nie. Serio nie. Nie pytałem – rzekł Witek – i chyba za bardzo nie chcę wiedzieć. Wystarczy mi, że znalazłem zwłoki. Wiesz, żałuję, że się na nie natknąłem. Inaczej może jeszcze miałbym psa.

Sprzedawca pokiwał głową. Nie wstawał. Głos miał inny, kiedy nie sprzedawał, jakby... wyższy, załamujący się, w kontraście do zwalistej sylwetki.

Witek zerknął w stronę ulicy. Rozległa się salwa śmiechu, to był już jednak łabędzi śpiew piwoszy. Towarzystwo na sąsiedniej ławce zdążyło się przerzedzić. Witek pożegnał się z Cyklopem, wstał i udał się w górę wsi. W nagłym przeblysku ujrzał swoje przyszłe życie, jak idzie tą drogą w górę, pewnie sam do domu rodziców, bo przecież swojego własnego nie wybuduje...

Było jeszcze ciepło. Mama wyszła i siedziała na ławeczce przed domem. Pod jej stopami przysiadł pies.

– Dużo będziesz miał z nim roboty, Wituś – powiedziała.

– Dzięki, mamuś.

– Głupi to jest pies i nie zmądrzeje. Widzę to w jego oczach.

– Zmądrzeje, zmądrzeje.

Ale mama – wiedźma, która wyczuwała różne rzeczy – zasiała w nim wątpliwości.

– Może przed pół godziną dzwoniła do ciebie kobieta – dodała. – Ta, co tu łązi, z ciemnymi włosami.

Agnieszka... Witkowi zabiło serce w piersi, zanim nie uświadomił sobie, że mama tak by na Agnieszkę nie powiedziała. Był jednym

słowem głupi jak jego własny szczeniak.

- To chyba ta policjantka, co siedzi na hali - uzupełniła mama. -
A łązi ta kobieta ostrożnie, jakby na drodze rosły osty...

Mama wyjęła karteczkę z numerem telefonu. Była zapisana kulfonowatym pismem, wzruszyło go to trochę.

- Wiesz co, Wituś, ona chyba czegoś od ciebie chce. Zadzwoń do niej.

- Wszystko już jej dałem.

- Mimo to ona czegoś jeszcze od ciebie potrzebuje.

Mijało popołudnie. Nina obserwowała, jak przez schronisko przewijają się ludzie. Zleźli się już chyba wszyscy z Rytowa. I Michał Dońko, i Waszyńscy, których sensacja interesowała na równi z historią regionu. Spoglądali na nią ciekawie, bo znalazła się w istnym oku cyklonu, wśród radiowozów przejeżdżających tu i tam, funkcjonariuszy przechadzających się z walkie-talkie. Ale było coraz bardziej jasne, że poszukiwania Janka utknęły na górzystym, rozległym terenie.

Przyglądała się zapalniczce.

„MA”. Wszyscy w górach palili. Nawet teraz dymki szły w górę jak z maleńkich ognisk. Będą się dokładać do kosztów nikotyny w społeczeństwie.

Imię na M. Było ich mnóstwo. Intuicja wskazywała jej, żeby patrzeć na to inaczej. Z drugiej strony? Roma Ignerska z tym chodziła i zostawiła z jakichś powodów w strumieniu. Bała się.

– Ostrożnie – powiedziała, kiedy Chodkowski podszedł bliżej. Zapalniczka leżała na stole. – Załóż rękawiczki.

– Już są na niej moje odciski.

– Mimo wszystko.

– Jaka jest twoja teoria? – zapytał.

– Sprawca to zwyczajnie zgubił. Bardzo obawiał się, że ktoś to znajdzie.

– Więc musimy teraz chronić to dziecko.

– Tak – przyznała w zamyśleniu – ale nie sądzę, żeby Roma wiedziała więcej niż my teraz.

– Znasz te inicjały?

Chwilę milczała.

- Myślę, że ten plecak został znaleziony przez kogoś innego i przeniesiony - wyjaśniła. - Tak to się odbyło. A prawdziwe miejsce, w którym doszło do rozprucia plecaka, to jest to, w którym została zgubiona zapalniczka. Sprawca działał zgodnie z planem, ale zdenerwowany popełnił błąd. Ciekawe, dlaczego nosił ze sobą taki oryginalny przedmiot.

Pstryknęła raz jeszcze, wywołując iskrę. Przemoczona czy nie, zapalniczka była ewidentnie pusta.

Rozległy się hałasy. Podszedł do nich Ignerski. Przywłókł ze sobą kolegów.

- Państwo Warszawa.

- Zgadza się.

Nie trzeba było weryfikować, skąd wiedzieli. Te twarze: widziała je od tygodnia. Wszyscy ludzie Rytowa... Grupowali się teraz tutaj, bo może wszystko rozpoczęło się od schroniska. A na pewno rozpoczęło się od wędrówek. Łazęga zginął, bo łykał opowieści jak pelikan żaby, a potem śmierć już za nim chodziła.

Patrzyła na te oblicza, które tydzień temu były dla niej nierozróżnialne w tłumie, ale już wydawały jej się charakterystyczne.

Dońko: człowiek o czerwonej twarzy, którego tutaj widywała.

Waszyński: regionalista o mętnej przeszłości. Jego żona z wiecznie przyklejonym do twarzy uśmiechem.

I Ignerski. Tego człowieka szczerze nie lubiła, ale personalnie, nie jako śledcza. Miała swoje powody.

- Jak śledztwo? - zapytał.

Wszyscy chcieli wiedzieć. Rytów już chciał znać odpowiedź. Ale Nina spoglądała za nich, na sylwetkę jeszcze jednego mężczyzny. Wyłaniał się zza horyzontu, idąc swoim charakterystycznym, powolnym krokiem...

Z daleka, z uwagi na ten chód, zdawał się starcem o lasce, choć z bliska dostrzegano się potężny sękaty kij, który dzierżył w dłoni, a sylwetka w pofalowanym od gorąca powietrzu powoli nabrała ostrości.

Witek Rozenba szedł sam, choć we wsi mówiono, że sprowadził sobie psa. Jeszcze nie nadszedł najwyraźniej czas na stałego towarzysza i męczyzna wydawał się jakiś taki wybrakowany.

Szedł prosto ku niej, z nikim się nie witając. Nawet Rumsztyńskiemu nie kiwnął głową.

– Pani do mnie wydzwaniła. – Wydawał się mówić niechętnie. – Więc przyszedłem.

Gruby sękaty kij postawił twardo na ziemi. Nie było znalezionej kija, tylko wypolerowany, obrobiony. Kula, jak tu mówiono.

– Dlaczego mnie pani potrzebuje?

– Chcę zobaczyć to miejsce na własne oczy – powiedziała głośno i wyraźnie. – Tę bączkę na Hali Kurzajowej. Muszę ją zbadać. I poprosiłam pana Rozenbę, żeby nas tam zaprowadził.

Rumsztyński kiwnął głową.

– Ale ty przecież...

– Dam sobie radę – ucięła.

– Tam nie przejedziemy samochodem.

– Jestem tego doskonale świadoma. Idziemy? – zwróciła się do Rozenby.

Witek przypatrywał im się w milczeniu, ale z pewną ciekawością.

– Tak – powiedział. – Proszę za mną.

„Czerwony kapturku, uważaj na wilki, szarfy cię powiodą...”

Roma śpiewała to sobie pod nosem przez cały czas, kiedy wracała ze zbioru poziomek na obiad. Obrosły tak, że sama się najadła i miała na upieczenie co najmniej dwóch placków. Żywiła nadzieję, że pieniądze się posypią oraz że turyści nie zakontraktują bąblowicy, którą sezonowo straszono w lasach. Z lisami, w przeciwieństwie do wilków, była za pan brat, co trzeci dzień widziała jednego na hali, ostatnio nawet szarego.

Czuła się wolna. Ta zapalniczka musiała ważyć chyba dwa kilo! Była również lepszej myśli o swojej przyszłości: tato nie czepiał się szkoły. Nauczyciele nie mogli jej zagwarantować transportu do Rytowa, nikt nie mógł, i nie mogli jej zmusić. Im dłużej to trwało, tym bardziej się w tym utwierdzała.

Kto wie zresztą, gdzie „formalnie” zamieszkiwała? Kiedyś w papierach znalazła, że to Beskid Niski, gdzie byli wcześniej. A tam było tak pusto, niech jej szukają w przepastnych lasach.

Poczuła wolność, poczucie, że może robić, co chce. Wraz z wiatrem pewien powiew optymizmu. Była wysoka, silna. Niedawno zaczęła zmieniać się w kobietę. Za parę lat będzie mogła zjechać do Piwnicznej i zatrudnić się gdzieś w sezonie. A później... Później to będzie później.

Tato nie będzie mógł nic zrobić. Jego brak troski o szkołę oznaczał, że pozbawiał się praw – i zawsze będzie to na niego miała, gdyby sprawiał kłopoty.

– Nie muszę! – krzyknęła, a las odpowiedział jej echem.

Dużo pisarzy nie skończyło żadnych studiów, a nawet szkoły średniej. Choć przydałoby się jakieś doświadczenie w szpitalu, przy substancjach chemicznych i innych takich, które mogą się przydać do

pisania książek, ale to przecież *da się* kiedyś zrobić. Tato, zwłaszcza wedle swoich opowieści, pracował wszędzie, a też chyba nic nie skończył.

Podśpiewywała piosenkę. Przystanęła jednak może dwadzieścia metrów od fasady schroniska. Zbladła, bo coś zajęło jej myśli. Jakiś nieprzyjemnie znajomy widok...

Cofnęła się dwa kroki. Odetchnęła ciężko, serce łupało jej w piersi. Stopniowo trochę się uspokoiła – ale bardziej dotyczyło to ciała niż umysłu. Bała się. Mijając przyjezdnych, wślizgnęła się do Nory i rzuciła w wir pracy. Zajęła się zmywaniem, wyrabianiem ciasta na kolejne porcje pierogów i naleśników.

Przetarła twarz i starła plamę mąki z policzka. Nie czuła się dobrze. Kompletnie nie. Nie mogła tak zupełnie odciąć się od tego, co ujrzała przed chwilą przed schroniskiem. Ulepiła jeszcze parę pierogów, kiedy zrozumiała, że musi po prostu wyjść i porozmawiać z ojcem.

Ręce jej drżały i oparzyła się od gorącej patelni.

Tato w międzyczasie zajął się barcią za budynkiem. Czekali na miody, które będzie można spieniężyć, ale w tym momencie miała inne myśli.

– Tato?

Obrócił twarz, jeszcze z głową w kapeluszu i welonie pszczelarskim. Czuła, że prawa ręka jej się trzęsie, może od wytężonej pracy, ale raczej z przejęcia.

– Tak, córciu?

Biła się z myślami. Jak miała to ubrać w słowa?

„Pamiętasz, jak wtedy rzucali we mnie jabłkami...” „Pamiętasz, jak mnie nie było przez długi czas...” „Jak bałam się, że mnie zabiją...”

Nie, tego tato nie będzie pamiętać.

Była zaczerwieniona. Oddychała głęboko.

– Ronju? – podjął tato.

– Ostatnio szłam przed siebie, bo... no nieważne.

Nie było sensu rozwodzić się nad atakiem dzieci. Miała poważniejsze problemy.

- W każdym razie dotarłam parę kilometrów stąd i...

- Tak?

- I doszłam do tej starej baczki, tej zdaje się na Hali Kurzajowej.

Tato odwrócił się, jakby dopiero teraz zdobyła jego uwagę.

- To daleko - rzekł.

- Biegłam.

- Rozumiem.

- I jak tam byłam... Wiesz, ktoś tam przyszedł.

- Kto taki?

- Nie wiem. Widziałam tylko plecy.

Czy mogła się teraz mylić? Chciała opowiedzieć historię o zapalniczkę, ale chyba było za wcześnie.

- Ten ktoś potem za mną chodził - dodała.

- Tajemniczy ktoś. O co chodzi?

Tato wydawał się rozbawiony.

- Miałam coś, co go mogło interesować... coś, co znalazłam w potoku... zapalniczkę. - Zdawała sobie sprawę z tego, że nawija nieskładnie.

- Zapalniczkę? W czym rzecz? Ronju, mówisz zagadkami - rzekł z uśmiechem.

- Tatuś, on był na baczce, widziałam jego plecy. Widziałam! I teraz, tatuś, przed chwilą...

- Co przed chwilą?

Patrzyła na tatę. Wspominała zamordowanego psa. Ciało na dnie wąwozu. Swój własny strach, kiedy kuliła się w pokrzywach.

Słowa ugrzęzły jej w gardle i nie chciały się wydostać.

Droga była kręta. Z tego, co Witek pamiętał, musieli przejść przez Halę Rytowską, następnie Halę Łabowską i tak dalej. Łąki wydawały się jeszcze suchsze niż przed paroma dniami po ulewach; bez drzew, bez deszczów, których było coraz mniej. Tak ziemia płaciła za rabunek lasów.

Witek miał wrażenie, że pozostali patrzą na niego, kiedy tak szli. Jako jedyny znał drogę. Starał się nie wahać. Nie wziął psa, być może dla bezpieczeństwa... Chciał być teraz sam. Żeby kolejny pies nie skończył jak Aren.

Wiedział, że prośba policjantki jest niebezpieczna. Niebezpiecznie zaczęło być, jak tylko przyjechała tutaj i zaczęła się kręcić. A teraz kazała się zaprowadzić do baczki Krońców. Miał nadzieję, że wspomnienie o Janku zakończy sprawę. Krońcowie stali się już w pełni osiłą jego życia. Już nie miał swojego własnego, żył tylko Krońcami: żyjącymi, nieżyjącymi, ściganymi, a także tymi kochanymi.

Słyszał za plecami, że policjantka trochę ciężko oddycha.

Zatrzymał się więc i obrócił.

- Wolniej? - zapytał.

Dzień się dłużył. Niebo nad halami ciemniało, zbierały się cumulusy. Wysokie, kłujące trawy również utrudniały marsz.

- Nie, jest okej - odparła.

- Jeszcze jedna przesieka i jesteśmy na miejscu - rzekł. - Obiecuję. Albo może prawie obiecuję.

Uśmiechnęła się. Ładna kobieta, jak na policjantkę taka... kobieca. Może szkoda, że tak wyszło, że nie spotkali się w innym czasie. Skupił

się na drodze. Taki był z niego wielki pasterz, znawca hal: pamiętał nie tyle oryginalną trasę, ile kiedy ostatnio zabłądził tam z Jankiem.

Ciemny kształt zarysował się w końcu na horyzoncie. Bacówka. Już nie był zdziwiony, jak wszystko wokół niej zarosło. Następował upadek dawnego świata.

Spoglądał na starą, zapadającą się w sobie chatę. Kryła tajemnicę i pewnie nie mogła się doczekać, żeby zmienić się w kupkę spróchniałego drewna. Smutne wydawały mu się te wszystkie opuszczone budynki, które kiedyś tętniły życiem, śmiechem i pracą.

Zamknął oczy, bo to wszystko przywoływało wspomnienia. Był tu już kiedyś. Ale nie parę dni temu z Jankiem, tylko wcześniej, jako mały chłopiec. Przypomnił sobie starych baców; czy pamiętał też Krońca? Poczł nagle zapach tej bacówki i przypomniał sobie psa z jednym okiem i brudnobiałym futrem, którego się obawiał.

Jak się nazywał ten psiak? Raz na jakiś czas trafiał się pies, co po prostu gryzł całe życie. Znał takie, co przeżyły próbę uspienia, jakby miały za sobą – albo w sobie – diabła. Stary owczarek kąsał wszystko, co się rusza, i Witek wiedząc o tym, wystawił kiedyś kurtkę, zbliżając się do bacówki. Pies poszarpał ją na strzępy...

Wszyscy chyba byli zmęczeni i poczuli wagę momentu, bo miał wrażenie, że powietrze, trawy i wszystko inne pulsuje białym światłem. Może przez zmęczenie ta chwila trwała dłużej, niż powinna.

– To już tutaj – rzekł.

– Jasne.

Szli brzegiem gęstego zagajnika, jedyne miejsce dającego cień w okolicy. Ostatnie dwieście, trzysta metrów. Niegdyś ta okolica żyła. Górale spędzali w niej cały sezon, wyrabiając bunc, żętycę i oscypek. Wielkie owczarki patrolowały okolicę i żaden wilk nie podchodził.

Już byli tak blisko, że chciał niemal zamknąć oczy. Nie iść dalej. Spełnił prośbę Niny Warwiłow, a teraz chciał odejść. A historia, która tu się wydarzyła, spłynęła też na niego, zimnymi kroplami Zawoi. Zaplącił

już za to swoją własną cenę, a teraz chciał, żeby to wszystko się już skończyło.

Pomyślał, że odejdzie i zostawi im tę baczówkę. Niech robią, co chcą, znajdują przecież drogę.

Człowiek jednak planuje, a Pan Bóg się z niego śmieje.

Mocno się przeliczył co do wszystkiego. Nie zdążył obrócić się w stronę Warwiłów i Rumsztyńskiego. Nagle poczuł bardzo mocne uderzenie, jakby konar dębu spadł mu na ramię.

Krzyknął i upadł na ziemię od tego ciosu. Odczuwał promieniujący ból, jakby roztrzaskało mu rękę. A kiedy obrócił się w stronę światła, dostał jeszcze raz w twarz, od czego zgrzytnęły mu zęby.

W końcu zobaczył napastnika.

Janek Kroniec.

Musiał cały czas za nimi iść, skryty za drzewami.

Witek spojrział w prawo, bo usłyszał kolejny dźwięk, przypominający uderzenie kości o kość.

Rumsztyński też już leżał jak sparaliżowany.

Witek spojrział na swój kij. Janek go odrzucił, ale miał do niego metr, dwa, może zdąży... Ale Kroniec obrócił się jeszcze raz w jego kierunku z własnym kijem. Nie uderzył go jednak, lecz powoli spuścił mu go na głowę.

Witek spojrział na Ninę, żeby zobaczyć, co się z nią dzieje.

Okazała się szybsza, niż przypuszczał. Policjantka trzymała w ręku broń i mierzyła w Janka.

Ten, przyczajony jak ryś, stał, upokarzająco trzymając mu kij na ramieniu. Jakby był jego panem. Mógłby mu równie dobrze nasikać na twarz. Jakby go obecnie posiadał.

Rumsztyński był nieprzytomny, z twarzą pełną krwi.

Janek uśmiechnął się. Broń ani drgnęła w palcach Warwiłów.

- Przyszliście - rzekł Janek, chyba żeby zyskać na czasie.

Wyglądał na dziwnie zadowolonego. Ubranie miał to samo co przed paroma dniami, policzki zarośnięte jeszcze bardziej niż zwykle. Był brudny, ale twarz rozświeślała mu energia.

– Wszyscy się zeszli – dodał.

Podniósł kij z ramienia Witka i zrobił krok w stronę Warwiłow.

Broń w jej rękę drgnęła. Wydawała się jednak spokojna.

– Ani kroku.

– Bo?

– Postrzelę pana. Po kolei w rękę, w nogę, w obojczyk, i potem jeszcze raz w nogę. A jeśli dalej będzie pan szedł... chyba nie muszę już mówić. – Podniosła broń, ale celowała prosto w głowę. – To już będzie obrona konieczna. Zaczynamy?

Dopiero teraz Witek dostrzegł zawahanie na twarzy Janka. Jak przez szaleństwo przebija się jednak obawa. Żałował, że nie widział teraz spojrzenia Niny.

– Chodźmy lepiej do środka – powiedziała zaskakująco łagodnym tonem. – Panie Kroniec, pan tu jest chyba gospodarzem, czy nie? Proszę przodem.

W bacówce, jeszcze po tych wszystkich latach, uchował się zapach wędzonki. W dłoni Nina trzymała glocka. Stała i spoglądała dookoła, usiłując ocenić sytuację. Miała broń, czyli lepiej niż ostatnio. Gdyby miała latarkę, chciałyby podświetlić, zobaczyć to miejsce... te ściany bacówki. Zdawało jej się, że gdzieś tam widzi plamy krwi, których nie dało się zmyć albo nigdy nie próbowano tego zrobić.

Rozglądała się badawczo dookoła. Stali i patrzyli się na nią. Janek, przyczojony, był parę metrów dalej. Widziała, z jaką siłą unieruchomił dwóch dorosłych mężczyzn. Odsunęła się pół kroku, bo wiedziała, że wciąż może się na nią rzucić.

Witek trzymał się za ramię. Wydawało się, że jest w gorszej formie niż Rumsztyński.

Wszystko nabrało nagle ostrości. Gdyby Kroniec zyskał jej broń... Poczula się odpowiedzialna za kilka istnień ludzkich. Zmysły miała niesamowicie wyostrzone.

Weszli do bacówki, jak kazała, ale Janek wciąż nie puścił kija.

– Musisz to odłożyć – powiedziała.

Brak reakcji.

– Będę stała i mierzyła w ciebie, dopóki tego nie zrobisz, mam czas.

– Co zrobicie? – rzekł drwiąco. – Zadzwońcie do kogoś?

– Jesteś bez broni.

Wzruszył ramionami.

– Spokojnie – dodała. – Proszę się poddać, porozmawiamy. Nie jesteś oskarżony.

– Po co tu, kurwa, przyszliście? – zapytał.

- Zobaczyć miejsce... - Zawahała się.

- Gdzie zabito mojego ojca? To jest to miejsce. - Wskazał na ślady. -
Widzicie jeszcze.

- Ostrożnie - powiedziała, bo nagle obrócił się do niej plecami.

Nie słuchał. Poślinił palec i mocno przejechał nim po ścianie, aż zdawało jej się, że słyszy świst. Tak szurnał, że aż ją samą zabolalo.

- Jeszcze została krew - rzekł.

- Twoja własna.

- Jakie to ma znaczenie. Krew to krew. Po co tu przyszliście? -
powtórzył.

Nagle usłyszała kroki i jakiś odgłos, niby krzyk. Hałas dochodził jednak z zewnątrz, od strony podwórza bacówki...

Obróciła się.

W oddali zobaczyła Romę i jej tatę, jak szybkim krokiem zmierzają w ich stronę. Minęli już rozpadający się płotek.

Dziewczynka krzyczała coś do niej.

- On...! Widziałam, widziałam...!

Nina próbowała zrozumieć przekaz. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

Obróciła się z glockiem, ale za późno.

Janek pokonał odległość dwóch metrów. Nina poczuła, jak ciężar wyrobionego kija spada jej na szyję i ramię.

Wypuściła broń. Prawie spodziewała się, że zaraz spadnie na nią większy ciężar; instynktownie skuliła się w sobie. Potem usłyszała nagły hałas.

Siedziała na ziemi, trzymając się za kark. Pistolet sturlał się po podłodze, nikt go obecnie nie trzymał.

Działo się coś innego. Witek skoczył na Janka i obejmowali się obecnie w uścisku śmierci. Trudno było powiedzieć, kto jest górą. Mimo kontuzji w młodszego mężczyznę wstąpił prawdziwy lew. Zaczął

dusić Krońca od tyłu. Zdawało się, że daje z siebie wszystko, co ma, i że to może wystarczyć...

Pęczniały żyły na przedramionach Rozenby, twarz Janka robiła się coraz bardziej czerwona, wydawało się, że młodszy mężczyzna go zadusi i sprawa rozwiąże się na jej oczach. Witek miał w oczach coś, czego jeszcze u niego nie widziała, prawdziwą nienawiść... Ale wtedy nagle Janek wierzgnął jak koń, wykorzystał odbicie mocnych nóg z wąskiej ściany baczówki, wykręcił się jak śruba i znienacka znalazł się na górze.

Witek był teraz w gorszej pozycji, ale wciąż nie puszczał. Zdawało się, że cały dom się trzęsie i rozpadnie się od tego starcia, że wbrew logice obaj równocześnie się zabiją.

Warwiłow wstała i lewą ręką podniosła pistolet.

Podeszła i przyłożyła Jankowi prosto do głowy.

Drugą ręką odbezpieczyła glocka.

Drgnęli i nagle Janek przestał ścisnąć Rozenbę. Ten to zobaczył: wypelźł spod Krońca w rozerwanej koszuli. Widziała, że trzyma się za rękę, jakby była złamana.

– Teraz spokojnie – wyszeptwała do Janka. – Wyjdę z tego w każdej sytuacji. Jesteśmy tylko my i zaatakowałeś nas. Dwóch świadków z policji. Czy ty z tego wyjdiesz? Naprawdę chcesz umierać?

Mocno przyciskała lufę do głowy. Odsunęła się pół kroku, gdyby znowu chciał wierzgnąć. Ale widziała, że starcie z Rozenbą nadwątlilo jego siły. Na szyi miał czerwoną pręgę. Krew lała mu się z kilku miejsc naraz: głowy, klatki piersiowej, ucha.

Rumsztyński również już się podniósł. Nie była pewna, na ile jest przytomny.

– On ma kajdanki! – powiedziała do Rozenby.

Siedział w kącie, tak samo poraniony jak Kroniec. Chyba wrócił mu ból ręki i to ze zwielokrotnioną siłą, bo trzymał się za nią z grymasem na ustach.

– Nie mogę... – wyszeptał.

– To słuchaj moich instrukcji – rzuciła. – Weź tego kija i wyrzuć go. Andrzej, daj mu kajdanki – powiedziała, nie odwracając głowy.

Tak zrobili.

Roma i jej tata, Marcin Ignerski, stali bez słowa. Tłoczno i ciasno zrobiło się w tej baczności śmierci. Czowała zapach krwi i świeżego potu. Oraz desperacji, bo wiedziała, że obaj mężczyźni by się pozabijali. Nie wiedziała dlaczego, ale czuła to w powietrzu, złą krew.

Sytuacja znowu się zmieniła. W baczności była ona, czterech mężczyzn, dziecko. Dziecko, które trzeba chronić. Zakłęła w duchu.

Zerknęła na komisarza. Rumsztyński odzyskał przytomność, ale z głowy sączyła mu się krew. To nie wyglądało dobrze. Mało brakowało, a Kroniec załatwiłby ich troje. Rozumiała, jak można było zabić dwoje ludzi na dnie wąwozu.

– Tylko spokojnie – powiedziała, kiedy Witek skuł Janka.

Podeszła od tyłu i, wciąż z bronią przed sobą, sprawdziła zapięcie. Na szczęście wydawało się, że jej prawa dłoń jest tylko stłuczona. Zaczęła lekko puchnąć i lała się z niej krew, ale rana wyglądała na płytką.

– Dobrze, a teraz usiądź pod ścianą. O tu. – Wskazała na sam kąt, gdzie jeszcze był fragment zniszczonego łóżka.

Wydawało się, że Janek nie posłucha, ale w końcu zareagował na magię lufy skierowanej między oczy.

Wstał i przesunął się.

– Wilczyca – syknął i splunął, kiedy zajął stanowisko. – Przynosisz śmierć.

– Z całym szacunkiem, ale śmierć dawno tu przysła – odparła. – Prawie trzydzieści lat temu. – Przełknęła ślinę. – Twój tato został zamordowany. Wiem, że został.

– Gówno wiesz.

– To akurat nieprawda.

Zauważyła, że Roma przesunęła się bliżej niej. Może nie ufała opiece lekkomyślnego Ignerskiego.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – powiedziała. – Za co poszedłeś siedzieć, Kroniec?

– Niewinność czy jakoś tak.

– Oczywiście byłeś winny. Sprawdziłam sobie jeszcze w archiwum w Piwnicznej. Ta sprawa nie była trudna, najdurniejszy sędzia by cię skazał. Dowody były miażdżące. Siedziałeś za skrzywdzenie niewinnej dziewczyny, która tylko poszła sobie potańczyć z koleżankami.

Rozejrzała się.

– Przedtem widziałeś już tę dziewczynę, poznałeś ją, tak wynikało z akt. Nie była dla ciebie zupełnie obca. Zgwałciłeś ją. Co więcej, nie jesteś pierwszym mężczyzną w swojej rodzinie działającym w ten sposób. To okrutne, ale wychodzi na to, że coś takiego może przechodzić w genach. Pytałam ludzi o twój ojca, Macieja. Pytałam twoją byłą żonę, pytałam jego dawnego przyjaciela.

Witek Rozenba drgnął.

– Ile miał ofiar na koncie twój ojciec? – zwróciła się do Krońca. – O ilu się nie mówiło? Bogaty góral, w odosobnionym miejscu, bez kontaktu z rzeczywistością... Choć ci, co go pamiętają, mówili, że w Piwnicznej zachowywał się jeszcze inaczej, coś jak wilk w owczej skórze. Obaj jesteście potworami. Trzeba było was powstrzymać, skoro policja nie interesowała się predatorem, prawda? Ktoś jednak podjął taką decyzję.

Janek sapnął, ale już się nie ruszał.

– Twój ojciec został zamordowany za podobny czyn, za który ty poszedłeś do więzienia. Ale to nie była decyzja zupełnie na trzeźwo, bardziej z wściekłości. Zginął z potrzeby odwetu, o czym najlepiej świadczy brutalny charakter zbrodni. – Przesunęła wzrokiem po ścianach baczówki, a potem skupiła wzrok na Romie i jej ojcu.

– Zostałam tutaj wezwana, bo znaleziono zwłoki. Pomiędzy schroniskiem a wsią, poniżej niebieskiego szlaku. Od początku

wydawało mi się, że schronisko również trzeba brać pod uwagę. Że to może być ktoś spoza wsi. Że to wcale nie musi być mieszkaniec Rytowa.

Zrobiła pauzę. Panowała cisza. Niemal słyszała oddechy w bacówce.

- I od początku czułam, że to może być odwet. Więc kluczem wydawała mi się przeszłość. Jednak na początku się myliłam. To nie przeszłość ofiar była tu kluczem, tylko mordercy. Łazęga był człowiekiem z zewnątrz, który chciał zajrzeć do środka, i dlatego właśnie zginął. W trakcie swoich wędrówek podjął decyzję, żeby napisać o czymś prawdziwym. Dlaczego? Może chciał napisać coś bardziej literackiego niż blog, coś bardziej nośnego. A może zafascynowała go historia o makabrycznej zbrodni w bacówce niegdysiejszego króla wsi, która teraz już nikogo nie interesuje. Tak jak i górale, którzy zaczęli odchodzić w pewne zapomnienie...

Po chwili kontynuowała:

- Pierwsza zbrodnia, dokonana na Macieju Krońcu, nie była dokonana w afekcie. Jak powiedziałam, była mniej lub bardziej zaplanowanym odwetem. A druga... druga, jak to bywa, była po to, aby ukryć pierwszą. Aby rzecz, którą Łazęga chciał napisać, nie wyszła na światło dzienne. Myślę, że Drużyński dotarł do osoby, która miała motyw i sposobność. Może rozmawiał z ludźmi, pewnie zrobił również to, co ja wczoraj: szperał w aktach. W nich w Piwnicznej jest bardzo poważna wskazówka i wyczytałam ją tam. Tak samo istotna była moja rozmowa z gospodynią z Wiązów, Basią Stasik. Jak ważne są drobnostki... Powiedziała mi, że rozmawiała z Łazęgą po jego prelekcji w Ośrodku Kultury. Udałam się do niej wczoraj wieczorem, aby przytoczyła mi dokładnie tę rozmowę, wszystko, co zapamiętała.

Zrobiła pauzę. Kroniec sapnął.

- Co mnie to wszystko obchodzi?

- Daj mi skończyć. Równie ciekawa, choć znacznie bardziej współczesna, wydaje mi się zagadka zejścia z niebieskiego szlaku. Drużyńscy byli wysportowani. Łazęga dysponował finką, którą potrafił się posługiwać. Drużyńska też była w niezłej formie... Owszem, mieli

dziecko w chuście, ale dlaczego dali się sterroryzować jednemu sprawcy, bo przecież ślady wskazywały na jednego? Drużyński był w końcu człowiekiem śmiałym, o czym świadczy choćby ten słynny rajd na rakietach śnieżnych, ale i wszystko inne. Rozważałam przez moment, że zeszli sami, ale to też nie trzymało się kupy. W końcu pomyślałam, że oczywiście zostali zamordowani nożem, ale czy sprawca nie mógł zagrozić im na górze czymś innym, bardziej sugestywnym? Czymś takim jak – wskazała na glocka – broń?

Kroniec wyglądał na zagubionego, ale Witek wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Wtedy wszystko by pasowało. Zeszli trzymani na muszce, ale na dole znienacka został wyjęty nóż. Po co robić hałas, to bardzo ryzykowne, a broń palna zupełnie zmienia klasyfikację zbrodni i kierunek śledztwa. Drużyński został zamordowany znienacka pchnięciami od tyłu. Ewa od przodu, już po wyjęciu dziecka z chusty... Tak planujący sprawca byłby równie zdolny, żeby opracować plan zainstalowania pluskwy w plecaku Łazęgi, wliczając w to włamanie, a następnie odinstalowania jej, żeby usunąć ślady. Nie przewidział jednak dwóch rzeczy. Obecny tu Janek Kroniec, który nocuje w Żmijowym Jarze, znalazł plecak. Następnie, i to była zwykła kradzież, zabrał go i przeniósł dwa kilometry dalej.

Po chwili powiedziała:

– A druga rzecz, której nie przewidział sprawca, to zapalniczka.

Wyjęła ten przedmiot. Miała wrażenie, że Roma u jej boku drgnęła niespokojnie.

MA.

– Przypuszczam, że MA to nie są inicjały, a litery pierwszego i drugiego imienia – powiedziała Nina. – Niestety parę dni temu poznałam tylko to pierwsze. Zapalniczka została znaleziona przez Romę i to jest absolutny dowód winy. Dokładający się do tego, co już wyczytałam wczoraj w aktach w Piwnicznej.

Zrobiła pauzę.

- W tym momencie bardzo wiele rzeczy zwróciło już moją uwagę. Dotyczyły również, nazwijmy to, specyficznego profilu tego zabójcy. Tacy sprawcy nieczęsto się trafiają. Dostrzegałam jego sprawność i pewną przemyślność. Brałam pod uwagę to, że morderca dokonał profesjonalnego wejścia do domu Łazęgi, nie zostawiając śladów. Jak sprawnie dokonał zabójstwa, a zwłaszcza sprowadzenia Drużyńskich z niebieskiego szlaku. Wreszcie jak się udzielał, pod nickiem Opiłka Dwa, na blogu Łazęgi, swego czasu żądając od blogera większej ilości informacji, a wkrótce potem usunął konto.

Rozglądała się po zebranych i dostrzegła, że Rozenba wyraźnie zbladł. Jeszcze chwila...

- Sami widzicie, że to nie jest ktoś prosty, wręcz ktoś wyjątkowy. Morderca Drużyńskich to osoba dysponująca zarówno zasobami finansowymi, jak i sprzętowymi, ale może przede wszystkim logistycznymi. Równie dobrze porusza się po górach, jak i Nowym Sączu. Zarazem to posiadacz tej cennej, zabytkowej w zasadzie, zapalniczki. Inaczej by jej nie poszukiwał, prawda? Tak widziany zabójca zawęży naszą grupę podejrzanych. A przy tym nie wydawało się, że to jest ktoś obcy. Stale tu był. Oczywiście na śtrycie, gdzie zamordowano psa, ale i na halach. Poruszał się za nami jak cień.

Odetchnęła głęboko.

- To ktoś, kto łączy te dwa światy, gór i Kotliny Sądeckiej - dodała.

Czuła, jak krew pulsuje jej w głowie.

- Jak wspominałam, wczoraj poza rozmową z Basią Stasik udałam się również na komisariat w Piwnicznej. Tę część dochodzenia musiałam już jednak odbyć sama. Na miejscu wertowałam raporty dotyczące sprawy morderstwa Macieja Krońca. Okazało się to bardzo istotną lekturą. Jest w nich klucz do rozwiązania sprawy, a nawet nazwisko mordercy. Widnieje tam jak byk.

Rozejrzała się dookoła, ale jej wzrok zatrzymał się już w jednym punkcie.

- W aktach sprawy przeczytałam o pewnym młodym policjancie, wówczas jeszcze w stopniu starszego aspiranta. Wbrew twoim słowom - zwróciła się wprost do komisarza Andrzeja Rumsztyńskiego - ów policjant nie był postronnym świadkiem, ale prowadził śledztwo w sprawie morderstwa Macieja Krońca, aż do jego nieudanego rozwiązania, czytaj: umorzenia.

Zapadła głęboka cisza.

- Po swojej prelekcji w domu kultury w Piwnicznej - podjęła Nina - Łazęga między wierszami zapytał Basię Stasiak, czy pamięta Macieja Krońca, czy pamięta, z jakimi rodzinami w Piwnicznej był zaprzyjaźniony. Jeszcze pamiętała, ma naprawdę świetną pamięć. Bezwiednie wymieniła Rumsztyńskich, choć nigdy by nie pomyślała, że możesz być w to wmieszany.

Czuła, że wciąż ma przyspieszony oddech. I że zaciska dłoń na rączce glocka...

- Oczywiście nie jestem - odparł po dłuższej chwili Rumsztyński. - I nie wiem, co to wszystko znaczy.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę.

- Komisarz z Piwnicznej. Poczciwy, znany w okolicy Rumsztyk - powiedziała. - Może nie najbardziej aktywny i błyskotliwy śledczy, ale za to znany ludziom w okolicy. Łącznik między halami a doliną. Znany w okolicy nie tylko ze swojej wieloletniej pracy w policji. Również i z oddania, jakim darzy swoją młodszą siostrę, Gosię.

Przerwała. W baczności znowu zapadła cisza i przerwał ją sam komisarz.

- Co z tego wynika? Słuchaj, Nina - powiedział Rumsztyński. - Jeśli sugerujesz, że jestem kiepskim śledczym albo że mam luki w pamięci... Nie będę się z tobą o to spierał. Sama kiedyś zobaczysz, jaka jest starość. - Zaniósł się śmiechem.

Nina czujnie obserwowała Krońca, wydawał się niebezpieczny nawet pomimo kajdanek.

Jak tylko Rumsztyński skończył, milczenie wydawało się jeszcze głębsze.

– Sądzisz, że to wszystko, Andrzej? – zapytała. – Oczywiście Łazęga wypytywał Basię Stasik o Rumsztyńskich nieprzypadkowo. Przypuszczam, że już coś miał. Może spotykani przez niego ludzie po latach gadali, zawsze gadają i zawsze ktoś coś zapamięta... Wpadł na trop. Krońcowie, którzy krzywdzili kobiety, znowu do tego wracamy. Tak jak powiedziałam ci przed paroma dniami, może nie nazywałabym tego sprawcy mordercą. Zabiłeś Drużyńskich, żeby ukryć to, co zrobiłeś. A tym czymś była zbrodnia... Zamordowałeś Macieja Krońca w tej właśnie baczce.

Janek był spokojny, zdawał się jednak słuchać bardzo uważnie. Twarz miał dziką, ale w oczach błyskało co innego. Tak jak powiedziała, chciał też zrozumieć, chciał wiedzieć.

W pewnym sensie rozumiała, dlaczego ich zaatakował. Był katem, ale i ofiarą tej historii.

Chciał poznać prawdę.

– Dlaczego miałbym to wszystko zrobić? – zapytał Rumsztyński.

Przełknęła ślinę.

– Twoja siostra przekazała mi następujące ostrzeżenie: proszę uważać na siebie tam wysoko na polanach. Tam po prostu źli ludzie mieszkają, nawet jeśli mają dobre twarze.

Po chwili dodała:

– Rozumiem, że odnosiła to do siebie, prawda? I wówczas odniosłam takie wrażenie, choć nic jeszcze nie wiedziałam o sprawie... Łazęga wypytywał Basię Stasik o Rumsztyńskich, o to, czy znaliście się z Krońcem. Przypuszczam, że ty go znałeś. Ktoś z tutejszych musiał opowiedzieć Łazędze o krzywdzie, która spotkała Gosię, choć to nie znalazło się w aktach. Oczywiście nie mogło się znaleźć, bo wiązałoby ciebie ze śmiercią Krońca.

Odetchnęła.

– Bo Maciej Kroniec skrzywdził twoją siostrę, prawda?

Kolejne słowa nie były dla niej łatwe.

- Zrobił to, co robił i innym kobietom. Jak bywa z gwałtem, pozbawił ją tak naprawdę życia, więc potraktowałeś to w ten sposób, że masz prawo odebrać mu jego własne. Nie wiem, dlaczego Gosia nie zgłosiła tego na policję, może nie mieliście dowodów, bała się ostracyzmu, zwłaszcza że to było lata temu. A może jej odradziłeś, wiedząc, co chcesz zrobić. Chciałabym się kiedyś tego dowiedzieć.

Zrobiła pauzę.

- Zamordowałeś Krońca dokładnie tutaj. Lata później żyliście we względnym spokoju. Ale zbrodnie wychodzą na jaw i pojawił się Łazęga oraz jego ambicja. Musiałeś chronić siebie i tajemnicę, która was połączyła. Musieli zginąć obydwój. O ironio, to przez Gosię domyśliłam się, co zaszło. Nie powinienes zapraszać mnie do swojego domu.

- Dlaczego? - rzekł cicho komisarz.

- Bo zauważam. Twoja siostra pali, a ty jej wszystko dostarczasz, takie przyjąłeś na siebie zadanie. Sama mi to wręcz powiedziała. To jest jej pusta zapalniczka, którą trzeba było nappełnić.

- Skąd to niby wiesz? - wtrącił.

Nie odpowiedziała. Jeszcze chwila.

Milczenie ludzi w baczności zdawało się ważyć więcej niż poprzednie.

- Ale przede wszystkim - przerwała je Nina - powiedziała mi, że kochasz dzieci, nawet jeśli nigdy nie miałaś własnych.

Dopiero teraz dostrzegła coś wyrazistego na twarzy Rumsztyńskiego. Czyżby rezygnację?

- Nie sądzę, aby to było dla ciebie zaskoczenie, że było tam dziecko. Przygotowałeś się. Zostawiłeś mu wodę w b.boxie. Słabo kłamałeś wtedy na komisariacie... Była szansa, że nikt nie znajdzie zwłok, ale musiały się znaleźć, może sam byś o to zadbał. Dałeś temu dziecku szansę. Może to oznacza, że nie jesteś takim najgorszym człowiekiem.

Sama już się trochę uspokoiła. Fizyczna walka już się odbyła; czuła, że ma miarowe tętno.

- Twoje bezbarwne śledztwo i anemiczne podrzucanie tropów w stronę wsi... - mówiła prosto do Rumsztyńskiego. - Twoje przemilczenie udziału w sprawie zbrodni na bacówce. Obecność na śtrycie. Zaczęłam cię podejrzewać. Poddałam cię testowi i oblałeś, opowiadając okrojoną wersję historii. Pewnie myślałeś, że mam do ciebie większe zaufanie. No więc nie miałam, a na pewno nie w tym momencie.

- To jest twój problem.

Brzmiał jednak słabiej niż przedtem, i to było wyczuwalne.

- W pewnym sensie sam mi udzieliłeś tej odpowiedzi parę dni temu na zamku w Rytrze. Powiedziałeś między słowami, że najważniejsze to ochrona rodziny. Nie uchroniłeś siostry przed krzywdą dokonaną przez Krońca. Ale dokonałeś odwetu. A teraz zabiłeś, żeby chronić siebie i w pewnym sensie ją. Gdyby ta sprawa ujrzała światło dzienne, zabiłoby to Gosię, prawda?

Wyjęła na wierzch miedzianą zapalniczkę.

- A poza tym za dużo mówisz. Wszystko jest wskazówką. Sam wspomniałeś, że Gosia prowadziła kiedyś firmę, sprzedającą wyroby z wełny. Zaciekawilo mnie to, bo w bazach KRS są pełne personalia. Znalazłam jeszcze te dane. Otóż twoja siostra nazywa się Małgorzata Anna Rumsztyńska.

- Co z tego wynika?

- Przypuszczam, że to są jej inicjały na zapalnicze.

Rumsztyński wpatrywał się w nią intensywnie. Nie odpowiedział, ale potrafiła wyczytać na tej spranej, doświadczonej twarzy emocje. Gorąco się od nich zrobiło w niewielkim i cuchnącym wnętrzu bacówki. Nadchodził jednak koniec, choć dla policji piwniczańskiej, a raczej nowosądeckiej, raczej początek. Może, dla dobra dowodów, podążą podobną ścieżką jak Łazęga.

Słuchać ludzi. Wszystko ci powiedzą, jeśli tylko uważnie słuchać.

- W jakimś sensie cię rozumiem - powiedziała. - W innym jesteś złym człowiekiem. Rozumiem, że kochasz siostrę. I nie powinno być

nam szkoda Macieja Krońca, może uratował też kilka innych dziewcząt. Ale szkoda mi Drużyńskich. Zginęło dwoje ludzi, którzy mieli dziecko i życie. I to dziecko też ma całe życie przed sobą.

Roma musiała odtajać po tym wszystkim, czego była świadkiem. Tyle się wydarzyło poprzedniego dnia... Warwiłow porozmawiała z Jankiem Krońcem i po chwili zdjęła mu kajdanki. Dalej wyglądał jak dziki zwierz, ale jakby zeszło z niego powietrze.

Roma obserwowała tę scenę w milczeniu. Obawiała się, że po słowach Niny, które sama cały czas przetrawiała, mężczyzna ruszy w stronę Rumsztyńskiego. Ale nie ruszył. Może chodziło o pistolet Niny Warwiłow, może chodziło o inne emocje. Patrzył na niego anemicznie, kiedy kajdanki powędrowały w drugą stronę. Nina cały czas trzymała broń, ale wprawiony już najwyraźniej Rozenba rozpiął Krońca i skuł Rumsztyńskiego.

Nie powiedział ani słowa, ale Roma chciała go przewiercić oczami. Widziała go przecież przed bacówką, kiedy w strachu kryła się w krzakach, gotowa uciec potokiem. Już pod PTTK rozpoznała jego plecy, tę jego pochyloną sylwetkę. To było po tym, jak – była pewna – śledził ją w lesie, jakby wiedział, że znalazła tę zapalniczkę... Rumsztyk, znany w Rytowie policjant. Ta okolica nie miała dla niego tajemnic.

Chcąc coś zrobić, przysła tu z tatą i...

Reszta rozegrała się na jej oczach.

Warwiłow chyba uważała, że sytuacja dalej jest dynamiczna. Ustawiła ich tak, żeby Janek szedł z przodu. Sama stała z Rumsztyńskim centralnie przed sobą, zakutym we własne kajdanki, a im kazała iść z tyłu. Szli powoli i zdawało jej się, że Warwiłow ciężko oddycha.

Kiedy dotarli do PTTK, był już późny wieczór. Policjantka poleciła ojcu zadzwonić do doliny, ale on nie nadawał się psychicznie do takich ważnych rzeczy. Nina to dostrzegła i rozejrzała się bezradnie, sama nie

chcąc chyba opuszczać Rumsztyńskiego. Romie zabiło szybciej serce na myśl, że jej przypadnie ten zaszczyt.

Czuła się dorosła, chciała, żeby Warwiłow również to zobaczyła. Przepuszczalnie bardziej dorosła od taty.

Ale policjantka poprosiła Witka.

A potem nastąpiło jeszcze większe zamieszanie, niż kiedy szukano Janka. Ta noc okazała się bardzo długa.

Przyjechał Nowy Sącz. Następnie, może jakieś półtorej godziny później, już po pierwszej w nocy, na halę wjechały dwa jeepy. Z jednego wysiadł, wyskoczył w zasadzie, krępy, bardzo mocno zbudowany mężczyzna. Roma, obserwująca to wszystko z boku, odnotowała, że wszyscy funkcjonariusze z szacunkiem usuwali mu się z drogi.

Przyjechał z małym oddziałem. Jego ludzie błyskawicznie rozeszli się po terenie schroniska. Oczywiście zauważyli ją, ale funkcjonariusz spojrzął na nią tylko blado, kiedy powiedziała, że tu mieszka.

Dwóch pozostałych weszło z nim do sali jadalnej, z której błyskawicznie wyproszono wszystkich innych ludzi.

Padło też hasło „komendant”, ale rozumiała, że to jest ktoś wyżej niż Sącz. Najwyżej.

Wydawało jej się, że Rumsztyński, wciąż na Hali Rytowskiej, został przejęty przez innych funkcjonariuszy.

W sali jadalnej przybysz – już zorientowała się po szeptach, że to inspektor Całkiewicz – odbył długą rozmowę, i chyba tylko z Niną Warwiłow.

Komendant wyszedł w końcu sam, nie wydawał się w pełni zadowolony, może miał po prostu już taki wyraz twarzy na stałe. Asystował, kiedy prowadzili Rumsztyńskiego do radiowozu. Może nawet powiedział parę słów do komisarza, ale głowę trzymał blisko zatrzymanego; niestety nie usłyszała.

Całkiewicz nie wyglądał na szczęśliwego. Jej zdaniem powinien być. A może, jak w powieściach, policjant nie był zadowolony, że prywatny

detektyw jest bystrzejszy od niego. W tym przypadku nie tyle prywatny detektyw, ile kobieta...

A może Warwiłow nie była tak przekonująca jak w baczówce. A może w ogóle nie o to chodziło. Roma siedziała na wzgórzu; w końcu wszystko zaczynało stopniowo rzednieć. Już po trzeciej radiowozy powoli zjechały w dół. Miała nadzieję, że się nie rozbiją w wąwozie.

Została po nich pustka górskiej nocy, gwiazdy świeciły niesamowicie jasno. Roma widziała nawet gwiazdozbiór Byka, którego nigdy nie umiała wypatrzeć.

Ale najdziwniejsze, że po tym wszystkim dalej siedziała i odtwarzała to jeszcze raz pod jabłonką. Za każdym razem czuła silne emocje.

Gości nie było.

Policja odjechała.

Nie chciała się ruszyć, w zasadzie nie mogła. Przeżywała raz za razem. Przykryła się kocem, bo na hali zrobiło się zimno.

– Jesteś.

Obróciła się nagle. Nina Warwiłow zjawiła się bezszelestnie.

– Ja przepraszam...

– Że siedzisz w nocy pod własnym domem?

– To nie dom.

– W każdym razie nie musisz się denerwować. Świetnie się zachowałeś.

– Zrobiłam zamieszanie.

– Mam na myśli zapalniczkę.

Roma przełknęła ślinę.

– Chciałam, żeby ją znalazł. Powinam ją pani oddać.

– Tak, znalazł – powiedziała Nina. – Ale mój podwładny... to znaczy ekspodwładny.

– Ten pan, który przyszedł przed paroma dniami... – Roma zaskoczona wskazała na budynek.

– Tak. Ten pan. Przekazał mi.

- Powinnam ją pani oddać.

- Nie. Nic nie powinnaś. Powinnaś cieszyć się życiem. Znalazłaś zapalniczkę i to jest duża rzecz dla sprawy. Powinnaś być z siebie dumna.

Przez opary zmęczenia Roma poczuła namiastkę dumy oraz to, że miała wpływ, nawet jeśli chaotyczny.

- Życie jest nieprzewidywalne, prawda? - kontynuowała Warwiłow, jakby czytała jej w myślach. - Słuchaj, jutro wyjeżdżam. Będę o tobie pamiętać. A ty pamiętaj o mnie, Roma.

- Oczywiście, będę!

- Mam na myśli... Pamiętaj, że są miejsca, które mogą stać się jak rodzina. Miejsca, w których samodzielnie, logicznie myślące osoby mogą się odnaleźć. Pamiętaj, Roma, za parę lat. Wiem, że twoja sytuacja tutaj... wasza sytuacja jest trudna.

Wiedziała, że Ninie chodziło tylko o nią, nie o tatę.

- Ale znałam kiedyś ludzi w podobnej - dokończyła policjantka.

- Znała pani?

- Tak. Jakoś z tego wyszli. - Ścisnęła ją za rękę. - Zawsze możesz stworzyć swoją własną rzeczywistość, wiesz? Zacznij. I pamiętaj o babie, która prowadziła śledztwo, którą poznałaś kiedyś w PTTK na Hali Rytowskiej. Bo ten PTTK będzie kiedyś twoją przeszłością. Minie jak wszystko i będziesz żyć, tak jak chcesz.

To mówiąc, Nina przytuliła ją. Roma poczuła zapach jej ubrań i włosów, wtuliła się mocniej, niż chciała, całym swoim szczupłym ciałem.

- Dziękuję, że przyszłaś dzisiaj pod baczówkę. Do zobaczenia, Roma.

Witek siedział pod sklepem, głaszcząc psa. Coraz więcej rozumiał ten szczeniak. Miewał nawet momenty, gdy wydawał się inteligentny... A przez resztę czasu był takim właśnie śmiesznym szczeniakiem, który nie przejawiał dziesiątej części rozumu Arena.

Trudno. Dostanie w końcu jakieś imię, choć nie miał pojęcia, jakie.

Ludzie podchodzili do niego, do Witka, ale wcale nie chciało mu się gadać. Nastrój miał jednak bardziej pogodny. Chciał pogodzić się z Rytowem, siedząc u Cyklopa, ale nie chciał gadać z ludźmi. Musiał przetrwać po swojemu wszystko, co się wydarzyło. Cały stres. Może to nie była jego historia, ale w gruncie rzeczy znowu zahaczyła o niego, w postaci Janka, który ostatecznie okazał się niewinny.

Witek miał intuicję, że wobec aresztowania Rumsztyńskiego policja będzie miała większe problemy i teraz się nimi zajmie. Choć oczywiście zbrojna napaść na policjantkę dokonana przez Janka to inna rzecz, ale może Warwiłow będzie chciała zostawić to wszystko za sobą.

On chciał. Znalezienie zwłok w Żmijowym Jarze. Widok dziecka. I morderstwo psa. Tego nie mógł wybaczyć, a jedyne, co zmniejszało winę Rumsztyńskiego, to obraz jego siostry. Sam nie miał siostry, ale przypuszczał, że mógłby dla niej zrobić wszystko. Kiedyś jakiś gówniarz przywalił siostrze Dońki tornistrem, rzucili się na niego we dwóch.

Znał tę kobietę, Gosię Rumsztyńską. Przywoził jej mleko i sery, kiedy zjeżdżał do Piwnicznej, i teraz, kiedy o niej myślał, wydawało mu się, że zawsze była taka drobna, omdlewająca. Słaba, jakby coś jej kiedyś odebrano. Pomyślał wówczas, zupełnie nic o niej nie wiedząc, że nie miała woli życia.

Witek wstał w końcu, bo emocje, w tym te nieprzyjemne, związane z bacówką, zaczęły powracać. Gwizdnął na pieska, który ledwo co zdążył przysnąć po niekończącym się podgryzaniu wszystkiego, co możliwe. Naruszył mamy buty, już nie tylko te niedzielne, ale i lepsze, weselne. Jeszcze nie wiedziała. Trudno, odkupi je. Mama i tak prawie się nie ruszała, może tylko na Świętego Jana.

Wstał z ławeczki i skierował się w dół wsi.

Pies, w pełni już zregenerowany, truchtał u jego boku. Mimo wszystko tak było lepiej.

Witek dotarł w końcu do jej domu i zatrzymał się.

Zawahał się, ale pies go wyprzedził. Wpadł do gospodarstwa i zaczął ganiać biedne kury.

Witek przeraził się, że szczeniak je zagryzie, a Aga już przecież miała kłopoty z lisami, jak wszyscy...

Rzucił się za nim.

– Do nogi! – krzyknął.

Pies minął go manewrem, a żeby nie wpaść na kurę, Witek zrobił wymyk – no i runął jak długi.

Usłyszał śmiech. Perlisty śmiech, którego nie słyszał już dawno.

– Daj mu się wyszaleć.

– Może to ja chciałem pobiegać.

– I wytarzać się w kurzych kupach?

Wzruszył ramionami.

– Poczekaj chwilę.

Agnieszka wróciła ze spodniami i koszulką.

– Twoje – powiedziała, widząc jego spojrzenie. – Zostawiłeś, kiedy czyściłeś mi dach i wyprałam.

Rzeczywiście. Rozebrał się. A potem podszedł do starej studni, wciągnął sobie wody z wiadra i obmył się, zdejmując koszulkę. Zdjął brudne rzeczy i wziął do ręki nowe. Pięknie pachniały, jabłonka, pod którą wisało pranie.

- Nie wolisz łazienki? - zapytała.

- Nie.

Zapadła cisza.

- Jesteś obrażony.

- Nie jestem.

Wyprostował się, narzucając na mokre ciało białą i wyprasowaną koszulkę w serek. Aga była taka porządna.

Chwilę na nią patrzył.

- Chodź tutaj - powiedział.

- Tu? - Rozejrzała się.

- Tak. - Wskazał na miejsce pod jabłonką.

- Widać z drogi.

- Wiem.

Rozmawiali o starym hamaku. I kilku innych sprawach.

Minęło może parę sekund. Pewnie się wahała, ale w jej ruchach już tego nie dostrzegł. Co było piękne w Adze: kiedy już podjęła decyzję, nie kwestionowała tego.

Podeszła do niego bliżej. Pocałowała go mocno w usta, poczuł zapach truskawkowej pomadki.

Przeszłość dziewczyny to jest przeszłość. Nie możesz jej zmienić i nie przykładaj do tego nadmiernej wagi. Tak mu kiedyś powiedziano i w dziwny sposób te słowa dalej obowiązywały - może odnosząc się do całej przeszłości wszystkich ludzi.

- Prowadź mnie na ten hamak - powiedziała.

Nina sunęła mazdą w sznurze pracowników z doliny Popradu i jego przysiółków. Znalazła mordercę i rozchwiała tutejszy świat. Jak to często bywało – ale tylko na jakiś czas. Wszystko działa się po coś, a Rumsztyński miał przecież szansę zakończyć życie inaczej. I tak będzie głośna rozprawa i Nina nie miała pojęcia, jak osądzą swojego, który tyle lat dostarczał dowodów sądom i prokuraturze. To już nie jej rzecz.

Wykonała swoją pracę.

W korku zaczynającym się przy McDonalddie na Jana Pawła zniecierpliwiona puściła Aimee Mann, która zawsze ją uspokajała.

Usłyszała z boku delikatne prychnięcie.

– Nie wierzę, że po tych wszystkich latach dalej ją katujesz.
To niesamowite.

– Katuję? To jest najlepsza piosenkarka.

– Późnych lat dziewięćdziesiątych.

– A znasz lepsze czasy?

Karol Chodkowski roześmiał się.

– Jak będziemy jeździli twoim autem – powiedziała – możemy puszcząć hip-hop. Możemy słuchać Pei, Dixona czy coś i wrzuszać się losem blokeroów.

– W ogóle nie o to chodzi w rapie.

– A o co?

– Tajemnica.

Dała mu kuksańca. Wciąż cieszyła się, że ma go przy sobie, ale jej wesołość była udawana.

Chyba obydwójce o tym wiedzieli.

Jechali dalej: z tej strony Nowego Sącza ciągnęły się szerokie arterie. Znać było skalę miasta, właściwy charakter i wielkość. Jakby ta część Sącza podłużnym, potężnym korytarzem wchłaniała całą siłę roboczą i produkty z doliny, a dalej Słowacji.

Zaparkowali z Chodkowskim pod tym samym szpitalem. Ten sam szpital, inny świat.

Już pewnie nie zobaczy małego Drużyńskiego i on jej nie zapamięta. Nawet jeśli sama zapamięta widok tego małego chłopca na tle bielej przestronnej sali szpitalnej. Przypuszczalnie już do końca życia.

Wysiedli. Dzierżyła swoją białą teczkę. Dokumenty medyczne przynależące w zasadzie do nienarodzonego dziecięcia. Dziecię jeszcze się nie urodziło, ale już miało swoją dokumentację.

Zwróciła się w stronę Chodkowskiego.

– Poczekasz na mnie, Karol?

Kiwnął głową.

– Może chcesz wejść?

– Nie jestem ojcem.

– Może wołałabym, żebyś był.

Uśmiechnęła się. Karol dla odmiany się usztywnił.

– Nie patrz na mnie w ten sposób. Jesteś moim przyjacielem. Ostatecznie o to chodzi w związku, czy nie?

– On nie jest twoim przyjacielem?

– Nie wiem, czy jest moim przyjacielem. Jest zagadką.

– Czyli to, co lubisz.

– Tak. Powiedzmy. Masz rację. Mam, czego chciałam.

Zerknęła jeszcze raz w stronę szpitala. W jakiś sposób badania bardziej ją stresowały niż sprawy kryminalne.

Chodkowski chyba wyczuł jej myśli.

– Wszystko będzie dobrze.

– Mam już czterdzieści lat.

- A wyglądasz młodziej ode mnie.
- Nie wiesz, jak moja maszynieria, mocno ją eksploatowałam.
- Test oka zdajesz perfekcyjnie.

Po przyjacielsku dotknął jej ramienia.

- Może jednak iść tam z tobą?

- Nie. Ale dziękuję. Doceniam. Wszystko doceniam, Karol. Nie wiem, ile to potrwa.

- Nigdzie się nie wybieram. Nie wiem, czy wiesz, ale nie mam żadnych spraw w Sączu.

Uśmiechnęła się blado.

- Możesz kupić bilet na koncert Lachersów.

- Co to?

- Sprawdź, przekonaj się.

Doktor Gubrynowicz, która przyjęła ją ostatnio, wydawała się ożywiona. Może już słyszała, co zaszło na halach. A może nie słyszała. Warwiłow nie chciała i nie zamierzała się spowiadać.

Postać Rumsztyńskiego nie była anonimowa w dolinie. Sprawa wrosła głęboko w miejscową tkankę, więc chciała wyjechać. Nie chciała już nic nikomu opowiadać, po tym jak na koniec dokładnie zrelacjonowała dochodzenie Całkiewiczowi.

Wyjechać - a następnie udać się na zwolnienie. Może nie czuła tego w Gorlicach, ale wyraziście poczuła tutaj. Że tego właśnie potrzebuje obecnie jej organizm.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała lekarka, jakby intuicyjnie wychwyciła jej myśli. Była jej teraz wyraźnie bardziej przychylna.

Przebywały w innym gabinecie: drugi trymestr, droższe, lepsze sprzęty. Waga ciężka, dosłownie i w przenośni. Skoro jednak Nina przebrnęła przez badanie pierwszego trymestru i nigdzie nie wyskoczyło żadne znaczące ryzyko... Tego się trzymała.

Położyła się na białej kozetce zaścielonej świeżym szpitalnym papierem.

Lekarka wykonała kilka czynności, po czym przesunęła w jej stronę czarno-biały ekran.

Doktor Gubrynowicz leciała po kolei: za każdym razem Nina miała ochotę głęboko odetchnąć i trochę się rozplakać. Zamiast tego słuchała: serce, żołądek, kręgosłup. Lekarka mierzyła na ekranie odległości i normy, jakby jej dziecko zdawało kolejne egzaminy z algebry...

Nie było przestoju, wszystko było dobrze.

Łup, łup, łup.

Biło małe serce.

Kim jesteś? Kim będziesz dla mnie?

– Wszystko wygląda dobrze – nawijała lekarka, cieplejszym tonem niż ostatnio, przypuszczalnie zarezerwowanym dla USG – w normie co do wieku pani dziecka.

– To ono już ma wiek?

– Zależy, jak patrzeć. Moim zdaniem tak.

Łup, łup, łup – pracowała maszyna, ukazując silne młode narządy.

Doktor Gubrynowicz znowu leciała kolejnymi parametrami (jama przegrody przezroczystej, obwód głowy...). Nina zapomniała już, że jest ich tak dużo, choć już nauczyła się w dwóch ciążach, że nie każdy parametr jest równie czytelny.

Podstawą było ufać lekarzowi i nie myśleć samemu zbyt wiele.

– Czyli... wszystko dobrze? – upewniła się mimo to po raz piąty.

– Wydaje mi się, że w jak najlepszym porządku.

Gubrynowicz była dzisiaj cierpliwa.

A potem zapytała:

– Czy zna już pani płęć dziecka?

– Nie.

– A chciałyby pani poznać?

– To już?

– Tak.

– Tak... wcześniej?

- Już nie jest wcześniej, proszę pani. W ogóle nie. Najwyższy czas. Już musicie państwo wybrać szkołę rodzenia, niedługo wyprawka... a potem to już żłobek, przedszkole, studia.

Lekarka uśmiechnęła się do niej.

- Dobrze. Proszę mówić - powiedziała szybko Warwiłow. I zamknęła oczy. Nie miała tutaj żadnego pomysłu.

- Proszę dać mi chwilę. Nie chcemy się pomylić, prawda? - uśmiechnęła się lekarka.

Ale tym razem Warwiłow nie odwzajemniła już uśmiechu.

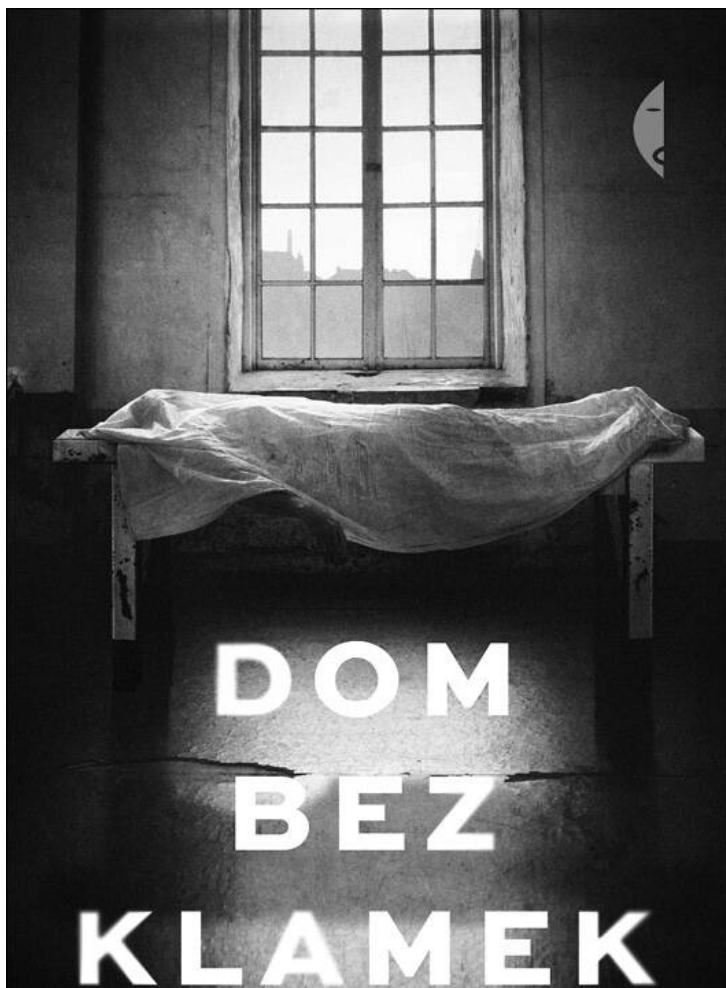
Spoglądała w pulsujący czarny ekran; w organizm, który się tam znajdował.

Inny dźwięk słyszała jednak w głowie. Przypominał pukanie do drzwi.

Przez wiele lat byłem mieszkańcem województwa nowosądeckiego. Czy samo hasło brzmi obco? Być może, ale tylko od 1999 roku. Z Beskidu Niskiego do Sądeckiego jest rzut beretem przez góry. Przez Uście Gorlickie, Czynną. A może Grybów. A nawet przez Słowację; to być może moja ulubiona droga. Tak czy inaczej ten region jest mi niemal tak bliski jak Łemkowszczyzna. Rok w rok przyjeżdżałem we wrześniu do Krynicy, a nawet mało co nie umarłem na górskim maratonie wiodącym przez Tylicz. Samo to świadczy, że góry tu są wyższe niż w Beskidzie Niskim. Osobista sympatia oraz niezwykła wręcz różnorodność Sądeczyny zachęciły mnie do umiejscowienia w niej akcji powieści. Tak jak to często bywa, pisząc, odkrywałem nowe „złoża” literackie. Z pewnością natchnęły mnie też spotkania autorskie w Nowym Sączu, w tym ostatnie na Rynku, które pomogły mi odnowić znajomość z miastem. Dziękuję za materiały o kulturze regionalnej, które otrzymałem w Piwnicznej. Dziękuję za wszystkie rozmowy, które odbyłem nad Popradem.

Jędrzej Pasierski

Kryminalne śledztwa Niny Warwiłow



JĘDRZAKIERSKI

Seria z podkomisarz Niną Warwiłow



ROZTOPY

JĘDRZEJ PASIERSKI

Seria z komisarz Niną Warwiłow



**CZERWONY
ŚWIT**

SWIT

JĘDRZEJ PASIERSKI

Seria z komisarz Niną Warwiłow



KŁAMCZUCH

KRAMCZUCH

JĘDRZEJ PASIERSKI

Seria z komisarz Niną Warwiłow

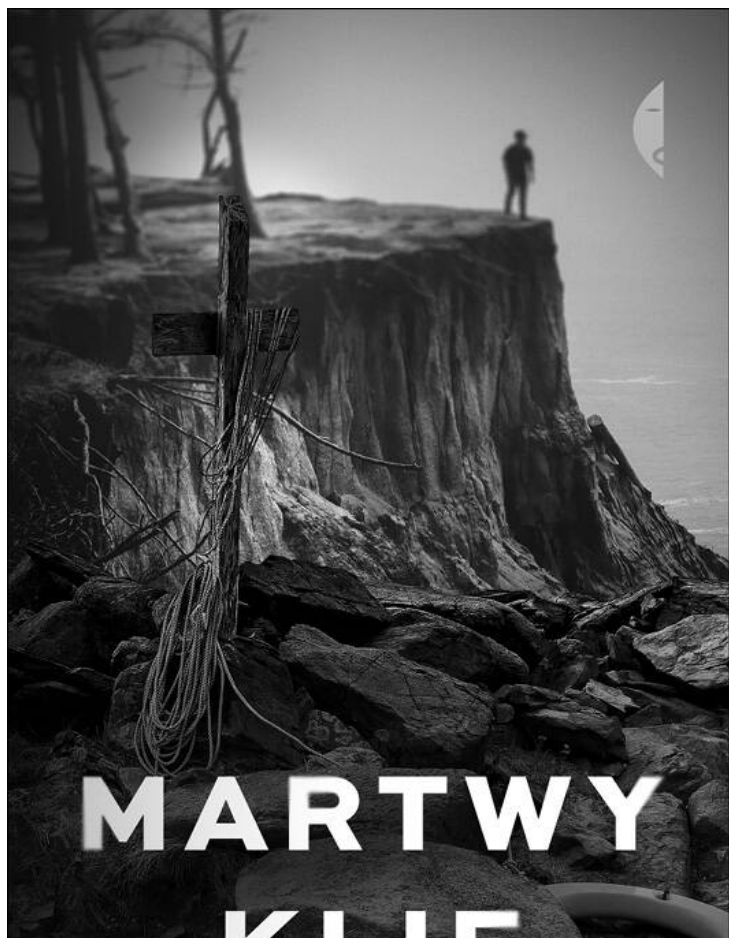


GNIĄZDO

GNIAZDO

JĘDRZEJ PASIERSKI

Seria z komisarz Niną Warwiłow





Dla czytelników wiadomość bardzo dobra jest taka, że każda kolejna książka z cyklu o Ninie Warwiłow jest lepsza od poprzedniej.

Piotr Bratkowski

To nie intryga, choć misterna, sprawia, że tak chętnie sięgam po Pasierskiego. Sprawia to Nina Warwiłow, jedna z najbardziej udanych postaci kobiecych w kryminale ostatnich lat.

Marta Guzowska

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Seria ze strachem

Dedykacja

Epigraf

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

Kryminalne śledztwa Niny Warwiłow

Kolofon

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl



[Wydawnictwo Czarne](https://www.facebook.com/WydawnictwoCzarne)



[@wydawnictwoczarne](https://www.instagram.com/@wydawnictwoczarne)

Sekretariat i dział sprzedaży:

ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:

al. Jana Pawła II 45A lok. 56

01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2024

Wydanie I